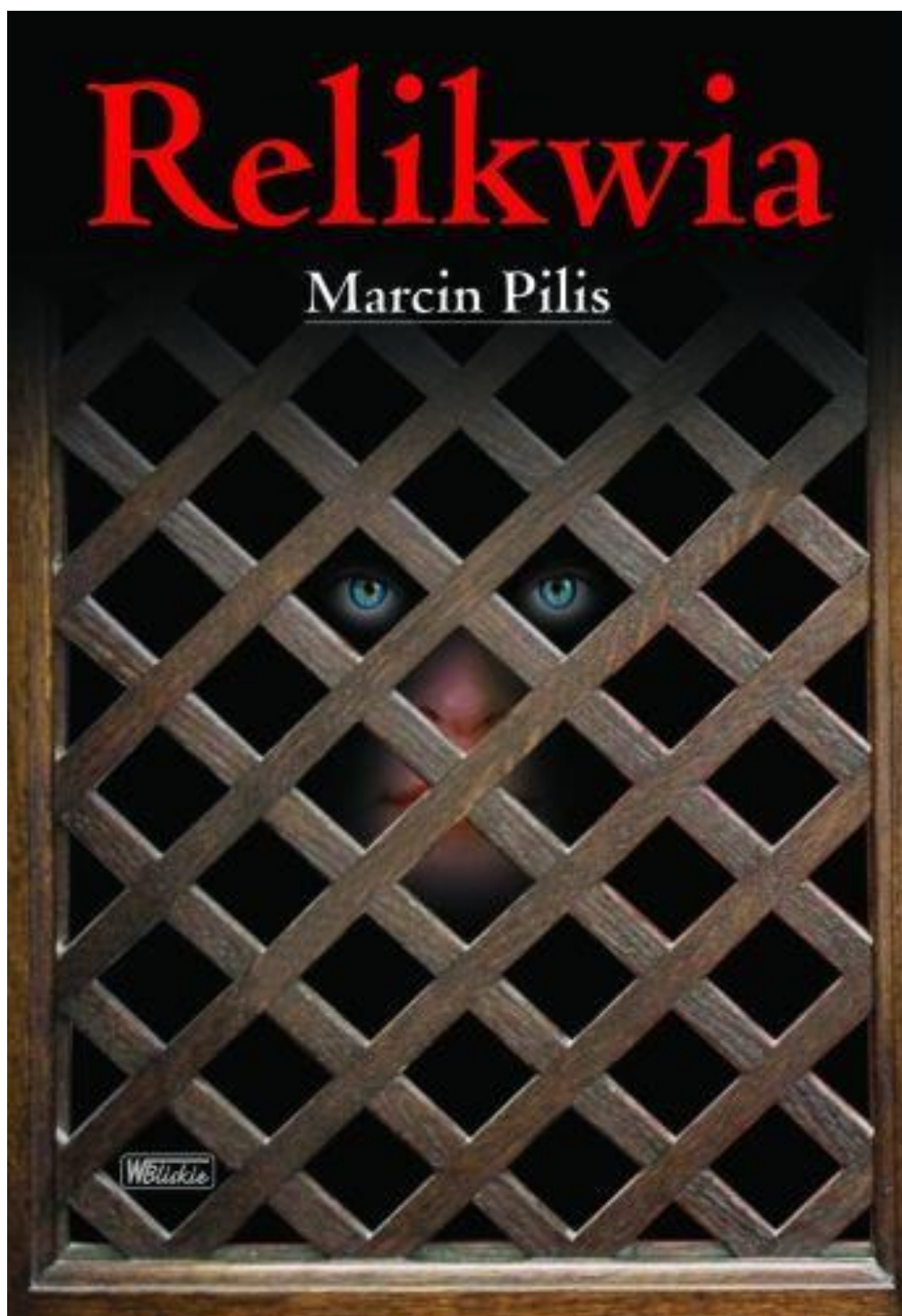


# Relikwia

Marcin Pilis



**Relikwia**

**Marcin Philis**



## Spis rzeczy

Strona tytułowa  
Strona redakcyjna  
Dedykacja  
Rozdział 1 - Znalezisko  
Rozdział 2 - Augustyn  
Rozdział 3 - Święty  
Rozdział 4 - Ona i on  
Rozdział 5 - Przeklęty  
Rozdział 6 - Moc objawiona  
Rozdział 7 - Wpajanie  
Rozdział 8 - Ela  
Rozdział 9 - Rozpoznanie  
Rozdział 10 - Preludium  
Rozdział 11 - Spór  
Rozdział 12 - Kamienie  
Podziękowania

*Dla Igi i Magdy*

## Rozdział 1 - Znalezisko

Święta Maria patrzyła na Janusza sponad stosu ławek, a on odwzajemniał to spojrzenie zgrabnie wypiętymi pośladkami, starając się dotrzeć szmatą w niedostępne zakamarki starej posadzki w kościele.

Wiedział, że na niego patrzy, nieco z ukosa, z lewej strony witraża, gdzie widniała jako dumna matka trzymająca na rękach swego małego Boga. Była ledwie widoczna. Barwy fresku spłwowały, dziewicze linie konturów znikły, a podobizna Świętej Marii wychudła po kilku stuleciach ściennego więzienia. Dziś wydawała się ulotna jak najbłahsza myśl, zwiewna niczym delikatny puch. Znikająca Dama Anoreksja w powłóczyściej szacie. Ale kolor oczu i ich obwódka zachowały się w zadziwiająco dobrym stanie, toteż spojrzenie Madonny budziło podczas mszy uczucie niepewności i lęku.

Zakurzone kąty między amboną i konfesjonałem zostawił na koniec. Tam było najgorzej. Po chwili miał już pewność, że jedno wiadro ciepłej wody nie wystarczy i będzie musiał przywlec z plebanii kolejne. Miał do wyboru: pobieżne wytarcie kątów i samopokutę lub dokładne umycie każdego miejsca i miłe słowa proboszcza Augustyna. Zrobiłby bez wahania wszystko jak należy, gdyby tylko okolice konfesjonału stojącego w prawym skrzydle transeptu nie były narażone na spojrzenie Świętej Marii. Ten piorunujący efekt przymrużenia powiek! Niby nic szczególnego, ale w tym przypadku w grę wchodziła cecha malowidła, o której babka opowiadała mu w czasach pierwszej komunii. Mawiała, że właśnie w tym miejscu, tuż przy konfesjonale, na prawo od prezbiterium, Maria potrafi przenicować duszę na wskroś tym swoim spojrzeniem i niezwykły efekt zmrużenia powiek - zwłaszcza w promieniach listopadowego słońca - dowodzi nadnaturalnych właściwości fresku.

Mimo upływu lat nadal nie potrafił uodpornić się skutecznie na wzrok Marii, postanowił więc okolice konfesjonału oczyścić z pełnym zaangażowaniem, ale pobieżnie. Perspektywa samopokuty nie była w żadnej mierze przykra.

Właśnie wtedy z zakrystii wynurzył się proboszcz.

- Proszę za mną.

Jego głos zadudnił w pustym kościele i Janusz natychmiast zapomniał o spojrzeniu Świętej Marii.

- Proszę księdza proboszcza, jeszcze te kąty mam do zrobienia.

- Proszę - z tym słowem ksiądz Augustyn przekroczył drzwi prowadzące do zakrystii.

Janusz rzucił ścierkę do wiadra, podniósł miotłę i pomaszerował za księdzem.

Proboszcz cieszył się w mieście ogromnym poważaniem. Od czasu, kiedy ogroził teren kościoła, zasadził nowe drzewa i - co najważniejsze - wyremontował dach i wzmocnił dzwonnice, parafianie bardzo go szanowali. Po proboszczu Ambrozym nie było drugiego, żeby tak się o kościół starał - powtarzali ludzie. Na celebrowanych przez niego mszach zawsze był komplet, a wierni głośniejsze i z większą pewnością mówili „...i odpuść nam nasze winy...”, zapatrzeni w drgające wargi duszpasterza.

W zakrystii było pusto. Musiał wyjść przed kościół, pomyślał Janusz. Postawił akcesoria sprzątacza przy ścianie i wyszedł na zewnątrz. Tak jak się spodziewał, proboszcz właśnie otwierał furtkę prowadzącą w stronę niewysokiego burego budynku, gdzie mieszkał z dwoma parafialnymi wikariuszami

- Sebastianem i Sewerynem.

Januszowi przemknęło przez głowę, że skoro Augustyn ciągnie go na plebanie, to sprawa musi być poważniejsza niż obgadywanie utrzymania kościoła w czystości. Pospieszył najszybciej jak mógł i dogonił proboszcza, zanim ten zdążył otworzyć drzwi.

- Proszę, wejść - ksiądz uczynił zapraszający ruch ręką.

- Pierwsze drzwi na lewo. Ach, przecież wiesz.

Przeszli korytarz i stanęli przed progiem. Augustyn pogmerał w fałdach sutanny i wyciągnął pęk ciężkich kluczy. Znaleźli się w dwupokojowym, ciasnym mieszkanku. Janusz poczuł przypominający swąd skarpetek zapach taniej kawy, wypitej przed kilkoma godzinami. W środku najpierw rzucały się w oczy wielkie ilości książek, a następnie ciężki połączony krucyfiks na stole pod oknem.

- Usiądź, proszę. - Proboszcz wskazał krzesło. - Kawa? Herbata? A może coś zimnego?

- Nie chciałbym sprawiać księdzu proboszczowi kłopotu...

- Żaden kłopot. Kawa? Dobrze. Rozgość się, usiądź wygodnie, wrócę za kilka minut. O, tu leży najnowszy numer „Niedzieli”, może coś cię zainteresuje.

W trzy minuty po wyjściu Augustyna do pokoju weszła pani Hela, niosąc tacę z parującymi filiżankami.

- Dzień dobry, ksiądz proboszcz już idzie. - Uśmiechnęła się. - Ale toś się dzisiaj namęczył, oj zdrowo, zdrowo. Ale młodyś jeszcze jest, to nic nie będzie. A ksiądz proboszcz to zawsze tak dobrze mówi, żeś taki zgodny jest, robotny. A bo tera to kto pomoże? Tera to nie ma takiego. No, nie przeszkadzam, nie przeszkadzam.

Ledwie wyszła, do mieszkania wkroczył Augustyn. W ręku miał butelkę koniaku. Wyjął z szafki dwa kieliszki, rozlał trunek i postawił przed Januszem. Następnie spojrzął mu

w oczy i powiedział:

- Pamiętasz, kiedy jako mały ministrant prosiłeś, abym ci powierzył jakąś informację, którą tylko ty będziesz znał?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo. - Janusz poczuł się zdezorientowany.

- Minęło wiele czasu, miałeś może z dziesięć lat, dziś to już zamierzchnia przeszłość. Pamiętam cię jako solidnego ministranta. Miałeś zadatki... ech, sądziłem, że mógłbyś kiedyś zostać dobrym księdzem. - Proboszcz zamilkł i popatrzył przez okno na rosnący z miesiąca na miesiąc odległy gmach nowego hotelu w mieście.

- Zabrakło charyzmy, proszę księdza proboszcza, a może wiara nie była taka głęboka.

Augustyn pociągnął z kieliszka malutki łyk, potrzymał alkohol w ustach, a później, zamknąwszy oczy, pozwolił mu spłynąć do żołądka. Zapewne odczuł przyjemność, bo rozparł się na krześle i nieco ściągnął brwi. Z jego twarzy zniknął nagle melancholijny wyraz.

- Wiara wcale nie musi być bardzo głęboka. Wystarczy, że jest pewna. Tylko pewna wiara jest w stanie uskrzydlić nas na tyle, abyśmy mogli zatrzymać Boga w najtrudniejszych momentach, abyśmy ufając Mu, zostali z Nim.

Proboszcz znowu spojrział w okno. Dopiero teraz Janusz zauważył zmęczenie na jego twarzy. Augustyn miał przekrwione oczy. Skóra policzków zdawała się pomięta i szara, paznokcie zdobyły czarne półkola brudu. Wystarczył rzut oka, aby mieć pewność: dłonie proboszcza nie miały dziś kontaktu z wodą. Ksiądz Augustyn niedomyty?! Rzecz nie do pomyślenia - wszystko wskazywało na to, że tego dnia proboszcz zapomniał o porannej ablucji. Właśnie mijają dziewiąta, było to więc czymś absolutnie niesłychanym. Augustyn od dawna nie odprawiał wczesnych mszy, zrzucając ten obowiązek na wikarych, i podobno sypiał do ósmej, co dla niejednej starszej pani było równoznaczne z bluźnierstwem. Jednak niedomyciem nigdy się nie splamił. W ostatnich latach Augustyn utył mocno. W styczniu przekroczył czterdziesty szósty rok życia, a codzienna posługa kapłańska i nieznająca odpoczynku gotowość niesienia otuchy religijnej odcisnęły wyraźne piętno na jego zdrowiu i wyglądzie. Postarzał się przedwcześnie. Nie był już tym samym energicznym duchownym z okresu ministrantury Janusza. Z bujnej ciemnej fryzury zostały posiwiłe resztki, zamiast wysportowanego ciała sutanna opinała otyły korpus i Janusz, siedząc teraz przy stole, miał wrażenie, że guziki na brzuchu wystrzelą nagle prosto w niego.

- Zanim ci zdradzę, dlaczego cię wezwałem, chciałbym, abyś mi powiedział, czy zwróciłeś uwagę na to, jak w ostatnim czasie zachowywali się nasi archeolodzy? - spytał proboszcz, znowu pociągając z kieliszka.

- Jak się zachowywali? - Janusz przez chwilę szukał w pamięci jakiegoś szczególnego

zachowania trójki archeologów, którzy właśnie skończyli wykopy w podziemiach pod rozgrzebaną posadzką kościoła.

- Nic nie zwróciło twojej uwagi? Zastanów się, jesteś tu każdego dnia, miałeś możliwość spotkania się z nimi, obserwowania.

Janusz wysilił pamięć w poszukiwaniu podejrzanego zachowania archeologów, ale nie zdołał przypomnieć sobie niczego niezwykłego. Proboszcz wpatrywał się w niego ze zdwojoną uwagą. Janusz zdał sobie sprawę, że jeśli nie odpowie, w jakimś sensie zawiedzie Augustyna, sprawi mu przykrość, więc gorączkowo poszukiwał haczyka na archeologów. Kopali, kręcili się po plebanii, znowu kopali, wścibiali nosy, denerwowali miejscowych, ponoć ich szef, doktor, sypiał z tą młodą, podobno cała trójka sypiała ze sobą. Plotki, plotki, jak zwykle. Nie, stanowczo nie było nic szczególnego w postępowaniu archeologów.

- Że na msze przychodzili? - rzucił wreszcie od niechcenia. Twarz proboszcza pojaśniała. Uniósł kieliszek i trzymał zapraszająco. Janusz także wziął swój, a cichutkie stuknięcie oznajmiło mu, że trafił w sedno.

- Właśnie. A więc zauważyłeś to. Doskonale, doskonale.

- Augustyn zatarł ręce.

- Nie, no... nie za bardzo wiem, o co chodzi, proszę księdza. Tu wszyscy chodzą, taka już nasza parafia. Ksiądz proboszcz się powinien tylko cieszyć z tego.

- Masz rację i oczywiście bardzo się z tego cieszę. Bardzo. Jako duchowny jestem spełniony, widzę, że ten kaganek wiary tu, w parafii, płonie żywym ogniem. - Proboszcz na chwilę uniósł się w krześle, lecz zaraz usiadł z powrotem. - To jest coś, co musi uwznioślać każdego księdza, a zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Widzisz, jak dookoła świat robi się coraz bardziej bezbożny? Widzisz, prawda? A u nas parafia tętni życiem, kościół na mszy pełny. Popatrz na inne parafie w mieście, myślisz, że u proboszcza Korala też tak jest? Nie, oj, nie. Jak on ma połowę tego co ja w kościele, to wszystko.

- No widzi ksiądz proboszcz, nie ma się co martwić.

- I tu nie do końca się z tobą zgadzam. W tym właśnie tkwi problem. - Augustyn dopił koniak i sięgnął po butelkę. - Jeszcze kropelkę i na dzisiaj koniec. Przede mną jeszcze msza południowa. No, może wieczorkiem co nieco.

Znów nalawszy do kieliszków, proboszcz od razu upił maleńki łyk i nachylił się ku Januszowi. Nagle wykrzywił wargi i na moment przymknął oczy. Chłopak zauważył, że księdzu odbiło się koniakiem. Augustyn przez chwilę dławił to w sobie, a kiedy otworzył usta, odór alkoholu wymieszany z jakimś jajecznym pokarmem uderzył Janusza prosto w twarz.



- To, że oni tak przychodzili na msze, nie jest naturalne. To są naukowcy, oni tu przyjechali pracować, a nie modlić się. Myślisz, że mieli czas na takie rzeczy?

- No pewnie mieli, jak przychodzili. A może przychodzili na kazania księdza - powiedział Janusz, odchylając się na oparcie w poszukiwaniu powietrza wolnego od smrodu. Poczł jednocześnie, że i w nim wzbiera głębokie beknięcie.

- Moje kazania... - proboszcz zamyślił się - tak, kiedyś może i były piękne, ale teraz już przestały działać na ludzi. Może do tych tu, w parafii, jeszcze coś dotrze, ale to głównie do starszych. Ludzi takich jak ci archeolodzy takie kazania nie obchodzą, oni ich nie potrzebują. W ogóle, kto dziś potrzebuje kazań? No kto? Powiedz mi. Ty ich potrzebujesz? - Augustyn wbił w Janusza wzrok jak na przesłuchaniu.

- Zawsze słucham, jak jestem na mszy, proszę księdza proboszcza - zapewnił Janusz niezupełnie w zgodzie z prawdą. Spoglądał na ruchliwe usta księdza i prosił go w duchu, żeby przynajmniej na kilka sekund przestał mówić. Zaczynało mu brakować tchu i sytuacja stawała się dramatyczna. Wciągnął nieco powietrza, badając delikatnie, w jakim stopniu jeszcze nasycone jest zawartością augustynowych trzewi. Okazało się to testem tyleż niebezpiecznym, co niesmacznym.

- Coraz rzadziej cię widuję - odparł ksiądz, marszcząc brwi - ale przynajmniej potrafisz pomagać i z tego się cieszyć. Posłuchaj, jesteś tu już od kilku miesięcy i dobrze sobie radzisz. Dlatego chcę, żebyś mi teraz pomógł w bardzo ważnej sprawie.

Zaraz ci powiem dlaczego. No więc, naprawdę nie dziwi cię, że archeolodzy tak gorliwie przychodzili na mszę?

- Może troszkę, no może trochę... ale to jedna msza dziennie. No i mieszkali tutaj, właściwie to przy samym kościele, no to nie wiem.

Augustyn uśmiechnął się i opróżnił kieliszek do końca. W tym momencie Janusz lekko rozchylił usta i pozwolił zgromadzonemu w sobie gazom powoli i bezszelestnie wydostać się na zewnątrz. Odwrócił głowę nieco w bok, tak aby chmura wychodzących z niego miazmatów nie dosięgła proboszcza.

- Ach, jeszcze troszeczkę. - Augustyn chwycił butelkę i podolewał koniaku. - Dzisiaj taki niezwykły dzień. Poza tym po odrobinie koniaku czuję w sobie większy zapal do liturgii.

- Proszę księdza, mnie to już wystarczy. Bo jeszcze te kąty muszę skończyć. - Janusz zaczął się niepokoić, bo kolejny kieliszek, nawet jeśli nieduży, mógł oddziaływać na niego w zauważalny sposób.

- Odrobina koniaku nikomu nie zaszkodziła. Tylko tyle ci powiem, że ksiądz po latach posługi ma prawo do małych słabości. I nie martw się, gorąca modlitwa wystarczy, aby znać

granicę.

- Jak ksiądz proboszcz tak mówi, no to tak jest.

- Tak, właśnie tak mówię. A teraz zastanów się, czy archeolog, który przyjeżdża tu, do małego miasta, aby kopać, grzebać w świętej ziemi kościelnej, szukać czego tam chce, przyszedłby z własnej i nieprzymuszonej woli na mszę, zamiast wtedy odpocząć lub poukładać materiał, wyniki badań i tak dalej?

- Jak archeolog jest wierzącym katolikiem, to czemu nie. Jak mu się jeszcze chce praktykować - odpowiedział Janusz po krótkim namyśle.

- Ale tu mamy nie jednego, tylko trzech archeologów. Czy wszyscy są takimi praktykującymi i szczerze wierzącymi katolikami? I weź pod uwagę to, że zaczęli regularnie przychodzić na msze od mniej więcej dwóch czy trzech tygodni. Wcześniej w ogóle nie byli zainteresowani kościołem i nagle tak zaczęli przychodzić. Czemu? Nie wydaje ci się to dziwne?

To była prawda. Grupa archeologów kopiących pod posadzką każdego dnia uczestniczyła we mszy, najczęściej porannej. Ich gorliwość podczas celebry od razu zdumiała mieszkańców. Gdy siadali w pierwszym rzędzie, wyglądali jak gorliwi wierni. Jak najgorętsi wyznawcy Pana Jezusa i Świętej Pani. Klękali i wstawali we właściwych momentach, nie oglądając się na innych, co wywołało wstrząs między parafianami, ponieważ umiejętność aktywnego uczestnictwa uchodziła za nieuchronnie zanikającą nawet między dobrymi katolikami. Ludzie wysnuli więc domysł, że archeolodzy odwiedzają kościół nie tylko od święta, ale musieli w życiu prywatnym systematycznie uczęszczać na mszę. Parafianie docenili ich religijność, no i to, że żadne nie wystraszyło się komunii i cała trójka przyjmowała opłatek, krzyżując ręce na piersiach. Takiego oddania nie prezentowały nawet megapobożne babce czy oazjańska młodzież z gitarami. Gdy się na nich patrzyło, nasuwała się myśl o ośmiolatkach, którzy właśnie zakosztowali czaru pierwszej komunii świętej.

- Trochę to dziwne, naprawdę, proszę księdza proboszcza. Ale ludzie z podziwem o nich mówią. I nic dziwnego w tym nie widzą.

- Tak, słyszałem, słyszałem. - Ksiądz machnął ręką. - Nawet stara Goszczykowa mi powiedziała, że w mojej parafii to chyba cuda się dzieją, że tacy naukowcy, młodzi, tak wierzyć potrafią. Wiem, wiem o tym. Ech, jak by ci to powiedzieć? Oni odkryli coś niezwykłego pod podłogą.

Ksiądz zawiesił głos i popatrzył na Janusza, nie wiadomo dlaczego zaciskając wargi. Chłopak zerknął w bok, z góry już nie wierząc w to, co słyszy.

- Odkryli coś niezwykłego?

- Tak, jakiś tydzień temu odkryli stare kości.

Proboszcz przekazał mu tę wiadomość spokojnym, leniwym tonem, jak gdyby chodziło o harmonogram zajęć Janusza na jutro. A to mogła być prawdziwa archeologiczna bomba.

- To znaczy, odkryli tydzień temu i nic jeszcze o tym nie mówią? A czy w ogóle to są kości kogoś znacznego, bo ksiądz ostatnio mówił, że podobno coś takiego będzie?

- Właśnie w tym cały szkopuł. Kości odkryli tydzień temu, to fakt, i na początku twierdzili, że jeszcze nie mogą tego ogłosić. Jakies badania muszą przeprowadzić, wszystkie te archeologiczne procedury i tak dalej. Rozumiem to, chcieli mieć całkowitą pewność, że znalezisko ma jakąś wartość. To w końcu naukowcy, na tym mógłby ucierpieć ich autorytet. Ustalili natomiast, że są to kości anonimowego kanonika sprzed kilku wieków. Ale - tu proboszcz zawiesił na chwilę głos - to nie wszystko. Jest jeszcze pewna rzecz. I trudno ci będzie w nią uwierzyć.

Augustyn siedział teraz zgarbiony, jakby zmęczony już rozmową albo tym, że za moment będzie musiał powiedzieć coś, co nie chce mu przejść przez gardło.

- No więc, co to jest, niech ksiądz powie, rozmowa zostaje między nami - zachęcił go Janusz.

- I tak wszystko się wyda za parę dni, to tylko kwestia czasu - mruknął ksiądz, nadal nie mówiąc nic konkretnego.

W miarę jak proboszcz wydawał się coraz mniej zdecydowany, Janusz odczuwał przyływ pewności siebie. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nim w równie bezpośredni sposób. Niedawno wprawdzie zdarzyło się, że wypili po kieliszku, ale to było coś całkiem innego, wtedy ksiądz popadł w rozmarzenie, bo proboszczowi Koralowi z parafii świętej Marii Magdaleny udało się sprowadzić szczątki Dominika Savio, kanonizowanego chłopca, który w dziewiętnastym wieku wslawił się niebiańską pobożnością. Za dwa dni po południu miał się odbyć uroczysty odjazd świętego. Szczątki miały powędrować do kolejnego miasta. To było wielkie wydarzenie. Przez pięć dni relikwie przebywały w Koralowym kościele i Augustyn trochę zazdrościł koledze. Dostrzegając w tym szansę na przyciągnięcie wiernych i doskonałą promocję katolicyzmu i parafii, pluł sobie w brodę, że sam na to nie wpadł.

Augustyn milczał nadal i wodził palcem po brzegu kieliszka. Zamknął oczy. Janusz pomyślał, że proboszcz zapewne osunął się w jakąś natchnioną myśl. Wtem duszpasterz przybrał inny wyraz twarzy. Wyglądał przez mgnienie oka jak w latach najlepszych kazań, w odległych czasach wyniosłej samotności duchownego pośród żywych, kiedy parafianie widzieli w nim ucieleśnienie najczystszej wiary ukazującej się właśnie tu, między grzechem

codzienności i pokutnym wybawieniem z za konfesjonału. Był znowu dawnym, mądrym i niedostępnym proboszczem.

- To właściwie sprawa, o jakiej chciałem z tobą pomówić już wcześniej, ale dopiero dziś przyszedł mi do głowy pewien pomysł i ty jesteś praktycznie jedyną osobą, jaka może mi w jego realizacji dopomóc. Wierzę, że mogę ci zaufać. - Augustyn na chwilę umilkł, oczekując potwierdzenia. - Oczywiście sprawa się wyda, ale zanim to nastąpi, trzeba ją w odpowiedni sposób przygotować.

- Słucham księdza proboszcza.

- Jak rozumiem, sprawy wiary są dla ciebie niezmiennie ważne tak jak dawniej?

- Oczywiście, nic się nie zmieniło.

- Dobrze. Na pewno nie zapomnę o tym, że pragniesz służyć mi pomocą. Nie będziesz żałował, możesz mi wierzyć.

- Augustyn jeszcze raz nalał do kieliszków. - Nasza parafia może zyskać wielki autorytet. I głęboko wierzę, że tak się właśnie stanie.

- Odkrycie na pewno w tym pomoże, tylko że pewnie nam te kości zabiorą.

- Nie tak łatwo będzie je zabrać, jak ci się wydaje. Musisz bowiem wiedzieć, że to nie są zwykłe kości sprzed kilkuset lat.

- No, wierzę. Znaleźisko jest niezwykle, prawda? I fakt, że właśnie tutaj, w takim niepozornym kościele, no, to wystarczy, żeby...

- To wszystko nic, nic. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Te kości są czymś więcej, staną się czymś więcej. - Na twarzy proboszcza pojawił się marzycielski wyraz. - Do pewnego stopnia możemy być wdzięczni, że proboszcz Koral sprowadził wspaniałe szczątki świętego, bo być może dzięki temu stało się coś, co na zawsze zapadnie w pamięć nie tylko tutejszym katolikom, ale wszystkim, w kraju i jeszcze dalej. Kości, które wykopali archeolodzy, mają ogromną moc. Uwierz mi, mają wielką moc.

W chwili, gdy Augustyn pociągał z kieliszka, zadzwonił telefon. Ksiądz podniósł się i podszedł do aparatu. Janusz miał czas, aby zastanowić się nad tym, co usłyszał. Moc. Proboszcz użył tego słowa. A więc moc, jakkolwiek to rozumieć. Tego się nie spodziewał. Proboszcz był, to oczywiste, bardzo głęboko wierzącym kapłanem, w odróżnieniu zresztą od całej czeredy księży wierzących powierzchownie, półduszą albo od parady, nie był natomiast bezkrytycznym fanatykiem dającym wiarę uzdrowicielskim mocom różnych relikwii, objawieniom na murach i w świętych miejscach. Unikał jednoznacznych odpowiedzi, gdy ktoś poruszał podobne tematy, a w gruncie rzeczy pogardzał wiarą w ukazujące się tu i ówdzie cuda. Jakąż moc mógł więc mieć na myśli taki sceptykatolik jak on?

Okazało się, że telefonował proboszcz Koral z informacją o przesunięciu pożegnania Dominika Savio na osiemnastą. Augustyn przyciskał słuchawkę do ucha z wyrazem niechęci na twarzy. Gdy tylko Koral pojawił się w mieście i objął parafię po zmarłym poprzedniku, zaczął stawać Augustynowi na drodze do lokalnego splendoru, pozyskiwał co najmniej tyle samo pieniędzy na kościół, był obrotniejszy, a na mszach miał komplet, czego Augustyn nie potrafił zaakceptować bez odrobiny zazdrości. W głębi duszy nadal wierzył, że sytuacja nie zmieniła się od czasów, kiedy Koralowa parafia uchodziła za siedlisko ateizmu, a kościelne ławy stały puste. Mimo wielkich zdolności organizacyjnych, Koral był dla niego szarlatanem w sutannie, osobnikiem o podejrzenie powierzchownej wierze, ceniącym bardziej sytą wyżerkę wieczorem niż rozważanie tajemnicy najważniejszych dogmatów. Augustyn opowiadał, jak w czasie wspólnej podróży do Warszawy na sympozjum poświęcone problemowi wiedzy Jezusa próbował z nim porozmawiać na ten temat, rozpytać, czy w jego opinii dogmat, poza podejściem kerygmaticznym, ma w ogóle znaczenie, czy nie wystarczy w rozważaniach albo w modlitwie posłużyć się wiarą bez odniesienia do ustaleń teologicznych. Koral rzucił podobno parę sloganów z katechizmu i na tym rozmowa się skończyła. Od tej pory Augustyn stracił do swego kolegi szacunek, z jakim odnosił się do niego przez pierwszy rok znajomości. Widywali się już tylko sporadycznie na oficjalnych uroczystościach.

Przybycie świętego chłopca mogło na krótki czas pogłębić ten stan rzeczy. Koral, człowiek bardzo lubiany nie tylko w kręgach kościelnych, ale i przez elitę miasta, zdołał rozwinąć szeroką sieć kontaktów. Święty zjawił się właśnie w jego parafii i proboszcz nie omieszkiał podkreślać owego faktu na każdym kroku. To w jego kościele leżały relikwie, a wierni z całego miasta Ignęli do nich jak muchy do miodu. Przez cały tydzień świątynia pękała w szwach, ludzie recytowali modlitwy z niespotykaną wcześniej żarliwością. Nawet późna noc nie była dla nich przeszkodą. Pod drzwiami gromadziły się tłumy wiernych. Niektórzy potrafili klęczeć do rana, pewni, że religijna gorliwość zapisze się w historii godzin, że Pan im to policzy. Koral czuł się wniebowzięty.

I ta właśnie okoliczność była dla Augustyna solą w oku. Przez całe życie traktował swe powołanie z powagą i sumiennie wypełniał obowiązki. Chciał być proboszczem całych rodzin, a przy tym nie zaniedbywał studiów teologicznych. Swój autorytet zbudował na wspaniałych homiliach, pomocy potrzebującym i - zwłaszcza - wielkiej inwestycji, jaką był remont dachu przed kilkoma laty. Nigdy jednak nie zyskał podziwu na szerszym polu, poza parafią, gdzie był hołubiony. Owszem, mówiono o nim dobrze, ale bez szczególnego uznania. Koral tymczasem błyszczał jak prawdziwy gwiazdor w całym mieście. Wszędzie go

zapraszano i celebrował niejedną istotną dla lokalnej społeczności uroczystość. Mimo że był starszy, przepelniała go energia, której proboszczowi Augustynowi zaczęło powoli ubywać.

- Uroczystość się opóźni - powiedział Augustyn, siadając przy stole. - Na osiemnastą przełożyli. No cóż, przed ósmą na kolację się nie zjedzie. Sama msza na pewno się przedłuży, a potem jeszcze uroczysty odjazd.

- Przyjdzie chyba z pół miasta. Pewnie będą odprowadzać, przejdą przez naszą parafię, przed kościołem.

- Tak, Korał swój kościół uświetnił całkiem dobrze. Całkiem dobrze. Ale i u nas nie będzie gorzej, a mógłbym nawet powiedzieć, że będzie lepiej. Zobaczysz. - Proboszcz spoglądał na Janusza, kiwając głową.

- Ma ksiądz proboszcz na myśli te kości? Ale jaką niby one mają moc? To znaczy, że co, że mogą uzdrawiać czy coś takiego?

- Będziemy mieć wspańiałą relikwię, mój drogi. Tak, naszą relikwię. I do tego prawdziwie świętą. Te kości, jak ci mówiłem, nie są zwyczajne. One mają wielką moc. Rozmawiamy już dość długo i myślę, że naprowadziłem cię już wystarczająco.

- Nie wiem, proszę księdza. Czyli mają jakąś moc, tak?

- Mają moc wpajania wiary - powiedział proboszcz powoli, jakby sądził, że sama wymowa słów oddziała na Janusza w jakiś nadnaturalny sposób.

Chłopak pokiwał głową, patrząc w bok.

- To znaczy... - rozłożył ręce, udając, że szuka właściwego słowa, podczas gdy miał olbrzymi kłopot: jak zachować powagę i ukryć sceptycyzm w obliczu jawnej niedorzeczności z ust człowieka, którego nigdy nie podejrzewałby o obłąd?

- To znaczy, że jest tak, jak mówię - dokończył Augustyn autorytatywnie i rozpoczął spacer dookoła pokoju. - Właśnie tak. Moc wpajania wiary. Wpajania wiary! Wiem, to brzmi niewiarygodnie, dziwnie. Ale spójrz na to jak chrześcijanin, jak katolik, jak człowiek wiary. Mamy do czynienia z błogosławionymi szczątkami błogosławionego człowieka. Myślisz, że to nic nie znaczy? Nie sądzisz, że Bóg może interweniować, gdy tylko zechce, że jeśli mu się tak spodoba, da nam do ręki taką moc? A co, jeśli właśnie tu, właśnie teraz pojawia się taka moc?

- Rozumiem, tylko nie sądziłem, że ksiądz proboszcz wierzy w cudowne objawienia i moce relikwii.

- Moja wiara nie ma tu znaczenia. To, w co wierzę lub nie wierzę, jest najzupełniej nieistotne. Liczy się fakt, a jest on taki, że stare kości anonimowego kanonika posiadają moc wpajania wiary.

- Czyli ci archeolodzy... ulegli jej, tak?

- A ty jak uważasz?

- No, sam nie wiem... że niby to im się wpoilo? I to stąd ksiądz proboszcz wywnioskował, że pozostałości po kanoniku mają tę moc?

Augustyn zatrzymał się nagle, patrząc na sad przed plebanią. Kończył się listopad i ostatnie jabłka leżały pod drzewami. Chrząknął głośno, ruszył w stronę okna i otworzył je energicznie.

- Gdzie tu biegacie?! - krzyknął. - Złodziejstwa was w domu uczą?! Już ja was zapamiętam. Uciekać mi stąd! Już! Już!

- Zamknął okno i znów usadowił się za stołem. - Tyle razy mówiłem, i na mszy, i na katechezach, że jabłek z sadu brać nie wolno. I zobacz, i tak biorą, pędraki jedne. Tego już nie oduczysz, to już tak zostanie. I jak tu wierzyć w tę młodzież, w te dzieci, co to ich rodzice nie byli lepsi. Ale zostawmy to, bo serce boli. Pytałeś o moje wnioski. No cóż, jak widzisz, narzucają się same. Archeolodzy odkopali kości, pracowali nad nimi, i nagle się nawrócili. To mało twoim zdaniem? Ale to nie wszystko. Ja wiem na pewno, że kości mają taką moc. Wiem to, nie tylko podejrzewam czy wyciągam wnioski. Niepotrzebne mi żadne wnioskowanie. Ja nawet nie tyle wierzę w ich moc, ile WIEM o ich mocy. Rozumiesz mnie?

- Wydaje mi się, że wiem, co ksiądz proboszcz ma na myśli...

- No właśnie! - Augustyn klepnął ręką o blat stołu i oparł się wygodnie na krześle. Patrzył Januszowi prosto w oczy, brwi ściągnął chyba mocniej niż zwykle. Siedzieli tak, nie mówiąc. Proboszcz najwyraźniej chciał przekonać Janusza, że dostąpił objawienia lub czegoś w tym rodzaju. Janusz nie bardzo wiedział, czy udawać wiarę w to, co ksiądz mówi, czy powiedzieć mu wprost: proszę księdza, takie rzeczy to nie dla mnie. Jednak nie zdobył się na szczerość, podobnie jak wiele razy wcześniej i niejedną raz później.

- Wydaje mi się, że wiem, co ksiądz proboszcz ma na myśli. Ale może ksiądz mi powie wprost, tak żebyśmy się rozumieli w stu procentach.

Augustyn strzelił palcami.

- Masz rację, lepiej nie mieć tajemnic, zwłaszcza w sprawie tak delikatnej. No więc, myśl o tym, co chcesz, ale powiedział mi o tym Dominik Savio. Tak, on, on, ten Korolowy święty gość. Dominik Savio we własnej osobie powiedział mi o niezwykłych właściwościach wykopanych szczątków.

- Aha, a ja myślałem... ale właściwie to zrozumiałe, któż inny mógłby o tym wiedzieć - powiedział Janusz z poważną miną.

- Posłuchaj, przyjacielu - Augustyn dostrzegł cień ironii w przypuszczeniu Janusza -

nie mówię ci tego wszystkiego po to, żebyś się naśmiewał albo rzucał cyniczne uwagi. Wiem, że nawet głęboko wierzącemu człowiekowi, jakim bez wątpienia jesteś, trudno w pierwszej chwili pogodzić się z takim faktem. Wiem. To przeczy rozsądkowi, to przeczy wszystkiemu, co próbuje nam wpoić współczesna kultura. Bo to jest coś, co świat odrzuci albo najwyżej przemiele jako chwilową ciekawostkę. Rozumiem więc, że masz prawo odbierać to, co do ciebie właśnie mówię, jak wywody szaleńca, ale przecież znasz mnie nie od dziś i wiesz, z jakim dystansem zawsze podchodziłem do takich przypadków. Czy sądzisz, że gotów byłbym się ośmieszyć, gdybym nie był zupełnie przekonany, że mamy do czynienia z czymś, co nie mieści się w racjonalnym pojmowaniu rzeczy? Czy oddałbym się na żer mediom i naraził na kpiny, gdybym nie miał wiary w to, co mówię? Jeśli świat ma mieć sens, to nawet cząstka wiary w potęgę i miłość Pana Jezusa wystarczy za cały świat. Wystarczy, jeśli masz ją ty albo ja, albo ktokolwiek inny. A jeśli w tej cząstce wiary znajdziesz miejsce na akceptację cudu, to tak, jakbyś dotknął Boga. Tylko musisz pozwolić pochłonąć się temu, co jest cudem, dać się otoczyć cudownej mocy. I to wszystko.

- Może dla księdza to jest proste, ale kiedy tu się tak siedzi i słucha, to wiara wiarą, ale wiadomość o cudownych kościołach jest trochę podejrzana. Nie wiem... wierzę księdzu, ale chyba muszę mieć trochę więcej czasu, żeby o tym pomyśleć.

- To jasne, ja też potrzebowałem czasu. Współczesny mistycyzm to bardziej walka z samym sobą niż błogie oddanie się wizji. Wszystko się zmieniło, a pamiętam, jeszcze trzydzieści, nawet dwadzieścia lat temu to miasto miało więcej prawdziwej wiary. Dziś wiara skarłała, nawet piękno rytuału nic nie znaczy dla ludzi. Jak ich, tych wszystkich leniwców, zapędzić do kościoła? To jest pytanie, przed jakim stoimy.

Augustyn zakręcił butelkę koniaku i schował do szafki obok. Jego ostatnie słowa zabrzmiały jak końcowa konkluzja, podsumowanie i cel w jednym. Janusz nie mógł się temu dziwić. Chociaż proboszcz zawsze głośno mówił, ilu to wierzących ma na mszach, nie była to cała prawda. W niedzielne nabożeństwa o jedenastej trzydzieści kościół zapełniał się niemal do końca. Niestety, w pozostałe dni tygodnia wyglądało to zupełnie inaczej. I to bolało kapłana najbardziej: że ci katolicy w pogardzie mają kościół przez cały tydzień, a poczucie obowiązku budzi się w nich z rzadka i wypływa z przyzwyczajenia, nie zaś z potrzeby duszy. Stare babcie i dziadkowie zjawiali się zawsze, ale na nich proboszczowi zależało najmniej.

„No, że przychodzą, to dla Pana Jezusa wielkie szczęście, ale nie ma się co łudzić, to są prości ludzie, przyzwyczajeni do naszego autorytetu. Ale ich córki już nie, one już noszą w sobie wewnętrzną niechęć do nas, do sutanny, aż się boję powiedzieć - do krzyża. To trzeba zmienić, coś z tym zrobić.



To jest najważniejszy cel naszej posługi. Nie możemy pozwolić im wszystkim tak sobie odejść, jak gdyby nigdy nic. Zatraca się. Tu jest pole do zaorania, tu trzeba więcej teologii, prostej, bez wnikania, ale teologii, a nie rytuału. Tylko tak się do nich da dotrzeć. Jeśli to zawiedzie, nie pozostanie już nic. Tylko czekać na potop” - powiedział kiedyś Augustyn w rozmowie z miejscowym wytwórcą ciastek, którą Janusz niechętnie podслуchał.

- Pamiętam, jak ksiądz proboszcz mówił kiedyś, że trzeba do wiernych, do tych młodszych, wyjść bardziej teologicznie. To już nie ma znaczenia?

- Ma, ma bardzo wielkie. Ale zobacz, co się dzieje, co się stało. Mamy tu świętą relikwię, mamy coś, co przerasta twoją i moją wyobraźnię, jest to autentyczny cud, nie mam najmniejszych wątpliwości. Może Bóg postanowił nam pomóc.

- Nam?

- Kapłanom, nam, tym, którzy muszą z takim zapalem, poświęceniem walczyć o każdą duszę. Nasza misja to dzisiaj walka, to trzeba zawsze podkreślać. Ja bardzo żałuję, że do tego doszło, ale my naprawdę walczyliśmy, a to jest walka ze złem, które zarasta nasz świat, a my nie potrafimy tego zauważyć. I samo to zło rozpiiera się w nas. Jesteśmy jak ślepcy, całe nasze społeczeństwo to ślepcy. A może uważasz, że mamy jeszcze dużo czasu, że nie musimy przedstawiać apokaliptycznej wizji? Nie, zapewniam cię, że nie. Dlatego tak bardzo się cieszę, że właśnie tu, w naszej parafii, zdarzyło się coś takiego. To niezwykle, cudowne. Rozumiesz?

- Może ksiądz proboszcz raczej powinien zapytać, czy wierzę.

- A wierzysz? Wierzysz w to, co ci mówię, co ci objawiam?

- Wiem, że ksiądz zawsze mówi prawdę. Niech ksiądz powie, co mam robić.

Janusz odniósł wrażenie, że Augustyn odetchnął, że spłynęło z niego napięcie.

- Jeszcze dokładnie nie zbadałem tych kości, jednak to, co działo się w ostatnim czasie z tymi trzema archeologami, jest po prostu niezwykle. Widzisz, jak wyglądam? Całą noc spędziłem tam, modląc się, myśląc o potędze Pana i jego woli. Czy to nie dziwne, że ci naukowcy nagle stali się nowymi ludźmi? Jakby się na nowo narodzili. Jeśli ma się do czynienia z autentycznym cudem, cała nasza racjonalność rozpada się jak domek z kart. No a potem ten głos... - Augustyn urwał.

- Dominika Savio?

- Tak. To dziwne, prawda? To było tam, w podziemiach, gdy siedziałem przy kościach. Był już środek nocy, czułem się zmęczony. I nagle... ten głos - głęboki jak na chłopaka, stanowczy. Rozległ się nagle. To było coś nierealnego i realnego jednocześnie. A potem chłopiec zniknął i pojawił się inny głos, starszy. To był Henryk Kietlicz, wielki

średniowieczny arcybiskup. Nie rozumiem, dlaczego ci dwaj mi się objawili. Tego nie da się powtórzyć, ale wiem, że wtedy dotarło do mnie, na czym polega moc kości. To było niesamowite, pewnie mistyczne, ale nie umiem tego opisać, nie mam takich zdolności. Po prostu musisz mi uwierzyć. Muszą uwierzyć wszyscy. - Ksiądz podkreślił ostatnie zdanie ruchem ręki.

Znowu zaczął chodzić po pokoju, pocierając podbródek. Ubłocone buty wyglądały spod sutanny, gdy stawiał swoje długie kroki. Znow zaczął mówić:

- Tymczasem chcę prosić cię o jedną rzecz, na początek. Zwracam się do ciebie, bo ludzie w parafii cię znają, jesteś wierzący. No i tu mi pomagasz już tak długo. Nie pożałujesz, zobaczysz. Chodzi o to, żeby powiedzieć tu i tam, że, rozumiesz, podobno odkryli świętą relikwię, co uświęca wiarę, a może i uzdrawia, że ma wielką moc. Rozumiesz, o co mi chodzi? Najlepiej jutro. Za dwa dni odjedzie święty, jutro rozniesie się pogłoska. Ludzie nigdy nie dają od razu wiary w cuda, święte znaleziska, objawienia. Trudno ich przekonać, a tu chodzi o najważniejszą sprawę, o naszą wiarę. Pojmujesz?

- A jak to się rozejdzie szerzej, to co wtedy?

- Na razie najważniejsi są nasi parafianie, oni muszą uwierzyć, im trzeba przekazać taką wspaniałą, szczęśliwą wiadomość. Niech przez parę dni rozchodzi się plotka o tych kościach, niech się domyślają, niech pytają. No więc, czy mogę na ciebie liczyć? To musi wyglądać bardzo naturalnie, nie może być żadnych podejrzeń. Z ludźmi tak już jest, że nawet widząc ewidentny cud, mając go przed oczami, dotykając go, nie wierzą jeszcze, jeszcze coś podejrzewają, że jakaś mistyfikacja, że coś tam. Dlatego oni muszą się dowiedzieć w sposób naturalny. Że tam niby, rozumiesz, coś znaleźli i że to ma niezwykle właściwości. Później sami przyjdą.

- Tak, tak, oczywiście, tylko... - Janusz zawahał się - ja muszę mieć trochę czasu.

- Masz, weź to. - Ksiądz podał mu dwie książki. - Poczytaj wieczorem. To są biografie Savio i Kietlicza. I nie martw się, zobaczysz te kości, zabiorę cię tam, a poza tym podoba ci się chyba ta młoda archeolożka, prawda? Masz jej numer? No dobrze, czy mogę na ciebie liczyć? Że szepniesz tu i tam o sprawie?

- Powiem, co usłyszałem, bez wchodzenia w szczegóły. Ale nie wiem, jaki będzie skutek.

- Nie martw się o skutek. Wystarczy, żebyś rozpowiedział w paru miejscach, żeby rozbudzić w ludziach ciekawość i poczucie czegoś niezwykłego, myśl, że mają jakiś powód do wyróżnienia. A, byłbym zapomniiał. - Augustyn wyciągnął z szuflady kopertę. - To za ostatni miesiąc. I mała zaliczka na następny.

Kiedy Janusz wracał do sprząwania kościoła, pod pachą miał książki od Augustyna i całkiem niezłą sumkę w kieszeni.

Święta Maria patrzyła jak zwykle. Pod ciężarem jej spojrzenia tarł czarnobiałe płytki posadzki i dumał o rewelacjach proboszcza. Po chwili zjawiała się pani Hela i wręczyła mu siateczkę z jabłkami.

- To od księdza proboszcza. Kazał panu dać najlepsze, jakie mamy. Prosto z sadu.

## Rozdział 2 - Augustyn

Ksiądz Augustyn nie ulegał modom.

Konsekwentnie lekceważył ewolucję kapłańskich strojów i nie miał zamiaru wymienić sutanny na garnitur ozdobiony koloratką. Gardził nowoczesnymi gustami. Z wysokości balkonu obserwował zniesmaczony swych młodych wikariuszy, paradujących po ulicach w dobrze skrojonych marynarkach; patrzył, jak w upalne dni przerzucają je sobie przez ramię, ukazując górne partie nieskazitelnie odprasowanych spodni.

Cztery półdupki ukazywały wtedy spod ciemnej materii swe obłądnie jędrne kształty, z całą cielesną zuchwałością dwudziestu paru lat. To nie uchodziło duchownym i Augustyn nie mógł uwierzyć, że jego księża przywiązują wagę do rzeczy najmniej istotnej: świeckiej mody! Krój ich spodni, zapiętych nisko, na biodrach, i przepasanych skórzanymi paskami, przydawał sylwetkom męskości, a nie skromności. Mięsiste zadki wikarych przewalały się z lewa na prawo i z prawa na lewo, tak demonstracyjnie podkreślając seksualną gotowość młodzieńców, że granoczyło to z bluźnierstwem - niewyrażonym wprawdzie w słowach, ale wystarczająco zasugerowanym przez obrażającą Boga ruchliwą półdupkowatość. Proboszcz nie mógł się pogodzić z tak ordynarnym pogwałceniem etosu kapłana, jawną kpina rzuconą w bezbronną twarz Kościoła. Dlatego z trudem znosił parady swych podwładnych w słoneczne ranki, gdy z pewnością siebie właściwą umarłej rasie dżentelmenów śpieszyli na lekcje religii do pobliskiego gimnazjum. Augustyn obserwował każdy, najdrobniejszy ruch ich kończyn, linie, jakie kreśliły podczas marszu ręce i nogi, notował w pamięci trzepoczące na wietrze nogawki lub odbicia światła na łysych czaszkach i tracił nadzieję na przetrwanie wiary.

Obaj wikariusze golili głowy tak dokładnie, jak tylko było to możliwe. Najwyraźniej w ten sposób awangarda młodego duchowieństwa podsuwała wiernym świeżą jakość, próbując przeciwstawić się klerykalnej sztamie. Dwaj księża, wpuszczeni w grzęzawisko swej pierwszej parafii, braki w doświadczeniu nadrabiali luzem i otwartością i od samego początku proboszcz miał uczucie, że jego autorytet nic dla nich nie znaczy, a natrętna usłużność i nieskazitelne objawy szacunku to puste gesty. W kontaktach z parafianami zdawali się gromić słowem już od pierwszego zdania, lecz w sposób niezwykle kulturalny i z wyraźną sugestią wyższej, tajemnej wiedzy. Stosowali metodę bęcwiary, czyli - bezlitosnego ogłuszenia od pierwszego kontaktu. Niejedna opowiadała później proboszczowi, jak to na kolędowaniu ten czy drugi wikary oszołomił ją wspaniałą przemową, przekonał, by wrócić do męża, nie lać więcej dziecka, przystąpić do komunii, nie żałować na tacę albo inne ofiary, bo

Pan wszystko policzy, jak przyjdzie czas. Słowem - sztukę perswazji wikariusze opanowali do perfekcji.

Dlatego i łyse czaszki, i garnitury zostały im niemal natychmiast wybaczone, a dzieci gimnazjalne i licealna młodzież szybko pokochały młodych księży. Parafia zmieniała się i proboszcz odnotowywał ten fakt z rosnącym żalem.

Łyse głowy drażniły Augustyna nie mniej niż parady w garniturach. Dostrzegał w tym wulgarność nielicującą z posługą wiernym. Wiele razy nosił się z zamiarem narzucenia swojej woli w kwestii obowiązującej fryzury, ale nie czynił nic, mimo że jego żądanie zostałyby natychmiast spełnione. Wołał jednak posługiwać się w tym przypadku aluzjami i wierzył, że właśnie w ten sposób w końcu dotrze do sumień wikariuszy. Przy każdej okazji wtrącał mimochodem słówko bądź dwa, tłumacząc, że łysina - owszem, przystoi - ale w dopiero podeszłym wieku, jej przyczyną zaś nie mogą być czcze impulsy, porywy chwilowej mody, w czym domyślał się rzeczywistych powodów obu wikarych, lecz naturalny bieg rzeczy, zagadka łysienia wpisana w niezgłębiony plan Boga. Jemu trzeba się poddać i z pokorą przyjąć los. Choć od niemal roku, gdy obaj młodzi zjawili się w jego parafii, Augustyn próbował przeforsować swój pogląd na sprawy odzienia i fryzur, jak dotąd nie zdołał zmienić ich zapatrywań.

W przeciwieństwie do młodych uwielbiał sutannę. Ubrany w strój propagujący estetykę skromności i mający w sobie tak wiele szlachetnego czaru, owej trudnej do wyrażenia symbiozy dostojeństwa i prostoty, sunął ulicami miasta, jakby unosił się w powietrzu. Nasycił oczy pokornymi spojrzeniami parafian i odpychał hardy wzrok kiboli miejscowego klubu piłki nożnej, którzy od kilku miesięcy upodobali sobie ławki przy płocie plebanii. Sutanna gwarantowała mu nie tylko wrażenie nietykalności, tak przynajmniej sobie roił, ale i osobistą satysfakcję. Oto on, Augustyn, usutanniony, z krzyżykiem na piersi, kluczy w tłumie pospolitych stworzeń w kolorowych ubrankach, wszystkich tych miejscowych miernot, tych patrzących w niego jak w obraz, i tych ironicznie dogadujących zza pleców, a sutanna opina go szczelnie i tuli rozkosznym dotykiem. Cóż może być piękniejszego nad sutannę, dowód boskiego geniuszu, przecinającą ulice wypełnione ohydą Tshirtów, wymiętoszonych dzinsów, ortalionu i tanich kostiumików, wstrętnych płaskich butów z długimi czubami i nieposłusznych krawatów? Nic, nic nie może się równać z tym zgrzebnym, ale dumnym strojem księdza.

Przez długie lata posługi Augustyn dbał o wszystkie swoje sutanny, a największym sentymentem darzył tę, którą przed śmiercią ofiarował mu wielki proboszcz Ambroży.

Zobaczył ją po raz pierwszy dawno temu, po tym jak w wieku ośmiu lat wpadł pod

samochód. Był środek lata i Augustyn, który wtedy nie był jeszcze Augustynem, tylko Rysiem, zabawiał się w popularną wśród chłopaków z ulicy grę: przebiegnij przed maską samochodu. Sztuka polegała na tym, aby wystartować w ostatnim momencie i przebiec możliwie najbliżej nadjeżdżającego auta. Rysio, będąc początkującym graczem, chciał wypaść jak najlepiej. Mógł zrobić tylko jedno: opóźnić start bardziej niż pozostali. I wprawdzie start opóźnił, czym zyskał sobie uznanie wśród chłopaków z sąsiedztwa, ale na drugą stronę ulicy już nie dotarł. Szczęśliwym trafem kierowca niebieskiej syreny jechał dość wolno i zdołał wyhamować. Malutki sportowiec odniósł zaledwie powierzchowne rany, musiał za to wysłuchać groźnych pomruków milicjanta. Natomiast wieczorem, gdy już opuścił szpital i znalazł się w domu, zastał przy rodzinnym stole księdza Ambrożego, dojrzałego i mądrego duchownego, który w trudnych chwilach zawsze pamiętał o swoich najlepszych parafianach.

- No i mamy naszą małą ofiarę - rzekł Ambroży i wstał zza stołu, aby objąć Rysia. - Oj, ty chyba mało mnie pamiętasz, co? Częściej trzeba syna zabierać na msze - zwrócił się do matki - nie tylko na te południowe, ale inne też.

Ambroży przytulił go do siebie i Rysio doświadczył wówczas pierwszego fizycznego kontaktu z jego sutanną. Wiele lat później miał ją wkładać w rocznicę śmierci swego proboszcza i mentora. Trwało to do czasu, gdy zrobił się za gruby i sutanna już na zawsze spoczęła w szafie.

Widok samego kapłana w świeżej, mało znoszonej sukni był dla Rysia źródłem trzech rzeczy: 1) jednej z najbarwniej zapamiętanych chwil dzieciństwa, przy czym chodzi nie tyle o feerię barw w słoneczny dzień, ile raczej o soczystość ogarniającej go w tym momencie czerni; 2) snu, w którym sam, przebrany za księdza, szybował wysoko nad miastem, a sutanna, niczym skrzydła paralołni, utrzymywała go w górze - później do tej sceny dołączył gest kropienia dachów wodą święconą, a jeszcze później sutanna zamieniła się w czarny perski dywan, Rysio zaś klęczał na nim całkiem nagi, pytając: Panie, czemuś mnie opuścił?; 3) potrzeby obcowania z kościelnym światem.

Od tej chwili los małego Rysia był przesądzony. W pierwszych dniach po wizycie Ambrożego nie był zdolny myśleć o niczym innym. Tęsknie czekał na pierwszą komunię, do której zostało kilka miesięcy, i pragnął, aby stała się najważniejszym doznaniem jego krótkiego życia. Rysio marzył. Obraz samego siebie uwznioślonego, w groźnym odzieniu, wyskakiwał ni stąd, ni zowąd na ścianie, byle rysunek w zeszycie zamieniał się w czarną szatę, klocki same układały kościelne budowle.

Ojciec niczego nie podejrzewał, ale matka od razu zauważyła zmianę w zachowaniu

ukochanego synka. Po pierwsze - spochmurniał. Bawił się jak dawniej różnymi zabawkami, tyle że z jakimś trudno wyczuwalnym dystansem do samej zabawy; jakby wszystko, co robił, służyło tylko bezbolesnemu zabiciu czasu przed czymś, co miało dopiero nadejść. Tak właśnie wydawało się matce. Po drugie - wieczorny paciorek wydłużył się co najmniej dwukrotnie.

- Powiedz mi, Rysiu, co ty taki smutny jesteś ostatnio? No dlaczego? - pytała delikatnie matka.

- Nie jestem smutny.

- Nie? Naprawdę? A ja myślę co innego...

- Naprawdę, tylko chciałbym, żeby już była komunia.

- To po bożemu, dobrze. - Poglaskała go po głowie. - Ale wszystko w swoim czasie.

Ten czas nadszedł wreszcie i mały Rysio, dumny i pewny siebie, przystąpił do komunii świętej z całą klasą. Podchodząc do ołtarza, gdzie miał uklęknąć razem z kolegami, wpatrzył się w majestatyczną postać Ambrożego. Ogromniejąca z każdym krokiem sylwetka wydawała mu się nadziemskim bytem, istotą nie z tego świata, wypromieniowującą chmurę nieskażonej bieli. W tym momencie żałował jedynie, że to nie ten błogosławiony ksiądz przygotowywał jego klasę do przyjęcia sakramentu, ale ów okropny Waclaw.

Pierwsza Komunia Święta podziałała na Rysia jak żadne wcześniejsze wydarzenie. Już na drugi dzień zjawił się u proboszcza Ambrożego razem z matką i zapytał, czy może zostać ministrantem. Najpierw jako słuchacz, a później prawdziwy ministrant - zaczął od tej pory poznawać tajniki liturgii i zgłębiać prawdy wiary. Był sumienny i zafascynowany kościelnym mirem. Ten nowy świat, pełen zagadkowych ceremonii i pięknych strojów, wydawał mu się czymś całkowicie innym niż powszednia bylejakość stosunków rodzinnych i koleżeńskich.

Jedyną przeszkodą w oddawaniu się życiu kościelnemu był ksiądz Waclaw, kapłan nieco tajemniczy w parafialnym świątku. Przybył nagle na miejsce innego wikariusza, a proboszcz Ambroży wcale nie był rad z tej zamiany. Cenił bardzo poprzedniego księdza, z którym spędził kilka miesięcy na wspólnych dyskusjach, widział już w nim swego następcę, i z łatwością zgadywał, że jego podopieczny odchodził niechętnie.

Decyzja kurii była jednak nieodwołalna. Mimo niejasnych przyczyn sprowadzenia nowego księdza, Ambroży nie zamierzał ryzykować sporu z biskupem o to, kto najlepiej się nadaje do posługi w jego mieście.

Rysio jako mały chłopiec najpierw czuł do księdza Waclawa niewytłumaczalną niechęć, a później znenawidził go z całego serca.

- Nienawidzę cię jak psa - mówił do siebie szeptem, powtarzając frazę zasłyszaną od ojca podczas kłótni z matką.

Ksiądz Waclaw nie wymawiał „r”, zawsze więc kaleczył jego imię już na wstępie. Rysio znosił to mężnie, bo sam niewiele znaczył, ale nie potrafił zaakceptować krzywdy, jaką ksiądz Waclaw wyrządzał Chrystusowi, wymawiając jego imię. Przez pięć lat, licząc od roku komunijnego, Rysio przeżywał katusze na każdej katechezie. Kłopot Waclawa polegał na tym, że wymawiając „r” jako głoskę tylnojęzykową, „z francuska”, uniemożliwiał sobie poprawne wymówienie głoski „ch”, również tylnojęzykowej, bezpośrednio poprzedzającej „r”. Aby to zrobić, musiał zrezygnować z płynnego wymówienia świętego słowa, dlatego w jego wydaniu po dość chrapliwym „ch” zawsze następowała krótka pauza, a dopiero w chwilę później rozbrzmiewała reszta wyrazu, czyli „hystus”. Efekt był potworny nie dlatego, że wydawało się to niezgrabne samo w sobie. Nie to przecież urażało niewinną duszę Rysia, lecz co innego, mianowicie rozdrapująca jego świeże uczucia, niemożliwa do zniesienia profanacja. Zmagając się z niedowładem wymowy, Waclaw czynił bowiem pewne wysiłki, aby zwalczyć przekłętą pauzę lub - chociaż trochę - ją skrócić, prowadziło to jednak do przerażających skutków - za każdym razem słuchaczom wydawało się, że ksiądz wycharkuje oblepiającą mu gardło maź i przymierza się do soczystego splunięcia, zupełnie jak menel odkrtuszający kleistą flegmę i strzykający barwną, galaretowatą plwociną.

- Jakby pluł samego Boga, do cholery! - wspominał Rysio po latach w seminarium, prosząc Najwyższego o wybaczenie za mimowolne przekleństwo.

Z innych przywar Waclawa warto wymienić powtarzaną co cztery, pięć słów niezrozumiałą zbitkę głosek - „asz” i zwyczaj lania po dupie długim, twardym kijem. Dupa Rysia nie różniła się pod tym względem od dup jego kolegów z klasy. Waclaw zdawał się nie dostrzegać jego pilności i traktował go z taką samą oschłą obojętnością jak resztę chłopaków. Nie było więc wśród męskiej części klasy takiej dupy, która nie zaznałaby Waclawowego kija. Co innego dziewczyny. Tam kij nie sięgał. Sięgały za to Waclawowe ręce. Aby z tępej główki wydobyć cząstkę wiedzy o cudach Jezusa, Waclaw obejmował dziewczynkę, przytulał i delikatnie, niemal niezauważalnie, gładził jej biodro. Takie gesty nie uchodziły uwagi Rysia, zwłaszcza w ostatniej klasie podstawówki, kiedy Waclaw, na przykład po skończonych roratach, zwoływał klasę przed kościołem, sprawdzał obecność i zapraszał chętnych na smakołyki z zagranicy, kusząc legendarnym słonym masłem.

Rysio nigdy nie skorzystał z zaproszenia, podczas gdy jego koleżanki i koledzy chętnie wyruszali z Waclawem na wieczorne nasiadówki. Zdarzało się, że ten czy inny znajomy opowiadał później co nieco, ale nasz bohater wołał tego nie słyszeć, gdyż musiałyby



znieawidzić Waclawa jeszcze bardziej, co gryzłoby się z dekalogiem i darem odpuszczania. Mogłoby mu to zamknąć drogę do kapłaństwa. Rysio nieświadomie przeczuwał, że pielęgnowanie apostołskiej wytrwałości w wierze i wyrzeczeniach nie powinno być poddawane we wczesnej fazie tak trudnym próbom. Lecz i tak nikt nie musiał mu niczego powtarzać. On wiedział. Narastająca od lat niechęć, stopniowo przechodząca w nienawiść, dawała mu to, czego nie rozumieli jego rówieśnicy: wycucie obmierzłej lepkości dłoni Waclawa, zawsze spoconych i ruchliwych, i odpychającej słodczy wzroku, łakomego spojrzenia, które w jednej chwili obejmowało całą postać chłopca lub dziewczynki niczym krowi jęzor chwytający pęk trawy. W oczach Waclawa było coś zwierzęco pierwotnego, coś, czego - jak Rysio instynktownie przeczuwał - należy się wystrzegać i w żadnej formie nie prowokować tych oczu do wejrzenia jeszcze bardziej oślizłego.

Początek nienawiści Rysia, jedynej chyba, jaką odczuwał później w całym swoim życiu, sięgał trzeciej klasy i pewnego wieczoru, kiedy Waclaw zatrzymał go w zakrystii po spotkaniu ministrantów. Stał przy nim i wpatrzył się w niego nachalnie jak wynędzniały pijaczyna w szklankę wódki.

- Rysiu, jesteś takim dobrym ministrantem, dawno tu takiego nie było, asz.

- Nie wiem, proszę księdza.

- A tak, nie było, asz. A może przyszedłbyś kiedy do mnie, ja uważam, asz, że mielibyśmy sobie sporo do powiedzenia. Może dzisiaj? Tak rzadko cię widzę u siebie. - Waclaw nie przysuwał się, ale Rysio czuł, że bije od niego jakaś potworna energia.

- Muszę odrobić lekcje. I modlitwa na wieczór.

- O, jaki pilny chłopiec, no, no. A to pomodlimy się razem. Nasza wiara, asz, całe chrześcijaństwo zyskuje, pamiętaj o tym, mój chłopcze, zyskuje najwięcej, asz, poprzez wspólnotę, tak, złączenie dusz w Jezusie Ch...hystusie, asz. - Ksiądz wyglądał na spokojnego, ale Rysio przeczuwał, że to tylko poza. W gorącym spojrzeniu Waclawa nie było przychylności miłej bliźniemu, ale natarczywe pragnienie, jakiś oszalamiający popęd próbujący skryć się za czernią żrenic. Rysio nie bardzo umiał zrozumieć to, co właśnie się działo. Uśmiechnięta twarz księdza miała w nim budzić zaufanie, a wywoływała tylko lęk wobec tego sam na sam w zakrystii.

Tymczasem drżąca dłoń wikarego spoczęła na ramieniu Rysia. Chłopiec zobaczył, że Waclaw zrobił dwa kroki i stanął tuż za nim. Sutanna otarła się o rękaw ortalionowej kurtki. Szurnięcie obcasem po posadzce, cichy szelest trących o siebie ubrań, głośny oddech i kłęb pary wybuchający Rysiowi koło ucha.

W pomieszczeniu przez cały wieczór nagromadził się przenikliwy chłód. Widzialność

uderzyła Rysia nagłą niesamowitą ostrością, jakby zgromadzone tu rzeczy pragnęły właśnie teraz przypomnieć o swym istnieniu. Od posadzki z czarnobiałych płytek aż po blaty stołów i szafek wewnątrz tonęło w przymulonym świetle żarówki umieszczonej poniżej ramion księdza. Przedmioty liturgiczne, ustawione wedle hierarchii świętości, rzucały niespokojne cienie, rozmyte na krawędziach. Na wysokich szafach, gdzie zebrały się najokazalsze warstwy kurzu, sterczały pudła wyładowane szatami liturgicznymi, tworząc bloki dobrze dopasowanych brył, a wąskie szczeliny między nimi rozszerzały się w grze światła i cieni. Postacie świętych na wąskich witrażach powleczone już delikatnym szronem, nachylały się, krzywiąc spękane twarze w grymasie cierpienia i chwały. Ogniki błyskały w ich oczach - to zapalały się, to gasły. Święta Panienka posyłała Józefowi błagalny uśmiech, a Archanioł Gabriel frunął z wysoka, by nadać mu sens. Gdzieś jeszcze wyżej jaśniała tajemna wola Jedyne. Świat kończył się na styku żebrowanego sklepienia. I nagle Rysio nie wiedział, co czynić. Maleńka zakrystia okadzona oddechami pożądania i trwogi, zimna jak lodowy pałac, przypominała mu celę, z której nie ma wyjścia. Stał sparaliżowany niedającym się pokonać strachem i wrażeniem okropnego zła, jakie zaczęło gęstnieć między ścianami zakrystii.

- Ty pewnie chcesz zostać kapłanem, ksiądz Ambroży tak cię chwali, asz. To dobrze, pójdziemy i wszystko to sobie omówimy.

Dłoń Waclawa, o dziwo, nie była ani ruchliwa, ani specjalnie drżąca - przylegała jak kawałek miękkiej tkaniny, niemal niewyczuwalnej poprzez subtelny dotyk. Naraz Rysio poczuł, że na jego drugim ramieniu także oparła się dłoń księdza. Waclaw energicznie odwrócił go do siebie. Jego palce lekko wniknęły w grubą puchową osłonkę.

- Chodźmy, zgłębimy odwieczne tajemnice - rzekł i ujął Rysia pod ramię.

- Nie, proszę księdza, ja... ja nie mogę - krzyknął Rysio i odsunął się w stronę drzwi.

Światło rzucane przez dwudziestopięciowatową żarówkę padało teraz na plecy Waclawa, a jego twarz kryła się w cieniu. Rysio spojrzał na nią, ale widział niewyraźnie, na dodatek zbierało mu się na płacz; jedynie tam, gdzie znajdowały się oczy, zatliło się długo trzymane na uwięzi pożądanie, teraz już pewne niezaspokojenia, na jakie skazał je krzyk Rysia. Waclaw zacisnął usta. Powstrzymał się od zrobienia tych paru kroków w stronę chłopca i dreszcz umierającego podniecenia przeniknął jego ciało. Wydał z siebie zgaszone westchnienie, wyrażające cały ogrom zawodu, jakiego w tej chwili doświadczał. Stał nad pobladłym Rysiem jak kozłonogi satyr nad ścierwem martwej łani. Zdał sobie sprawę, że tym razem zaszedł o krok za daleko. Natychmiast skłął się w myślach. Głupiec! Dał się ponieść chwili, a ten chłopiec już rok temu, gdy szedł do komunii, wyraźnie od niego stronił. To było niepotrzebne, on może się wygadać, po co to wszystko.

- Dobrze, pomodlimy się osobno. No, uciekaj już - powiedział bezsilnie. Najpierw pochylił się i oparł ręce o kolana, a następnie siadł na jedynym taborecie w zakrystii. Potem uniósł głowę i popatrzył na witraż z archaniołem zlatującym do Marii. Tkwił tak długą chwilę, z bezradnym smutkiem w oczach, co jakiś czas przetykając ślinę, aż krew odpłynęła mu od głowy i twarz znów stała się blada.

Rysio wybiegł z zakrystii i puścił się najkrótszą drogą do domu. Nie zdawał sobie w pełni sprawy, że tak jak Waclaw był ofiarą swego popędu, tak on sam był ofiarą Waclawa. Biegł ze łzami w oczach, chociaż nie wiedział, skąd wziął się płacz, nie rozumiał, czemu ten ksiądz wydał mu się taki straszny, dlaczego teraz drżał na całym ciele, skąd brał się wstyd za samego siebie, i dlaczego czuł, jak kłębi się w nim okrutna wina za odmówienie księdzu wspólnej modlitwy. Później wspomnienie tych emocji znikło, tylko błysk oczu Waclawa i ciepło jego oddechu tuż przy uchu na zawsze pozostały mu w pamięci; i nawet jeśli nie umiał sobie jako dziecko wyobrazić, do czego zmierzał podstępny kapłan, już od chwili, gdy wybiegł z kościoła, a później zaszył się w swoim pokoju, przeczuwał jedno: to musiało być coś niedobrego, to nie mogło być tym, czego uczył się na katechezach.

Od tej pory, przez wszystkie lata, do samego końca podstawówki, Waclaw w żaden sposób nie nawiązał do tego zdarzenia. Na następnym zebraniu ministrantów nie okazał wobec Rysia zakłopotania ani nie poświęcił mu szczególnej uwagi. W ich stosunkach nie zaszła najmniejsza zmiana. Miało upłynąć wiele czasu, zanim - teraz jeszcze chłopiec, a później proboszcz - Rysio dowiedział się, dlaczego Waclaw zachowywał w stosunku do niego taką wstrzeźliwość.

Mijały lata i Rysio coraz bardziej wkraczał w kościelny świat. Kochał mszę. Wcześniej zaczął się wprawiać w ministranckiej posłudze i szybko wspinał się na kolejne szczeble służby. Najbardziej cenił formację ministranta ołtarza. Dotykalna bliskość Najświętszego Sakramentu, możliwość obcowania z naczyniami liturgicznymi i kontakt z celebransem oznaczały dla niego wartość bliską ideału. Był pewien, że żaden inny ministrant nie może się z nim równać - zarówno pod względem wiedzy liturgicznej, jak i obowiązkowości. Godzinami ćwiczył w domu klarowność ruchów i gestów mszalnych, pokłonów inklinatio capitis i inklinatio corporis, rozłożenia rąk i znaku krzyża świętego, poprawiał dykcję przy odmawianiu ministranckich modlitw, a wieczorami leżał krzyżem pogrążony w modlitwie, zwinawszy wcześniej dywan. Brał największą ilość dyżurów i służył do mszy nawet przez pięć dni w tygodniu.

Jego dziecięce zachwyty nad sutanną proboszcza powoli, z roku na rok, przeradzały się w pewność powołania kapłańskiego. Z każdą kolejną mszą intensywność pragnienia, aby

włożyć sutannę i być jak proboszcz Ambroży, rosła w nim, aż wreszcie stała się życiowym celem. Najpierw powiedział o tym matce. Popatrzyła na niego z uwagą, nie dowierzając. Ucieszyła się, to jasne, była dobrą katoliczką i syn po święceniach byłby dla niej ziszczeniem matczynych marzeń, ale po namyśle uznała, że Rysiowe marzenia to jedno, a rzeczywistość drugie. Dwunastoletni chłopiec nie może przejawiać podobnych chęci, to po prostu niemożliwe. Z przykrością musiała przyznać przed samą sobą, że to tylko kwestia czasu, kiedy jej ukochany jedynak powźmie zupełnie inny pomysł na życie. Mimo że znała syna bardzo dobrze, tym razem myliła się całkowicie. Ojca Rysio postanowił nie wprowadzać w swoje sekrety. Nie dlatego, że tata mógłby mu tego zabronić, ale raczej w obawie przed ironią, na którą wystawiłby się szczerym wyznaniem. Reakcję ojca mógł sobie z łatwością wyobrazić: najpierw uniesienie brwi i wzruszenie ramionami - rób, co chcesz, to twoja sprawa, potem w głosie ojca, nieco wyższym niż zwykle, zadźwięczałaby nuta cynizmu, a w co drugim, trzecim zdaniu zaczęłyby się metawtręty o kościelnym rodowodzie.

Kiedy Rysio wyjawiał w jakiś czas później swoje uczucia wobec Boga i Kościoła Ambrożemu, proboszcz nie zdziwił się ani trochę.

- Wiem, wiem o tym od samego początku - powiedział.

- Twoje powołanie jest wypisane na twarzy. Lecz to nie wszystko, to może być za mało. Ty sam musisz we własnym sumieniu czuć, że On ciebie wybrał. To sprawa między tobą i Bogiem. Jeśli głęboko czujesz, że chcesz sprawować eucharystię, żyć między ludźmi, ale w wielkiej mierze obok nich, miłować ich bez żadnego w tym interesu, jeśli oddajesz się żarliwej modlitwie, nosisz w sercu miłość Boga, są to sygnały szczerego powołania.

- Proszę księdza proboszcza, ja czuję w sobie powołanie. Chciałbym być taki jak ksiądz proboszcz - z entuzjazmem w głosie zapewnił Rysio.

- Tak... jak ja. - Ambroży zamyslił się, kiwając głową. - Pamiętaj jednak, że jesteś jeszcze bardzo młody. W twoim życiu niejedno może się zdarzyć. Ludzie otrzymują różne powołania, jedni pragną zostać księżmi, inni chcą trafić do zakonu, jeszcze inni poświęcają się pracy dobroczynnej, jeżdżą na rozmaite misje, a jeszcze inni najzwyczajniej mają w sobie powołanie do życia rodzinnego, do małżeństwa. Tego jeszcze nie wiesz, ale może nadejść taka chwila, gdy zwątpisz w kapłaństwo. Nie wiem, czy nadejdzie, ale może nadejść. Dotyka to niejednego. Pamiętaj jednak, że zawsze działa tu łaska, którą obdarowuje Bóg. Jeśli będziesz czuł, w duszy, w sobie, że On cię powołuje, że jest w tobie potrzeba, to mimo rozterek duchowych, wątpliwości, jaką drogę wybrać, będziesz wiedział, że właściwa jest tylko jedna, ta, którą wskazuje ci Pan. Wiedz jednak, że sakrament kapłaństwa jest najtrudniejszym ze wszystkich, wymaga największego wyrzeczenia, na jakie może się zdobyć

człowiek, lecz nagroda jest nieporównana z niczym - to służba Bogu. I pamiętaj, ten sakrament przyjmuje się tylko raz, na całe życie, i nie można z niego zrezygnować, nie można go odrzucić, gdyż raz na zawsze ufny i kochający Bóg odciska w twojej duszy swe piętno.

Rysio marzył. Widział siebie jako wspaniałego następcę Ambrożego, jak kroczy odziany w przepiękny ornat między szeregami ławek, pozdrawia wpatrzonych w niego ludzi, celebrytuje mszę świętą i z niedościgłą dykcją melorecytuje Słowo Boże. Jego postać jaśnieje bielą i czystością. Cóż znaczy marna ministrancka komża wobec tych cudownych szat rodem z innego świata. Wiedział, że któregoś dnia i on przywdzieje je wszystkie i poprowadzi tłum przybyłych do kościoła przez największą z tajemnic świata. On, Rysio, powie im, jak wielką, ostateczną prawdą jest zmartwychwstanie Pańskie i ile trzeba miłości, aby prawdziwie kochać Jezusa, nauczy ich adoracji i wiary, o jaką nie podejrzewaliby sami siebie, powierzchowni w codziennych czynnościach i płytki w wyznawaniu Chrystusa.

Nieraz jednak dostrzegł siebie w roli skromnego księdza w czarnej sutannie, na którą narzucona była długa alba z zieloną stułą na ramionach. Rysio powoli wchodzi do konfesjonału, wcześniej obrzuciwszy nieskończoną kolejkę spojrzeniem pełnym pokory i smutku. Cisną się, błagalnie wznosząc ku niemu oczy, onieśmieleni kłękają przed okienkiem, zastanawiając się, co wyjawić, a czego nie. Rysio siada na przeznaczonym mu miejscu i wyrzuca z siebie potężny monolog: I to wy tu, grzeszni, jak każdego dnia przychodzicie, by błagać Boga o zmiłowanie, by prosić Go, poprzez moc, jaką mnie obdarzył, o odpuszczenie waszych grzechów, podłego sprzeniewierzenia się prawu Kościoła, bezmyślnego odrzucenia Boga, który wielki nad wszystko przychodzi do was i prosi o waszą miłość, o waszą wiarę, a wy to wszystko odpychacie od siebie, wy wzbraniacie się przed uświęcającą mocą Pana, macie w pogardzie jego zaufanie i dobroć, i teraz przychodzicie, unurzani w grzechu, korząc się, płaszcąc u moich stóp przed konfesjonałem, jak insekty, brudne, plugawe larwy, z których nigdy nie powstanie motyl, przychodzicie, aby wam to wszystko zapomnieć, przebaczyć i wezwać do poprawy! Módlcie się, bowiem bliski jest czas tych, co dostąpią zbawienia, i tych, co będą bez Boga na wieczność. Módlcie się, bo tylko w modlitwie zaznacie ukojenia i tylko wtedy On wam odpuści. Rysio wyrzuca ręce wysoko, jakby chciał wysłać ku niebu wezwanie milionów marnych istot bez Boga, wątplych wiarą, bez nadziei na znak Najwyższego. Rysio błaga za nich, powierza ich wszystkich opiece Najświętszej Pani i bierze na swe barki całą ich grzeszność, podłość zaklętą w ich nieczyste dusze. Jest powiernikiem grzechu, przekaźnikiem słabości człowieka i mocy Boga, to przez niego odbywa się wielkie pojednanie. Ludzie padają na twarz, cały kościół spływa ich płaczem i lamentem, kiedy on zwisa na drzwiach konfesjonału jak martwy, jak Ten, któremu oddał

swoje życie.

Wyobrażenia o swoim przyszłym kapłaństwie przerażały go, więc pokornie prosił Jezusa o przebaczenie za wzniosłe wizje, brak skromności i wynoszenie się ponad innych. Wiedział, że grzeszy, i dlatego jeszcze bardziej pograżał się w codziennym różańcu i lekturze Pisma. Czuł, że pycha objawiająca się w tęsknych wyobrazeniach wiedzie go w sidła samozagłady, sprzeczna ze wszystkim, czego się uczył i w co wierzył głęboko, rani jego poświęconą Bogu duszę. To nie mogło trwać długo. Albo wielki kapłan, albo grzesznik. Postanowił w końcu rozprawić się z rosnącą w nim pychą w jedyny sposób, jaki przyszedł mu do głowy - poddał się całej serii umartwień, których celem miało być totalne zduszenie grzechu.

Nigdy nie zdradził swoich niepokojów Ambrożemu, który w owym czasie był już jego duchowym opiekunem i spowiednikiem. Wstyd przed samym sobą był niczym wobec ponizenia, jakie musiałby znosić, wiedząc, że proboszcz poznał jego najskrytsze sekrety. Tego umartwienia nie był w stanie zrealizować, chociaż wielokrotnie modlił się o siłę, mogącą wspomóc go w tym zadaniu. Nic z tego. Pan nie chciał go wysłuchać, co tylko zwiększało niepokój. Gorąco prosił, modlił się tak żarliwie, że na szyi i skroniach występowały mu żyły, zaciśnięte palce siniąły, a poduszka z grochem pod kolanami już dawno nie przysparzała najmniejszych niewygód. Coś wreszcie musiało się stać. I nic. Ciągle nic. Bóg milczał jak zakłęta królowa.

Ona zjawiła się w roku bierzmowania. Widywał ją już wcześniej, ale dopiero teraz zobaczył. Uroczystość przed kościołem przypadła w pochmurny dzień. Było zupełnie pewne, że spadnie deszcz. Mimo to młodzież ustawiła się w długim szeregu, tworząc wokół świątyni żywy półksiężyc. Wszyscy czekali cierpliwie, każdy ze swym świadkiem.

Rysio w garniturze specjalnie odświeżonym przez matkę stał naprzeciw wejścia do kościoła. Słońce niemrawo przezierало przez chmury.

- Augustynie, przyjmij znamię Ducha Świętego - usłyszał i poczuł na czole dotyk wilgotnego krzyżma. Biskup przyjrzał mu się i na krótkie „amen” skinął głową.

Dokonało się, Duch Święty wreszcie napełnił duszę Rysia Augustyna, który czekał na tę chwilę w uniesieniu przez cały okres nowenny. Już dawno wymazał z pamięci pychę chłopca, co chciał zostać księdzem, a gorliwa pokuta pozwoliła mu lepiej zrozumieć naturę swego wyboru. Umocniony w wierze, przyjął namaszczenie z otwartym sercem, jak nakazywał katechizm. Dobre słowo proboszcza znów wsparło go w obliczu świętego Sakramentu.

I gdy tak stał przed wrotami kościoła, chłonąc światło Pana rozchodzące się w nim

niebiańską miłością, jego wzrok spoczął na przyjmującej właśnie Sakrament dziewczynie w jasnej sukience.

Chodziła do równoległej klasy, tyle Rysio Augustyn wiedział, i nazywała się Ela Krochmal. Była nieco od niego niższa, zgrabna i miała jakiś szczególny powab. Należała do tych przerośniętych lolitek, które w gronie koleżanek znajdują się zawsze w centrum i nigdy nie lawirują na obrzeżach kółka. Są punktami odniesienia, zarówno dla rówieśniczek-satelitek, jak i młodzieńców omiatających szkolne korytarze posępnym wzrokiem klasowych osiłków. Są obiektami marzeń i najskrytszych chłopięcych pragnień. Na widok takiego na przykład Andrzeja Młynarskiego, powtarzającego drugi raz siódmą klasę, z oczu Eli Krochmal natychmiast wystrzeliwały niewidzialne promieniewabiki, głowa nieznacznie przechyliła się w lewo, a dłoń wędrowała w stronę ucha, aby wygładzić kosmyki włosów, które wysuwały się sponad lekko odstającej małżowiny. Wtedy Ela Krochmal przenosiła ciężar ciała na prawą nogę. Wiedziała, że w ten sposób może zaprezentować swą lewą, większą pierś w najkorzystniejszym świetle, w pełni jej świeżego rozrostu, a odsłaniając bok szczupłego ciała poprzez uniesienie ramienia, wystawiała na widok Młynarskiego cudowny dla jego oczu obraz miodomlecznego organu z sutkiem rysującym się pod cieniutką sukienką. Była pewna, że kroczący korytarzem młodzieniec musi w końcu skierować chmurne spojrzenie na jej boskie kształty, upiersione już w sposób dojrzały, z biodrem wygiętym w półmiskę, świadczącym o finalnej fazie biologicznego modelowania, jaką właśnie przechodziła.

Niewątpliwie była dumna ze swej tak pięknie rozkwitającej kobiecości, i nawet w momencie namaszczania, który ze zdumieniem obserwował Rysio Augustyn, nie zapomniała posłać biskupowi anielskiego uśmiechu, mogącego stopić serce najgorliwszego pustelnika. Duchowny pozostał jednak nieczuły na rumianą zaczepkę i po dopełnieniu rytuału bez słowa przesunął się ku następnej pannie. Za to zupełnie inaczej uśmiech ten podziałał na Rysia Augustyna: pochmurny dzień rozświetlił się nagle, jakby światło jakieś niesłoneczne wylało się błado - ciepłą lawiną na świat wokoło kościoła. Fakt, że chmury rzeczywiście w tym momencie przepuściły trochę słońca, nie ma tu nic do rzeczy. Chłopiec kosztował właśnie pierwszego miłosnego zauroczenia.

Grzech pożądania zawładnął Rysiem Augustynem i przez całe wakacje wysysał z niego moce duchowe, nie oszczędzając również siły fizycznej. Pod koniec sierpnia, kiedy od bierzmowania minęło kilka miesięcy, wzmógł nawet swe natężenie w związku ze zbliżającym się początkiem roku szkolnego. Ela Krochmal, jako wzorowa uczennica, wybrała miejscowe liceum, a na dodatek okazało się, że będzie chodzić do tej samej co Rysio Augustyn klasy B.

Nie mógł się zdobyć na porozmawianie o problemie z Ambrozym. Co by się stało,

gdyby ten święty mąż dowiedział się o tak potwornym grzechu, jaki w całej swej ohydzie spadł na Rysia Augustyna, i to właśnie w chwili, gdy z nadzieją cieszył się na przyjęcie Ducha Świętego. Wmawiał sobie, że Bóg najpewniej postanowił doświadczyć go bardziej od innych; specjalnie przygotował widowisko, jeszcze jedną próbę, aby Rysio Augustyn mógł uwierzyć, że z wybranej drogi życiowej nie zmiecie go najsilniejszy nawet wichur. Czyż mogło istnieć inne wytłumaczenie? Koszmarny zbieg okoliczności - jego wzrok pada na twarz Eli Krochmal, wskutek czego plugawe doznanie zmysłowe bezczęści napętlającą go moc Ducha! To nie przypadek! W ten sposób mogła przebiegać wyłącznie interwencja Najwyższego, Rysio Augustyn nie miał co do tego wątpliwości. Przeprowadzona z ujmującą celowością, stawała się subtelnym znakiem wyższej konieczności i dowodem łaski.

Świadom powagi sytuacji, postanowił jak najprędzej przystąpić do intensywnej pokuty i serii umartwień będących wybawieniem od przepalającego mu wnętrza hormonalnego tańca. Okres wakacyjny sprzyjał tego rodzaju praktykom, nie narażał Rysia Augustyna na zbyt częste kontakty z kolegami ze szkoły. Chłopak czuł się wolny. Rozmyślenia o Eli Krochmal gasił w sobie od pierwszej chwili i pokrzepiał się codzienną długą lekturą Pisma i Ojców Kościoła. Niejeden raz wracał do Wyznań, gdzie odnajdywał pokrewną duszę i utożsamiał się w wewnętrznej walce z genialnym autorem. Szukał odpowiedzi na gnębiące go potwory chuci u świętego Pawła, wyobrażał sobie, jak apostoł zmagał się z własną słabością i w modlitwie prosił o siłę, która pozwoli mu zwyciężyć w odwiecznym boju.

Obok litanii różańcowych, regularnego postu, uwagi skupionej przez całe dnie na sprawach religijnych, wzywania pomocy świętych i wczytywania się w życiorysy Ojców Pustyni, pod koniec sierpnia zmuszony był dopełnić pokuty i zaaplikować sobie serię umartwień fizycznych. Zaczął od wstrzymywania moczu. Sikał dopiero wtedy, gdy ból pęcherza podchodził aż do serca i pierwsze kropelki uryny, mimo walki z przeklętą fizjologią, złościły mu majtki. Po kilku dniach wpadł na pomysł przewiązywania sobie napletka wędkarską żyłką, co tamowało napływ moczu, ale prowadziło do nieznośnego bólu.

Kilka razy dziennie schładzał w zamrażalniku wodę, napełniał nią litrowy słoik i płał w nim nabrzmiąły członek, trzymając go tak długo, jak tylko mógł wytrzymać. Tuż przed snem, gdy jego myśli stawały się zbyt dosadne, chłostał go skręconymi w małe supelki sznurówkami, odmawiając Zmiłuj się nade mną, Boże, w łaskawości swojej... i Proszę, Panie, Boże wielki i straszny, potem podszczypywał go ojcowskimi kombinerkami, wreszcie ponownie płał w słoiku, żałując, że przygotowana zawczasu woda nie ma już odpowiednio niskiej temperatury.



Niestety, heroiczne męczeństwo nie miało końca - po każdym akcie umartwiający penis wprawdzie przechodził w stan uśpienia, jednak w końcu budził się znowu i Rysio Augustyn czuł, jak potężnieje z każdą sekundą, aż wreszcie przybiera nienawistny kształt stwardniałej maczugi. Przydarzało się to w najmniej sprzyjających okolicznościach: w sklepie, przy obiedzie, na spacerze i - co najgorsze - podczas posługi ministranckiej. Próbował ukrywać kompromitujący stan i poruszać się naturalnie. Odrzucał myśli o diabelskich sztuczkach, o podstępach Złego, kierował uwagę na czyste myśli przebłągalne. Nie zawsze metody te były skuteczne. Fallus miał w pogardzie gorące modlitwy i nie lękał się najsroższych umartwień. Na dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, kiedy wspomnienie Eli Krochmal zobrazowało się niezdrowo, Rysio Augustyn - będąc w stanie skrajnego niemal wyczerpania ciągłą pokutą i poczuciem winy - zaczął poważnie rozmyślać o ucięciu krnąbrnego organu, którego natura, będąc całkowitym przeciwieństwem posłuszeństwa i chrześcijańskiej pokory, musiała pochodzenie grzesznej inklinacji wywodzić od szatańskiego ducha.

Rozważał przyrządy, mogące znaleźć tu zastosowanie, a przy tym dające gwarancję operacji szybkiej i prostej. Od razu odrzucił możliwość użycia ojcowskiego sekatora do żywoplotu, wielkich stalowych nożyc z kuchni i noży o długich ostrzach. Narzędzie powinno być ostre i ciężkie. Doszedł do wniosku, że najbardziej odpowiada mu stara siekiera po dziadku, utrzymywana w doskonałym stanie, lub wielki tasak, którym matka szlachtowała ryby złowione przez ojca w stawie. Nic innego nie wchodziło w grę. Rysio Augustyn prosił Boga, aby dał mu siłę na dokonanie tego czynu, chwalebne w swym skrajnym wyrzeczeniu i gotowości przyjęcia cierpienia.

Z dnia na dzień odkładał jednak przystąpienie do akcji, ponieważ w rzeczywistości nie był całkowicie przekonany, że jego rozumowanie jest słuszne. W końcu - było to dzieło szatana czy Boga? Przecież Bóg jest stwórcą wszystkiego, On nas obdarzył i wyposażył. Tak nie można. A jeśli to zrobię, wprawdzie wyzwolę się od pokusy, ale cóż będzie wtedy znaczyć moje oddanie Panu? Będzie bez wartości. Teraz, gdy toczę bój, składam świadectwo tak wielkiego oddania, jak tylko to możliwe. Boże mój, Ty widzisz, jak Cię kocham, widzisz, że pragnę tylko służyć Tobie i stanę naprzeciw złym mocom, jeśli tylko zechcesz - zapewniał w modlitwie i kajał się za myśli o obcięciu obmierzonego organu.

Początek roku szkolnego okazał się dla Rysia Augustyna wybawieniem od dwóch rzeczy: po ojca przyszło SB, dzięki czemu skończyły się codzienne kłótnie i atmosfera napięcia panująca w domu; pożądanie Eli Krochmal znalazło wreszcie swoje ujście.

Stało się to pierwszego dnia po szkole. Na początkowej lekcji Ela Krochmal

zajmowała trzecią ławkę w rzędzie przy oknie. Rysio Augustyn, siedzący w czwartej ławce rzędu środkowego, miał więc doskonałe pole do obserwacji. W czasie wakacji nie widział jej ani razu. Teraz mógł delektować się widokiem istoty w niczym nieprzypominającej demona rodem z pism Tertuliana. Co więcej, nie budziła wcale odpychających uczuć, wręcz odwrotnie, ruchy, mimika, zapach - wszystko, co składało się na jej fascynującą postać, zdawało się zaświadczać o zmysłowym niepokalaniu. Przez całe czterdzieści pięć minut godziny wychowawczej uwaga Rysia Augustyna skupiała się głównie na śledzeniu poruszeń cudnego dziewczęcia. Wreszcie rozległ się dzwonek i cała klasa ruszyła do wyjścia.

Rysio Augustyn podniósł się ociężale, odburknął coś Tomkowi - koledze ministrantowi z ławki - powoli schował zeszyt, zakręcił pióro i czekał, udając, że nie może sobie poradzić z tornistrem, aż przedmiot jego tęsknoty skieruje się do drzwi. Gdy tylko Ela Krochmal ruszyła, Rysio Augustyn zrobił dwa długie kroki i znalazł się bezpośrednio za jej plecami. Wiedział, że za chwilę tuż za nim ustawi się Gośka Burda.

Zbliżył się na odległość centymetrów i wciągnął w nozdrza urzekającą woń świeżo umytych włosów Eli Krochmal. To było coś oszałamiającego, jakby do jego wnętrza przeniknął orzeźwiający powiew. Na chwilę przymknął oczy i właśnie wtedy, w chwili tej krótkiej nieuwagi, poczuł, że jego twarz zanurza się w miękkiej gęstwinie łaskoczących loków, a reszta ciała nagle zatrzymuje się w zderzeniu z ciepłymi plecami dziewczyny.

- Hej! - usłyszał nagle. - Uważaj!

Ela Krochmal patrzyła prosto w jego oczy, emanując nieprawdopodobną pięknnością.

- O, prze... prze... przepraszam - zająknął się niezgrabnie, a cała jego istota rozplynęła się w przepaścistych źrenicach koleżanki.

- Nic nie szkodzi. Rysiek, tak? Cześć, Ela. Nie masz oczu? - spytała. W tej chwili znajdowali się już na korytarzu. Rysio Augustyn właśnie próbował zatrzymać w pamięci wrażenie zetknięcia się z jej przedramieniem.

- Nie, nie, cześć. Rysiek, tak. Zagapiłem się - wystękał z trudem.

Ela Krochmal popatrzyła na niego z drwiną charakterystyczną dla młodych piękności.

- Tak, a na co? Można wiedzieć? - spytała, patrząc z ukosa na Gośkę Burdę, która wysunęła język i lustrowała Rysia uważnym spojrzeniem.

- Rysiu, bo się proboszcz dowie... - rzekła Gośka i nagle obie parsknęły śmiechem. Za chwilę Elę otoczyły jeszcze trzy czy cztery koleżanki i Rysio Augustyn znalazł się w centrum demonicznych sił.

W tym momencie dostrzegł zbliżającego się Andrzeja Młynarskiego, co nie uszło również uwadze Eli Krochmal. Dziewczyna odwróciła się nagle i w tej samej chwili straciła

zainteresowanie niefortunnym kolegą. Reszta przerwy minęła Rysiowi Augustynowi na przyglądaniu się, jak przeklęty Młynarski, który nie wiadomo skąd się tu wziął - powinien na Zawie się szlajać, a nie tu - lepi się do Eli Krochmal, wygaduje jakieś dyrdymały. Na koniec, gdy zabrzmiał dzwonek, chłopak, przybrawszy postawę uwydatniającą jego walory fizyczne, zbliżył się do Rysia Augustyna. Był wysoki i mocno zbudowany, niemal przytłaczał go swoją męskością.

- Ela mi powiedziała, że coś do niej masz - wycedził powoli.

- Nic nie mam, potknąłem się i wpadłem na nią - równie powoli wycedził Rysio Augustyn.

Młynarskiego zatkało. Tego się nie spodziewał. Był pewien, że ten mizerny chłystek co najmniej przeprosi. Jeszcze bardziej się wkurwił. Chwycił Rysia Augustyna pod szyję.

- Gnoju, jak jeszcze raz usłyszę, że masz coś do Eli, to masz wpierdol. Taki wpierdol, że cię rodzona matka nie pozna. - Młynarski nie pozostawił złudzeń co do gorących uczuć, jakimi obdarzał Elę Krochmal, i Rysio Augustyn przekonał się, że gotów jest walczyć o jej nadszarpnięty - jak mogło mu się zdawać - honor.

- Ej, Andrzej, zostaw go! Co robisz, przecież ja żartuję.

- Ela Krochmal podbiegła do nich.

Młynarski puścił go i pogroził mu palcem.

- Daj spokój - powiedziała Ela Krochmal i uśmiechnęła się do Rysia Augustyna. - Już w porządku. No, idziemy, bo lekcja już. Weź już się uspokój, przecież on nie chciał...

Tego dnia Rysio Augustyn wrócił do domu targany nawrotami pożądania. Wszedł do swego pokoju, klęknął i odmówił Ojcze nasz i Osądź, Panie, szkodzących mi, następnie udał się do ubikacji i w kilka sekund pozwolił, aby dręczące go napięcie wystrzeliło mlecznosinym strumieniem prosto w otwartą muszlę.

Ojciec wrócił z SB po trzech dniach. Matka rzuciła mu się na szyję, jakby nie oglądała go przez całe lata, ze łzami w oczach dziękowała Bogu za szczęśliwe zakończenie.

- Te parszywce, podłe zasrane parszywce - przeklinała cały aparat bezpieczeństwa. W niepamięć poszły wszystkie kłótnie, wyzwiska, lamenty, jakich pełno było w ich domu. Ale i jej mąż się zmienił. Niby taki sam, a jednak Rysio Augustyn wyczuwał, że w ojcu coś siedzi, coś go gryzie i nie puszcza. Późniejsze kłótnie już nie były tak intensywne i zdarzały się rzadziej. Między nim a matką doszło do niezwykłego zawieszenia broni i stopniowego przyływu zapomnianych uczuć. Po jakimś czasie kłótnie zupełnie się skończyły, dosłownie, jak ręką odjął. Jednak najbardziej niezwykle było to, że ojciec - do tej pory niezbyt przychylny kapłańskim ciągotom Rysia Augustyna - nagle zmienił zdanie. Teraz dostrzegwał w

tym ogromną wartość - dla niego, dla całej rodziny. Pogodził się z tym, że jego jedyny syn zamierza być księdzem, sam nawet wypytywał go o prawdy wiary, o celebrę katolicką, i już widział w nim biskupa, a nawet kogoś więcej.

- Rysiek, a może ty papieżem zostaniesz - z nutką ironii, ale i cieniem nadziei żartował czasami.

Zmiana w nastawieniu ojca była dla Rysia Augustyna wielkim zaskoczeniem, ale i kolejnym dowodem łaski. To nie mógł być przypadek, że jego własny ojciec, który wszak chodził na mszę, spowiadał się, ale robił to mechanicznie, bez głębszych intencji, nagle doznał zupełnej odmiany. Rysio Augustyn namówił go nawet na przeczytanie fragmentu Dziejów Apostolskich, w którym Szaweł dostąpił objawienia na drodze do Damaszku.

- Nie, nie, Bóg mi się nie objawił - powiedział ojciec. - Po prostu przemyślałem wszystko.

Najbardziej jednak cieszyła się matka. Przez wszystkie lata gorąco wspierała syna i z dumą patrzyła, jak krząta się wokół ołtarza podczas mszy. Jej serce płonęło z radości, gdy przyjmowała komunię, a Rysio Augustyn stał obok księdza, trzymając patenę. Jako osoba niezmiernie religijna żałowała, chadzając przed laty do kościoła w towarzystwie matki, że nigdy nie będzie jej dane zostać ministrantem, na co mógł liczyć każdy zwykły chłopak. Gdy podrosła, zaczęła snuć rozmyślenia o życiu zakonnym, ale miłość dopadła ją dosłownie na progu klasztoru. To tam go zobaczyła. Niejeden raz bolała nad tym, że dała się ponieść fascynacji tym młodzieńcem, czego efektem okazał się Rysio, poczęty przy pełni księżyca w starej hali poprodukcyjnej. Dlatego patrząc teraz na syna, dziękowała Bogu za to szczęście, o jakie nigdy nie śmiałyby prosić. Rysio zachował wiarę i odkrył w sobie prawdziwe powołanie. Tak jakby powtarzał jej własną drogę. Od tej chwili uwierzyła, że musi w tym tkwić ręka Boga. To Pan pokierował jej życiem i sprowadził tego chłopaka o czarnych oczach. Ten wypełnił swe zadanie - zakręcił jej w głowie, a następnie splodził Rysia, i poprzez ten wyczyn zaskarbił sobie jej miłość aż po grób, dodając gratisowo kilka niezapomnianych doznań seksualnych. A teraz Pan Najwyższy dyskretnie wskazywał kierunek jej cudownemu synkowi już od najmłodszych lat! Misternie zaaranżowany plan zaczynał się wypełniać. Rola jej syna w nim była jeszcze niewiadoma, ale z całą pewnością główna.

Prawdziwą miłość do Eli Krochmal Rysio Augustyn przeżywał do końca drugiej klasy. Wakacje, kiedy toczył walkę z własnym ciałem, stawały się mrocznym wspomnieniem. Udręka fizyczna nie uwierała go już tak bardzo. Od tamtego czasu znacznie obniżył standardy swych chłopięcych wyrzeczeń i uznał, że duchowa pokuta - szczerza i odpowiednio długa - jest

wystarczającym zadośćuczynieniem za grzech wieczornego onanizmu.

Przez całe dwa lata kontemplował Elę Krochmal z uczuciem szlachetnym i nieodwzajemnionym. Modlił się za jej duszę i prosił Boga, aby był wyrozumiały dla małych grzeszków i pomagał w nauce. Tęsknił do jej widoku. Zdarzało się, że wystawał pod oknami bloku i wpatrywał się w okno pokoju z szybą, na której wymalowane było śmiejące się słoneczko. Szukając ujścia dla swej miłości, wieczorami zamieniał się w poetę i pisał sonety ku jej czci, wynosząc ją na wyżyny dziewiczego piękna. W marzeniach była jego Heloizą, odległą i bliską jednocześnie, ulotną mgiełką tęsknoty wypełniającej mu myśli.

Kiedy w klasie gruchnęła wieść, że Ela Krochmal zerwała z Andrzejem Młynarskim, który zniósł to we właściwy dla siebie sposób - objając mordy na sobotniej dyskotecie w pobliskiej wsi - Rysio Augustyn postanowił ten jeden jedyny raz ujawnić swą miłość lub chociaż dać do zrozumienia, jaki ogrom uczuć spala mu duszę. Przez całą noc pisał wielostronicowy list, opiewający wymaginowaną kobiecą postać. Po krótkiej inwokacji do Boga następował wspaniały w jego oczach ustęp poświęcony pięknu objawiającemu się niczym boskie tchnienie, następnie opis przechodził w subtelne i zawoalowane metafory, mające oddać czar bohaterki i adresatki w jednej osobie - były w nim lotosy uśmiechu i grzmoty gniewu, potoki łez jak rosa i policzki jak płatki róży, oceany niezgłębionych źrenic i oddech niczym powiew morskiej bryzy, były pochmurne spojrzenia i lawiny włosów, było wszystko, co Rysio Augustyn uznawał za nieskończenie doskonałe i delikatne. Dalej list opowiadał o wspaniałych uczuciach, jakie musi budzić widok naturalnej, czystej urody wcielonej w niedościgły wzorzec, o tęsknocie większej niż najwyższe góry i najgłębsze morza, o poświęceniu i gotowości na wszystko, wreszcie z żalem wyrażał zupełną pewność wiecznej tęsknoty i niespełnienia, a kończył się uroczystą podzięką złożoną Panu za ten niezwykle dar, jakim obdarzył świat ku radości jednych i smutkowi drugich.

Skończył późną nocą. Przeczytał list jeszcze kilka razy, a następnie zaczął przepisywać. Wreszcie wyczerpany padł na łóżko i leżał, wpatrując się w szeregi książek poustawianych na półkach. Później umył twarz, odmówił Boże mój, do ciebie się zrywam na świtaniu i ułożył się do snu. Ale nie zasnął. Do rana wyobrażał sobie Elę Krochmal czytającą jego list; widział ją, jak popada w zachwyty nad kunsztowną konstrukcją, domyśla się, że to ona jest wyidealizowaną postacią, i ze wzruszenia roni łzy na atramentowe linijki; jak wzbiera w niej podziw dla szlachetności uczucia emanującego z każdego zdania, aż nagle dociera do niej - najpierw zdumienie, a później pierwsze dotknięcie miłości powoli zalewającej duszę.

Na lekcjach był ledwie żywy. Patrząc na Elę Krochmal, delektował się świadomością, że list już do niej wędruje poprzez meandry pocztowych ścieżek, a ona jeszcze nie wie, co ma

ją spotkać za dzień lub dwa. Dostał dwójkę za brak pracy domowej z matematyki, a podczas klasowego meczu piłki nożnej strzelił samobójczą bramkę, co pogрузило jego zespół w końcówce spotkania. W czasie mszy popołudniowej modlił się żarliwie i spełniał posługę ministrancką z pełnym oddaniem. Jednak Ambroży od razu zauważył, że dzieje się z nim coś szczególnego. Doświadczony kapłan już od dawna przypuszczał, że jego ulubieniec przechodzi etap zwątpienia we własne siły duchowe, i chociaż niepokoił się o to, czy wytrwa w wierze w powołanie, nie próbował na niego naciskać, czekając, aż on sam wyzna mu swoje przemyślenia.

Ambroży tylko częściowo odgadł stan wewnętrzny swego ministranta. Rysio Augustyn nigdy nie zwątpił w łaskę powołania kapłańskiego. W oddaniu sprawom wiary i Kościoła był taki jak dawniej, z nie mniejszą ochotą uczestniczył w mszach i spotkaniach ministranckich, pomagał w oporządzaniu świątyni i plebanii, a jego zapał nawet wzrósł po tym, jak parafię opuścił ksiądz Wacław. Wikariusze mówili, że wyjechał do kurii, a zaraz potem na stypendium do Rzymu.

Rysio Augustyn wierzył więc w to, że któregoś dnia zostanie duszpasterzem. Dzień po dniu pracował nad sobą, aby marzenie jego życia mogło się spełnić. Wielokrotnie powtarzał ulubione fragmenty z Biblii, zaczytywał się książkami pożyczanymi od Ambrożego, i choć często nudziły go, bo nie wszystko rozumiał, brnął przez dzieła Ojców Kościoła, wierząc, że samo obcowanie ze świętymi pismami, wchłanianie ich słów i modlitw, wspomogą jego pragnienie poświęcenia się Panu. Wyłączność miłości - oto było wyzwanie dla przyszłego kapłana. Bogu się poświęcam, Jemu oddaję wszystkie swoje uczucia, z Nim chcę iść przez życie. W teorii wydawało się to łatwe i wzniosłe, ale od kiedy obok Jezusa w myślach Rysia Augustyna zaistniała Ela Krochmal, wszystko się zmieniło. Widział w sobie miłość do Chrystusa i ani na moment nie opadły go wątpliwości - być księdzem czy nie być. To było już postanowione, droga została obrana. O ile jednak jako dziecko nie miał kłopotów z pełnym oddaniem Bogu, co boskie, o tyle wkraczając w wiek młodzięńczy, napotkał przeszkodę, jakiej się nie spodziewał - dziewczynę w jasnej sukience. Wielbiąc tę wyidealizowaną istotę, uczucia gotowe na przyjęcie u Boga musiał teraz dzielić na dwoje i sam nie był pewien, które z nich nosi w sobie większą moc.

W dniu wysłania listu Rysio Augustyn cieszył się świadomością nieodwracalnego, na drugi dzień był pewien, że tego popołudnia Ela Krochmal otrzyma szarą kopertę i wydobędzie z niej zakamuflowane wyznanie. Trzeciego dnia wszedł do klasy, starając się robić wrażenie głęboko zamyślnego i nie rozglądając się na boki. Był przekonany, że po lekcji Ela Krochmal podejdzie do niego, aby zakomunikować mu swoje wrażenia, a wtedy

oboje urwą się z pozostałych lekcji i wyruszą na długi spacer po mieście. Jednak nic takiego nie nastąpiło, co więcej - nie nastąpiło to także następnego dnia, i kolejnego, i jeszcze następnego. Skończył się tydzień i nic się nie wydarzyło. Ela Krochmal zachowywała się naturalnie i najmniejszym gestem nie zdradzała, czy dostała list, czy też nie. Rysio Augustyn nie mógł tego pojąć. Tłumaczył sobie, że albo jej matka przejęła list i przeczytawszy go, podarła na strzępy, albo Ela Krochmal zaczęła nim pogardzać i postanowiła puścić to zdarzenie w niepamięć, karząc go brakiem reakcji i skazując na niekończącą się niepewność, albo listonosz zgubił cenne pismo. Prawda o liście leżała jednak poza horyzontem Rysia Augustyna i była niedostępna tak samo jak anielskie zastępy w zaświatach.

Po dwóch miesiącach, kiedy już nadchodził koniec roku szkolnego, Rysio Augustyn, wyczerpany czekaniem, podjął męską decyzję. Dojrzewał do niej powoli, ale z każdym dniem, pokrzepiony modlitwą, coraz bardziej czuł, jak rośnie w nim odwaga i wola pełnego wyrażenia skrytych pragnień. Wreszcie uznał, że musi to zrobić. W dniu rozdania świadectw był pełen siły i wiary. Zaraz po ostatnim spotkaniu z wychowawczynią, nie oglądając się na innych, pewnym krokiem poszedł do Ambrożego i wyspowiadał się z całego zgnębienia i pożądliwości, przysłaniającej mu na przestrzeni minionych dwóch lat światło Ducha Świętego. Wyznał swą miłość do Eli Krochmal i wszystkie okropności, których dopuścił się w imię marnego ziemskiego uczucia. Poprosił proboszcza o surową i długą pokutę.

Ambroży wysłuchał go cierpliwie i nie okazał gniewu. Rysio Augustyn wcale nie był tym uradowany, spodziewał się, że proboszcz przynajmniej go zbeszta, powie, jak bardzo się na nim zawiodł i jak ciężko będzie mu zmasać piętno potwornego grzechu. Tymczasem Ambroży spokojnie kiwał głową i opowiadał mu o tym, jak wiele przeciwności i pokus trzeba pokonać, aby zostać dobrym kapłanem.

- Źródłem wszelkiego zła jest szatan. On jest chytry, podstępny, trzeba się go strzec. Musisz, Rysiu, wiedzieć, że jego moc jest najsilniejsza tam, gdzie natrafia na podatny grunt. Wtedy demon, który w nas drzemie, budzi się jak z letargu, w którym spokojnie czekał na swoją chwilę. Dziwisz się, że drzemie w nas demon? To jest zło, zło podstępnie skrywające się w cieniu, gdy nawet nie wiesz, że ono w tobie jest. I nagle wypełza w całej swej ohydzie i ty musisz stanąć z nim twarzą w twarz - mówił Ambroży, a Rysio Augustyn klęczał przy nim wsłuchany i pełen pokory.

- A ksiądz proboszcz już tak stanął? - spytał nagle i zaraz tego pożałował. O dziwo, Ambroży nie wydawał się zaskoczony pytaniem.

- Zapewniam cię, że każdy ksiądz niejedną raz toczy własną walkę z demonem - odparł. - To część naszego życia, naszego powołania. Szatan zawsze jest tuż obok, jest tak

blisko, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę.

Rysio Augustyn przypomniał sobie wikarego Waclawa - stanęły mu przed oczami umizgi księdza do koleżanek i kolegów, przypomniał sobie, jak Waclaw zachłannie wpatrywał się w niego, w dziewczyny i chłopców, jak zwracał uwagę, że młodym, stojącym piersiom nie zaszkodzi więcej powietrza, znów zobaczył siebie uciekającego z zakrystii. Teraz zrozumiał, że przez tych kilka lat właśnie to zło, o którym mówił proboszcz, było na wyciągnięcie ręki. To było zło, przemknęło mu przez głowę. On był zły, on był demonem.

- Proszę księdza proboszcza, czy księża zawsze pokonują szatana? Czy wszyscy? - spytał, mając na końcu języka imię Waclawa.

Ambroży milczał długo, podpierając brodę ręką, i wydawało się, że zamknął oczy, jakby zapadł w modlitwę, a potem uniósł głowę i spojrzał na Rysia Augustyna.

- Zdarza się, że to szatan pokonuje księży - powiedział powoli, patrząc mu głęboko w oczy. - Chcę, żebyś o tym wiedział, że nie każdy potrafi sprostać wyrzeczeniu. Są księża, których powołanie było szczere, a jednak moc złego ducha okazała się silniejsza. Później długo pokutują za to, że nie okazali się dość silni. Pamiętaj o tym, Rysiu.

Rysio Augustyn walczył z sobą, czy wyjawić proboszczowi tajemnicę Waclawa. Poczul, że na twarz występuje mu rumieniec. Proboszcz mógł dojść do wniosku, że Rysio Augustyn mu nie ufał i skrywając własne uczucia i zbrodnię popełnioną przez Waclawa, sam dopuścił się grzechu. Spuścił głowę, nie wiedząc, co począć.

- Nic nie mów - Ambroży położył dłoń na jego głowie - wiem, co chcesz powiedzieć. Nie trzeba.

Proboszcz patrzył na niego ze smutkiem i Rysio Augustyn zdumiał się na myśl, że Ambroży mógł wiedzieć o postępkach dawnego wikariusza. Czyżby naprawdę wiedział? Dlaczego na to pozwalał? Czemu go nie przegonił? Co stało na przeszkodzie? Przecież to on miał tu władzę, mógł zrobić, co chciał.

- Wiem, co myślisz, nie ukryjesz tego przede mną - usłyszał głos Ambrożego. - Musisz wiedzieć, że w życiu parafii, dekanatu, biskupstwa wszystko znajduje swoje rozwiązanie. Prędzej czy później winni będą osądzeni. Musisz wierzyć, że Kościół w swej mądrości zawsze znajduje rozwiązanie najlepsze. Najlepsze dla wszystkich, bo w oczach Kościoła każdy jest tak samo ważny.

A więc Waclaw odpokutuje, pomyślał z satysfakcją Rysio Augustyn, Kościół nie pozwoli mu więcej czynić zła. Nawet jeśli nie wyjawił tajemnicy złego księdza, to przecież wielki i mądry Kościół zadba o wszystko. Poczul ulgę. Może więc jego grzech nie był tak wielki. Jeśli Kościół wie wszystko, jeśli widzi, co kryje się w duszach jego najlepszych sług,



to także jego zauroczenie Elą Krochmal i całe cierpienie, jakie znosił, było tylko okresem próby, a teraz, kiedy już wyznał wszystko i pokazał, jak bardzo jest skruszony, Kościół otoczy go swym świętym ramieniem i umocni na dalszą drogę.

- Proszę księdza, a ja? Czy szatan mną zawładnął? Cały czas modliłem się, odprawiałem pokutę, ale to było coś... to było takie normalne, jakby takie... moje - wyznał Rysio Augustyn, składając ręce jak do modlitwy.

- To był on, szatan. I on nigdy cię nie opuści, to musisz wiedzieć. Będzie zawsze o krok za tobą, będzie podążał ścieżką, którą wybierzesz, i tylko twoja ufność Bogu i wiara mogą cię przed nim uchronić. - Ambroży patrzył na Rysia ze współczuciem i odrobiną ironii.

- To, co cię spotkało, ta dziewczyna, twoje pożądanie, to był ruch szatana, abyś sprzeniewierzył się łasce powołania. Ci, których Bóg powołuje, są najbardziej doświadczani i narażeni na moc złego. Przychodząc do mnie, dałeś świadectwo swej wiary.

- Czemu Bóg na to pozwala?

- Dobroć Boga nie ma końca. Gdybyś uleczył wszystkich ludzi na ziemi, ratując ich od śmierci, gdybyś oddał swe życie za życie innych, nie byłoby w tym nawet cząstki dobroci Boga, jaką ma on dla nas. Pamiętaj, że Jezus Chrystus nas zbawił; czy może być większe dobro? Bóg, nie bacząc na naszą marność, na nasze grzechy, widząc ogrom nieprawości i zła czynionego przez nas, ponownie przychodzi do nas z otwartymi ramionami i w swej dobroci chce nas zbawić. I daje nam coś jeszcze - wolność, dzięki której nasza wiara i poświęcenie nie są pustymi słowami. Czy jest coś większego ponad to? Ale na naszą wolność czyha szatan, to jest jego pole, na którym sieje ziarna zła. Wszystko, co musimy zrobić, to nie pozwolić im wyrosnąć.

- Proszę księdza, a czy Ela Krochmal to szatan? - spytał Rysio Augustyn i zaraz pomyślał, że zbłądził się takim przypuszczeniem.

- Nie, to słaba dziewczynka, która co najwyżej może być jego narzędziem. Ale nie jest szatanem, tak jak nikt z ludzi nim nie jest.

- Czyli szatan nią zawładnął?

- Nie wiem, ale rzadko widuję ją w kościele. Chociaż szatan jest bardzo przebiegły i trzeba mieć szeroko otwarte oczy i duszę, aby go szybko dostrzec, najważniejsze jest, Rysiu, aby w porę dostrzec go w sobie. Nie wiem, czy ta dziewczynka jest zła, czy dobra, ale ty, Rysiu, gdy będziesz odprawiał pokutę, musisz głęboko pomyśleć o tym, że w swej chytrości szatan ciebie wybrał na swe narzędzie, nie tę dziewczynę, ciebie próbował złowić.

- Ale przecież kusił mnie przez nią.

- Wystawiał na pokuszenie, bo kierował twoje oczy na jej postać, to wszystko. Skoro

byłeś bliski uległości, to znaczy, że bardzo mocno się starał. Zły duch mąci w naszym życiu, to wyjątkowy wichrzyciel, którego celem jest poniżyć ciebie i twoją wiarę, abys zaprzepścił wszystko, co wiedzie cię prostą ścieżką do Boga i zbawienia. Jego przebiegłość polega na tym, żeby wmówić i tobie, i mnie, że go nie ma, że w ogóle nie istniał, a opowieści o diable to bajki dla nieuczonych wieśniaków. Nie, nie, Rysiu, on jest - zawsze znieprawiony i deprawujący słabe dusze. Rozejrzyj się dookoła, a rozpoznasz jego knowania. Potrafi wtargnąć w twoje życie w najmniej spodziewanej chwili, ale już nigdy nie odejść i ciągle zastawiać na ciebie wyrafinowane pułapki. Popycha wtedy do rozpusty i czyni, co w jego mocy, aby cię oderwać od Boga i modlitwy. Pamiętaj jednak, że szatan nie zawsze był zły, on stał się zły, w czym wskazał drogę niejednemu człowiekowi. Tak ludzie nie są źli od urodzenia, ale później stają się tacy, kiedy poddadzą swoją wolę i duszę władzy złego ducha, a wtedy nic ich nie uchroni i giną wtrąceni w grzech.

- Dlaczego szatan stał się zły? Przecież mógł być dobry. Nie wiedział, że tak jest lepiej?

- Wiedział, z pewnością wiedział. Jednak silniejsza była jego nienawiść do człowieka.

- Do człowieka?

- Zawładnął nim grzech hybris, grzech wielkiej pychy, zazdrości i zawiści o człowieka, którego stworzył Bóg. Dlatego do dziś jego misją jest zniszczyć to, co jest wielkim dziełem Boga, zrujnować jego stworzenie.

- Ale przecież nie uda mu się, prawda, proszę księdza?

- Nasza nadzieja i obrona w wierze w Jezusa Chrystusa. Jak pisze apostoł Paweł, On też nas wyrwał z mocy ciemności i przeniósł do królestwa umiłowanego swego Syna. Męka Pańska nas ocala, Rysiu, łaska boska sprawi, że w tej walce będziemy zwycięzcami na chwałę Pana.

Tego wieczora Rysio Augustyn długo leżał krzyżem obok zwiniętego dywanu. Modlił się najlepiej, jak umiał. Zapowiedział matce, że nie zje kolacji, bo musi odprawić pokutę i pragnie, aby mu nie przeszkadzano. Ojciec zapytał trochę cynicznie, czy ma to związek ze świadectwem i trójką z biologii, czy może jakaś inna, męska przyczyna każe mu tak surowo pokutować. Nic nie powiedział na to szyderstwo, tylko pokręcił głową. Jednak trafność domysłu sprawiła, że zmarł z przerażenia. Czyżby ojciec wiedział o jego uwielbieniu dla Eli

Krochmal? To byłoby straszne. Nigdy nie dał po sobie poznać, że gryzie się chłopięcą miłością do dziewczyny, a przynajmniej wydawało mu się, że nikt o tym nie wie, a tu ojciec z uśmiechem na ustach daje mu do zrozumienia, że posiadał jego tajemnicę. A matka? Ona też wie? Nie, to niemożliwe, żeby wiedzieli o Eli Krochmal, nie zniósłby tego, że wstydu

zapadłby się pod ziemię.

Do samego rana wypraszał potrzebne łaski i przebłagalnym głosem polecał się opiece Świętej Pani, aby raczyła go wspomóc, umocnić wytrwałość w wierze i nasycić darem wstrzeźliwości na przyszłe dni i lata, prosił Jezusa o błogosławieństwo i przebaczenie grzechów, składając obietnicę całkowitego oddania się Jego Kościołowi i sprawom wiary. Żal za minione przewiny odezwał się w nim głosem mocnym, jak nigdy przedtem, wina spłynęła mu łzami po policzkach, a gdy kolejny raz odmawiał Drogę Krzyżową, Gorzkie Żale i Koronkę do Miłosierdzia Bożego, niestrudzenie powtarzał psalmy pokutne i czynił rachunek sumienia, obraz Eli Krochmal rozplątał się wreszcie, zapadając się w toń doczesnych myśli, a w jego miejscu ukazał się jasny, gorejący błękitnym płomieniem welon przypominający ogromną rzekę, w którym Rysio Augustyn złożył swoje nocne czuwanie.

Obudził się, czując potworny ból całego ciała. Nie wiedział nawet, kiedy w czasie modlitw pokutnych zasnął, leżąc na podłodze, i teraz - uradowany z tego powodu - znosił niewygodę z otwartym sercem. Mimo że Ela Krochmal pojawiła się w jego głowie, zanim zdążył na dobre wstać, miał wrażenie, jakby się narodził po raz drugi. Był to jednak dopiero początek pokuty, mającej trwać do końca liceum, podczas której Rysio Augustyn gorliwie wypełniał wszystkie posługi ministranckie, pościł, okłamując matkę, że zjada cały obiad, a w rzeczywistości pakował go do worków i nocą wyrzucał do kosza, a nade wszystko usiłował się powstrzymać od niecznych praktyk, właściwych chłopcom niepotrafiącym obronić się przed zasadzką diabła.

W ramach pokutnych czynności pozasakramentalnych najczęściej wybierał oporządzanie kościoła i jego otoczenia, pomoc w sprzątaniu plebanii, a nawet gotowanie i pranie wspólnie z gospodynią Ambrozego. Zyskiwał sobie w ten sposób coraz większy szacunek nie tylko starej kobiety, ale i organisty, i obu wikariuszy oraz najczęstszych bywalczyń świątyni - czyli grupki babć z najstarszej dzielnicy miasta. W ciągu pierwszych kilku miesięcy utrzymywania rygorów pokutnych z wielkim poświęceniem angażował się we wszelkie społeczne prace, zamiatał chodniki, czyścił okoliczne zbiorniki wodne z rozrośniętych glonów, malował płot szkolny i zostawał po lekcjach, aby pomagać w wymianie okien. I chociaż z czasem ten zapał znacznie zmalał, zawsze był gotów odpowiedzieć na czyjąś prośbę o pomoc w pracach ogrodowych lub pilnowaniu dziecka sąsiadów; był jak dobry harcerz, społecznik miłości chrześcijańskiej, boży wolontariusz.

Z mniejszą już ochotą, ale i z przekonaniem, że spełnia dobry uczynek, pomagał kolegom w matematyce i pisał za nich klasówki. Nadal uchodził za świętoszka - który nie pali i nie pije, nie opowiada kawałów i nie klnie w pasji - ale jednocześnie budził w rówieśnikach

sympatię, ponieważ nigdy nie wynosił się ponad innych. Jego grzeczne zachowanie i skromność - cechy wynikające bardziej z narzuconego sobie reżimu protokapłana niż z natury - nie rzucały się w oczy kolegom z klasy, były wyczuwane raczej instynktownie i tworzyły wizerunek chłopca miłego i przeciętnego zarazem, cichego, ale pewnego siebie i niezłomnego w przekonaniach. Każdy z kolegów interesował się głównie sobą, własnym spojrzeniem na świat i dostrzeganie niuansów wykraczało poza ich możliwości. Młodość nie zostawia miejsca na docenianie innych, nie ma na to czasu, pochłonięta sama sobą. Dlatego zarówno Rysio Augustyn, jak i jego klasowi znajomi i znajome, pozornie tworząc wspólnotę pokolenia i grupy skupionej w klasie B, w rzeczywistości żyli w zupełnie odmiennych światach, o czym w czasach swej młodości jeszcze nie mogli wiedzieć.

Rysio Augustyn lubił swoją klasę. Wiedział, że niektórzy wyśmiewają jego poświęcenie się życiu religijnemu, tym bardziej więc je podkreślał, choć robił to w sposób delikatny i tylko wtedy, gdy zaszła taka potrzeba. O tym, że zamierza kiedyś przywdziać sutannę, wiedział chyba każdy licealista z jego rocznika. Zakochane pary już wtedy, mniej lub bardziej uroczyście, zamawiały u niego ślub, jakby nie wiedziały, że pierwsza miłość prawie nigdy nie jest ostatnia. Rysio Augustyn do końca liceum obiecał udzielić ślubu kilkudziesięciu zakochanym i zyskał nawet coś w rodzaju szkolnej sławy - jest tu, między nami, Człowiek Zwany Księdzem, on ci ślub ślubuje, więc go szybko łap. Więcej było w tym żartu i znajomi nie przywiązywali nadmiernej wagi do tych przyrzeczeń, ale Rysio Augustyn dokładnie zapamiętywał wszystkich kochanków, tych oczarowanych sobą i wycalowanych na każdej przerwie, wyściskanych, stulonych gdzieś w kątach, i tych spiętych ukazywaniem się w parze, z wielkimi oczami proszących go o obietnicę jak prawdziwego księdza, nawet tych olewaczy z papierosami w gębach, którzy mimochodem rzucali pytanie w stylu - to co, Rysiek, ślub u ciebie mamy pewny?

gorliwość w wierze i znajomość niezrozumiałych dla kolegów spraw kościelnych dostarczyła mu jeszcze jednej przyjemności, jakiej zaczął doświadczać w tajemnicy przed całą klasą, a nawet kolegami ministrantami. Z początkiem trzeciego roku w liceum nadano mu przezwisko, o jakim mógł tylko pomarzyć

- Kapelan. Bardzo mu odpowiadało, bo w jakiejś mierze sam czuł się duchowym przewodnikiem swojej klasy. Ukrywał to przekonanie przed kolegami i koleżankami, wiedząc, że raczej parsknęliby śmiechem, niż bezwiednie przyznali mu rację. A jednak miał pewność swej wewnętrznej przewagi nad rówieśnikami. Konstatował ją, obserwując kontrast między własną powściągliwością i rozpasaniem innych - zarówno w czasie codziennych zajęć, jak i kilku prywatnych, na które został zaproszony. Bliskie kontakty ze sferą wiary

chrześcijańskiej, z księżmi, których duchowość oceniał najwyżej, przekonywały go z każdym rokiem coraz silniej, że tylko w grupie złączonych w wierze można spotkać umiejących kochać prawdziwie i szczerze, a bez Boga miłość ludzka wysycha, gnije, aż całkiem znika. Kto wierzy, ten kocha mocno, bez wiary miłość, nawet miłość kobiety i mężczyzny, prędko się zrywa. Dlatego klasowi chłopacy i dziewczyny wydawali mu się niezdolni do prawdziwie głębokich przeżyć. Było mu przykro z tego powodu i nieraz prosił Pana o łaskę wiary dla swoich kolegów, zatraconych w płytkich - jak to sobie wyobrażał - uczuciach.

Ponieważ Rysio Augustyn miał poza tym dziedziczną skłonność do tłumaczenia zdarzeń i zjawisk boską interwencją, fakt, że koledzy nazwali go Kapelanem, nie mógł wydać mu się zupełnie przypadkowy. W obliczu poświęcenia i ogromu wyrzeczeń stawał się znakiem, zapowiedzią wymarzonej przyszłości. Oto Bóg dawał mu kolejny sygnał łaski i woli, robił nawet coś więcej - pozwalał Rysiovi Augustynowi zasmakować duszpasterskiej chwały na długo przed wyświęceniem.

Szkoła nie przysparzała więc Rysiovi Augustynowi większych zmartwień. Rówieśnicy darzyli go sympatią. Pewnym problemem byli jedynie niektórzy nauczyciele. Widząc w nim pilnego ucznia, belfrzy mający w życiorysie epizod aktywisty próbowali w mniej lub bardziej dosłowny sposób skłonić go do większego poświęcenia się sprawom świeckim niż wydumanym przesądom. Liczyła się Polska Ludowa, a nie wymaginowana istota wyższa.

- To ty, Rysiu, chcesz księdzem być, tak? No, tak słyszałem - ironicznie podpytywał go na jednej z godzin wychowawczych rusycysta profesor mgr Rokita, zmierzając najwyraźniej do upokorzenia go przy całej klasie. - Ty byś dla kraju, dla tego miasta więcej zrobił, jakbyś na przykład został inżynierem, podobno matematykę dobrze umiesz. Budować trzeba teraz, poświęcić się dla ojczyzny, a ty co, Rysiu, inną ojczyznę wybierasz, Watykanowi chcesz służyć, a nie Polsce, co?

- Bogu chcę służyć, profesorze - odpowiedział głośno Rysio

Augustyn. Wiedział, że prawie cała klasa jest po jego stronie.

- Bogu! Hah, no, no... - Rokita strzelił palcami. - Bóg to przeżytek! Rozumiesz? Wy chyba nigdy tego się nie nauczycie. Ale powiedz mi, Rysiu, dlaczego chodzisz do tej szkoły, co? No dlaczego? Po co? Państwo, twój kraj, daje ci edukację, kształci cię, za darmo cię kształci, a ty wychodzisz ze szkoły, tej szkoły, którą dało ci nasze państwo, i odwracasz się, i chcesz nagle służyć Bogu! Bogu czy tym, co za Bogiem stoją?

Rysio Augustyn wiedział, że nie należy irytować wychowawcy, który przez trzy lata dał się poznać jako człowiek niezrównoważony emocjonalnie. Nie dość, że był porywczy i

maniakalnie wprost zasadniczy na punkcie zmieniania obuwia, to jeszcze potrafił w żywe oczy kłamać dyrektorowi szkoły, opowiadając niestworzone historie o swoich uczniach. W marynarce nosił wielki kuchenny nóż z żółtą rączką, a obcasy miał podbite metalowymi ćwiekami. Był jednocześnie gorliwym członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dumnym ze swojej legitymacji i z faktu, że studiował w Leningradzie, gdzie - jak mawiał - nauczyli go, co jest prawdą, a co głupstwem. Rysio Augustyn kilka razy padł ofiarą jego patriotycznych uczuć i złego nastroju.

- Profesorze, ja chcę służyć Bogu i ludziom, i... i profesorowi też, z Bożą pomocą - powiedział twardo, bez cienia lęku.

- Ja ci za taką służbę bardzo dziękuję. Bardzo dziękuję! - krzyknął Rokita, a żyły zapulsowały mu na skroniach jak dwa wijące sobie gniazdko kleszcze. - To już jest bezczelność! Gdzie ty jesteś? Czy to jest kościelna ławka?! - rzucił, stukając palcem w poharatany złobieniami blat, i wytoczył z siebie ponury wywód o tym, jak kler niszczy jedność narodu polskiego, którego siła przewodnia skupiona w szeregach PZPR poświęca się dla ratowania kraju przed złem zewnętrznym i wewnętrznym, złem panoszącym się w tym kraju, a udającym dobro, a potem, poczerwieniały z emocji, niemal wybiegł z sali, trzaskając drzwiami. Ledwie klasa zdążyła odetchnąć i ktoś poklepał Rysia Augustyna po plecach, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich Rokita.

- A tobie, Rysiu - powiedział głośno - dobrze radzę, zapomnij o głupotach. Zapomnij, póki jeszcze możesz. A potem na studia jedź, do Leningradu, dobrze ci radzę.

Z tymi słowami Rokita opuścił klasę. Rysio Augustyn wiedział, że poszedł do dyrektora Michalczyka, żeby się poskarżyć, i rzeczywiście, zaraz na następnej lekcji nauczycielka powiedziała mu, że dyrektor czeka na niego. Michalczyk jednak nie był aż takim zapalonym służbistą, a Rysia Augustyna bardzo lubił, zwłaszcza od czasu, gdy ten pomagał jego synowi w matematyce. Skończyło się tylko na pouczeniu, aby Rysio Augustyn nie prowokował Rokity. Dyrektor wprawdzie rządził w szkole, ale w aparacie powiatowym znacznie więcej do powiedzenia miał brat Rokity, co przekładało się na ostrożność, z jaką Michalczyk podchodził do pana od rosyjskiego.

- Rysiek, my tu sobie możemy porozmawiać spokojnie. Ale oficjalnie dostałeś ode mnie pouczenie, a teraz pójdziesz do Rokity i przeprosisz go za swoją, jak to ujął, bezczelność. Na tym sprawa się skończy, rozumiesz? - spytał Michalczyk i Rysio Augustyn wiedział, że nie ma wyboru.

Przepraszał Rokitę jeszcze kilkakrotnie. Profesor mgr za każdym razem przyjmował słowa skruchy w kwaśnym nastroju, co objawiał zaciśniętymi ustami i grubą zmarszczką,

która od pierwszych słów - izwinitie pażałsta... - ukazywała się natychmiast, dzieląc czoło Rokity na dwie suwerenne części. To mogło oznaczać tylko jedno: Rokita nie czuł się ukontentowany. Głęboka bruzda utrzymywała się jeszcze przez kilka minut, licząc od słów zamykających przeprosiny, i znikła dopiero, gdy profesor mgr rozpoczął opowieści o wspaniałościach Leningradu lub wspominał czasy, kiedy jako jedyny student miał na koncie przeczytany komplet dzieł Lenina i Makarenki, co, zwłaszcza w przypadku drugiego autora, napępiało mu pierś wielką dumą. Rokita miał w zwyczaju zadawać uczniom lekturę do przeczytania i opracowania, przy czym dobierał sobie referujących wedle uznania. Między innymi dlatego właśnie Rysio Augustyn znał Makarenkę nie gorzej niż Torę.

Życie szkolne, pomimo zagrywek rusycysty, nie było jednak dla Rysia Augustyna pasmem udręka, przebiegało zwyczajnie, od dzwonka do dzwonka, z klasy do klasy, od świadectwa do świadectwa. Szkoła była oczywiście siedliskiem wielu pokus i musiał umieć sobie z nimi radzić, ale to akurat przychodziło mu bez trudności. W owym czasie pochłaniały go biografie Ojców Pustyni i kiedy trzeba było, wzywał św. Antoniego, prosił o wsparcie wielkiego Pachomiusza lub wyobrażał sobie legendarnych mnichów dendrytów skaczących z gałęzi na gałąź, i mówił do siebie - ty też byś tak mógł. Niekiedy wyobrażał sobie, jak wiedzie życie pustelnicze gdzieś w leśnych ostępach, ma swoją małą chatkę i mieszka w niej, żywiąc się z poletka fasoli jak Thoreau pod Concord, otoczony księgami, poświęca się modlitwie i spisywaniu swych doznań. Żyje z dnia na dzień, w zgodzie z naturą, nie troszcząc się o los świata. Wpatrywał się w okno, snując swoje marzenia, ale wiedział przy tym, że powołanie, któremu się oddał, zabrania mu separacji, odejścia od ludzi w głąb mrocznego lasu. Wręcz przeciwnie - nauczony był, że kapłaństwo to służba Bogu poprzez służbę ludziom. Pustelnicstwo temu przeczy, myślał, trąci samolubstwem, jest za bardzo skierowane ku sobie, nie ku innym. Nie wolno mi tak jak pustelnicy, myślał, bo dobry ksiądz jest dobry dla innych, a pustelnik jest dobry przede wszystkim dla siebie.

Miewał dni słabości, to prawda, zdarzyło mu się upić tanim winem i pociągnąć papierosa, za co otrzymał srogą pokutę od Ambrożego. Czasem zaklął w duchu, a kilka razy ohydny wyraz wypłynął mu na usta. Małe grzeszki przeżywał później w modlitwach i tłumaczył sobie, że ma to wymiar poznawczy, bo jako przyszły ksiądz powinien się dowiedzieć, czym żyją przeciętni parafianie i co znaczą ich przewinienia.

Wszystkie te niechlubne przypadki były jednak niczym w porównaniu z przewiną, której, mimo wielu starań i wyrzeczeń, nie potrafił z siebie wyrzucić. Jego grzech największy przybrany był we wspaniały kostium, a na imię było mu Ela Krochmal.

Niczym świętą relikwią, ciągle przechowywał w szufladzie oryginał listu, napisanego

pod koniec drugiej klasy. Jakby tego było mało, aż do matury stworzył prawie setkę podobnych wyznań, choć żadne z nich nie zyskało w jego myślach blasku nienaruszalnej świętości. Wszystkie miały swoje kopie, na wypadek gdyby autor zapalał ochotę poświęcenia ich pocztowym szlakiem, ale nadal spoczywały na swoim miejscu. Pisarskie próby epistolarne, ku zdziwieniu Rysia Augustyna, niemal od samego początku zaskakiwały go postępującą śmiałością w opisywaniu coraz to nowych aspektów gorącego uczucia chłopca do dziewczyny, momentami ocierały się o bezwstyd, nic więc dziwnego, że śmiałość ta istotnie zmniejszała ochotę złożenia tych żarliwych wytworów rysioaugustynowego ducha u stóp ukochanej. Skończywszy list numer siedem, Rysio Augustyn był zupełnie pewien, że nie zdobędzie się na odwagę wysłania czegoś takiego. Pierwszy, pionierski list był niczym kryształ niewinności, wypowiedź przepojona szlachetnym i bezinteresownym uczuciem, to było piękno i dziewicza czystość w jednym. Pod koniec liceum w listach górę wzięła złowieszcza wyobraźnia erotyczna. Rysio Augustyn już nie uderzał we wzniosły ton, przestał opiewać niedotykalny wdzięk Eli Krochmal, zamiast tego nasycił listy wizjami, jakich nie powstydziliby się doświadczeni bywalec podmiejskich burdeli.

Ela Krochmal zaraz po zerwaniu z Andrzejem Młynarskim zaczęła przechodzić zadziwiającą metamorfozę. Z figlarnej trzpiotki stopniowo przeistoczyła się w pannę ogłuszającą kolegów z klasy wielką dojrzałością. Pozostała piękna i zalotna, lecz znikła cała wulgarna podlotkowatość, jaką prezentowała na sobotnich zabawach. Czuła się wolna. Od kiedy Andrzej Młynarski na dobre ulotnił się z jej życia, wreszcie mogła rozpoznać w sobie licealistkę z ambicjami, której nie w głowie harce w towarzystwie prostego chłopaka. Nie zmoży jej błagania, naręcza kwiatów, obietnice poprawy, groźby samobójcze ani obite mordy „młynarską” pięścią. Wczesne uczucie do młodzieńca na wuesce przepaliło się jak kartka papieru. Gdyby natomiast Andrzej Młynarski wiedział, jakie wydarzenie stało się iskrą zapalającą jej dziewczęcą świadomość, co wreszcie pchnęło ją do rzucenia go na dobre, nie tylko by się zdumiał, ale zapewne obiłby mordy wszystkim pracownikom ubojni, gdzie został zatrudniony. Wydawał się sobie odpowiednio doświadczony, aby podjąć próbę defloracji Eli Krochmal, do czego wreszcie, bazując na legendach o swych podbojach i powodzeniu przed laty, nakłonił ją pewnego popołudnia, pełnego siąpiącego deszczu i butwiejących liści. Poszycie leśne łagodnie przyjęło częściowo obnażone plecy Eli Krochmal i ugięło się głębiej pod dodatkowym ciężarem Andrzeja Młynarskiego. Zapewniając o swoich umiejętnościach, chłopak wbił swój zeszytniały taran w przeznaczone mu miejsce między udami wybranki. Nagły protest Eli Krochmal nie zrobił na nim wrażenia, a wręcz rozjuszył jeszcze bardziej niezadowolonego wojaka, co sprowadziło serię gwałtownych uderzeń zakończonych wreszcie



sforsowaniem przeszkody. Ela Krochmal w tej chwili zdała sobie sprawę, że zabrnęła za daleko. Wykrzyknęła któryś raz z rzędu - Nie!, ale jej ukochany właśnie zatopił swój organ aż po nasadę i nie słyszał już nic. Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął całym jej ciałem. To miało być nie tak, nie tu, i - cholera - nie, jednak nie z nim! - pomyślała, próbując zrzucić napierające na nią męskie ciało. Andrzej Młynarski po kilku minutach wreszcie opróżnił jej wnętrze i - zwinąwszy się w kłębek - pozwolił sobie na samotne dokończenie strzelistego aktu.

Ubrała się i nie czekając na niego, uciekła do domu. Nie mógł zrozumieć, co się stało, ona natomiast nigdy nie podała powodów decyzji o zerwaniu. Jeszcze tego samego wieczoru zakomunikowała mu najzwyczajniej, że między nimi koniec, i że nie ma na co liczyć. Andrzej Młynarski nigdy nie miał pojąć, co takiego zaszło w jej umyśle, że postanowiła odrzucić go na zawsze.

Rysio Augustyn z zadowoleniem obserwował przemianę Eli Krochmal. Czuł się dumny, że obdarzył miłością ziemską istotę tak mądrą i dojrzałą. Pogodziwszy się z tym, że jego uczucie na zawsze pozostanie utajone i nigdy nie znajdzie spełnienia w ramionach ukochanej, postanowił z ukrycia notować oznaki jej rozwoju. Niewysłane listy z ostatnich miesięcy liceum zawierają całe wyliczenia symptomów metamorfozy. Wiedział jednak, że nieobowiązująca obserwacja nie potrwa długo. Przyszedł czas letnich egzaminów na studia. Zaraz po maturze Ela Krochmal znikła mu z pola widzenia. Zaszyla się głęboko u siebie i poświęciła przygotowaniom do egzaminów. Przechadzał się czasami przed jej blokiem, powtarzając jednocześnie wiedzę biblijną. Seminarium wszak już na niego czekało. Nie roztkliwiał się nad sobą nadmiernie i był przekonany, że w skrytym, platonicznym uczuciu nie ma nic złego, a wybór życia w kapłaństwie nie jest w żaden sposób zagrożony.

I tak miało zostać.

Jako chłopak prawie dorosły, wsiadając do pociągu, który miał go wywieźć na kapłańskie wyżyny, Augustyn odjeżdżał z wiarą, że któregoś dnia, już jako pełnowartościowy ksiądz, powróci w te strony, aby pomagać ludziom w codziennych troskach i przynieść im Jezusa Chrystusa na tacy; może czasami, w wolnej chwili, przejdzie pod domem Eli Krochmal, wspominając swoją gorączkową pisaninę i chłopcę miłość, może kiedyś nawet zapuka po kolędzie.

Odjechał po to, aby włożyć swoją pierwszą sutannę, jeszcze tego samego roku. Strój, jakiego pragnął, o którym marzył, nareszcie okrył jego ciało. To był moment wielkiej chwały. I nagle cała powaga chrześcijaństwa wtopiła się w Augustyna, przeszyla go strzałą prawdy o niezmiernej sile, z gwałtownością tornada. Dopiero wtedy, w chwili nałożenia na siebie tego

pożądanego i zagadkowego stroju, młody kleryk zrozumiał ciężar, z jakim przyjdzie mu się mierzyć przez wszystkie nadchodzące lata. Szatan jest zawsze obok, na wyciągnięcie ręki, przypomniawszy sobie słowa Ambrożego, i zrozumiał je w całej pełni. Kładąc się tego wieczoru w swoim pokoju, współdzielonym z dwoma alumnami, już wiedział, że szatan chowa się za sutanną, że właśnie tam ściele sobie najwygodniejsze legowisko, a on - Augustyn - jest dla niego słodkim wyzwaniem, niemal sprawdzianem mocy.

Od tamtej pory minęło wiele lat i Augustyn, przyglądając się z balkonu swoim wikariuszom, zastanawiał się, gdzie szatan uwił sobie leża, którędy zechce do nich dotrzeć, jakie są ich słabe strony, czy uda im się zachować czystość, czy się nie ulękną... Łysina przy łysinie, marynarka przy marynarce - cóż, nowoczesność, dumiał Augustyn, w czasach gejowskich parad, ślubów lesbijek, może to i lepiej, może tak ma być, że oni dupami kręcą i czaszkami świecą jak latarnią, zamiast po bożemu nosić sutannę.

Augustyn, obcując od miesięcy z klerykalną młodzieżą, zauważył jeszcze jedną, niesłychanie go deprymującą rzecz: ich wiara różniła się od jego wiary. Niby wszystko było podobne, mówili tym samym językiem, tak samo wyznawali, ale to była wiara bez miłości. Może to też taka moda jest, dumiał ksiądz Augustyn, nawet Kościół się przed tym nie uchroni. Przypomniawszy sobie, jak przyszedł z wizytą do pewnego domu, a gospodarz nie wyłączył telewizora. W pierwszej chwili Augustyn zamierzał go upomnieć, ale potem postanowił zobaczyć, co emitują na kanale MTV. I to była właśnie moda, sama moda: moda na wirujące półdupki w co drugiej sekwencji teledysków, rozchełstane biustonosze, mdlącą wibrację brzuchów, węzowe ruchy ciał. Ci moi wikariusze idą za modą, pomyślał, teraz ksiądz musi być modny po świeckiemu.

Zamknął okno i z ulgą osunął się na łóżko. Potrzebował teraz chociaż godziny odpoczynku, zanim na południowej mszy zacznie opowiadać o wspaniałości relikwii i mocy, wytryskającej z niej ku chwale Pana.

- Inną modę tu zaprowadzimy - powiedział do siebie z uśmiechem.

## Rozdział 3 - Święty

Proboszcz Zygmunt Koral spozierał przed siebie, jakby patrzył w królestwo Boże. Jego wzrok ślizgał się, łagodnie muskając głowy najwyższych mężczyzn. Duszpasterz co raz unosił się na palcach, aby mocniej podkreślić wzniosłość przekazu i powołać wiernych do szczerzej modlitwy.

Przezroczyista skrzynia ze szczątkami świętego Dominika Savio stała na poświęconym stole. Chłopiec wyglądał jak żywy.

- Wierzę w jednego Boga, stwózciciela nieba i ziemi... - zaintonował proboszcz i natychmiast ruszyło wspólne odmawianie. Cały kościół wypełnił się rytmiczną melorecytacją w wykonaniu kilku setek stłoczonych ludzi.

Nagle natchniona od dłuższego czasu twarz księdza Zygmunta zabarwiła się purpurą, a palce zbieleły od bogobojnego uścisku. Jego wzrok padł na zgarbioną postać Augustyna, próbującego przedrzeć się między ministrantami i zająć miejsce koncelebranta. Zwalisty duchowny gramolił się między ołtarzem i drugim szeregiem służby jak śmiertelnie poraniony niedźwiedz i Koralowi strach aż zaparł modlitwę na myśl, że jego kolega proboszcz za chwilę padnie na posadzkę albo, nie daj Panie Boże, runie swym cielskiem na cudowną szkatułę z ciałem świętego.

O, Boże, za co, za co? - pomyślał i uświadomił sobie ze zgrozą, że cała jego dusza płonie nienawiścią.

- Znowu piłeś - szepnął, kiedy Augustyn zajął miejsce tuż przy nim. - Spóźniasz się!

- Sprawa niezwyklej wagi, wybac. Ale po mszy, po mszy... - odparł zupełnie trzeźwym głosem Augustyn i ustawił się obok Korala.

Obaj zatopili się w modlitwie.

Kościół tonął w mroku. Pierwsze rzędy, tuż przy świętym, zajmowali dygnitarze miejscy z panią burmistrz Krystyną Cieślik, starostą Romanem Pałuchą i posłanką Zenobią Ciszewską. Grupa radnych i pomniejszych gości reprezentacyjnych skupiła się za nimi. Proboszcz Koral z dumą prowadził celebrę, regularnie ozdabiał twarz cierpiętniczą miną, wiedząc, że trafia w gusta przycupniętych dziennikarzy z aparatami. To był jego dzień. Już jutro cała Polska usłyszy o niecodziennej mszy, o świętym specjalnie sprowadzonym z zagranicy, o jego wielkich czynach i uświęceniu tej ziemi.

- Ale to tylko plastikowa kukła - powiedział mu rano jakiś młody dziennikarz z „Wyborczej”. - Czy ksiądz nie sądzi, że to rodzaj bałwochwalstwa?

Głupiec. Dlaczego prasa musi się składać z debili? - pomyślał Koral.

- Niech pan spojrzysz na ten krucyfiks, no niech pan spojrzysz. Czy to jest dla pana kukła bez znaczenia? Nie? A może jednak? Nie będę odpowiadał na pańskie pytania, skoro nie potrafi pan zachować minimum przyzwoitości. Dziękuję, my mamy swoje gazety, nasi dziennikarze przynajmniej orientują się w tych sprawach - powiedział z drwiną i pożegnał natręta.

Ten sam dziennikarz właśnie fotografował uduchowione oblicze proboszcza Korala, który zdawał sobie sprawę, że następnego dnia w Polskę popłynie informacja o wydarzeniach w jego kościele. Mit świętego chłopca rozejdzie się po całym kraju, a miasto, parafia i w ogóle wszyscy będą słuchać, co też proboszcz ma do powiedzenia. I ziemia się uświęci trochę, posłanka coś wysupła ze swojej głębokiej kiesy. To w końcu tę ziemię, to miasto święty chłopczyna w swej podobiznie nawiedził, a to osobliwość wielka, nie na miarę nawet tego małego kościoła, ale czołowych świątyń w kraju.

- Aaaaameeeeeeen - wyśpiewał tłum i proboszcz zaczął piękną mowę o cudownym chłopcu, który umierając w wieku kilkunastu lat, dał dowody rzadkiego poświęcenia. Mówił długo o kulcie świętości tego dziecka, o cudownych właściwościach jego ciała, i wreszcie rozwiódł się o tym, jak wiele z tych cech wsączyło się w misternie wykonaną figurę chłopaka, poświęconą w samym Rzymie przez papieża. Wyrzeźbiony młodzieniec leżał teraz przed oczami wiernych, chroniony przezroczystą szybą, ręce wyciągał ku górze.

Tłum słuchał w skupieniu. Ludzie upojeni perorą proboszcza zwarli się jeszcze bardziej, jak gdyby przejęci trwogą w konfrontacji z nadludzkim sacrum. Czekali niecierpliwie, aż Koral pozwoli im w końcu przejść tuż przed szybą, przeżegnać się nad tą naturalnych rozmiarów figurą i uronić łzę szczerego chrześcijańskiego żalu.

Augustyn spokojnie wyczekiwał końca uroczystości. Jeszcze godzina, góra półtorej, i będzie po wszystkim, pomyślał. Czuł się nieco słabo z powodu rannej dawki koniaku. Tym razem nieco przesadził, o jeden kieliszek za dużo. Ale to przecież nic złego, jeśli w imię wiary i Pana Jezusa Chrystusa, i parafian zabłąkanych jak ślepe dzieci w ciemnościach lasu. Pan odpuści taką słabość, Pan tę słabość nagrodzi.

- Módlmy sięęę - zaintonował Koral. Parafianie zaczęli

„Panie, nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie”, i w tej chwili gdzieś z drugiego rzędu ogłuszył wszystkich rozdzierający płacz dziecka. Krzyk wgrzył się w modlitwę jak łakomy drapieżnik w żywe mięso, a jej kolejne słowa zawisły w niebycie. Na twarz Korala wystąpił purpurowy cień, który następnie zmienił się w grymas zgorznienia, a wzrok księdza przeszył tłum zgromadzonych jak sztylet. Kapłan nie po to się trudził, sprowadzał telewizję,

radio, prasę - całą znieawidzoną czeredę libertyńskich sługusów, dbał o najmniejszy detal uroczystości, żeby jakiś bachor wszystko niweczył.

Augustyn, odruchowo klepiąc modlitewne frazy, spojrział w tamtym kierunku. Młoda Inga Krupińska nadaremnie próbowała uciszyć swego synka. Wreszcie wstała i z dzieckiem na rękach wyszła z kościoła. Parafianie odetchnęli, modlitwa nie napotkała już żadnych przeszkód i rozlała się gęstą falą po wszystkich zakątkach kościoła.

W tej chwili wzrok Augustyna powędrował nieco w bok, gdzie natknął się na badawcze spojrzenie Elżbiety Rymanek.

A ona czego tu chce? - pomyślał.

Relikwia, cholera? - przemknęło mu jeszcze przez głowę. Może to naprawdę emanacja na odległość? I oto bluźnierczyni już siedzi w pułapce.

- Aaaaameeeen - wyśpiewali wierni, a Koral uczynił znak krzyża, czego tuż po nim dokonał koncelebrant. Zadzźwięczały dzwonki i parafianie padli na kolana.

Nie, to niemożliwe - ciągnął rozmyślenia Augustyn - niemożliwe, żeby ona była w stanie uwierzyć. Przyszła ze względu na burmistrzową, aby pokazać, że też przejęła się wizytą świętego. W wyborach do Rady chce wystartować z jej listy kandydatów, i to nie na drugim lub trzecim miejscu.

Elżbieta Rymanek uważnie wpatrywała się w Augustyna, na moment lekko uniosła brwi, jak gdyby zapowiadając pretensję, z którą - tak przyszło mu na myśl - najpewniej uda się do niego po mszy. Nie był specjalnie ciekaw, co mu tym razem zarzuci. Wolalby raczej utrzymać ciągnący się od kilku lat stan nierozmawiania ze sobą. Tak było najwygodniej, to nic nie kosztowało i było gwarancją spokoju.

Musiał odwrócić głowę w kierunku figury chłopca, bo Koral wznosił się w tej chwili na najwyższe stopnie skali swego głosu.

- Ten chłopiec opuszcza nas dzisiaj! Ale zostawia część swego świętości tu, w naszym kościele! Na naszej ziemi! Kochani, to już nie będzie ta sama ziemia!!! - wołał Koral, unosząc ręce nad skrzynią ze sztucznym chłopcem. Wszyscy ministranci otoczyli ją półkolem i jak aniołki złożyli dłonie z możliwie niewinnymi minami, w środku Koral z Augustynem wzniesli ręce, a z wysoka napłynęły ciężkie dźwięki organów, rozpoczynające Pobłogosław, Jezu drogi. Zgromadzeni wierni natychmiast podjęli pieśń. Cały kościół rozbrzmiał sakralną muzyką. Melodię podchwycili zebrani przed drzwiami świątyni i pobliskie ulice wypełniło niemrawe zawodzenie setek głosów.

Koral niestrudzenie pobudzał rwącą się momentami pieśń. Jego czysty głos ani na moment nie przygasł i z łagodnością aksamitu znowu ciągnął uroczystość do przewidzianego

końca. Proboszcz był w swoim żywiole. Czujnie nadawał ton pieśni. Świetnie wiedział, czego oczekują od niego ludzie w kościele, i dokarmiał im dusze, jak przystało na przewodnika starych i młodych. Wnosiło to radość w serca pobożnych mieszkańców. Z podziwem i zaufaniem podążali za słowami swego charyzmatycznego księdza. W środku jednak Koral płonął z gniewu, bo Augustyn - którego w przyływie niepotrzebnej dobroci serca zaprosił do wspólnego poprowadzenia mszy - nie dość, że śpiewał jak ochryply kocur, to jeszcze podejrzanie chwiał się nad szkatułą i w niczym nie pomagał podczas celebry. Koral nie zdawał sobie sprawy, że jego kolega z sąsiedniej parafii, o ile początkowo bardzo się starał zatrzeć nie mile wrażenie po swym spóźnieniu, o tyle teraz był myślami w zupełnie innym miejscu i świecie. Właśnie próbował rozgryźć zagadkę obecności Elżbiety Rymanek na mszy świętej i zatopiony w tej łamigłówce, zachowywał się zupełnie jak automat zaprogramowany na określoną czynność. Śpiewał cicho, lekko fałszując, czego, z powodu swej muzycznej głuchoty, nie mógł wiedzieć. Irytacja Korala przybierała na sile z każdą minutą. W końcu zaowocowało to uniesieniem mięśni lewego policzka i zmrużeniem powieki. Zwykła w chwilach wściekłości reakcja mimiczna proboszcza nie uszła uwagi wikarego Mariusza, stojącego obok łysych wikarych Augustyna i kilku ministrantów znajdujących się po przeciwnej stronie skrzyni. Wikariusze jedynie spojrzeli po sobie, kryjąc w sercach przeczucie awantury na wieczór, ministranci zaczęli się szturchać porozumiewawczo. Natychmiast wychwycił te kompromitujące ruchy Maurycy Pluta, ojciec bliźniaków służących do mszy. Od samego początku obserwował zachowanie synów i właśnie zaczął wpadać w gniew. Uniósł prawą rękę do ucha i ścisnął górną część małżowiny. Jego żona zauważyła ten ruch i z przerażeniem zdała sobie sprawę, co ich czeka po powrocie z kościoła. Spuściła głowę, przestając śpiewać. W ten sposób stała się trzecią osobą w kościele, która nie zanosila się pieśnią. Tą drugą była Elżbieta Rymanek, stojąca w drugim rzędzie. Co kilka chwil zerkala na Augustyna, zmagającego się z fizycznym zmęczeniem. Nie znała słów utworu, nie znała melodii, nie zależało jej na tym, aby cokolwiek udawać. Śmiało, z uniesioną głową, nieomal wyzywająco - nie śpiewała. Postanowiła skupić uwagę na w miarę bezbolesnym przetrwaniu mszy.

Pierwszą milczącą postacią był święty Dominik Savio za ochronną szybą. To dla niego mieszkańcy miasta tłoczyli się gęsto, słuchając wzniosłych mów księdza Zygmunta, jemu oddawali w opiekę swoich synów. A on leżał cicho i unosił ręce, jakby dostrzegał coś niewidzialnego i pięknego zarazem, i wszyscy wiedzieli, że ten zmarły w wieku kilkunastu lat Dominik Savio właśnie idzie do swego Pana. Niektórym wzruszenie odbierało mowę, inni nie mogli opanować szlochu, jeszcze inni zachowywali się spokojnie, ale pobladłe twarze i

nieruchomy wzrok dowodziły niezbitcie napięcia, jakie im od początku towarzyszyło.

Przybyłe z Włoch relikwie młodzieńca posiadały ogromną siłę przyciągającą i mieszkańcy miasta poddali się jej z rozkoszną wiarą i radością. Chłopca zaraz po śmierci wyniesiono na ołtarze, więc nadnaturalna moc znajdujących się w skrzyni szczątków była czymś zupełnie oczywistym dla każdego człowieka, który mijał skrzynię, zanosząc się płaczem.

Augustyn w końcu doszedł do wniosku, że nie potrafi z całą pewnością stwierdzić, dlaczego Elżbieta Rymanek przyszła dziś do kościoła. Było to zbyt niezwykle, postanowił więc zdać się na los i odczekać do końca celebry.

Coś tu się święci, pomyślał.

Odrzucił wspomnienia niebezpiecznie pełnzące ku przeszłym i zadawnionym sprawom i trzeźwym wzrokiem popatrzył na chłopca za szybą, swego idola sprzed lat. Śpiew zamarł. Augustyn opuścił ręce, słyszał, jak Koral modli się o wstawiennictwo dla wszystkich młodych chłopców i specjalną opiekę nad ministrantami, prosi, aby święty młodzieniec dodał im sił w wyborze słusznej drogi. Uśmiechnął się pod nosem, przypomniał sobie, jak Ambroży dawał mu za przykład życie świętego i w tych samych niemal słowach uzmysławiał powinność unikania grzechu.

No cóż, taki jak ty nie byłem i za późno na zmiany - pomyślał Augustyn i przebiegł wzrokiem szereg ministrantów naprzeciw. Westchnął ciężko. Zawsze to samo, to samo błoto, białe postacie o brudnych duszach, chłopcy przychodzący z beznamiętną posługą. Ten widok od lat napawał go smutkiem. Nie, tu też nie było nikogo na miarę bezgrzesznego, pobożnego ministrancika. Patrzył na twarze swoich następców i ze smutkiem notował głupotę malującą się w ich oczach.

Ministranci, Boże, co za pośmiewisko, jakie puste, tępe głowy nad tym ołtarzem, myślał z goryczą, dlaczego Tobie, Jezu, takie barany muszą usługiwać? Nie masz na świecie dobrych chłopców? Przecież to nie o takich chodzi.

Ostatnia modlitwa Korala, choć długa, wreszcie dobiegła końca. Pozostało mu tylko uroczyste pożegnanie i będzie po wszystkim. Proboszcz odszedł od ołtarza i stanął nad szkatułą. Wierni wstrzymali oddech. Koral od razu wyczuł podniosłość chwili. Wiedział, że parafianie oczekują od niego pełnej i nietuzinkowej adoracji. I zamierzał dać im to, czego chcieli. Rozłożył ramiona, jakby mierzyl się na niewidzialnym krzyżu, głowę odrzucił w tył i cały wygiął się niczym napięty łuk, zwracając twarz ku sklepieniu prezbiterium. I wtedy potężne uderzenie organów spadło na tłum jak ciężka płachta. Kilka parafianek westchnęło ze wzruszenia, niektórym starszym panom w oczach zaszklily się łzy. Rozkrzyżowany

proboszcz nad uświęconą skrzynią, otoczony miazdzącą muzyką - dla niektórych było to zbyt mocne przeżycie. Pierwsze rzędy padły na kolana jak podcięte chłopską kosą i Elżbieta Rymanek, chcąc nie chcąc, uklękła razem z innymi. Za chwilę już wszyscy w kościele, a potem ci na zewnątrz klęczeli z zapartym tchem, jakby czekali na coś niezwykłego, jakieś nadnaturalne wydarzenie, boski znak z rąk proboszcza. Niektórym zaświtała uroczą myśl o zmartwychwstaniu nieskalanego chłopca, który - aż chciało się to zobaczyć - wstaje nagle i aureola świeci mu nad głową, a on obejmuje księdza, potem błogosławi wiernych, tych oddanych i dobrych ludzi, schodzi ku nim i gładzi sumienia samym wejrzeniem, uśmiechem, i naprawia błędy ministrantów, usuwa ich chłopięce słabostki i wpaja prawdziwą wiarę w ich chłonne dusze. Maurycy Pluta z bijącym sercem wpatrywał się w figurkę za szkłem, choć wiedział przecież, że taki cud się nie zdarzy. Ileż by dał, żeby jego kochani chłopcy uwierzyli tak, jak on wierzył, i gdyby jeszcze chociaż jeden z nich na księdza poszedł, ileż on by za to dał. Ujął rękę żony i przytulił ją do siebie.

Koral zaczął odczuwać ból w krzyżu. Wyginał się już dobre dziesięć sekund i każda kolejna była coraz gorsza.

Czemu nic nie robią? - przemknęło mu przez głowę. Wiedział, że cyfrowych lustrzanek było co najmniej kilka, i znał miejsca, w jakich poustawiali się pstrykacze. A tu cisza, nic. Żadnego klapnięcia.

Co oni, poszaleli? - pomyślał, czując, że dłużej nie wytrzyma, bo albo mu kręgosłup pęknie, albo zemdleje z bólu.

Wreszcie do jego uszu dotarł charakterystyczny trzask, a oczy zarejestrowały światło flesza. Dziennikarze teraz złapali za aparaty, ale Koral nie był w stanie wyginać się dłużej. Chciał powrócić do pionu, gdy nagle poczuł, że coś w dolnych kręgach nie chce go puścić, a jego ciało niebezpiecznie przechyla się do tyłu.

O kurwa! - pomyślał.

W tym momencie mocna dłoń Augustyna przytrzymała go pod plecy. Usłyszał, jak wierni wydają z siebie głośnie - aaach! i muzyka organów urywa się tak nagle, jak się zaczęła. Augustyn wsparł go mocniej, niemal przysiadając w kucki. Koral mógł się wreszcie wyprostować. Chwiał się jeszcze, kiedy cały tłum wydał kolejne „aaach”, tym razem pełne ulgi.

Ktoś z tyłu zaklaskał, ktoś z drugiej nawy odpowiedział tym samym, zupełnie jakby księża wspólnie wykonali właśnie ekwilibrystyczny numer na arenie cyrkowej. Jedynie święty chłopiec i Elżbieta Rymanek zbagatelizowali chwilę grozy. On spoczywał płasko, nie zwracając uwagi na przebieg zdarzeń, ona - przyklękawszy na jedno kolano - odgrywała rolę



wiernej parafianki z wyrazem znudzenia na twarzy. Przeraziła ją głupota całego przedsięwzięcia, naiwność zebranych mieszkańców i hochsztaplerstwo tutejszych księży. Patetyczne pozy Korala skwitowała ledwie skrytym parsknięciem.

- Nie wierzę, to po prostu niemożliwe, skandalista Larry Flint dosłownie - mruknęła do siebie, wbijając wzrok w przechyloną postać proboszcza. Gdy Augustyn podparł go i uratował od upadku, syknęła - nie no, to kpina w żywe oczy. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że wszystko zostało wyreżyserowane, a proboszczowie jedynie sprawdzili się w roli cyrkowych błaznów.

Kiedy Augustyn, jęcząc z wysiłku, przyjmował na siebie ciężar dążącego ku posadzce Koralego ciała, musiał odwrócić głowę i znów napotkał spojrzenie Elżbiety Rymanek. Drwiącym uśmiechem dawała mu do zrozumienia, jak komicznie wygląda ich pretensjonalna poza. Augustyn ściągnął brwi, chcąc okazać dezaprobatę dla jej ateizmu i cynicznego zakłamania przed ołtarzem, aż wreszcie odczuł, że Koral jest w stanie samodzielnie stać. Sam też się wyprostował i złożył ręce do modlitwy. Widział, jak Elżbieta Rymanek kręci głową i wykrzywia usta, wlepiając w niego znaczące spojrzenie jasnych oczu.

Koral lekko ścisnął mu ramię. Cześć i honor sutanny zostały uratowane. Mimo to nie był do końca pewien, czy te prasowe potworki nie opiszą zdarzenia na swój podły sposób. Zbliżył się do mikrofonu.

- Pożegnajmy naszego wielkiego gościa. Wielkiego duchem i wiarą, choć małego krótkością swego życia. Nie było mu dane żyć tak jak większości z nas i tylko Bóg wie, jaki wyrósłby z niego święty mąż. Kochani, odejdźcie w pokoju Chrystusa i niech was błogosławi Bóg Ojciec, i Syn, i Duch Święty.

Proboszcz Koral pozostał na swoim miejscu, odsunął się tylko od mikrofonu, starał się uśmiechać, ale widać było, że zmagają się z narastającą złością i bólem pleców. Podeszedł do niego ministrant, jeden z bliźniaków Maurycego Pluty, ale Koral tylko pokręcił głową i odesłał go z powrotem. Przed szkatułą zaczęli przesuwac się ludzie. Augustyn rozpoznawał swoich parafian. Pozdrawiali go skinieniem głowy. Dostrzegł Janusza stojącego z tyłu, nieopodal konfesjonału. Chłopak na moment przyknął oczy, jakby chciał mu powiedzieć, że wypełnia swą misję z powodzeniem i bez trudności. Nie musiał tego robić. Augustyn dobrze wiedział, że wiadomość o relikwii zaczyna się rozchodzić między ludźmi.

Tłum stopniowo opuszczał świątynię. Jak ogromny płaz, jak żywa istota przemieszczająca się leniwie, ale twardo, sunął ku wyjściu.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, co ty robisz? - Koral zadał to pytanie, krzywiąc się i rozcierając dolną część pleców. - Nie ma cię na mszy, nie odbierasz telefonów... twoja Hela

nie wie, gdzie jesteś... w ogóle cię nigdzie nie ma! Chcesz mi zaszkodzić? Pograżyć mnie?

- Posłuchaj... - zaczął Augustyn.

- To ty posłuchaj! Ja nie będę tego tolerował. Wiesz, co by było, gdyby przyjechał dziekan albo biskup?

- Może nie tutaj, dobrze? - Augustyn zatoczył krąg ręką. Wciąż stali przed szkatułą świętego, która już za godzinę będzie w drodze do kolejnego miasta.

- Proszę księdza, czy my już możemy iść? - wtrącił jeden z ministrantów.

Koral spojrział na niego przelotnie i skinął głową. Rozejrzał się wokół i ruszył w kierunku bocznego wyjścia. Wyszli na listopadowy ziąb i stanęli przed skrzydłem transeptu.

- Mam teraz ważniejszą rzecz do zrobienia. Spóźniłem się, ale byłem na miejscu - zaczął Augustyn.

- Mówisz o tych kościach, co znaleźli w twoim kościele? Słyszę, co ludzie gadają, przecież to nieprawda, to zwykła lipa.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Rób, co chcesz, ośmieszaj się, jak chcesz, to twoja sprawa.

- Nie ośmieszam się.

- Nie? To zobaczysz za tydzień, dwa, jak tu przyjedzie ktoś z kurii, a może z jeszcze wyższej instytucji. To mnie zresztą nie obchodzi. Ja byłem cierpliwy, naprawdę, ale po tym, co wyprawiałeś dzisiaj, mam już dosyć. - Koral zawiesił głos, czekając na pierwsze słowa usprawiedliwienia i przeprosin.

- Masz dosyć? - Augustyn bardziej stwierdził, niż spytał. Koral milczał.

- Masz dosyć? - jeszcze raz cicho spytał Augustyn.

- Powiem wprost. - Koral westchnął głęboko. - Od kilku lat mam dosyć twojego podejścia do naszej posługi. Twojej nierzetelności, pięknoduchostwa i beztroski. Kiedyś byłeś inny, ale to było kiedyś. W moim przekonaniu, wybac, że muszę to powiedzieć, działaś na niekorzyść Kościoła, na jego szkodę. I wiem z pewnych źródeł, że kuria coś z tym zamierza zrobić.

- Wiesz z pewnych źródeł?

- Z bardzo pewnych.

- Czy może sam jesteś źródłem?

- Co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że jesteś bezwstydnym donosicielem.

Koral zacisnął wargi. Już wiedział, że niepotrzebnie się uniósł i być może powiedział o kilka słów za wiele.

- Nie powinieneś mówić do mnie w ten sposób, po tym, jak cię poprosiłem o koncelebrację.

- To żadna przyjemność.

- Ach, więc... tak?

- Tak.

- Szczęść Boże naszym proboszczom. - Trzy starowinki właśnie mijały obu księży. Z uśmiechami na twarzach wszystkie złożyły im piękne ukłony. - O, jak to rzadko, żeby nasze księża tak razem odprawiali - jedna z nich wyraźnie miała ochotę na rozmowę.

- Szczęść Boże, szczęść Boże - odparli jednocześnie, nie wdając się w dialog.

Kobiety chyba zauważyły, że proboszczowie nie życzą sobie towarzystwa, i nie przestając się uśmiechać, poszły dalej. Ale z drugiej strony kościoła już pojawiła się druga grupa wiernych.

- To nie jest miejsce na tę rozmowę. Zadzwoń jutro. Spotkajmy się i porozmawiamy, dziś obaj mieliśmy ciężki dzień - zaproponował Koral.

- Wszystko mi jedno, czy zadzwonisz - odparł Augustyn.

- Zadzwoń na pewno, tymczasem wracajmy, zaraz będą wynosić szkatułę. Chodźmy. - Koral ujął go pod ramię.

Augustyn uwolnił się stanowczo.

- Nie, raczej nie - powiedział. - Chcę już wracać do siebie. Księża z mojej parafii zostaną, tak obiecali.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem - ciągnął ugodowo Koral.

- Bardzo mnie zmęczyła ta końcówka mszy, jeszcze czuję ból w krzyżu. Wybacz, jutro o tym porozmawiamy.

- Szczęść Boże księżom proboszczom.

- Szczęść Boże, szczęść Boże.

Koral wyciągnął dłoń i Augustyn uściskał ją z wahaniem.

- Powiedz mi prawdę, o co chodzi z tą relikwią? Co to za kości? Co ty rozgłaszasz po mieście? - spytał Koral.

- Prawdą jest wszystko to, co słyszysz. Mamy do czynienia z objawieniem się mocy Pańskiej - z celowym patosem odparł Augustyn.

- Aha, no dobrze. - Koral popatrzył na niego spode łba.

- Do zobaczenia, zadzwonię jutro.

Z tymi słowami proboszcz zniknął w drzwiach kościoła. Augustyn patrzył przez moment w nieruchomą kłamkę. Czuł, że wiatr targa jego sutanną i wnika pod spód. Zadarł głowę i

wpatrzył się w gwiazdozbiory nad kościołem. Układały się pięknie wokół Gwiazdy Polarnej, migocząc na przejrzystym niebie. Augustyn z przyjemnością chłonał ziąb. Przymknął oczy i prześledził w pamięci rozmowę z Koralem. Nawet nie był zaskoczony własną pewnością siebie, nie wstydził się otwartości, z jaką wygarnął, co o nim myśli. Najwyższy czas dać sobie spokój z subtelnościami, zwłaszcza wobec takich jak on.

Powoli ruszył naokoło absydy w stronę zakrystii, gdzie zostawił kurtkę. Zimno szybko zaczęło dawać się we znaki.

W końcu się doigram - pomyślał gorzko, ale jakoś nie zrobiło mu się smutno z tego powodu.

Elżbieta Rymanek stała tuż przed drzwiami zakrystii. Paliła nerwowo. Na widok Augustyna natychmiast ruszyła w jego stronę. Zrozumiał, że czekała właśnie na niego.

- W co ty pakujesz Janusza? Co? - spytała bez ogródek, wydmuchując dym niemal w jego twarz.

- Ela... to wszystko...

- Nie chcę, żeby mój syn mieszał się w te sprawy. Rozumiesz? Robi z siebie pośmiewisko. Nie widzisz tego? Co to za dyrdymały o jakiejś relikwii, kościach? Rysiek, czy ty zdajesz sobie sprawę, co robisz?

- Janusz zawsze był bardzo blisko kościoła, wiesz o tym, i to wbrew tobie, więc co chcesz, żebym zrobił? Zabronił mu? On sam się angażuje.

- Ale ja tego nie chcę! Nie po to robię wszystko, żeby miał jakiś start w życiu, żeby teraz słuchać, jak brnie w jakąś bzdurę.

- Nie możesz mu zabronić przychodzić na plebanię.

- Nie mogę. Ale mogę zrobić coś innego - nie dokończyła zdania, jakby chciała zostawić w domyśle coś, o czym Augustyn bardzo dobrze wiedział.

Domyślił się, że Ela nie żartuje. Energicznie przydeptała niedopałek i zaczęła zapinać czarny płaszcz.

- Jeżeli nie dasz spokoju mojemu synowi, skończy się to w kurii - powiedziała. - Skończy się dla ciebie źle.

- Nie rozumiem, co... co niby się skończy?

- Ty się skończysz, Rysiek. Ty. Na zawsze.

- Zaczekaj, porozmawiajmy o tym, wytłumaczę ci...

- Już kiedyś rozmawialiśmy, tu nie ma nic do dodania. To jest mój syn. Mój! I nie pozwolę, żebyś mu marnował życie. Otumanieś go, bo nie poświęciłam mu czasu, bo go nie obroniłam przed waszymi metodami, nie zareagowałam odpowiednio wcześniej, gdy był

ministrantem. To mój błąd, którego więcej nie popełnię.

- Ela, posłuchaj, to, co się właśnie dzieje, to coś niezwykłego... to ważne dla nas, dla całego miasta, a nawet więcej. Wy tego jeszcze nie rozumiecie. To prawdziwa, wspaniała relikwia, to odmieni życie, moje, twoje, Janusza, wszystkich...

- Albo jesteś szarlatanem i sądzisz, że uda ci się z ludzi zrobić idiotów, albo jesteś po prostu głupi, bo nieświadomy. Co ty chcesz osiągnąć? Ojcem Pio chcesz zostać? Bo jak tak, to trochę ci brakuje.

Augustyn czuł, jak serce zaczyna mu walić niczym ogromny młot.

- Przyszedł tu po to, żeby mi to powiedzieć? Tylko po to? - spytał.

- Nie, nie tylko, ale reszta to już nie twoja sprawa. Pamiętaj, mój syn z tym kończy. I tym razem nie będę się powtarzać w nieskończoność. Naprawdę, zrobię, co będzie trzeba. Dobranoc.

Odwróciła się i odeszła.

Patrzył, jak oddala się leniwym krokiem, na pierwszy rzut oka niedbałym, a jednak mającym w sobie nieosiągalny dla wielu kobiet kolaż zmysłowej gracji i naturalności ruchów. Powoli dotarła do płotu przy drodze i nie odwróciwszy się ani razu, skręciła na chodnik.

Augustyn cały ten czas stał i patrzył za nią. Znieruchomiał nie zdawał sobie sprawy z zainteresowania, jakie budzi. Parafianie wychodzący z kościoła patrzyli na niego z ciekawością, ktoś rzucił „szczęść Boże”, ktoś „niech będzie pochwalony”, a on odpowiadał, nie słysząc własnych słów.

Nagle znowu poczuł, jak ziąb gładzi mu skórę. Zadrzał i spuścił głowę. Miał właśnie wejść do zakrystii, kiedy stanęła przed nim pani burmistrz z mężem.

- Szczęść Boże, proszę księdza, ja tak chciałam z księdzem proboszczem pomówić. Co tam się dzieje u księdza w parafii? Słyszałam, że jakieś cudowne szczątki odkryto. - Burmistrz Krystyna Cieślik stała pod rękę z mężem. Tuż obok zniecka wyrosli jacyś radni, za nimi przewinął się Koral, gestykulując w stronę kilku dziarskich chłopaków.

- Pani burmistrz, nie będzie przesadą, jeśli powiem, że doświadczamy cudu. Proszę mi wierzyć, wiem, jak to brzmi. Ale to prawda. Udało się odkryć prawdziwe szczątki wielkiego polskiego dostojnika kościelnego. Jestem pewien, że bliski kontakt z nimi nie pozostaje bez wpływu na duszę człowieka - powiedział szybko Augustyn.

- Co ksiądz mówi? To znaczy, że... jakieś objawienie? Tak?

- Pani burmistrz, trudno mi teraz mówić o tym w tak otwarty sposób. Już jutro na wieczornej mszy świętej ogłoszę wszystko, co wiem i co o tym myślę. Zapraszam panią i wszystkich państwa. Teraz jednak bardzo przepraszam, muszę natychmiast wracać do mojego

kościół - mówiąc to, Augustyn wstąpił już na pierwsze stopnie prowadzące do zakrystii Koronowej świątyni.

Pani burmistrz jednak złapała go za rękaw. Podeszła bliżej, puściwszy swego męża.

- Myślę, że powinniśmy szerzej o tym porozmawiać. To bardzo ważne dla całego miasta, jeśli jest prawdą, w co oczywiście nie wątpię, niech mi ksiądz wierzy. Może wcześniej znajdzie ksiądz czas... o jedenastej? - spytała.

- Będzie mi miło spotkać się z panią burmistrz, prosiłbym o telefon jutro rano.

- W takim razie zadzwonię do księdza z samego rana i umówimy się, jak będzie księdzu wygodnie - powiedziała Cieślukowa i uwolniła jego rękę.

W zakrystii krzątał się kościelny z jakimś ministrantem. Augustyn zabrał swoją kurtkę i tuż przed wyjściem zajrzał jeszcze w głąb prezbiterium. Przy skrzyni ze świętym stali jego wikariusze, jacyś mężczyźni zaczęli się przymierzać do jej uniesienia. Święty chłopiec już za chwilę opuści miasto.

Nie zdziwił się, że przed drzwiami świątyni ciągle gromadzą się wierni. Wyminął ich jak najszybciej, zdawkowo odpowiadając na pozdrowienia. Po chwili już siedział w swoim opłu. Droga do kościoła była niedługa i silnik nawet nie zdążył dobrze się zagrzać, kiedy Augustyn stał już przed budynkiem plebanii.

- Księżę proboszczu, Kozłowska tu była z babami - zawołała pani Hela, która usłyszawszy odgłos samochodu, natychmiast zjawiała się w ganku. - Goszczykowa też, o cud się pytały, mówią, że Bóg to księdza proboszcza miłuje nad wszystkie świat.

- Widziałem je na mszy. Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Pani Helu, zjem później, niechże się pani położy, już późno - odparł Augustyn.

- A gdzie tam ja bym proboszczowi kolacji nie dała. - Pani Hela nasrożyła się jak zawsze, kiedy obowiązki, które traktowała nad wyraz poważnie, Augustyn uznawał za mniej istotne.

- Tym razem wrócę później niż zwykle, chcę jeszcze przy relikwii posiedzieć. Niech pani Hela już się położy.

- A, ksiądz to taki teraz zabiegany - mruknęła pani Hela z pretensją w głosie. - Nawet zjeść nie ma czasu. Ja to się boję, co tera będzie, jak ludzie tu się zaczną schodzić, Goszczykowa to już mówiła, że niedługo to całe miasto się tu spędzi.

- Pani Helu - Augustyn popatrzył z uśmiechem na swoją wierną gospodynię - miasto to dopiero początek.

Zamknął samochód na kluczyk i ruszył do kościoła, pozostawiając panią Helę własnym rozmyślaniom. Starzejąca się gosposia wymruczała pod nosem całe niezadowolenie

i powlokła się do swojego pokoju. W telewizji właśnie zaczął się Taniec z gwiazdami, i chociaż pani Hela z zapałem głosiła szatańskość owego programu, jak co tydzień usiadła przed ekranem, by wypraszać u Świętej Panienci, aby pustych grzeszników doświadczył Pan Iosem zgnębionych i biednych. Ku nauce, a nie dla pokarania.

Proboszcz Augustyn zbliżał się do bocznych drzwi swego kościoła. W duchu przetrawiał wydarzenia paru minionych dni i stwierdzał niechybność doniosłych zmian, jakie zapowiadały. W ostatnich latach jego życie nie obfitowało w niezwykłe przypadki. Gdy skończył się remont dachu kościelnego, każdy kolejny dzień upływał szaro, dzielony na msze, pogadanki z wikarymi, czasem lekcje w gimnazjum, te same modlitwy, uroczystości i święta kościelne i państwowe. Aż tu nagle, w ciągu kilku zaledwie dni, zdołał obwieścić cud relikwii, przekonać swego byłego ministranta Janusza do pomocy, powiedzieć Koralowi, co myśli o jego donosach, i spotkać na mszy świętej Elę Rymanek. To sporo jak na spracowanego księdza.

Przekręcił klucz w drzwiach kościoła, myśląc o tym, że prawdziwy wysiłek dopiero przed nim. Co się stanie, kiedy jutro na mszy opowie o wielkiej relikwii? Wierni uwierzą, to pewne, będą się modlić, ale co z resztą, co z młodzieżą? Czy to dla nich będzie jak niezgłębiona tajemnica objawień w Lourdes? Czy to ich przyciągnie? Odrodzą się na łonie Kościoła czy wyśmieją to wszystko, a jego samego uznają za szaleńca? A inni? Cieślíkowa już coś sugeruje, będzie chciała się podpiąć, ale najpierw wybada sprawę. Jej to się może opłacić, tak, ona to kocha. Zaraz się zjawią specjaliści od promocji miasta i jej skromnych osiągnięć. Gdybym tylko wiedział, czemu Ela tak nagle się pojawiła, dlaczego teraz właśnie, czemu nie przyszła wcześniej, skoro tak się jej nie podoba, że synek przy kościele dużo robi. O co jej chodzi? Jeszcze groźby, co ona sobie myśli?!

Augustyn na wspomnienie Eli przystanął, zamknawszy boczne wejście na klucz. A może ona chce... Nie, to niemożliwe, żeby przyszła odnowić dawną zażyłość, nie w ten sposób. I do czego by to prowadziło? Dziś, po tylu latach? To już nie to samo co kiedyś. Szybko przeczucił w pamięci wypadki ostatnich lat dotyczące Eli, o których słyszał tu i ówdzie. Pobyt w szpitalu z podejrzeniem raka żołądka, stłuczka przed komisariatem policji i spoliczkowanie funkcjonariusza. Pisali o tym w gazecie. Obecność na liście wyborczej i porażka w wyborach do Rady Miasta, śmierć męża i pogrzeb poprowadzony przez jego wikariusza. Niewiele tego, ale za to same znaczące przypadki. Mówili, że męża, wieloletniego kierownika pogotowia, kochała mocno, i kiedy zmarł przed rokiem, przeżyła to bardzo ciężko. Nie mogła się podobno pozbierać, rozpacziała długo, a sąsiedzi i rodzina bali się, że coś sobie zrobi. Podobno gdyby nie syn, mogłaby tego nie przeżyć.

- Ona czegoś chce - powiedział do siebie na głos, kierując się w stronę wielkiej dziury w posadzce kilka metrów na prawo od ołtarza. - Tylko czemu nie przyszła wcześniej, ale teraz, właśnie teraz?

Stanął nad wykopem prowadzącym pod podłogę kościoła. Wąska drabinka prowadziła w głąb niedawno odkrytych podziemi. Augustyn nacisnął przycisk w przedłużaczu i snop światła rozjaśnił mroczną czeluść. Dwa metry pod posadzką zaczynał się wąski korytarz, którego wejście tonęło w ciemności. Augustyn stękając zszedł po drabince na samo dno. Znow, jak za pierwszym razem, kiedy wchodził tu, towarzysząc archeologom, wciągnął w nozdrza zapach burej ziemi i śmierci rozgrzebanej łopatami.

- Taka to nasza świętość, spod ziemi - mruknął i zapalił latarkę. Musiał przejść kilka metrów skręcającym w lewo korytarzem, aby dotrzeć do niewielkiej krypty, w której spoczywały kości. Żałował teraz, że nie zabrał z sobą choć ulubionej piersiówki. Przyjemniej by się siedziało.

Archeolodzy nie stwierdzili większej wartości znaleziska. Uznali, że spoczywa tu albo fundator kościoła, albo jakiś ksiądz. Pewności nie mieli. Zainteresowała ich za to kolejna komora, lecz ze względu na braki finansowe nie byli w stanie podjąć badań. Mówili, że przyjadą w przyszłym roku.

Komórka najpierw zawibrowała, a później wydała z siebie skrzekliwy dźwięk. Augustyn sięgnął po telefon i wcisnął odebrane wiadomości. Kulikowski z lokalnego tygodnika pisał, że artykuł o relikwii ukaze się jutro i będzie mocny. Dziennikarz nie omieszkał się pochwalić, że przekonał naczelnego, aby info o relikwii dać na pierwszą stronę zamiast świętego chłopca.

Augustyn wiedział już, że pięćset złotych nie poszło na marne. Koral będzie wściekły. Na pewno zadzwoni do redakcji „Echa” z pretensjami.

Rozsiadł się na stołku, który stał przed rozpadającą się trumną. Przez popróchniałe dechy przezierały żółte piszczele.

- Piszczele wiary, wkrótce przemówicie - powiedział z uśmiechem.



## Rozdział 4 - Ona i on

Ten artykuł nie tyle ją zaciekał, ile wzburzył. Dlaczego ten okropny człowiek, ten cham w sutannie nic jej o tym nie powiedział?! Przecież mógł wczoraj, przed kościołem. W co on brnie? Dlaczego opowiada takie rzeczy? I jeszcze wciąga w to jej syna!

Od rana Ela Rymanek była zła. Na pierwszej stronie artykuł walił po oczach potwornym tytułem: „Odkryto święte kości!” z nadtytułem o objawieniu, jakiego dostąpił proboszcz Augustyn. Autor nie krył, że „mamy do czynienia ze znaczącym znaleziskiem”.

(...) Wtedy proboszcz zdecydował się na wymianę ogrzewania w kościele. Konserwator zabytków stwierdził, że możliwy jest tylko montaż ogrzewania podłogowego. Już drugiego dnia prac, w których wzięli udział mieszkańcy parafii, odkryto wejście do podziemnej krypty. Okazało się, że korytarz ma ok. 10 metrów długości i prowadzi do drugiego wejścia, które nadal jest zapieczętowane. Prace musiały zostać wstrzymane wskutek rosnących kosztów.

Nadzorujący prace dr Mariusz Gołosiński uznał, że znalezisko nie przedstawia wielkiej wartości archeologicznej.

- Jest to cenna rzecz, ale z punktu widzenia tego kościoła, do nauki nie wnosi wiele - mówi dr Gołosiński. W jego opinii w krypcie znajdują się szczątki fundatora kościoła lub jakiegoś księdza.

Tymczasem okazało się, że mamy do czynienia ze znaczącym znaleziskiem, a wyjazd archeologów to nie koniec jego historii. Proboszcz parafii ogłasza, że znalezisko wykracza poza wymiar naukowy.

- To nie są zwykłe kości - mówi proboszcz - to jest autentyczna relikwia. Dlaczego? Bo posiada ogromną moc, wiem o tym, ponieważ doznałem objawienia.

Na pytanie, kto się księdzu objawił, proboszcz odpowiada, że byli to Dominik Savio, chłopiec wyniesiony prawie półtora wieku temu na ołtarze, a później Henryk Kietlicz, wielki średniowieczny arcybiskup. Jest to o tyle dziwne, że Kietlicz nigdy nie został uznany za świętego. Dla proboszcza Augustyna nie jest to przeszkodą:

- Kietlicz to kontrowersyjna postać, zgadzam się, ale kontrowersyjna tylko dla tych, którym zależy na upadku Kościoła. To był wielki człowiek, niedoceniony wśród ludzi, zyskał więcej u Boga. Kiedy przebywałem w wykopie, a poszedłem tam, aby się pomodlić nad szczątkami, usłyszałem głos, a przede mną pojawił się cień. To znaczy coś, co przypominało cień, jakiś niewyraźny zarys. Po kilku słowach zrozumiałem, że mam do czynienia ze

zjawiskiem nadprzyrodzonym.

- Nie bał się ksiądz?

- Na początku się przestraszyłem, ale niemal natychmiast ogarnął mnie zupełny spokój, a nawet poczucie bezpieczeństwa.

- I to był ten Dominik Savio?

- I tak, i nie. On nic nie mówił, to znaczy wiedziałem, czego chce i co ma do przekazania, ale nie słyszałem żadnych słów, jakby cały przekaz na mnie spływał. Poza tym nie widziałem jego twarzy ani nawet rąk, niczego, tylko ten cień w powietrzu, bardzo trudno to opisać. A potem zaraz usłyszałem drugi głos.

- Teraz to był Henryk Kietlicz? Ale skąd ksiądz wie, że to oni?

- Cóż, po prostu powiedzieli mi to, choć nie użyli słów. Kietlicz powiedział, że te kości należały do nieznanego księdza, zamordowanego w 1584 roku przez czeskiego barona, który przejeżdżał przez te okolice. Ksiądz chciał uchronić przed gwałtem mieszkającą w miasteczku dziewczynę, baron załutkował go na śmierć. O dziewczynie niewiele wiadomo. Wierni pochowali go tu, a później stanął w tym miejscu drewniany kościół, który w 1636 został przebudowany na murowany.

Ksiądz proboszcz mówi, że od lat prosił Boga o znak, o wskazówkę, jak uchronić chrześcijaństwo, religijność i wiarę przed upadkiem. Mówi, że to jest odpowiedź. Utrzymuje, że kości mają moc wpajania wiary, a najpewniej także moc uzdrawiającą. Wystarczy przy nich posiedzieć, porozmyślać, a wiara musi się w duszy rozpalić.

Na koniec ksiądz Augustyn pragnie podziękować swojej gospodyni Helenie Wąsik i Januszowi Rymanekowi (jest to syn kandydatki do Rady Miasta Elżbiety Rymanek - przyp. red.) za pomoc.

Ela zbyt dobrze znała stosunki panujące w biznesowopolitycznym światku miasta, aby mieć złudzenia co do tego tekstu. Była pewna, że Augustyn sprowadził Kulikowskiego do siebie i wtoczył w niego tę historyjkę, opłacając odpowiednie ujęcie tematu. Dziennikarz uznał, że materiał jest pierwsza klasa, spisał wypowiedzi, okraszył gdzie trzeba napięciem i puścił. Teraz całe miasto, cały powiat zapewne, zachłystuje się wielkim wydarzeniem.

- A to sobie Rysio wije święte gniazdko - powiedziała do siebie, odkładając gazetę na kuchenny stół.

Jak na gust Eli, świętości w ostatnich dniach było wokół stanowczo za wiele. Nie dość, że jej syn marnotrawił czas na porządki w kościelne, to jeszcze do miasta musiał przyjechać ten święty chłopczyk, a teraz - święte kości wpajają wiarę, i Janusz firmuje to wszystko swoim nazwiskiem. To zaczynało grozić epidemią szaleństwa, w którym - nie daj

Bóg - pograży się w końcu całe miasto. Ale ona się nie nabierze. Z Kościołem skończyła przed laty i ten stan rzeczy w pełni ją zadowalał. Ostatecznie pogodziła się z myślą, że chcąc wystartować z ugrupowania pani burmistrzowej, musi parę razy pokazać się na mszy, ale za żadne skarby nie zamierzała co tydzień ślęczyć w ławce i marznąć. Choć uznawała swój światopogląd za konserwatywny, z wiarą i Kościołem była zupełnie na bakier. Cieślikowa miała o to do niej zastrzeżenia, „cóż to za niekonsekwencja, tak to każdy może” - biadoliła, ale w końcu zaakceptowała jej wybór.

- Jakbyś nie była moją koleżanką, to wiesz, Ela, nawet byśmy o tym dzisiaj nie rozmawiały. Wiesz, u nas Kościół i partia wiążą się z sobą. Ja głośno tego nie powiem, ale tak jest. Nie można być u nas i walić w kler - powtarzała jej burmistrzowa co najmniej trzy razy, uspokojona wreszcie zapewnieniem, że o żadnym waleniu mowy nie ma i nie będzie.

Strzeliste wieże świątyń, bogate wnętrza, sakralne zabytki sprzed wieków budziły w Eli uczucia estetyczne i bardzo wzniosłe, ale wiara, modlitwa, msze święte, klękanie na dwa kolana, żegnanie się przy mijaniu kapliczek, peregrynacja świętego obrazu Panienki po domach, telewizja Trwam, różaniec wieczorami i księża po kolędzie - to już co innego, traktowała te rzeczy jako niezawinioną głupotę większości ludzi. Głupotę, na którą sami się godzą, więc niech nie mają później o nic pretensji.

Włożyła cieplejszy sweter i poszła na górę. Janusz spał w swoim pokoju. Nie chciała go budzić, chociaż zbliżała się dziesiąta. Zaraz poczuła, że w środku jest bardzo zimno. Kaloryfer był skręcony na zero, a z ust Janusza wydobywała się delikatna mgielka oddechu. Kiedy chciała przymknąć drzwi, zawiasy zaskrzypiały i jej syn otworzył oczy.

- Która godzina? - spytał, przeciągając się.

- Dziesiąta. Masz, poczytaj sobie. - Rzuciła mu na łóżko świeżutki numer „Echa”.

Janusz zerknął na tytuł i uśmiechnął się, spojrział na matkę i stuknął palcem w gazetę.

- Proboszcz robi swoje. I bardzo dobrze, że robi, bo mi się już nie chce łązić po mieście i opowiadać o cudach.

- Janusz, powiedz, dlaczego ty się w to angażujesz? Przecież to bzdury. Dopiero co zacząłeś pierwszy rok studiów, już nie powiem, jak mnie boli, że zaocznie, a ty co? Strugasz wariata?

- Mamo, zdziwiłabyś się, jakbym ci powiedział, jak ludzie reagują. Dostają kręcka, dosłownie najpierw wybałuszone oczy, a potem krzyż na piersi. Jeśli o to chodzi, to to mi może tylko pomóc. Nie martw się, jeszcze trochę się przy tym poobracam, poza tym przez dziewięć ostatnich miesięcy on jednak mi sporo pomógł, i jeszcze pomoże... wiesz, ile mi zapłacił za ostatni miesiąc?

- Przestań! Co ty wygadujesz? - Ela kolejny raz doznała uczucia, że źle wychowała syna.

- Jak to co? Płaci, to dostaje, proste. Mamo, ja już wyrosłem z bajeczek o dobrych samarytanach.

Janusz ślamazarnie zwłókł się z łóżka, ale zaraz włożył z powrotem pod kołdrę i skulił się z zimna.

- Janusz, powiedz mi, ty w to wierzysz? - spytała Ela, wskazując głową pierwszą stronę „Echa”.

- Wierzę to ja w to, że Augustyn ostatnio trochę przegina. Nawet wikarym nie pozwala wchodzić do tego wykopu. Jak ten doktor pojechał, to zaraz wszystko zamknął. Potem wypił ze mną parę kielichów koniaku i wprowadził w sprawę. Nie mogłem mu odmówić, wiesz, no w końcu znam go od lat. Poza tym nieźle zapłacił. Czulem, że coś z tego może być.

- Ale wierzysz w to? - Ela koniecznie próbowała wydobyć z syna jasne wyznanie.

- Mamo, nie, jasne, że nie. Od razu ci powiem, że nie wierzę w żadne gadanie o relikwii i jej niezwykłych cechach. Ja myślę, że nawet Augustyn nie bardzo w to wierzy. Trochę mi go żal, bo mam wrażenie, że się zagubił. Ja go tak jakoś... lubię, żadnego innego księdza tak nie lubiłem jak jego. Ale jest w nim coś dziwnego, zwłaszcza teraz, kiedy te kości odkryli.

- Janusz, nie chodź tam więcej, skończ z tymi mszami, sprzątnięciem kościoła, przecież mamy pieniądze. - Ela podeszła bliżej i już miała przysiąc na krawędzi łóżka, kiedy Janusz energicznie odrzucił kołdrę i wyskoczył na dywan.

- Ty masz, ja nie - powiedział. - Jak mi dadzą tę robotę, co mówisz - okej, więcej w kościele mnie nie zobaczysz, chyba że na chrzcinach wnuka. I wiesz co, nawet mnie to zaczyna bawić, ta cała relikwia. Mówię ci, że ludzie w to wierzą, oni po prostu nie przyjmują do wiadomości, że ich ukochany proboszcz, któremu co miesiąc wyznają grzechy i z którym dzielą się problemami, może mieć - no wiesz jak pod sufitem. A co będzie później, to... no, aż strach pomyśleć. Ale to wciąga, a że może być popłatne, to jestem pewien.

Ela przestała słuchać syna, jego słowa przelatywały obok niej jak spłoszone ptaki. Wpatrywała się w niego, kiedy wkładał spodnie, wciągał wczorajsze skarpetki i obwąchiwał koszulę, opowiadając o tym, jak zaczepiał ludzi na ulicach i gadał o świętej relikwii, którą podobno proboszcz widział. Miała przed sobą dorodnego młodego mężczyznę z błyskiem w oku.

Średni wzrost, szczupła, pociągła twarz, lekko skośne brwi i usta układające się w

mimowolny delikatny uśmiezek - męska kopia matki. Wiedziała, że podoba się dziewczynom, że z niejedną się przespał na tym łóżku i niejednej złamał serce, zrywając bez słowa wyjaśnienia. Kiedyś starała się mu uzmysłowić, jak bardzo jest okrutny w stosunku do tych dziewcząt, tłumaczyła, że był ich pierwszą miłością. Czy cokolwiek z tego zrozumiał, nie wiedziała, mogła jedynie żywić nadzieję, że zostało w nim przynajmniej kilka dobrych rad. Jako chłopiec był wzorem syna, kochający i kochany, jeszcze w podstawówce świetnie się uczył, potem bywało różnie, ministrantem został na własną prośbę i aż do końca podstawówki zawsze służył do mszy. Obie babki cieszyły się i opowiadały Eli, jak dobrze sobie radzi przed ołtarzem, a Augustyn wygłaszał o nim same pochwały. Irek nie miał nic przeciwko temu, co bardzo ją denerwowało. Najpierw, gdy Janusz był w piątej klasie, przeprowadził z nim długą rozmowę i stwierdził, że ich syn naprawdę chce być ministrantem, a potem wyraził aprobatę. Ela najpierw protestowała, ale w końcu uległa im obu. Zgodziła się, że nie można gasić w nim naturalnych potrzeb, tych spontanicznych zachcianek, z których sam wyrośnie. Irek cieszył się nawet, że w czasach, kiedy komuniści sięgnęli po władzę, Kwasek zalewając niemrawych prawiczków, jego syn mierzy w przeciwną stronę.

- Mamo, tylko umyję głowę i leczę, kurwa, zaspiałem. Muszę do kościoła... - z tymi słowami Janusz wybiegł z pokoju. Słyszała, jak zlatuje ze schodów po dwa stopnie i wpada do łazienki. Podeszła do kaloryfera, przekręciła na dwójkę i rozsunęła zasłony. Za oknem padał pierwszy śnieg.

Teraz Ela widziała w swoim synu kogoś zupełnie innego. Przypomniała sobie kłopoty już w pierwszej klasie liceum, przenosiny do innej szkoły, złe stopnie aż po klasę maturalną, kiedy nieco przysiadł nad nauką. Jako niesforny uczeń nie był Janusz udaną pociechą, a Ela nie umiała znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak jest. Przecież zarówno ona, jak i Irek starali się rozmawiać z nim, żyć w przyjacielskiej komitywie. Nie udało się, Janusz okazał się typowym nastoletnim kłamczuchem.

Kiedy szukając pracy, znalazł pomoc u Augustyna, najpierw poczuła, że włos jej się jeży na głowie. I chciała coś z tym zrobić, przerwać ten cholerny religijnokaznodziejski epizod w jego życiu, odseparować na dobre i od tego świata, i od Augustyna, w którym widziała przyczynę zła. Zaczęła obmyślać plan, mający obrzydzić mu cały polski Kościół, cały kler, wszystkie świątynie i tradycję z piekła rodem. Była gotowa wcielić go w życie i pewnie zaczęłaby wszelkimi możliwymi metodami zozydzać synowi wszystko, co wiązało się z życiem religijnym, kiedy spotkała ją jedna z największych życiowych tragedii i jedno z największych życiowych szczęść. Irek - mąż wspaniały bez dwóch zdań, uroczy pantofel bez jaj, domator gotów jednak jechać do ciepłych krajów na każde zawołanie, niepijący

moralizator, który stronił od papierosów i zawsze rano poświęcał kilkanaście minut na gimnastykę - spotkał się ze swoim przeznaczeniem.

Akurat trwała przebudowa powiatowego szpitala, nieopodal którego mieściło się pogotowie, i wyjazd karettek odbywał się z drugiej strony budynku. Znajdowało się tam wyjście administracyjne i wieloletni kierownik pogotowia Ireneusz Rymanek zawsze z niego korzystał. Feralnego wieczoru lało jak z cebra. Irek przeskoczył balustradę i niemal biegiem ruszył w stronę swego samochodu. Na głowie miał kaptur. Nie zauważył jadącego ambulansu. Kierowca karetki rozpędził się do pięćdziesiątki, choć wciąż znajdował się na terenie szpitala. Gnał go czas, z którym walczył nie tylko on, ale i umierająca kobieta na środku jezdni. Kierownik wyrósł mu przed maską jak zjawą. Hamowanie było krótkie, dopełnione dźwiękiem zderzenia z ciałem. Sanitariusze nie mieli nic do roboty. Ireneusz Rymanek poniósł śmierć na miejscu.

Spodziewała się, że pogrzeb poprowadzi Augustyn, ale on nie pojawił się ani w kościele, ani na cmentarzu. Po kilku tygodniach, kiedy z wolna zaczęła dochodzić do siebie, nagle, w ciepły, czerwcowy dzień, zastanowiła się nad tym faktem. Stała przed witryną sklepu mięsnego i reklamówka wypadła jej z ręki, a dwie bułki potoczyły się po chodniku. To był sygnał! Oczywiście. Ten cholerny Rysio nadal marzył, ciągle był rozkochanym młodzieńcem, a nawet chłopcem wystającym pod jej oknami. Nie jesteś mi obojętna, być może to chciał przekazać swoją nieobecnością. Cała przeszłość zwała się na Elę, aż na chwilę straciła oddech. W oknie wystawowym jej wykrzywione odbicie zmieszało się z szynkami, kiełbasami, plastrami salcesonu i wielkim świńskim ryjem z oklapłymi uszami. Od dawna nic nie rozdrażniło jej tak jak to nagłe olśnienie.

- A to świnia - wyszeptała przez zaciśnięte wargi.

W rezultacie z planów systematycznego zohydzenia katolickiego świata nic nie wyszło i Janusz wiele czasu spędzał w kościele i Augustynowym sadzie. Pomagał, w czym tylko mógł. Doświadczenie ministranta przydało mu się może nawet bardziej niż dawniej. Ludzie go lubili i pamiętali. Ela nie czyniła mu więcej wymówek, jej syn zaczynał wkraczać w dorosłość, choć za jego dojrzałość nie dałaby sobie uciąć ręki.

Tylko myśl o minionych czasach doskwierała jej teraz każdego dnia. Każdego dnia jej pamięć płynęła przez ocean zapomnianych chwil, i jak okręt napotykaający niezbadane wyspy odkrywała zdarzenia, których realność dawno zatonała w bezmiarze czasu. Kiedy zabrakło Irka, życie Eli zwinęło się w kłębek, wydało jej się puste, do końca przeżyte. Pierwszy tydzień po jego śmierci upłynął w ciszy. Cierpiała szczerze i głęboko. Zewnętrzne objawy były najzwyczajniejsze: przesiadywanie w domu, nieodsuwanie zasłon w oczekiwaniu na

wieczór, dużo snu albo wodzenie spojrzeniem po ścianach i suficie. Dużo płakała, sięgała pamięcią do wesołych wspomnień z Irkiem, tęsknoty za nim, niepokoju, kiedy był na dyżurze.

A potem wyszła. Najpierw delikatnie badała obszar najbliższej domu, później zaczęła zapuszczać się w odleglejsze rejony miasta. Kończyło się zwolnienie lekarskie i musiała wrócić do pracy. Wtedy dopadła ją pamięć o młodości przed Irkiem. Zdumiała się, że potrafiła tak wiele wspomnień wrzucić do kosza, a teraz wyciągały się same, choć wcale ich o to nie prosiła. To, o czym wołała zapomnieć zaraz po narodzinach syna, teraz domagało się odtworzenia, ponownego namysłu i rozstrzygnięcia. Nie było już Irka. Nie było mostu, po którym mogła przemknąć na bezpieczną stronę. Po raz pierwszy od wielu lat była naprawdę sama.

- Janusz! Janusz... no, nie słyszy. Janusz! - zawołała, schodząc po schodach.

- Co?! - dobiegło zza drzwi łazienki.

- Ja też chyba pojedę do kościoła. Jak chcesz, możesz się ze mną zabrać.

Przez chwilę w łazience panowała cisza. Nagle drzwi uchyliły się lekko i wyjrzała mokra głowa Janusza otoczona kłębem pary.

- Ty? Ale po co? - Syn był wyraźnie zdziwiony. - Weź... I tak już za często jak na ciebie chodzisz. Do wyborów rok, masz czas.

- Trochę mnie to zainteresowało, ta relikwia i co ten proboszcz gada.

- Nie no, jak chcesz, jedź. Nie no, jasne.

- No to jedziesz czy nie?

- Nie, jeszcze po drodze muszę gdzieś wstąpić. Zresztą, weź się zastanów, po co ty tam pojedziesz?

Odpuściła. Syn wyraźnie dał jej do zrozumienia, gdzie może sobie wsadzić swoje dobre chęci.

Westchnęła.

Dlaczego to wszystko musi być takie głupie? Takie bezsensownie pogmatwane? - pomyślała, kiedy Janusz ponownie zamknął się w łazience. Czekala jeszcze kilkanaście minut, zanim się wynurzył i popędził na górę. Za chwilę był z powrotem. Wskoczył w buty, włożył czapkę i kurtkę, rzucił zdawkowe „no to lecę, na razie” i zniknął.

Odczekała parę minut i stanęła przed zaparowanym lustrem. Przetarła je ręcznikiem, odkręciła kran i popatrzyła na swoje odbicie. Czy zostało w niej coś z dawnej dziewczyny? Czy jeśli teraz pójdzie do niego, w świetle dnia, zrobi na nim wrażenie? A może wczorajsza rozmowa wystarczyła? Nie, na pewno nie. Artykuł o relikwii zupełnie zmienił plany Eli. Najpierw zamierzała ponownie rozmawiać z Augustynem za tydzień lub dwa, teraz jednak

doszła do wniosku, że nie ma na co czekać. Augustyn albo oszalał, albo rzeczywiście uknuł śmieszną intrygę w niewiadomym celu. Jeśli tak, to znaczy, że jej pojawienie się w jego życiu mogło nie przynieść zamierzonego efektu. A wszak to, co właśnie zaczęło budzić się jej w sercu, tak jak przed laty, jak w czasie tych jesiennych miesięcy, zniewalało ją do tego stopnia, że gotowa była zerwać ze wszystkimi konwenansami. Po raz drugi nie pozwoli się oszukać, nie pozwoli, aby on oszukał sam siebie. Była pewna, że to, co przeżyli wspólnie, w ukryciu przed sąsiadami, księżmi, całym miastem, nie znikło w nim tak po prostu. Widziała to w jego oczach wczorajszego wieczoru, w jego pytaniu i intonacji wyczuła męski zew rodzący się w gardle, który stłumiony siłą woli wystrzelił w jego spojrzeniu.

- Ja chyba oszalałam. - Powiedziała do swojego odbicia.

- Naprawdę oszalałam.

Żałowała wczorajszych słów. W gruncie rzeczy nie tak chciała się zachować. Zamierzała być zdecydowana i nieustępliwa, ale nie odpychająca i rzucająca groźby. Gdyby mogła powtórzyć tę rozmowę, rozegrałaby wszystko inaczej. Bo czy tak odnawia się kontakt z mężczyzną, którego się kiedyś kochało?

- Tylko czy mężczyzna w sutannie to ciągle mężczyzna? - spytała samą siebie, robiąc makijaż. Kiedyś zabrakło mu męskości. Nie zdobył się na nic więcej ponad romantyczne biadolenie i marne tłumaczenia. Spotykali się nocami, a on ciskał w nią kazaniem. Leżeli w łóżku, a on zmanierowanym tonem odmalowywał swoje skrajne cierpienia, wewnętrzne rozterki, przekonanie o potępieniu, jakie czeka ich oboje. Nigdy nie powiedział: rzucam to, niech mnie wtrąca w piekielne otchłanie, ale odchodzę stamtąd, aby przyjść do ciebie. Nie, on po każdym spotkaniu odmawiał przebiegłe modlitwy, choć twierdził, że nie jest pewien, czy wierzy w to, co mówi.

- Skoro nie wierzysz, to dlaczego odmawiasz? - pytała.

- Modlitwa mnie oczyszcza, pozwala to wszystko znieść.

- Przecież ja nie jestem brudna.

- Ale ja jestem - odpowiadał.

Tamten krótki romans, który wspólne lata z Irkiem skutecznie pozbawiły nasyconych barw, odcieni szaleństwa, w jakim się pograżyli, teraz odżywał w niej na nowo, stał przed oczami realny jak to odbicie w lustrze. Dziś, kiedy wszystko poszarzało, nie była to ani miłość, ani zauroczenie, raczej coś w rodzaju ciekawości. Tylko jakaś tajemnicza potrzeba kontaktu, widzenia i rozmowy nie pozwalała o nim zapomnieć. Teraz nie było już nic do stracenia. Nawet przyszloroczne wybory i działalność społeczną, będącą zaledwie rozrywką, marną zabawą i sposobem na nudę, mogła bez wahania rzucić na pastwę ludzkiej obmowy.



Wszyscy uważali, że idzie w lokalną politykę, w samorząd, z ambicji wyniesienia się, pokazania, a ona chciała po prostu nieco się rozerwać, ubarwić codzienność. Śmierć Irka zmieniła wszystko. Otworzyła zamkniętą dawno bramę do tego, co minione i niewykorzystane.

Akumulator zachechłał kilka razy, ale nie uruchomił silnika. Po kilku próbach dała za wygraną. Z rozmachem trzasnęła furtką i skierowała się w stronę kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Jego nowy dach błyszczał z daleka. Błada barokowa wieża wyrastała ponad domy i bloki z płyty.

Bryła kościoła stała na niewielkim wzniesieniu od kilkuset lat i przez wieki trwożyła mieszkańców majestatem konstrukcji, jaki objawiał się z największą mocą przy nisko padających promieniach słonecznych. Kościół nie porażał ogromem sam w sobie, ale kiedy nadchodziło późne popołudnie, a słońce niezastłonięte chmurami oświetlało budowlę od strony południowozachodniej, jej sylwetkę zaczynały obejmować wydłużone półcienie, a całość jakby się rozdymała i nabierała masy. Oświetlona strona kościoła rozżarzała się i siwobiała ściana najpierw delikatnie podchodziła różem, by w końcu nabrać barwy jasnej czerwieni. Trwało to jednak krótko, później kolory traciły nasycenie i kościół pogrążał się w mroku. We wnękach tańczyły cienie. Strona przeciwna, niemal czarna, pochylała się posępnie nad rzędem drzew. Odnowiony dach zaczynał świecić rudawo, a witraże - zdawały się ożywać pod wpływem ciepłych promieni. Wtedy kościół z większej odległości wydawał się okazalszy, niż był w rzeczywistości. Kiedy jednak podchodziło się bliżej, wrażenie wielkości znikało, za to na pierwszy plan wysuwały się pieczołowicie wykonane i utrzymywane w doskonałym stanie detale architektoniczne. Główny portal był kunsztownie zdobiony. Figurka Świętej Pani witała wiernych tuż przy wejściu, drzwi - stare, pokryte mosiężną blachą - ukazywały sceny z życia

Maryi i Jezusa. Po obu stronach frontonu ze ścian spoglądały postacie świętych ewangelistów Marka, Mateusza, Łukasza i Jana, wyrzeźbione z dużym kunsztem, choć dla prawdziwych koneserów dzieła te nie mogły się równać z rzeźbami nie tylko sławnych katedr Zachodu, ale i najpiękniejszych polskich świątyń. Mimo to pozostawiały po sobie niezatarte wrażenie, być może dlatego, że w niezbyt ładnym mieście, gdzie zabytki można było policzyć na palcach jednej ręki, spacer ulicami zastawionymi przez bure bloki i klockowate domy kończył się zniemacka spotkaniem z prawdziwie wzniosłą sztuką, skrywającą się w samym środku betonowego siedliska i wyrastającą nagle w całej swej urodzie minionych wieków, jakby wyjętą z zupełnie innego świata.

Ela miała do przejścia około kilometra. O tej porze kościół nie przedstawiał się

najkorzystniej, cały spływał szarością, wydawał się przybrudzony, a wieża i ciągnący się za nią odwłok tworzyły sylwetkę niepobudzającą wyobraźni, nijaką, więc ludzie nieczęsto zwracali wzrok na świątynię. Nie było w niej nic pięknego.

Minęła Biedronkę i Żabkę i właśnie zbliżała się do Leviatana. Markety na osiedlu skupiły się na małym obszarze, dwa z nich stykały się ścianami, a trzeci mieścił się tuż obok. Po drugiej stronie ulicy ciągle trzymało się kilka małych sklepów spożywczych i warzywniak. Cudem przetrwały okres, gdy markety obsiadały okolice. Ponieważ zespół trzech dyskontów tworzył wokół siebie przestrzeń, w obrębie której mogło dochodzić do istotnych wymian społecznych, ludzie z pobliskich bloków cenili sobie tę różnorodność i zachwalali to jeden market, to drugi. Wszystkie sklepy stały w promieniu dwustu metrów i to właśnie tu, na tym malutkim wycinku miasta młodzi umawiali się na randki, a starzy na zakupy. I jedni, i drudzy byli dla siebie niewidzialni.

Kiedy Ela znalazła się na wysokości Leviatana, ze środka wyszła właśnie Anna Kiedroń, mieszkająca w domu tuż za ścianą bloków.

- Dzień dobry, droga pani sąsiadko - zawołała, przekładając reklamówkę z jednej ręki do drugiej.

- Dzień dobry - z niechęcią w głosie odpowiedziała Ela. Kiedroniowa, jakkolwiek była sympatyczną kobietą, bywała skandalicznie wścibska, a mówiąc różne rzeczy w dobrej wierze, nieraz czyniła więcej szkody niż pożytku.

- Pani Elu, przepraszam, ale chyba się nie śpieszy pani? Nie wiem, czy słyszała pani o tym cudzie?

- Tak... coś tak...

- No bo mi pani syn powiedział, i to wczoraj, wie pani, jeszcze przed tym, jak to ten święty chłopiec miał z miasta wyjechać, a tu pani syn idzie i mówi, że w naszym kościele to odkryli Bóg wie jakie święte szczątki jakiegoś podobno świętego. Ja to się od razu przeżegnałam, bo to się nigdy nie wie, co się usłyszy. I pytam pani syna, co to jest, ale on, no wie pani, chłopak dobry, i ministrant, i teraz tak przy kościele, przy księdzu proboszczu dużo pomaga. No to jak ja mogłam nie wierzyć, przecie by sobie zabawy z takich rzeczy nie robił. A i jeszcze ludzie też gadali, że jakaś to podobno relikwia jest, że ksiądz proboszcz jakieś objawienie miał. O, pani Elu, ja to zawsze mówiłam, że ksiądz Augustyn to święty jest człowiek, drugiego takiego księdza to, pani, ze świecą szukać. - Pani Ania na chwilę przerwała, jak gdyby chciała podkreślić wagę ostatniego ze swych stwierdzeń.

- Pani Aniu, wiem, słyszałam o tym, czytałam nawet. Ale więcej to ja teraz o tym nie powiem. Chyba nikt na razie nic nie wie.

Pani Ania spojrzała podejrzliwie, spode łba, jak zawsze, kiedy słyszała coś niezgodnego z jej oczekiwaniem i wyobrażeniem, i powiedziała:

- Eeee, pani tam coś wie, przecie syn to za księdzem wszędzie lata, sprząta, dogłada, gdzie tam by nie wiedział. Coś tam przecie pani wie...

- Naprawdę nie wiem więcej niż pani, tyle co w tym artykule przeczytałam. Że są kości jakieś, że ksiądz Augustyn miał jakieś widzenie, i to wszystko w zasadzie.

- Ja to myślę, pani Elu, że tu teraz to dopiero się stanie. Przecie to się tak nie skończy, musi tu kto znaczny przyjechać, ja to myślę, że nawet Ojciec Dyrektor by mógł, jak Bóg da.

- Da czy nie da, zobaczymy. Do widzenia.

- A pani to gdzie tak się spieszy? - W głosie pani Ani zabrzmiała nuta podejrzliwości i groźby zarazem.

- No, trzeba się czegoś o tym dowiedzieć, prawda? - odparła Ela.

Pani Ania kiwnęła głową. Położyła reklamówki na masce swojego seicenta i wsadziła rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. Jeszcze raz popatrzyła na oddalającą się sąsiadkę i powiedziała cicho do siebie:

- A idź, bezbożnico jedna, idź.

Nagle ktoś stanął obok i dotknął jej ramienia.

- A co tam Rymankowa tak poszła od razu? - spytał pan doktor Andrzej Fiałkowski, emerytowany nauczyciel i wielce szanowana osobistość.

Pani Ani nie trzeba było dwa razy pytać.

- A do kościoła idzie, pan widzi? Jak to się tera ludziom przewraca w głowie. Ja tam myślę, czy ona nie tak sama z siebie tam idzie, czy tam co innego ją nie ciągnie.

Pan Andrzej pokiwał potakująco głową:

- Ja tam nie wiem, mówili przecież, że dawno temu, ja wiem, jak jeszcze na studiach była, czy kończyła już, nie wiem dokładnie... ale ile w tym prawdy?

- Tego to nie wiadomo, ja tam źle o niej mówić nie chcę, wiadomo, jak to ludzie umiejg gadać, że jedno byle jakie słowo, a już w to wierzą. Ale też, pan Irek, przecie dobry był mąż, będzie pół roku, jak to nieszczęście na niego spadło, a ona nawet żałoby już nie nosi.

- Ona złg żong to nie była, i syna też umiała wychować, widzi pani, jaki jest pobożny, jak pomaga na parafii, w jego wieku takich mało. Ja tam źle o niej mówić nie chcę.

- A, ja też przecie wiem, co kobieta przeszła, wiem, jak rozpaczała, bo to sąsiadka przecie moja. Ale tak teraz myślę, a jak w tych starych plotkach było coś prawdy? Że ona z naszym probosz... nie! - Pani Ania przeżegnała się szybko. - W to nie uwierzę, żeby ksiądz nasz z jaką młodg lafiryndg...

- Sam był wtedy młody - odparł pan Andrzej. - Ale ja też nie mogę w to uwierzyć.

- A kto to wtedy o tym mówił, kto to plotkował? Nie pamiętasz pan, panie Andrzeju?

- Dawno już, dawno. Wiem, że szybko to ucichło, niedługo to było. To pewnie i prawdy w tym żadnej.

- Tak, pewnie tak, przecie ona dobra jest kobiecina - przyznała pani Ania, wrzucając reklamówki na tylne siedzenie auta. Pan Andrzej, wymachując siateczką, zapytał, czy może się zabrać, i oboje pojechali.

Dlaczego ja jej nie lubię? - myślała Ela, idąc ku kościołowi. - Dlatego, że taka wścibska jest? Że zakłamana? Wstrętny, gruby babsztyl, głupia krowa. Wiem, co jej chodziło po głowie. Głupia pinda, stara flądra paskudna. O ile świat byłby lepszy bez tych ograniczonych mętnych plotkar, które nie mają nic innego do roboty, tylko wałęsają się bez celu, czekając, kogo tu zaczepić. A co ja niby mogę więcej wiedzieć niż ona? Takie jak ona nie lubią takich jak ja. Pierdol się, stara franco.

Wyładowując złość, Ela aż poczerwieniała na twarzy. Zaraz jednak naszły ją wyrzuty sumienia. Przypomniała sobie, jak - zupełnie niedawno - jakiś wyrostek zbluzgał ją dokładnie w taki sam sposób, w jaki ona przed chwilą potraktowała w myślach panią Anię. „Pierdol się, stara franco” - odezwał się ów rezolutny chłopaczek, kiedy zwróciła mu uwagę, żeby nie wyrzucał papierosa pod jej nogi. Koledzy ryknęli śmiechem. Kiedy odparowała: „Co ty sobie wyobrazasz, szczeniaku?”, usłyszała: „Co, stary cię za mało posuwa?”. I tu już nie znalazła odpowiedzi. Konwersacja ta, widać, mocno utkwiała w jej pamięci, skoro teraz posłużyła się identycznym sformułowaniem.

- Cóż ta pani Ania winna? Jest, jaka jest - szepnęła do siebie i rozejrzała się, aby przejść przez ulicę. Zobaczyła, że pani Ania rozmawia z panem Andrzejem. Skinęła mu głową, ale była zbyt daleko i nie zauważył. Miły był ten pan Andrzej, radny miasta przez kilka kadencji, nauczył matematyki kilka pokoleń młodzieży i o Januszu mówił, że gdyby tylko się przyłożył, toby na olimpiadzie laury zbierał.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręciła w prawo i weszła między przytulone do siebie bloki. Osiedle powstało w połowie lat osiemdziesiątych i od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Jedynym zauważalnym znakiem rozwoju były nowe klatki wejściowe, zbudowane z cegły, co miało dodać prostokątnym budowlom nieco wdzięku, w rzeczywistości zaś było potwornym gwałtem na prostackiej wprawdzie, ale spójnej architekturze bloków. Mieszkańcy byli jednak zadowoleni, zyskali nowe domofony, drzwi i więcej ciepła. W połowie drogi przez osiedle biegła granica obwodu wyborczego i Ela, przekraczając ją, nie mogła o tym nie pomyśleć. Jej pierwszy start miał nastąpić dopiero za rok, ale burmistrz Cieślik już naciskała,

żeby kręcić się w okolicy, rozmawiać z ludźmi, organizować zbiórki dobroczynne. Trzeba dbać o swoich wyborców. Gdy Ela znalazła się w sąsiednim okręgu, jak zwykle poczuła, że opada z niej nieokreślone napięcie, coś usztywniającego wreszcie popuszcza i nie ma już obowiązku, może być nieotwartą, zejść kusobie i przyjemnie zobojeźnić na wygląd otoczenia, nie zaprzętać sobie głowy uzmysławianiem ludziom, że obecna ekipa źle sobie poczyna.

Kiedy teren zaczął się lekko wznosić, zobaczyła, jak z bloku po prawej wychodzi pan Maurycy Pluta, mamrocząc coś pod nosem. Szybko odwróciła głowę, aby się nie narażać na rozmowę z największym gadułą i piniaczem, jakiego znała. Na szczęście poszedł w przeciwną stronę, zapewne do jednego z marketów. Pluta - znany notariusz - był zagorzałym katolikiem, nieraz czytał liturgię do mszy, znał się dobrze z wszystkimi księżmi w mieście i wychowywał synów w poszanowaniu wartości chrześcijańskich. Nie miał jednak nieposzlakowanej opinii. Podobno bijał żonę i od czasu do czasu dostawał - jak mówiono - szału, a wtedy zachowywał się zupełnie nieprzewidywalnie. Jako notariusz wszakże zdobył sobie spore uznanie i nie narzekał na brak klientów. Ela z ulgą przyspieszyła kroku.

Kościół był coraz bliżej. Widziała już plebanię, stojącą nieco poniżej, ogrodzoną drewnianym płotem. Na placu przed wejściem do kancelarii parafialnej stało kilkanaście osób. Były to głównie starsze kobiety, mieszkające nieopodal, paru mężczyzn paliło papierosy. O tej porze był to widok raczej niecodzienny.

Ela podeszła do grupki wiernych.

- Dzień dobry. A cóż to państwo tak tutaj stoją? Czekacie na księdza może? - spytała.

- Dzień dobry. Na proboszcza. Czytała pani gazetę? - Pani Irena Goszczykowa, miejscowa poetka parafialna, machnęła jej przed nosem świeżym numerem „Echa”.

- Tak, czytałam. Ale to już wczoraj czy przedwczoraj nawet o tym mówili.

- No, tak, my to już od dawna wiedzieli. Ksiądz musiał to wymodlić. Jaki to ksiądz, święty prawie człowiek. Czekamy, kościelny mówi, że rano burmistrzowa tu była, a potem zaraz proboszcz nie powiedział, gdzie idzie. Nie wie nikt, gdzie jest, kościół zamknięty.

- To co, nie ma żadnego księdza?

- Eee, jest ksiądz Sebastian, ale on dużo nie wie. A ksiądz Seweryn to rano wyjechał na ten zlot dla młodych. Wie pani, wnuczka moja pojechała. - Goszczykowa zamilkła, wpatrując się w Elę w oczekiwaniu na wyrazy uznania.

- Aaa, tak, znam wnuczkę pani, znam - odparła pośpiesznie Ela. - No to świetnie, że pojechała. Bardzo rezolutna dziewczynka, i jaka ładna.

- Bardzo dobre dziecko, muszę pani powiedzieć, pani Elu, i to nie, że moja wnuczka,

to jest dziewczyna skarb. A pani też do księdza?

- Tak, w zasadzie tak.

- Nie żebym coś miała przeciw pani, pani Elu, ale w kościele to pani dawno nie było chyba, chociaż syn to dobry chłopak. Ile on tu zrobił, ile pomógł, to żaden by tyle nie zrobił.

- Nie byłam dawno, ale chcę to zmienić. Człowiek niedługo stary będzie, w życiu w coś wierzyć trzeba - odparła Ela, stosując popularne sloganowe powiedzonko, z którym ludzie niemal zawsze się zgadzali.

Goszczycowa uśmiechnęła się i powiedziała:

- O jak się cieszę, jak się cieszę. Ja to zawsze wiedziałam, że pani jest dobra kobieta. Ale pani jeszcze młoda jest, przecie pani dopiero co czterdzieści lat skończyła...

- Sześć lat temu - uśmiechnęła się Ela. - Zajdę na plebanię, może się czegoś dowiem.

- Ho, ho, ale pani to się trzyma, ja bym pani więcej jak trzydzieści pięć nie dała.

Ela ukloniła się kobietom i weszła do budynku plebanii. Kościelny Mirosław Wątroba siedział w kancelarii.

- Ja do księdza Sebastiana...

- A po co? - spytał Wątroba.

- O tę relikwię chcę zapytać.

- A, to... na pierwszym piętrze. Ale ksiądz nic pani nie powie.

Ela podziękowała i weszła wyżej. Stała przed oszklonymi drzwiami i nacisnęła dzwonek z napisem „Ks. Sebastian”.

Młody wikary dopiero niedawno ogolił głowę i wspólnie z księdzem Sewerynem, który był prekursorem radykalnej fryzury, wprowadzał w ten sposób zupełnie nową modę wśród miejscowych młodych księży. Kiedy otworzył drzwi, Ela zobaczyła, że ubrany jest w pstrokaty sweter i džinsy. Miał językiem między zębami, co świadczyło, że przerwała mu posiłek.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedziała Ela. - Nazywam się Elżbieta Rymanek, jestem z tutejszej parafii. Mam prośbę: czy ksiądz mógłby mi poświęcić dziesięć minut?

Ksiądz Sebastian zmierzył ją wzrokiem, jakby badał, czy naprawdę ma do czynienia z parafianką.

- Na wieki wieków. A, Janusz to pani syn? Aha, no proszę, w jakiej sprawie? - spytał.

- Chodzi mi o tę plotkę na temat relikwii. Mój syn bardzo się zaangażował. Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Proboszcza nie ma, pomyślałam, że może ksiądz mógłby mi udzielić kilku informacji.

Wikary zacisnął wargi i spuścił wzrok. Chwilę patrzył w podłogę, po czym westchnął, energicznie podniósł głowę i gestem zaprosił Elę do środka.

- Porozmawiam z panią tylko dlatego, że jest pani matką Janusza. Proszę, przejdźmy do mojego pokoju.

Kiedy znaleźli się w małym pomieszczeniu, gdzie ksiądz miał swój kąpiel, Ela usiadła na wersalce, wikary zajął jeden z dwóch stołków.

- Co chciałaby pani wiedzieć? - zapytał.

- Skąd ta relikwia? O co chodzi z tym objawieniem? Kiedy dziś przeczytałam artykuł w gazecie, przekonałam się, że mój syn nie tyle bawił się w plotki, ile rzeczywiście wziął udział w jakimś dziwnym przedsięwzięciu. To mnie niepokoi.

- Proszę pani, to są wszystkie sprawy księdza proboszcza. Z nim należałoby porozmawiać. Może to panią zdziwi, ale ja nie wiem zbyt dużo na ten temat. - Wikary rozłożył ręce.

- Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę chodzi o wydarzenie nadprzyrodzone? Przecież, proszę mi wybaczyć, brzmi to dość niecodziennie, żeby nie powiedzieć - śmiesznie.

- Do pewnego stopnia zgadzam się z panią. Tak to może brzmieć. Ksiądz proboszcz o niczym nas nie informował. Wszyscy z wyjątkiem jego i archeologów mieli zakaz wchodzenia do odsłoniętych podziemi. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co tam się dzieje, więc nie mogę pani pomóc, jeśli chodzi o rzetelne informacje.

- Proszę księdza, ja znam księdza proboszcza od dawna. Powiem więcej, znam go jeszcze z czasów szkolnych, z liceum, wiem, jaki to był chłopiec. Mój syn jest mocno zaangażowany w coś, co wydaje mi się podejrzane. Mówię bez ogródek, bo nie zamierzam niczego udawać.

- Proszę pani, ksiądz proboszcz cieszy się ogromnym autorytetem, wielokrotnie dowiódł, jak bardzo potrafi pomóc ludziom i prowadzić całą parafię. To wspaniały człowiek. Jeśli on mówi, że doznał objawienia, nie widzę powodów, aby mu nie wierzyć, chociaż... - Ksiądz Sebastian wykrzywił usta, zdawało się, że szuka potrzebnego słowa.

- Tak? - zachęciła go Ela.

- Nawet jeśli my go znamy i wierzymy mu, to nie znaczy, że uwierzą inni. Na pewno nie obejdziesz się bez konsekwencji natury instytucjonalnej. Zapewne ksiądz proboszcz będzie musiał skonfrontować swoje doniesienia z oceną kurii biskupiej, a może jeszcze wyżej. Więcej nie mogę pani powiedzieć, bo sam nie wiem, co się stanie.

- A czy ksiądz wierzy w to objawienie?

- Proszę pani, moja wiara lub niewiara nie ma tu najmniejszego znaczenia.

- Rozumiem, ale czy ksiądz sam dla siebie w to wierzy? Wikary pogłaskał się po łysej głowie i powiedział:

- Trudno mierzyć się ze świadectwem człowieka, który ujawnia mistyczne przeżycie na takim poziomie. Tutaj nasza wiara staje przed testem dla samej siebie. Nieznane każe nam się nad sobą pochylić. To wszystko.

Ela zrozumiała, że wikariusz nic więcej jej nie powie. Spojrzała na zegarek. Właśnie dochodziła dwunasta. Wstała i podała księdzu rękę.

- Szczęść Boże, proszę księdza. Dziękuję bardzo.

Ruszyła w stronę drzwi, ale wikary lekko chwycił ją za ramię.

- Proszę powiedzieć prawdę, dlaczego pani przyszła?

- Chcę chronić syna.

Przed plebanią zrobił się już mały tłumek. Ludzie tworzyli rozgadana gromadkę i Ela zdumiała się, że oddźwięk artykułu i plotek potrafił być tak natychmiastowy. Na co oni czekają? - myślała. - Po co tu stoją?

Wyciągnęła komórkę i wybrała numer Janusza. Był poza zasięgiem. Stała przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Po co tu właściwie przyszła? Nawet jeśli spotka Augustyna, to co mu powie? O co go zapyta? Przecież tak naprawdę pragnęła tylko rozmowy, głębszej i nostalgicznej rozmowy, i towarzystwa przyjaciela.

Po drugim papierosie zdecydowała, że zapali jeszcze jednego i wróci do domu. Goszczykowa i inne kobiety zaczęły się dopytywać, co mówił ksiądz Sebastian. I wtedy nadjechał niebieski opel. Po chwili wysiedli z niego proboszcz Augustyn i Janusz, który trzymał w ręku brązową teczkę księdza.

Augustyn z uśmiechem podszedł do grupki mieszkańców. Ela wycofała się na koniec, aby nie mógł jej zobaczyć.

- Szczęść Boże - powiedział głośno z szerokim uśmiechem, który zazwyczaj topił serca parafian. - A co tak stoicie? Na mnie czekacie?

- Proszę księdza proboszcza, my tutaj na księdza proboszcza czekamy, żeby nam ksiądz o tym objawieniu Pańskim coś powiedział.

- Pani Goszczykowa, to są sprawy trudne. Nie Pańskie to objawienie - Augustyn uśmiechnął się czarująco - bo mi się Pan nie objawił. Ale tak samo święte. Dzisiaj na wieczornej mszy wszystko opowiem. Cudowność, jaka się tu dzieje, to wam teraz mówię, przekracza naszą wiarę i zdrowy rozsądek tych, co nie wierzą.

Pani Genowefa Florczak z kółka parafialnego podeszła do księdza, bo już dłużej nie mogła wytrzymać wzruszenia, które od chwili, kiedy wczoraj usłyszała wiadomość, rosło w



niej jak młoda roślina, złożyła przed nim ręce i osunęła się w kałużę brunatnej wody.

- Kochany księżu proboszczu, nam to tylko klęknąć przed świętością - powiedziała ze łzami w oczach.

Pozostałe kobiety zaczęły przyklękać, niektóre wprost w kałużach, inne w mokrej trawie, a reszta na zimnych betonowych płytach przed plebanią. Mężczyźni wyrzucili papierosy i też padli na kolana. Wszyscy spoglądali na Augustyna, z rękami ułożonymi w „paciorek”. Proboszcz nagle wydał im się jak posąg, wysoki i piękny, biły z niego świeżość i moc, a uduchowiona twarz, szlachetnie zapatrzona w przestrzeń ponad nimi - jakby w zadumie nad nieszczęściem tego świata - uosabiała mityczną mądrość i poświęcenie męczenników. Cała jego znieruchomiła postać napełniła klęczących parafian tak wielkim wzruszeniem, że płakała już nie tylko pani Genowefa, ale prawie wszyscy na placyku zaczęli ronić łzy, a tu i ówdzie rozległy się pierwsze łkania.

- Święty człowiek, święty człowiek - słychać było szepty. Augustyn rzeczywiście zastygł jak posąg i dla kochających go wiernych było to naturalną odpowiedzią na ich uczuciowe klękanie. Cóż za piękną grupę tworzyli teraz - wyniosły ksiądz i jego parafianie: oni na klęczkach, pochlipujący, on wyprostowany i dumny, a jednocześnie pokorny i miłujący.

I choć wspaniała ta scena dla rzeźbiarza byłaby impulsem do stworzenia religijnego dzieła, przyczyna nagłego znieruchomienia proboszcza była zupełnie inna. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się bowiem w Elę, która jako jedyna nie rzuciła się na kolana i teraz stała bezradnie nad ostatnim klęczącym szeregiem wiernych. W lewej ręce trzymała niezapalonego papierosa, a w prawej zapalniczkę. Przenosiła spojrzenie to na Augustyna, to na Janusza, który oparł się o maskę samochodu.

Augustyn czuł się zaskoczony tylko przez kilka sekund. Oderwał wzrok od oczu Eli i przyjaźnie spojrzął na Genowefę Florczak.

- Pani Gieniu, nie trzeba, no, wstańcie już, proszę, wstańcie wszyscy - rzekł, rozkładając szeroko ramiona. - Co wy robicie, moi kochani, to nie ja, to nie przede mną klękajcie, ale przed tym, przed którym i ja klęczeć będę. Naszą parafię, nasze miasto, nas wszystkich spotkało wielkie wyróżnienie. No, wstańcie już. - Kobiety i mężczyźni zaczęli podnosić się z klęczek. - Nie ma nic większego ponad boską wolę, a ona objawiła się tu właśnie, między nami, w naszym kościele. Pani Ireneo, tak, doznałem objawienia, doznałem czegoś, co trudno mi opisać, o czym niełatwo mówić, ale co było i jest nadal... jest nadal między nami. Aha, pani Ireneo, prosba taka, trzeba by radę parafialną zebrać, może jutro albo pojutrze. Wiem, że pan Maurycy dopiero po dziesiątym grudnia chciał zwoływać, ale na moją

prośbę, gdyby pani mu przekazała.

- Jeszcze dziś mu powiem. To na kiedy, proszę księdza proboszcza? - spytała Goszczykowa, podchodząc bliżej.

- A może tak na piątek, za trzy dni to będzie dobrze, ludzie się oswoją z nowiną.

Przez następne kilkanaście minut Augustyn odbierał coraz to nowe hołdy od urzeczonych parafian. Czuli się wyróżnieni wraz z nim, a światło Pańskie, które rozbłysło w podziemiach ich kościoła, teraz przechodziło na nich, więc ten kościół, ten ksiądz, ta parafia, oni sami wreszcie - to była jedność, niepowtarzalne złączenie w wierze i cudzie. Łzy spływające po twarzach, bicie serca jak łopot skrzydeł, uczucia wyrywające się do ukochanego krzyża, wiara niecała rozkosz i ból duszy, tęsknota złąkniona dotyku anioła. W ich duszach rodziła się nadzieja. Otaczali swego proboszcza ciasnym kręgiem - wsłuchani, pełni podziwu. A on wiedział, jak bardzo jest dla nich ważny - w sutannie, z krzyżykiem i różańcem.

Kiedy zaczęli się rozchodzić, Augustyn szepnął coś Januszowi, który zaraz zniknął w kancelarii, a sam podszedł do Eli.

- Ciebie nie spodziewałem się tutaj - powiedział.

- Przepraszam, wczoraj byłam zbyt obcesowa. Tak naprawdę wcale nie chciałam taka być.

- Nic nie szkodzi, rozumiem. Jak widzisz, Janusz bardzo mi pomaga. Doceniam to.

- Wiem, że doceniasz, bo mi mówił. Chcę jednak prosić cię o jedno. On tyle już pomógł, pozwól mu odejść, niech pójdzie teraz taką drogą, jak trzeba.

- Ja go do niczego nie zmuszam, mówiłem ci.

- Dajesz mu pieniądze.

- Pomagam mu, to wszystko. Zresztą, należy mu się, stary kościelny nie dałby sobie rady. Moja droga, cieszę się, że cię widzę, nawet bardzo.

- Pomyślałam, że moglibyśmy... kiedyś... - Ela rozejrzała się dookoła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Kiedyś, może, może tak - odparł Augustyn - a może nigdy, kto to wie.

- Chodzi mi o rozmowę, o to, żeby... nie tak samotnie... - powiedziała zmieszana.

- Wiem, wiem... - Poczuł, że świat staje na głowie, że wszystko, co sobie zaplanował, nagle może się skończyć w jednym błysku jej oczu, które znów, tak jak kiedyś, raziły zmysły i uczucia. - Wiem, ale później, teraz nie mogę, nie mam na to czasu. Dzieje się coś ważnego. Wszystko się zmieniło.

Stali, patrząc nie na siebie, tylko gdzieś w bok. Ela włożyła papierosa do ust i

odwróciła się, aby osłonić od wiatru rękę z zapalniczką.

- Muszę już pójść, Elu - powiedział Augustyn. - Dziś mam ciężki dzień, a kolejne będą jeszcze trudniejsze.

- Przecież ty w to nie wierzysz, to niemożliwe.

- Nie moja wiara się liczy, tylko wiara tych ludzi, którzy tu byli, i tych, którzy jeszcze przyjdą. To się liczy - odparł mocnym głosem.

- Czekaj! - Ela sięgnęła do torebki i wyjęła mały notes. Napisała kilka cyfr i podała mu kartkę. - To mój numer. Jeśli uznasz, że warto, zadzwoń.

- Dziękuję ci... dziękuję bardzo. Zadzwonię - odparł, skrywając wzruszenie.

- Do widzenia, Rysiek, do zobaczenia. - Ela odwróciła się na obcasie.

- Do zobaczenia.

I znowu patrzył na nią, zupełnie jak wczoraj, kiedy pożegnała go w złości. To ta sama Ela, impulsywna, ale mało pamiętliwa.

Idąc, Ela zastanawiała się, czy za nią patrzy. Wczoraj była tego pewna aż do chwili, gdy znalazła się za linią płotu, skąd nie mógł jej widzieć. Teraz nie miała pewności, a ciekawośćomalże nie wstrzymała jej kroków. Patrzy czy nie? - pytała się w myślach. Dawniej na pewno by patrzył. Znała jego sentymentalną naturę, skłonność do romantycznych gestów, wspólnego patrzenia na księżyc albo wina pitego do dna w ruinach średniowiecznego zamku. A jednak, od tamtej pory minęło tyle lat... Umyślnie szła niezbyt szybko, tak aby zostawić sobie czas na domysły i podjęcie decyzji - odwrócić się czy nie. Dawniej może by się odwróciła, też kochała się w ostatnich spojrzeniach, całusach wysyłanych na odległość. Elka, Elka, przecież ty jesteś stara baba, nie rób z siebie podlotka - pomyślała.

Jeszcze kilka kroków i znajdzie się za ścianą kościoła. A jeśli to znak? Jeśli ona się odwróci i on będzie patrzył, to co? To coś będzie znaczyć? Jeszcze wczoraj znaczyłoby niewiele, przekonałoby ją, że miała rację - nie zapomniał o niej, a teraz zeszytniał w zdumieniu na jej widok. Ale dziś było inaczej. Podskórnie pragnęła, żeby tam ciągle stał, żeby nie zwracając uwagi na to, co wokół, śledził każdy jej krok, ruchy płaszcza i zetknięcia obcasów z chodnikiem, wpatrywał się w kosmyki włosów wypływające spod kapelusza, chciała, by jego spojrzenie ślizgało się po jej plecach, szyi, przesuwano po spódnicy, łydkami w dół aż do kostek, a później ogarniało całą jej postać, i przypominała sobie, jak z zachwytem wychwalał jej chód, gdy mówił, że przypomina mu to pięknego marynarza, który nigdzie nie może się zaokrętować, i wspomnienie wspólnych wieczorów napłynęło tak wyraziście, że od śmierci Irka nie poczuła ich tak blisko. A jeśli on jednak tam stoi? - myślała. - Jeśli tam jest i patrzy, to czeka, aż ja się odwrócę... kurwa!

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Przez chwilę utrzymała na twarzy wyraz zaplanowanej zachęty, a potem lekko się uśmiechnęła.

- Elka, Elka, ale z ciebie głupia cipka - powiedziała do siebie. Przed plebanią nie było nikogo.

## Rozdział 5 - Przeklęty

Tego samego ranka, kiedy w mieście gruchnęła wieść o relikwii i mieszkańcy przekazywali sobie treść artykułu jako potwierdzenie wcześniejszych pogłosek, boczne drzwi kościoła pod wezwaniem św. Marii Magdaleny otwarły się z trzaskiem i wysoka zakapturzona postać wybiegła z nich, kierując się do plebanii. Była ósma i właśnie skończyła się poranna msza. Nieliczni wierni powoli opuszczali kościół, ciągle mając w pamięci wspaniałość wczorajszej ceremonii, kiedy święty chłopiec, patron ministrantów i nieskazitelny wzór młodego chrześcijanina, odjeżdżał wychwalany przez proboszcza Korala. On to właśnie, otuliwszy głowę kapturem od granatowej kurtki, przemierzał pędem dystans dzielący go od ciepłego pokoju, w którym czekała już gorąca kawa i śniadanie. Zajrzał do kancelarii, wydał codzienne polecenia i chwycił plik gazet, jak zwykle pozostawionych na taborecie przez pana Lutka, wąsatego listonosza. Wbiegając po schodach, przerzucał tytuły, aż wreszcie wzrok jego padł na „Echo”. Zwolnił i zaczął przebiegać wzrokiem zdanie po zdaniu. Zanim dotarł do swojego pokoju, przekonał się, że wszystko, co powiedział mu dziś wikary Bartłomiej o relikwii i jakimś objawieniu, to prawda.

Cała wcześniejsza msza była katorgą. Bił się z myślami, wmawiał sobie po cichu, że Augustyn przesadza, niemożliwe, żeby ten niegłupi w końcu ksiądz tak się kompromitował, szkodził nie tylko sobie, ale dekanatowi. Wszystkie czynności Korala odprawił beznamiętnie, jak maszyna, kazanie było zlepkiem przypadkowych formuł, i chociaż miał tego dnia spowiadać, zagonił do pracy dostarczyciela sensacyjnych wieści.

Po czwartym siorbnięciu kawy odłożył gazetę i rozparł się w fotelu. Pierwsze emocje zaczęły ustępować. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. W pokoju było gorąco i duszno. Podniósł się, otworzył okno i przez moment wdychał świeże powietrze. Kiedy ponownie zasiadł w fotelu, już wiedział, że tym razem nie skończy się na słowach i jako ksiądz dbający o dobro Kościoła i wiernych z całego miasta będzie musiał ostro zareagować. Augustyn od dawna zbliżał się do niebezpiecznej granicy, a teraz z pełną świadomością przekroczył ją, nie zostawiając sobie żadnej furtki. Trzeba działać szybko, myślał ksiądz Zygmunt, tutaj najważniejszy jest czas. Ludzie są łatwowierni, natychmiast wytworzą klimat, całą otoczkę niezwykłości, nadnaturalności, a potem będzie tylko gorzej.

Wygrzebał komórkę i zaczął ważyć ją w dłoni. Jeszcze nie był do końca zdecydowany. Przeczuwał, że jeśli wykona ten telefon, konsekwencje przerosną wszystko, co do tej pory zdołał przekazać. Tym razem sprawa była poważna. To już nie błahe opowieści

wysnute z plotek i domysłów, to już nie podszyta zazdrością dbałość o rozwój sąsiedniej parafii, ale coś więcej. Nagle zobaczył Koral całą ohydę nieudolnego szkodnictwa, odszczepieństwo kapłańskie i kłamstwo obnażone przed jego oczami, które zadawało Kościołowi ranę tym boleśniej, że pochodzącą od jednego z jego dobrych synów. Artykuł nie pozostawiał cienia wątpliwości - Augustynem zawładnął szatan i proboszcz Zygmunt poczuł, jak pod pachami występuje mu pierwszy pot. Nie potrafił inaczej wytłumaczyć sobie tak niecodziennej rzeczy, na jaką zdobył się proboszcz od lat dający dowody sumiennej posługi, jak tylko obecnością złego pierwiastka w jego czynach i woli. To nie było zwyczajne zachowanie kapłana, a całe wystąpienie raziło zdradą uświęconych tradycją idei chrześcijańskiego kleru. Koral w jednej chwili pojął, że jedynym jego obowiązkiem będzie teraz podjęcie odpowiednich kroków na wyższym stopniu hierarchii.

A jednak coś go wstrzymywało. Duchowny dostępujący objawienia to rzadkość, coś wręcz niespotykanego. Mistycyzm kapłański nigdy nie był zjawiskiem powszednim, a jeśli już zdarzały się podobne historie, Kościół zawsze traktował je z należyтым dystansem. Koral przypomniał sobie oszustów, w ostatnich latach odczytujących swoje orędzia przepojone fałszywą wiarą, ociekające pychą i agresją; ich forma już na pierwszy rzut oka nosiła ślady diabelskiego ducha. Cóż to za śmieszność. Nie byli księżmi, tylko zupełnie przeciętnymi ludźmi, bez wykształcenia - a mimo to potrafili przekonać setki, tysiące ludzi, że otrzymali łaskę bliskiego obcowania z Bogiem albo Świętą Marią. Już na odległość czuło się oszustwo, zbyt prymitywne były ich przesłania, szereg zakazów i nakazów nie do wypełnienia, a nieraz nadzieja na dobry zarobek. Bzdury, zwykle brednie, mówił sobie Koral, siorbiąc gorącą kawę. Ale przecież Augustyn to nie przeciętny parafianin, tylko wykształcony ksiądz. Jeśli zdobędzie się na spisanie orędzia, będzie to coś innego i zapewne całkiem spójnego z ortodoksją. On nie da się wpędzić w pułapkę.

Pogmerał kciukiem po klawiaturze swojej nokii i wybrał numer Augustyna. Było kilka minut po ósmej. Jeśli jego sąsiad odprawił mszę poranną, powinien właśnie jeść śniadanie, podobnie jak on. Przyłożył komórkę do ucha i zaczął się wsłuchiwać w sygnał. Nikt nie odbierał. Po chwili znowu wybrał numer. Czekał jeszcze dłużej. Nagle usłyszał w słuchawce głos Augustyna.

- Witam księdza proboszcza.

- Szczęść Boże, Gustek, co się dzieje? Czytam w gazecie o jakimś objawieniu... Nie sądziłem, mimo wszystko nie przypuszczałem, że aż tak poważnie do tego podejdziesz...

W słuchawce dało się usłyszeć ciężkie westchnienie, a zaraz potem mocno wycedzone słowa Augustyna:

- A jak można inaczej? Jak? Kiedy masz do czynienia z cudem, nie wolno pajacować, trzeba poddać się temu, co przychodzi. To wszystko. Przecież nie muszę ci tego tłumaczyć.

- Rozumiem, ale... nie zrozum mnie źle... z perspektywy Kościoła, wiesz, od strony biskupa i jeszcze wyżej, to raczej właśnie będzie takie pajacowanie. Musisz zdawać sobie sprawę, jak oni zareagują, kiedy...

- Przestań! - Augustyn chyba nie miał ochoty na poranne rozmowy. - O co ci chodzi, Zygmunt? Po co dzwonisz? Chcesz mi powiedzieć to, co wczoraj?

- Nie, nie to, po prostu chcę wiedzieć, czy wiesz, co robisz. Na co narażasz siebie i wszystkich...

- Zygmunt! Co ty mi chcesz powiedzieć? - Było słyhać, że irytacja w głosie Augustyna, udawana bądź nie, zaczyna rosnać. - Chcesz się usprawiedliwić, zanim pojedziesz do kurii, aby zdać relację? Zamierzasz oczyścić sumienie? A może potrzebujesz mojego błogosławieństwa? Proszę bardzo, udzielam ci go. Jedź, jedź.

- Ale... przecież wiesz, że nie o to chodzi. Augustynie, obaj jesteśmy kapłanami, dlaczego zarzucasz mi coś takiego? To, co mówisz, boli...

- Boli to, co ty czynisz, Zygmunt. I jest mi przykro, bo znamy się od tylu lat. Ale teraz już mi wszystko jedno. Przepraszam cię, muszę kończyć...

- Poczekaj. - Proboszcz Koral chciał jeszcze rozmawiać, słyszeć głos Augustyna, przeciągać to połączenie, jakby w obawie, że gdy zostanie sam, będzie zdany już tylko na to, co musiał zrobić. - Poczekaj, tak nie można, przecież możemy wspólnie... mszę odprawiliśmy razem, poprosiłem cię...

- Ale ja cię nie poproszę, mój drogi. - Zimny głos Augustyna nie pozostawiał złudzeń co do jego uczuć. - Przeżyłeś swoją chwilę chwały i ciesz się z tego. Ludzie cię kochają. Ale mnie daj spokój, znamy się zbyt długo, żeby ukrywać przed sobą cokolwiek. A teraz do zobaczenia. Biskup z pewnością chętnie z tobą porozmawia.

I to był koniec rozmowy. Koral położył telefon na stoliku.

- On oszalał - powiedział na głos i wziął z talerzyka kromkę z żółtym serem i pomidorem. Posypał ją solą i pieprzem i zaczął powoli przeżuwać kęs za kęsem. Skrzywił się - gospodyni znowu kupiła chleb w Biedronce zamiast w tym małym firmowym sklepiku z pieczywem. Tyle razy jej mówił - nigdy w Biedronce, wszędzie, tylko nie tam! Tego już za wiele. Poszedł do kuchni.

- Przecież mówiłem, żeby nie kupować chleba w Biedronce! - rzucił ostro i wyciągnął dłoń z nadgryzioną kromką. - Czy tak trudno to zapamiętać, pani Basiu?

Barbara Czerwińska nie zwróciła uwagi na pretensje proboszcza. Oderwała wzrok od

„Pani Domu” i podniosła się, składając gazetę.

- Proszę księdza, ja dobrze o tym pamiętam, ale tam zamknięte, a u Miotły robią jakieś naprawy przy chodniku, sklep ma nieczynny aż do trzynastej, nie będę szła za chlebem taki kawał drogi. A co to, zły chleb?

Koral otworzył usta z głośnym mlaśnięciem i uniół rękę do twarzy. Już miał na końcu języka mocną ripostę, ale zamiast słów wydobył z gardła tylko „khr...kh”, a policzki mu poczerwieniały.

- Jutro będzie chlebek taki, jak ksiądz proboszcz lubi - powiedziała pani Basia najbardziej kojącym tonem, na jaki było ją stać. - A jeszcze nie mówiłam księdzu, jaka piękna wczoraj ta msza była. Ksiądz to tak umie ludzi poruszyć, cała parafia płakała, jak ksiądz opowiadał o tym chłopcu, o cudach, no i że teraz trzeba mocno przy wierze stać, bo czasy idą niedobre.

Proboszcz Zygmunt zrozumiał, że znów porwał go jakiś impuls, nad którym nie potrafił zapanować, kiedy coś burzyło poukładany świat jego Kościoła.

- Tak, tak... właściwie to bez znaczenia. Dziękuję, pani Basiu. Oczywiście, skoro zamknięte, to naturalnie nie może pani chodzić na drugi koniec miasta. Dziękuję. I przepraszam. - Koral zaczął wycofywać się z kuchni, próbując ukryć kromkę, na której zaznaczył się kształt jego równego zgryzu.

Nagle głośny, wysoki głos krzyknął mu w ucho:

- Proszę księdza, proszę księdza, a tam w tamtym kościele objawienie było.

Dopiero teraz proboszcz zauważył siedzącego w rogu Jakubka. Chłopiec dyndał nogami i zajadał się bułką.

- A... Jakubek, a co to, nie w szkole? Pani Basiu, wnuczek na lekcje nie chodzi?

- Chodzi, chodzi, dzisiaj później zaczynają. Ale no właśnie, proszę księdza, a co to o tej relikwii mówią? Podobno naprawdę tam się Jezus objawił czy coś. To prawda to?

- Pani Basiu - Koral momentalnie zapomniał o kromce

- nie wiadomo nawet, co w rzeczywistości się wydarzyło. Proszę nie wierzyć we wszystko, co mówią ludzie.

- No też ja nie wierzę, co mówią, ale i w gazecie jest, a przecież proboszcz Augustyn to taki dobry ksiądz, a to jemu się podobno objawił.

- Żaden Jezus się nie objawił! Kto to pani powiedział?!

- No, tak mówią... że jakieś święte szczątki, że się ludzie uzdrowią...

- O, proszę księdza - Jakubek podskoczył na krześle - to by się Oktawia Żarnowska uzdrowiła, ta z piątej C, nauczyciele do niej na lekcje jeżdżą. Każdy by tak chciał.



Koral poczuł, że za chwilę zbraknie mu sił.

- Jakubku, najważniejsze, żeby się modlić. Pani Basiu, ludzie może mówią, ale nie wiedzą co - powiedział. - Najważniejsze słowo należy do Kościoła, niech pani o tym pamięta. Niech pani nie słucha plotek i tego, co ludzie mówią, bo jeszcze niejedno się może okazać.

- Ale to przecież ksiądz ogłasza. Jak tu księdzu nie wierzyć? Proboszcz Zygmunt bezradnie ścisnął kromkę, z której zaczął kapać pomidorowy sok. Czerwony plasterk przesunął się na krawędź w miejscu nadgryzienia i niebezpiecznie zawisł nad podłogą.

- Pani Basiu, wierzyć to tylko w Boga - odrzekł. - Tylko w Boga.

Odwrócił się i poszedł do siebie. W ostatniej chwili złapał spadający już plasterk pomidora.

W pokoju ponownie usiadł w fotelu i upił kawy. Odłożył napoczętą kromkę, sięgnął po drugą, a lewą ręką podciągnął sutannę, aby złożyć na pufie zmęczone nogi. Przeciagle zaburczało mu w brzuchu, a pęcherz nieoczekiwanie dał o sobie znać, choć nie na tyle znacząco, żeby od razu biec do ubikacji. Komfort siedzenia przyszedł bezpowrotnie. Aktywność gruczołów wewnętrznych znów doprowadziła proboszcza do znienawidzonej myśli o prostaty. Obiecywał sobie, że w końcu odwiedzi lekarza, przebadana się jak należy, bo lepiej nie kusić losu, i zawsze przekładał decyzję z miesiąca na miesiąc. Jego ojciec, gdy tylko przekroczył pięćdziesiątkę, zachorował na raka prostaty i opuścił świat w potwornych męczarniach. Koral właśnie skończył pięćdziesiąty szósty rok życia i miewał coraz częstsze kłopoty z sikaniem. Kiedyś o mało nie popuścił w czasie mszy i nie zdołał odczytać końcowych ogłoszeń, bo musiał zdążyć do klozetu. Od tej pory przed każdą celebrą, nieważne - mniejszą bądź większą - dokładnie opróżnił pęcherz, a nawet spędzał w ubikacji kilka dodatkowych minut, aby mieć całkowitą pewność, że pozbył się ostatnich kropli nieczystego płynu.

Pierwszy moczopędny sygnał dawał mu jeszcze około dziesięciu minut w miarę spokojnego siedzenia. Poprzebierał przez chwilę palcami u nóg i poczuł, że parcie ustąpiło. Nadgryzł kanapkę, po czym chwycił komórkę i położył ją na kolanie.

Nawet pani Basia, taka rozsądna kobieta, temu uległa - pomyślał. Dlaczego, dlaczego Augustyn robi coś takiego? Koral poznał go piętnaście lat temu, kiedy przyjechał objąć nową parafię, i młody ksiądz wywarł na nim bardzo dobre wrażenie.

Świetnie wykształcony, kulturalny i układny, potrafił przyciągać wiernych samym tembrem głosu i jakimś niezwykłym czarem spojrzenia. Kiedy trzeba, umiał być dowcipny i serdeczny, a jednocześnie cechowała go konsekwencja w dążeniu do poprawy sytuacji parafii i wiernych. Już będąc wikariuszem, dał się poznać jako doskonały organizator, uczestnik

wielu charytatywnych akcji, zostawszy proboszczem zaś, okazał się nie tylko przedsiębiorczym rachmistrzem, ale i duszpasterzem niosącym pomoc, gotowym przyjechać na wezwanie potrzebującego o każdej porze dnia i nocy. Słowem - ideał kapłana. Równie praktyczny, co oddany teologii.

Dopiero w ostatnich latach coś zaczęło szwankować. Nie od razu rzuciło się to w oczy, a większość parafian nigdy nie doszukała się niczego podejrzanego w postawie swojego księdza. Dla bardziej wnikliwych przemiana proboszcza była jednak aż nadto zauważalna. Z biegiem czasu Augustyn coraz częściej wyręczał się wikariuszami, między duchownymi w mieście zaczęto mówić, że pije, a sam Koral nieraz wyczuwał charakterystyczną woń podczas rzadkich spotkań. Z duszą Augustyna działo się coś złego. Ostatnim jego dokonaniem był sławny remont dachu kościelnego. Proboszcz wspiął się na wyżyny i wywalczył niemałe środki finansowe, a sponsorzy hojnością wyrównali poprzednie chude lata. Efekt był wspaniały, młody ciągle ksiądz przeżywał wielkie chwile. Wydawałoby się, że niczego więcej mu nie trzeba, a parafia zacznie tworzyć ścisłą wspólnotę, tak pożądaną przez księży rodzinę wiernych pod przewodnictwem światłego kapłana. Jednak w kilka miesięcy później z przedsiębiorczości Augustyna nie został nawet ślad, natomiast jego posługa z charyzmatycznej stała się zupełnie przeciętna. Kochany przez swoich ludzi proboszcz zmienił się, co pierwsi zauważyli właśnie bracia w kapłaństwie. Podobno zamykał się u siebie na długie godziny, zapominał o mszach, które miał odprawiać, i tylko fakt, że ostatnio miał wyśmienitych młodych wikariuszy, ratował sytuację. Przestał regularnie spowiadać i robił to tylko w czasie świąt. W środowisku szeptało, że z rachunkami w parafii nietęgo. Dawny wspaniały proboszcz stetryczał, choć jeszcze nie zdążył się postarzyć, mówili niektórzy.

A jednak miłość parafian i oddanie dla niego były nadal ogromne. Wciąż miał opinię człowieka nieskazitelnego. Do Korala dotarły wprawdzie pogłoski o tym, że przed wieloma laty podejrzewano go o romans z jakąś młodą osobką, co podobno przychodziła na plebanię, ale plotki te szybko minęły, bo dziewczyna wyszła za mąż i urodziła dziecko, Augustyn zaś po kilku latach, kiedy zmarł sędziwy ksiądz Ambroży, awansował na proboszcza. Do dziś opowiadano, że podłość ludzka nie zna granic, skoro takiego księdza można posądzić o grzech. Wszyscy byli pewni, że to komuniści próbowali go skaptować na tajnego współpracownika i puścili bezwstydną plotkę, kiedy oparł się im z wielką odwagą. PRL miał się już ku końcowi, a mimo to esbecy do samego końca walczyli o swoje. Parafianie tym bardziej cenili Augustyna i darzyli go jeszcze większym zaufaniem. „Taki nasz Popieluszko” - powtarzali po cichu. Prawdziwą swą wartość pokazywał młody ksiądz w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy objął parafię. Zapał w posłudze, oddanie sprawom wiary i

Kościół musiał zrobić wrażenie na hierarchach. Wreszcie biskup zainteresował się bliżej młodym kapłanem, ale Augustyn konsekwentnie odmawiał stanowisk, twierdził, że zawsze pragnął tylko jednej rzeczy - posługi kapłańskiej w swoim rodzinnym mieście. W tym chciał się spełnić.

Ostatnie dwa, trzy lata były jednak trudne. Koral dostrzegał w postawie swego kolegi niebezpieczne symptomy wypalenia kapłańskiego, a może nawet kryzysu wiary. Głośne przypadki apostazji odbijały się szerokim echem nie tylko na najwyższych szczeblach Episkopatu, ale i między zwykłymi księżmi. Koral obawiał się, że zły przykład sławnych kapłanów i intelektualistów w sutannach mógł podziałać na młodych adeptów duchowego życia i wikarych zaczynających swą posługę w sposób najgorszy z możliwych, bo owocujący odstępstwem od prawd wiary i Kościoła. Zasiać ziarno zwątpienia łatwo, o wiele trudniej naprawić to, co zniszczyli inni, dlatego Koral nie krył się z otwartą krytyką księży - zwłaszcza tych znanych - rzucających sutannę, bez względu na to czy przyczyną haniebnego kroku była miłość do kobiety, czy utrata wiary.

W duszy proboszcza Zygmunta rósł niepokój. Jeśli odchodzą najlepsi, jak by się wydawało, skoro nikomu nie można ufać, skoro ich wiara jest udawana i tak naprawdę nie wiadomo, kto naprawdę wierzy w Kościół i Boga, a kto ukrywa pod sutanną wstyd własnego sumienia, pozoruje wierność wyznaniu i nauce chrześcijańskiej, to znaczy, że zbliża się kryzys, jakiego jeszcze nie było. Przyglądając się Augustynowi, Koral doszedł do wniosku, że ksiądz ten jest na granicy zerwania z Kościołem, co może mieć bardzo poważne następstwa dla okolicznego duchowieństwa i wiernych. Początkowo próbował z nim rozmawiać, wypytywać o zdanie na temat apostatów, o zmiany w jego zachowaniu, ale Augustyn zawsze skręcał w bok, przenosił ciężar rozmowy na bieżące sprawy miasta i żywo interesował się sytuacją Koralowej parafii. Żadne sugestie, rady, ostrzeżenia nie przynosiły rezultatu, Augustyn zdawał się nie przyjmować do wiadomości tego, co Koral ma mu do powiedzenia. Wreszcie proboszcz Zygmunt, po konsultacji z księdzem dziekanem, zaczął przekazywać swoje wątpliwości biskupowi.

Kończąc kromkę biedronkowego chleba z żółtym serem i pomidorem, bawił się komórką. Wreszcie przełknął ostatni kęs i wybrał numer. W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Koral syknął zniecierpliwiony i przerwał wybieranie.

- Proszę - powiedział.

- Jest poczta, proszę księdza, ale to chyba pomyłka. - Pani Basia wniosła plik kopert. Jedna z nich zaadresowana była na adres plebanii Augustyna. - Widać źle rozdzielili, a pan Lutek zostawił z przyzwyczajenia.

- No tak, to nie do nas - rzekł proboszcz Zygmunt. - Pani Basiu, a nie ma tam kogo, żeby to zanieść do prawowitego adresata?

Pani Basia oparła się o framugę i zadumała. Po chwili zaczęła drapać się w brodę. Widać problem nie był prosty.

- Pani Basiu, znajdzie się ktoś?

- No nie wiem, proszę księdza. Mój wnuczek właśnie miał wychodzić, to mu może dam, to zanieś, to dobry chłopak.

- No, bardzo dobrze, bardzo dobrze, dziękuję, pani Basiu. Aha, pani Basiu, a niech no się Jakubek rozejrzy, co tam się na plebanii dzieje, czy ludzie przychodzą, rozumie pani? A niech zajrzy do mnie, zanim pójdzie.

- A pewnie, samam ciekawa.

Drzwi się zamknęły, a Koral przejrzał koperty. Później odłożył je na biurko i jeszcze raz wybrał numer. Po chwili uzyskał połączenie.

- Szczęść Boże, poproszę z sekretariatem Jego Ekscelencji biskupa Jana Andursza - powiedział.

Na połączenie z samym biskupem czekał około pięciu minut, pokonując opór sekretarzy, i pożałował kolejny raz, że zgubił numer komórki.

- Słucham, Andursz.

- Szczęść Boże Ekscelencji, tu Zygmunt Koral...

- A, bardzo się cieszę, co tam u proboszcza nowego? Peregrynacja udana? Pół miasta zapewne na uroczystość przybyło? Już niedługo u nas będzie, proboszcza serdecznie zapraszam, proboszcz pamięta?

- Oczywiście, pamiętam, udział w takiej koncelebracji to zaszczyt. A peregrynacja bardzo udana, Ekscelencjo, bardzo, kościół pękał w szwach, ludzie nie chcieli wychodzić, płakali, jak odjeżdżał.

- Cieszę się, cieszę się, ksiądz proboszcz tak dużo energii angażuje, tyle wysiłku, no i proszę, są owoce, i to jakie. Słucham księdza.

- Ekscelencjo, pewne okoliczności zmusiły mnie do wykonania tego telefonu. Sprawa dotyczy księdza Augustyna Płaczka...

- Aaaa, znowu ten Augustyn, no, księżę proboszczu, a cóż on tam znowu przeszkrobał?

- W głosie biskupa Koral wyczuł lekką ironię.

- To coś poważniejszego niż dotąd. Głosi, że doznał objawienia i odkrył kości mające nadprzyrodzoną moc.

W słuchawce zaległa cisza. Koral poczuł, że znowu poci się pod pachami. Sprawdził,

czy na sutannie nie ma mokrych śladów. „Muszę kupić antyperspirant, tylko gdzie, w markecie, panią Basię poślę” - pomyślał, dotykając wilgotnych miejsc.

- Tak, to ciekawe - odezwał się wreszcie biskup. - Dziwne. Objawienie, mówi ksiądz proboszcz. Trzeba będzie zbadać tę okoliczność. A jeszcze nie tak dawno ksiądz Augustyn to był naprawdę wyjątkowy kapłan. No tak... Proszę księdza, kiedy ksiądz może do mnie przyjechać? Wkrótce peregrynacja, to akurat po uroczystości zapraszam księdza proboszcza do siebie. Porozmawiamy.

- Oczywiście, jak ekscelencja sobie życzy.

- Tymczasem, proszę mieć oko na to, co się dzieje.

- Tak, oczywiście, jak najbardziej.

Koral położył telefon na stole i uśmiechnął się szeroko. Zauważył, że drzwi są lekko uchylone i stoi za nimi wnuczek jego gospodyni. Przywołał go palcem i wręczył mu dwa piękne obrazki z Jezuskiem. Znowu zaczął manipulować komórką, poklepał chłopca po buzi i dał do zrozumienia, żeby już poszedł.

Jakubek z zadowoleniem przyjął dar księdza, choć w głębi duszy liczył na coś więcej. Ale i to dobre, wklei obrazki do zeszytu od religii, będzie mógł pokazać w czasie kolędy. Wycofał się powoli, trzymając w ręce dużą kopertę. Pędem zbiegł po schodach i słysząc jeszcze „włóż czapkę”, wyskoczył przed plebanię. Wybrał najkrótszą z możliwych dróg, przez stary most na rzece. Nie szedł głównymi ulicami, ale przez zupełnie pusty teren, zarośnięty gnijącym trawskiem. Kamienice z czasów dziewiętnastowiecznego boomu przemysłowego miał po lewej stronie. W pustych, brudnych oknach odbijało się słońce. Krwawe cegły ścian skruszały przez lata, we framugach okien rysowały się szczeliny, wieczorami przepuszczając refleksy żółtego światła z korytarzy i mieszkań. Dzielnica wymarłych robotników tonęła w nierównym, podmokłym torfowisku, w jakie zamieniał się ten obszar, kilkaset metrów dalej przechodząc w rozległy staw. Skacząc nad zdradliwymi kępkami traw, Jakubek pokonał ten obszar w dziesięć minut. Wreszcie dostał się na ulicę, która poprowadziła go prosto do Augustynowego kościoła.

Proboszcz właśnie wkładał płaszcz, kiedy pani Hela przyniosła mu kopertę, oznajmiając, że chłopak od Korala przyniósł. Augustyn podziękował i odłożył list na bok, przelotnie rzucając okiem na nadawcę.

- A dała mu pani coś? - spytał.

- Miałam obrazki ze Świętą Panią - odparła pani Hela.

- Aha, no dobrze, dziękuję, muszę teraz do szkoły. Janusza jeszcze nie było?

- Nie, nie przyszedł jeszcze.

Od samego rana Augustyn nie miał spokoju. Artykuł, tak jak przeczuwał, podziałał na mieszkańców znacznie silniej niż puszczone przez Janusza pogłoski. Telefon dzwonił co najmniej kilkanaście razy, a ostatnia rozmowa z Koralem utwierdziła go w przekonaniu, że powinien się przygotować na rozprawę z kurią. To kwestia czasu - dziś, jutro, najpóźniej za dwa dni. Pewnie kulturalnie nakażą się wytłumaczyć, stawić gdzie trzeba, a potem nastąpi prawdziwy atak, czyli weryfikacja z udziałem mędrca reprezentującego Urząd Nauczycielski Kościoła. Już wcześniej postanowił nigdzie się nie ruszać, jeśli chcą, niech przyjadą, niech badają, jest gotów.

Wyszedł przed plebanię i zdziwił się nieco, że jeszcze nikogo tu nie ma. Dochodziła dziewiąta, więc przyspieszył kroku, żeby zdążyć do zespołu szkół na cotygodniową katechezę. Na szczęście szkoła sąsiadowała z terenem kościelnym. Przeszedł tylnym wejściem na plebanię i przedarłszy się przez dziurę w porzewiałym prześle, znalazł się na placu szkolnym. Zawsze korzystał z tego skrótu i doradzał tę drogę Sebastianowi i Sewerynowi, ale obaj wikariusze woleli chodzić naokoło. Zgodnie twierdzili, że Augustyn takimi praktykami daje zły przykład, a przy tym ryzykuje rozdarcie sutanny o ostre zakończenia drutów. Proboszcz zapewniał, że nigdy nic podobnego go nie spotkało i zawsze zjawiał się na katechezach w nieuszkodzonym stroju, lecz wikariusze - choć w ubraniach znacznie wygodniejszych - konsekwentnie unikali ścieżki przez płot.

Szkoła mieściła się w budynku z lat siedemdziesiątych. Na dwóch piętrach z parterem pomieszczono w nim podstawówkę i gimnazjum. Niedługo miały zacząć się prace przystosowujące sale do potrzeb sześciolatków. Augustyn przepuścił wybiegających uczniów i wszedł do środka. Już na schodach któraś z nauczycielek po zdawkowym „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” popatrzyła na niego z dziwnym, nieco kpiącym, uśmiechem, jakby chciała powiedzieć, że wie, czytała, słyszała, i ma swoje zdanie, lecz ukryje je za uśmiechem, jedynie dając do zrozumienia, jak bardzo żal jej księdza, skazującego się na śmieszność i drwiny.

Pokój nauczycielski natychmiast po jego wejściu zamienił się w świątynię milczenia.

- Szczęść Boże - głośno przywitał nauczycieli. - Takiej ciszy w tym pokoju to ja nie pamiętam. Co to się państwu stało?

Pedagodzy wymruczeli „szczęść Boże, szczęść Boże”, jedni podeszli do tablicy z rozkładem lekcji, inni zaczęli przeglądać dzienniki, ktoś wyszedł zapalić, ktoś musiał do dyrektora. Augustyn był świadkiem sceny, o jakiej nigdy nie marzył: oto on, jako główna przyczyna konsternacji i nerwowego przebierania w papierach, w samym środku niechęci zgęstniałej jak opadająca mgła, rozdaje łagodne spojrzenia specjalistom od chemii, polskiego,

matematyki, historii, ale nikt nie odpowiada.

- Oho, widzę, że państwo już wszyscy zapoznali się z artykułem, prawda? - powiedział lekko. - No proszę, jestem, możecie się ze mnie śmiać, sam się pośmieję.

Katarzyna Szczygieł, młoda polonistka, wreszcie odnalazła klucz do sali, w której czekały ją aż dwie lekcje z drugą B. Podeszła do Augustyna i ujęła go za rękaw sutanny.

- My wszyscy tutaj, niech nam ksiądz wierzy, jesteśmy za księdzem. - Uścisnęła mu mocno przedramię i powtórzyła:

- Za księdzem.

- No, jeśli wszyscy, to się niezmiernie cieszę, bo się tego nie spodziewałem. Pani Katarzyno, dziękuję bardzo. Zaraz dzwonek, muszę do klasy. Zapraszam państwa na mszę dzisiaj o osiemnastej, proszę przekazać dyrekcji, że będzie. Mogę na państwa liczyć?

Kilkoro nauczycieli pokiwało głowami. Augustyn czuł, że są po jego stronie. To dobrze, niech dadzą przykład.

- A dyrekcja u siebie? - spytał.

- Nie, dyrektor na urlopie - odparła pani Katarzyna.

- A szkoda, chciałem z nim kilka słów zamienić. No cóż, następnym razem.

Augustyn sięgnął po klucz i wyszedł z pokoju nauczycielskiego. Dyrektor Marek Rokita, syn sławnego w mieście rusycysty, był zagorzałym przeciwnikiem wszystkiego, co wiązało się z Kościołem, a pomysł religii w szkole uznawał za najbardziej wymowny przykład zniewolenia państwa polskiego. Wykształcony politologicznie na stworzonym przez PRL uniwersytecie, określał siebie urokliwym mianem liberała i ze swadą prychał liberalizmem w momentach zagrożenia bądź gdy nie był zupełnie pewny sensu własnych wypowiedzi. Po ojcu odziedziczył pociąg do spraw publicznych i niestrudzenie brodził w mętnej sadzawce lokalnego samorządu. Słynne były jego długie perory godzące w aktualny porządek. W szkole nie ma miejsca na religię! - mówił twardo. - Boją się, że młodzież od katolickiej religii odejdzie i zamiast historię wyznań wprowadzić, dają katolicyzm w czystej formie. Najgłupsze, co mogą zrobić, czyli wpoić system na siłę, cha, cha, zamiast zachęcać, zniechęcają. Myśli ksiądz, że nie? A co, dawne katechezy nie były lepsze? Miały coś szczególnego i duchowo wyrastającego ponad szkołę, nie zgodzi się ksiądz? Ja nie mam nic do religii, nic, ale to jest przesada i jeszcze sami sobie szkodzicie. Odzieracie swoją religię ze sfery sacrum, chcecie stawiać stopnie z wiary? Że ktoś wierzy na piątkę, a inny tylko na trójkę? To nonsens. Jak się to skrytykuje, to ci fanatycy zaraz się drą, że wraca najgorszy liberalny komunizm, że zwrot do czasów wojny ideologicznej z Kościołem. Idiotyzmy po prostu. Jaka wojna? Rozsądek i tyle. Więcej księdzu powiem - oni komunizm krytykują,

jeżdżą po nim jak po kobyle, a sami to samo robią. No bo czego chciał komunizm? Żeby ludzie zatracili umiejętność krytycznego myślenia, żeby w ogóle zwątpienie w to, co wkłada się im do głowy, nawet na chwilę nie zamajaczyło im w myślach, żeby możliwość ideologicznej alternatywy nie zakłócała ich wyznawczej pokory. To jest indoktrynacja. I dziś jest to samo. A teraz ten odgórny przymus! Parodia po prostu. Wytaczają działa ideologiczne i bombardują patriotyzmem podszytym religijnością rodem z obory. Tak, proszę księdza. Ja wiem, że ksiądz fanatykiem nie jest, cenię bardzo księdza rozum, ale mówię o fanatykach.

Słuchając mów dyrektora, kiedy towarzystwo zbierało się po szkolnych uroczystościach ku czci państwa polskiego, Augustyn widział tę samą bruzdę tnącą mu czoło na dwie części, którą przed laty obserwował u profesora magistra. Stary Rokita wylegiwał się od paru lat w grobie w spokojnym kącie cmentarza komunalnego. Aż do śmierci zadreślał syna, żeby porzucił tych zakłamanych platformowców i przystąpił do SLD, jak na lewicowca przystało, jednak dyrektor Marek, chlubiący się piękną żoną i trzema córkami, ojcowskie rady dawno już traktował na równi z mądrościami znajomego listonosza, czyli śmiejąc się, udawał, że słucha. Za komunistyczną przeszłość ojca wiele razy się tłumaczył, ale zawsze mógł postawić na szali swoją biografię - nigdy bowiem nie padała w niej nazwa PZPR.

Dla Augustyna było zupełnie jasne, że dyrektor, gdy tylko dowie się o relikwii, zrobi wszystko, aby odizolować go od uczniów, a najchętniej zawiesić jego katechezy. Dołoży wszelkich starań, aby wywalić go ze szkoły i zakończy akcję smutnym uściskiem dłoni, zapewniając, że jest mu niewymownie przykro, ale w tej sytuacji nie może postąpić inaczej, żywi natomiast dla księdza niezłomną przyjaźń i szacunek. Dlatego proboszcz ucieszył się w duchu, że będzie mu oszczędzona konfrontacja z wzorowo kulturalnym dyrektorem. Przynajmniej na razie.

Zanim udał się do klasy, wstąpił na moment do sekretariatu.

- Szczęść Boże, dyrektora nie ma, na urlopie, tak? A kiedy wraca?

- Pojutrze, proszę księdza. Coś przekazać? - Sekretarka

Mariola Szczygieł miała piękne, zielone oczy i właśnie zatopiła je w spojrzeniu Augustyna jak wielki okręt kotwicę.

- Nie, dziękuję, dziękuję... - Ksiądz szybko wyszedł. Od dawna czuł z jej strony niezwykłą sympatię, wołał więc unikać dłuższej rozmowy. Takich Mariol spotkał w swoim życiu co najmniej kilka. Trzepotały rzęsami przy konfesjonale, gięły się na pogadankach o moralnym życiu samotnej kobiety albo zostawiały na sutannie zapach niedrogich perfum. Chciały być taktowne, a były dramatycznie nieporadne. Czasem widział, że niektóre próbują go tylko sprawdzić, przekonać się, czy męskość zeszyła już w nim na



wiór, czy odwrotnie - roznieci się, niezdolna znieść w spokoju ich groteskowej erotyki, pozamykanej przed oczami mężów, ale ciągle otwartej na nowe czułości w ramionach przygodnych kochanków. Jak drapieżne łowczynie ze słowami: twój popęd nie jest stłumiony, księżulku, podchodziły go z różnych stron. Najczęściej stosowały metodę werbalną w połączeniu z mową ciała, ale próbowały też sposobów bardziej wyszukanych, domieszki parcianych wywodów teologicznych i na chybcika zapamiętanych biblijnych sentencji, wkładały babcine chusty, spod których wyskakiwały kosmyki włosów, jakby uważały, że babciowość ma dla niego walor erotyczny, dekolty przywalały srebrnymi i złotymi krucyfikami na łańcuszku i tydzień w tydzień przyjmowały komunię. Brakowało tylko beretów z moheru. Najgorsze były jednak maniaczki spowiedzi. Chuchały przez kratkę miętowym zapachem gumy i głębokim, czułym szeptem zaczynały mu odmalowywać szczegóły swych grzesznych doznań. Im znaczniejsze były ich erotyczne wyczyny, tym większą odgrywały skruchę, a po miesiącu znów niosły pęk pikantnych historyjek. „I, drogi księżu, jak on mi tam poślinił i przejechał, to była, no, galaktyczna mineta, jakby mi, przepraszam za wyrażenie, pipkę, proszę księdza, wyssał całą, no a potem ja mu się dobrałam do tej jego nastroszonej głowni”.

Inne, głównie trzydziestki i trzydziestki z plusem, pogrążone każdego dnia w ciężkiej pracy nad podtrzymaniem uchodzącego powabu, testowały na nim swoją atrakcyjność, przybierając komicznie niewygodne pozy na krzesłach. Niby niegroźnie nachylały się nad dokumentami i sunąc biustem ku jego twarzy jak makietą zeppelinu, żaliły się, że mężczyźni są takimi głupimi istotami, chamskimi egoistami nierozumiejącymi kobiet - wszyscy, no może z wyjątkiem księdza i takich jak on kapłanów. Znosił cierpliwie umizgi młodszych i starszych, ładniejszych i brzydszych, pachnących i lekko podśmierdłych, uśmiechał się, potakiwał, cytował Pismo, ale nigdy nie uległ, zawsze powstrzymywał falę ciągnącą go w wir nieodwracalnych następstw.

Tylko później, nie zawsze, ale często, wspomnienie Eli przychodziło na cały wieczór. Siedzieli tak sobie razem, wspominając dawne czasy, i rozmyślali o tym, że być może życie zakpiło z nich w którymś momencie lub oni sami zakpili z życia, a tak naprawdę z samych siebie. W takie wieczory Augustyn wyciągał z dolnej szafki swego proboszczowego pokoju półsłodkie martini bianco, rozlewał do dwóch kieliszków i popijał na zmianę. Noc cicho pochylała się nad nim i jego wspomnieniami. Ela stojąca w drzwiach, Ela na kanapie, w pociągu, pod drzewem na skraju lasu, ciało Eli, jej usta i włosy. Augustyn przymykał oczy i znów pogrążał się w tych paru tygodniach sprzed dwudziestu kilku lat. Niekiedy budził się dopiero nad ranem z niedopitym winem w kieliszku, a raz zdarzyło się, że oblał nim sutannę,

którą wprowadzie częściowo rozpiął, ale zamiast ją zdjąć i powiesić, jak należało, położył się w niej i zasnął. Zwlekał się wtedy z wersalki i odmawiał Panie, w zapalczywości Twojej nie karć mnie i w gniewie Twoim mnie nie karz, otwierał okno i wdychał długo świeże powietrze.

Natykając się w szkole na Mariolę Szczygieł, zawsze musiał być bardzo ostrożny, aby nie wzbudzić w niej niepotrzebnych nadziei, a jednocześnie ustrzec się przed jej złością lub nienawiścią. Tym razem nawet nie szukał pretekstu do choćby krótkiej wymiany uprzejmości, opuścił sekretariat natychmiast, nie zważając, że dziewczyna jeszcze coś za nim woła.

Trzecia A czekała przed drzwiami. Przeszedł przez cały korytarz, wyczuwając, jak skupia się na nim uwaga uczniów. Nie wszyscy wiedzieli już, że w jego kościele doszło do wspaniałego odkrycia, ale i tak spora liczba młodych przypatrywała mu się znacząco i świdrowała oczami jego twarz. Uśmiechał się w duchu, krocząc obok zebranych przed swoimi salami klas - już jest coś, co miało przyjść.

Otworzył drzwi i trzecia A zasiadła w ławkach. Augustyn nie miał przy sobie dziennika, nie usiadł przy biurku, jak miał w zwyczaju, tylko stał, patrząc dobrotliwie na znane sobie mordki. Młodzi też na niego patrzyli. Panowała cisza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył w czasie katechezy. W pierwszej chwili poczuł się nawet nieswojo: jak to - nie trzeba ich uciszać, prosić o schowanie komórek, obwieszczać, że katecheza już się zaczęła? Dziwne. A jednak to właśnie się działo. Cała klasa zachowywała się wręcz wzorowo. Augustyn milczał i patrzył na nich. Milczał tak minutę, potem drugą. I nikt się nie odezwał. Dzieciaki siedziały spłoszone i zupełnie bezradne.

To was teraz przypiliło - pomyślał Augustyn. Nie lubił tej klasy. Była wyjątkowo źle dobrana - zaledwie dwoje czy troje naprawdę dobrych uczniów, a reszta to przeciętniaki lub zupełnie durnie. Za parę lat zasilą stado bezrobotnych. Spoglądali na niego z zainteresowaniem. Jak to, nie rzucają się do odrabiania maty, przepisywania wypracowań z polskiego? Nie opowiadają historii z sobotnich wypadów na tańce? Nie obgadują ostatnich sieciówek? Dziewuchy nie wołają: „Proszę księdza, ja muszę się teraz zlustrować, ja taka nieumalowana przed Panem Jezusem” i nie wyciągają swoich przyborów do makijażu? Nie brzęczą czymś w kieszeniach? Nie mlaskają, żując gumę?

No dobra, są w transie - pomyślał, ale zaraz do głowy przyszło mu inne przypuszczenie - nie, oni wcale nie są przejęci, oni po prostu robią sobie ze mnie jaja, ordynarnie się nabijają.

Nagle usłyszał przytłumione parsknięcie. No tak, Michalak nie mógł już dłużej wytrzymać. Po chwili tu i ówdzie rozległy się urywane śmieszki.

- Nie no, proszę księdza, jebionna sprawa z tą relikwią, nie no, serio - rzucił wreszcie Marcin Michalak, ocierając łzy, i po chwili klasa odetchnęła i zaszumiała jak zwykle. Wrócił luz.

Zaczęli się rozpierać na krzesłach. Chłopaki powyciągali swoje długie i chude nożyska, dziewczyny wypięły biusty, w ruch poszły komórki, ktoś zrobił mu zdjęcie. „Do młodzieży trzeba metodą ostrą. Oni odchodzą, bo wszystko staje się łatwe, za łatwe. A religia nie może być łatwa, bo wtedy upadnie. Trzeba im, Augustynie, mówić słowa twarde, mocne, tylko to ich poruszy. Oni muszą wiedzieć, że zło to zło, a dobro to dobro. Jak się tego dowiedzą, wrócą. Od tego trzeba zaczynać, potem tłumaczyć im to, co głębokie. Sami po to przyjdą” - mówił proboszcz Ambroży niedługo przed śmiercią, gdy już na własne oczy zobaczył, że wolność odebrała katolikom głębię wiary, a szacunek dla Kościoła walczącego z systemem coraz częściej zastępuje niechęć do „czarnych”, obrzędy zaś są tylko popłuczynami po dawnych uniesieniach. I nagle Augustyn powiedział głośno:

- Jesteście przekłęci. Momentalnie przestali żuć.

- Ja też jestem przeklęty.

Wyczuł, że cisza, jaka tym razem spowiła klasę, jest szczerą. Augustyn od samego początku nie poruszył się, nie zmienił wyrazu twarzy, przenośli tylko spojrzenie z ławki do ławki.

- Ale wy jesteście bardziej przekłęci, bo jesteście głupi.

Nie spodziewał się, jak bardzo celne okażą się te słowa, lecz kiedy cała klasa zamarła, wiedział, że trafił w sedno. Coś, czego nie udało mu się zrealizować przez kilka lat szkolnych lekcji religii, nieoczekiwanie, w prosty sposób, zostało osiągnięte - cisza, wyczuwalny posłuch i ciekawość, jaką wreszcie, po raz pierwszy chyba, dostrzegł w oczach wszystkich uczniów. Dopiął swego.

Wzrok najbliższych dziewczyn wyrażał całkowite zdumienie. Siedzące w pierwszej ławce, przylegającej do jego biurka, dwie Eweliny otworzyły buzie, prezentując wbite w środek języków srebrne gwiazdki, a jedna machinalnie zakryła cycki wylewające się z biustonosza. Ich właściwym zadaniem było na każdej katechezie wodzić na pokuszenie wzrok Augustyna. Gosia Krucha, siedząca zawsze w pierwszej ławce środkowego rzędu, uczennica dobra, lecz niepokorna, podkuła swoje długie, proste nogi i obciągnęła miniówkę ukazującą ciemne zakończenie pończoch. Nagle pożałowała, że normalny strój, który zamierzała włożyć na następne lekcje, wisi w szatni. Jej koleżanka Paulina Żyrda zacisnęła wielkie umalowane wargi. Krystian Błaszczok, zwany Laskonogim, popatrzył na swoje tarasujące przejście między rzędami kończyny, dumę całej szkoły na zawodach w skoku wzwyż, i poczuł, że mu

zaraz zdrętwieją. Dominik Zemła z ostatniej ławki zastygł z ziarenkiem słonecznika w zębach i poczuł ciarki na napakowanych anabolem barach.

- Macie teraz szansę, żeby zmądrzeć - zakończył Augustyn i wyszedł z klasy.

Nikt się nie poruszył, kiedy drzwi zatrzasnęły się za księdzem. Gimnazjaliści jak spiorunowani trwali na swoich miejscach. Przerazające stwierdzenie księdza wdarło się do ich mózgow jak wirus niosący śmierć żywym komórkom. Takich rzeczy nikt jeszcze prosto w przyszczate twarze im nie wygarnął. Jak tak można?! Dzieciom w twarz?! Takim ziomalom? Że głupi, że przekłęci? Przekłęci?!

- Ale pojechał... - wystękał wreszcie Błaszczok, podciągając długachne odnóża.

Cała trzecia A przeżyła religijny wstrząs. Brutalne słowa Augustyna i aura świętości wokół mocy objawienia w cudowny sposób podziałały na młode gimnazjalne potworki. Podśmiewali się teraz, popatrując na siebie, kręcili głowami, lecz coś otworzyło im się w głowach. Najcelniej odczucia młodych wyraził Dominik Zemła, rozwalony z nogami na ostatniej ławce:

- Gość był tak kurewsko zajebiście jebionny, że chuj mięknie, mięknie po prostu.

Trzecia A pozostała w sali do końca lekcji. Dziewczyny i chłopaki patrzyli na siebie, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Dlaczego ich ksiądz nie był księdzem? Jak mógł się tak postawić? Gdzie miłosierne przebaczenie, gdzie znoszenie zniewag? Zaczęli od delikatnych komentarzy, później przeszli do mocnych stwierdzeń i najgłupszych hipotez, aż wreszcie wybuchła w nich niepohamowana pasja retoryczna. Klasa zamieniła się w rykowisko, kupiecki bazar, i najpewniej trwałoby to do dzwonka, ale nauczycielka prowadząca właśnie lekcję biologii w sali obok weszła i zdumiona zawołała: „Co tu się dzieje?”

Augustyn opuścił klasę w spokoju, jakiego już dawno nie doznawał. Katecheza skończyła się po kilku zaledwie minutach, a jednak nie tracił wiary w to, że uczyniła w sercach młodych ludzi więcej niż dawne cotygodniowe bitwy na argumenty. Nie musiał bronić powagi Kościoła katolickiego, odpierać jadowitych ataków na dogmaty wiary albo tłumaczyć, skąd tak dużo wie o małżeństwie, choć nigdy go nie zaznał.

- Ale ksiądz przecież nie tego... co? Znaczący stosunku ksiądz nie miał... jeszcze... - wypalił kiedyś któryś z uczniów. Klasa natychmiast zaszemrała w nadziei na samobójczą tyradę proboszcza, a oczy wszystkich wbiły się w niego jak gwoździe.

- A wy to już macie tych stosunków za sobą bardzo wiele? - odparł Augustyn, notując owo „jeszcze” jako wyraz szczególnej złośliwości.

Młodzieniec nie poczuł się zbity z tropu.

- My to jesteśmy dobra polska młodzież. - Głośno strzepnął palcami.

Przykłady takich zagrywek gimnazjalistów mógłby mnożyć. Co odważniejsi starali się koniecznie go zawstydzić, przede wszystkim wyśmiać dogmaty, poszukać sprzeczności i na koniec przypomnieć o inkwizycji, jakby naprawdę sądzili, że on nigdy o niej nie słyszał.

Szedł korytarzem niezmiernie z siebie zadowolony. Dawno nie odczuł takiej ulgi, kiedy uświadomił sobie, że już więcej nie przyjdzie do szkoły, a trzecia A i tak spełni swe zadanie. Znał plotkarską naturę młodych. Rozniosą wieść o niecodziennej katechezie po całej szkole. No i stanie się, mit przekleństwa, jakże pięknego i przydatnego pojęcia, wyrośnie w samym środku świątyni wiedzy i pochwyaci umysły w kleszcze zwątpienia. Nie do końca będą świadomi własnej słabości, która wyśle ich na wieczorną mszę, nie całkiem będą wiedzieli, że bojaźń wcale z nich nie wyciekła przez lata racjonalizmu, tylko zaszyła się na pewien czas, zepchnięta przez chwilowo silniejsze moce. Chrześcijańskie sumienie zdrzży w ich duszach, zaboli jak piekący stygmat. I przyjdą w przeświadczeniu, że pchnęła ich zwykła ciekawość, ale to będzie lęk, prymitywny strach przed sprawczą siłą słowa. Ich udawana katolickość nabierze boskiej treści, i będzie krzyk i zgrzytanie zębów, ale moc zapanuje nad nimi.

A może ich przeceniał? Może wierność wierze na tyle już obrosła w chwasty, że się przemieniła trwale, stała się płycizną uczynków i rytualnych gestów. Może naprawdę ich religijność to śmietnisko formuł i nic więcej, może - tak jak chcą ci młodzi wikariusze - trzeba to wszystko wysprzątać, pozbierać i dokładnie wyprać, i zacząć z zupełnie innej strony. Przypomniawszy sobie gorące dyskusje seminaryjne na temat Soboru Watykańskiego II - nadzieje i obawy, przepowiednie upadku i wzlotu. Teraz jest tak samo, tylko niebezpieczeństwo większe. Kościół musi powstrzymać obłąkańczy pęd świata, to jego najważniejsze zadanie, ale właśnie pełniąc tę rolę, skazuje się na śmieszność, ludzie pukają się w czoło nad zakazem antykoncepcji, kręcą głowami na moralne potępienie *in vitro* i wyśmiewają niereformowalnych biskupów, media wyciągają pedofilów zza zasłony prowincjonalnych parafii, dogmaty to bajki dla dzieci, a historia chrześcijaństwa to inkwizycja i stosy. W takich warunkach hamująca siła Kościoła musi słabnąć, i to jest najgroźniejsze, myślał Augustyn. Robiąc to, co do niego należy, co najważniejsze dla wszystkich ludzi - tu w Polsce, na Zachodzie, na Wschodzie zresztą też - Kościół skazuje się na przegraną, paradoksalnie poprzez wypełnianie swej wielkiej misji, staje się ofiarą, której przekaz traci na znaczeniu. Jeśli ostoja tradycji wraz z jej mądrością runie, bezmyślny rozkwit zła przybranego w mit gadzetoszczenia pomknie jak wzbierająca rzeka. Dla Augustyna było to tak jasne, jak czarna była czerń jego sutanny. To tylko kwestia dziesięcioleci. Wiedział jedno - nie wolno, za żadną cenę, liberalizować religii, nie można popuścić, dać się omotać żądaniom zluźnienia cugli.

Bo to będzie oznaczało śmierć chrześcijaństwa, powolną agonię aż do chwili, gdy przybierze ono postać towaru w markecie wyznań.

Wszedł do ubikacji dla personelu i podciągnął sutannę. Sikał długo i cierpliwie. Potem umył ręce i znów znalazł się na korytarzu. Włączył komórkę i zauważył, że kilka razy dzwoniła pani burmistrz. No to niech jeszcze popróbuje. Zaniósł klucz do pokoju nauczycielskiego, gdzie tym razem nikogo nie było, i opuścił szkołę. Już wtedy wiedział, że był w niej ostatni raz w życiu. Przedarł się przez ogrodzenie i wsiadł do swojego opla. Zapragnął pojechać do lasu za miastem. Czekaając na światłach, posłał Januszowi esemesa, aby jak najszybciej zjawił się w kościele, trzeba się bowiem zająć przygotowaniami do mszy, sprawdzić, czy z relikwią wszystko w porządku. Po kilkunastu minutach przechadzał się oszronioną ścieżką. Jezdnia i samochód zostawały coraz dalej w tyle. Po spotkaniu z gimnazjalistami cisza i zapach zmrożonego lasu były błogosławieństwem. Zagłębiał się między sosnowe pnie.

- Co ty chcesz uczynić, Rysiek? - powtarzał, patrząc w niebo i zacierając ręce. Struna zwątpienia od chwili, gdy opuścił ubikację, znowu z lekka pobrzękiwała mu w duszy. Czy obrał właściwą drogę? Starał się modlić, ale w ogóle mu to nie wychodziło, słowa, same w sobie, płynęły, ale nie było w nich wiary w posłannictwo, w jakąkolwiek moc. A mimo to ciągnął modlitwę, nawet kiedy już znalazł się na niewielkiej polance, gdzie wreszcie stanął i wyciągnął zgrabną piersióweczkę. Takie trudne czekało go zadanie, a nie wiedział, czy zdoła je wypełnić. Jeszcze ta Ela musiała się pojawić wczoraj, taka nieprzyjemna, grożąca denuncjacją. Dlaczego teraz właśnie, kiedy tak potrzebował wewnętrznego spokoju. Panie, Ty wiesz, że jestem teraz sam, stoję tu teraz, pośród drzew, i mówię - daj mi siłę. A ty milczysz, milczysz jak zwykle, więc nie wiem, czy to, co muszę zrobić, spodoba Ci się, nie wiem nawet, czy cokolwiek może Ci się podobać, czy czujesz tak samo. Nie wiem, czy mnie słyszysz, ani nie wiem, czy to, co mówię, ma sens, lecz muszę przemawiać do Ciebie, bo nie potrafię inaczej. Albo jest to wieloletni trening, albo wewnętrzna potrzeba - to nie ma znaczenia. Ty wiesz, że jestem teraz sam i zawsze tak będzie, aż do końca. I ten koniec musi nadejść, wiesz dobrze, już niedługo. Więc daj mi znać, chociaż raz, że całe życie robiłem to, czego ode mnie chciałeś, a te wszystkie lata nie były tylko spacerem w dolinach ułudy.

Pociągnął malutki łyk z piersiówki, schował ją i mocniej zatarł ręce. Wyjątkowo chłodny listopad, niespotykane od lat temperatury jak na tę porę roku. Dawno minęła dziesiąta, a jednak nadal nie zanosilo się na ocieplenie. Rozejrzał się dookoła, czując ciepło rozchodzące się w ciele. Mała polana w środku lasu często ofiarowywała mu spokój, wyciszenie, kiedy tego potrzebował. Był to jego sekret. To tu rozmawiał z Bogiem w dni

największego zwątpienia albo wtedy, gdy gorliwa wiara gnała go w poszukiwaniu głębszego odosobnienia, by w kontemplacji Stwórcy osiągnąć ideał skupienia. Dawniej potrafił tu przyjechać i spędzić kilka godzin, modląc się lub czytając, chłonąc wielką miłość W Trójcy Jedynej i czekając na znak, a jednocześnie obserwując same znaki wokół - w żdźbłach trawy i pniach drzew, na niebie skropionym plamami chmur, na podszwach swych butów lub w szumie aut dochodzącym od strony drogi. Cała teologia oto stawała w oczach, upostaciowana w roślinności i bezkresie nieba. Jej rodzaje, działy i grupy tematyczne nie miały już znaczenia, w obliczu bowiem silnego doświadczenia obecności Najwyższego, z jakim Augustyn miewał do czynienia na polanie, księgi roztrząsające sprawy małe i wielkie były tylko marnym streszczeniem prawdy. Podszywały się pod prawdę, rozdziobywały ją na paragrafy i punkty, dodając kolejne detale, bez których jego religia całkowicie mogła się obejść. Z wyjątkiem największych pytań, ileż było w tym zbędnych dodatków dopisanych do sfery noszącej dumne imię teologii. Cóż bowiem człowiek wie o Bogu? Same domysły tylko i wiara. A teologia buduje wrażenie, że wie więcej, niż w rzeczywistości wie. Więc odrzucał Augustyn szczegółową wiedzę przyswojoną w seminarium i wracał do źródeł, do słów Ojców.

Dziś ta polana była już tylko ostatnim miejscem, w którym nadal odzyskiwał zdolność odczuwania nadprzyrodzonej istoty tego, co widzialne. Tu był w stanie wykrzesać z siebie modlitwę, umiał powiedzieć mocno - Ty, Boże.

Komórka zabrzęczała, kiedy uświadomił sobie, że stopy bolą go z zimna. Miał pantofle z cienką podszewą, a grunt był mocno zmrożony. Dzwonił Janusz. Właśnie wyszedł z domu, przeprasza, że trochę zasnął, właśnie idzie. Augustyn kazał mu zamiast do kościoła, iść w kierunku stacji benzynowej i czekać na siebie przy światłach. Był to zupełnie przeciwny kierunek i Janusz wyraził zdziwienie, jednak zrobił to, czego ksiądz od niego wymagał.

Szpile mrozu wbijały się Augustynowi w stopy. Stał na krawędziach podszew, lecz ciągle nie odchodził. Czy modlitwa mu w czymkolwiek pomoże? Nie, nie modlimy się do Boga, modlimy się do samych siebie. Co mi z tego, że Cię, Boże wielki i straszny, wzywam, byś mi dał sił, jeśli nie odpowie nikt poza mną właśnie?

Odwrocił się i ruszył do samochodu. Z nieba zaczął sypać pierwszy śnieg. Myślał o tym, co powie ludziom, którzy zjedzą się wieczorem. W jaki sposób im tę relikwię zaprezentuje, jak bardzo wpłynie na ich uczucia, na ile odwoła się do wrażliwości religijnej, a na ile do teologicznych podstaw, które uznawał za niewzruszone pomniki tradycji. Czuł, że dla tych ludzi samo słowo - relikwia - znaczy więcej niż wszystkie traktaty teologów i encykliki papieży razem wzięte. Niesie z sobą tajemnicę powiązaną z Panem nicią

największej bliskości, jakby wola boska ukryta głęboko pod posadzką świątyni spokojnie oczekiwała na właściwy moment i człowieka, który wydobędzie ją na powierzchnię. To się właśnie stało, teraz nie wolno tego zmarnować, ludziom należy się przykład. Uwierzą mu, to pewne, będą klękać, wznosić modły nad kośćmi bezimiennego kanonika sprzed wieków. Zaczną pokazywać własną wiarę, jeszcze bardziej się z nią obnosić, tak żeby dobrze było widać, kto wierzy, a komu trzeba to wpoić.

Janusz czekał tam, gdzie miał czekać. Przeszłował z nogi na nogę, odziany w krótką kurteczkę, i najwyraźniej marzył. Augustyn uśmiechnął się do siebie. Młodzieniec nadal był tylko młodzieńcem. Powinien zmądrzeć, ale cóż, każdy kroczy swoją ścieżką.

- Wsiadaj - rzucił przez uchyloną szybę.

- A, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Proszę księdza, ale zasnęłam, przepraszam - zaczął się tłumaczyć Janusz.

- Daj spokój. Posłuchaj, dziś kościół musi lśnić, razem z kościelnym musicie wypicować wszystko. Potem weźmiemy relikwię i złożymy ją pod ołtarzem. Potrzebna będzie biała szata, aby ją przykryć, pamiętaj. Kości będziesz wydobywał ze mną.

- Dobrze.

- Teraz posłuchaj mnie. Pójdziesz do burmistrzowej i dasz jej to. - Augustyn podał Januszowi kopertę A4.

- Co to jest?

- Nie musisz wiedzieć. Wystarczy, że przekazesz to Cieślikowej. Jeśli jej nie będzie, zostaw u sekretarki, ale powiedz, że to bardzo ważne. Zresztą, ona będzie na pewno, dziś ma spotkania z petentami. Ja tu na ciebie zaczekam.

Podjechali pod gmach urzędu miasta, w którym chwilę później zniknął Janusz. Wrócił po kilku minutach.

- Cieślikowa mówi, że od rana do księdza proboszcza dzwoni.

- Wzięła?

- Tak, trochę się zdziwiła. Kazała przekazać, że będzie wieczorem na mszy.

- Bardzo dobrze. Myślę, że możemy wracać.

- Proszę księdza, bo zapomniałem powiedzieć. Ale coś może i w tej relikwii jest, bo nawet moja matka się zainteresowała.

Augustyn zacisnął wargi, a ręka, mająca właśnie przekręcić kluczyk, zamarła w bezruchu.

- Nawet chce przyjść do kościoła. No to szok, sama, z własnej woli - ciągnął Janusz.

- Kiedy ci to mówiła?



- Dzisiaj rano, jak mnie obudziła. Wypytywała się bardzo, pokazała mi ten artykuł. W ogóle bardzo jakby przejęta była. Pytała się, czy ja wierzę w tę relikwię i w ogóle.

- I co odpowiedziałeś?

- No... że wierzę, odpowiedziałem, i ona też tak jakby, no nie wiem, wierzy może nawet...

- Aha... - Augustyn wreszcie przekręcił kluczyk. - Twoja matka jest raczej antyklerykalna, aż dziwne doprawdy.

- No tak, proszę księdza, dziwne, ale ona to chyba politycznie bierze, w końcu z Cieślukową trzyma.

- Nie wstydzisz się tak o matce mówić?

- Ale co ja powiedziałem? Tak jest, poza tym mówię to do księdza. Namawiała mnie, żebym skończył pomagać księdzu. Chociaż nie tak stanowczo, tak tylko... W ogóle jakaś taka dziwna była.

Opel proboszcza wyjechał z parkingu. Augustyn przetrawiał w duszy słowa Janusza. A jednak Ela przejęła się mocno. Przywołał w pamięci wczorajszą rozmowę przed kościołem i nabrał pewności, że jej złość była udawana. Mogła być zdenerwowana, ale dodała do tego ostentację w zachowaniu. Teraz był pewien, że grała, że wcale nie była aż tak zła.

Już z daleka widać było grupkę ludzi przed wejściem na plebanię. Augustyn podjechał i zatrzymał się tuż przy ludziach.

- A co tak stoicie? Na mnie czekacie? - spytał z szerokim uśmiechem.

## Rozdział 6 - Moc objawiona

Nie więcej niż kilka wydarzeń z życia uznawał za ważne na tyle, aby odnotować je w myślach nad sobą samym: dziecięcy wstrząs spowodowany wizytą proboszcza Ambrożego, zauroczenie Elą Krochmal, pierwsza własna sutanna, prymicje, kilka niezapomnianych homilii, a potem pierwotne zwątpienie w słuszność powziętych w młodości założeń życiowych, utrata poczucia sensu, ulga po remoncie dachu i wreszcie odkrycie kości w jego kościele. Mało jak na kilkadziesiąt lat przywiązania do Boga. Nic wielkiego, ot, żywot przeciętnego księdza, wikariusza trzech parafii, który wreszcie w tej ostatniej zostaje na dłużej, aby objąć nad nią pieczę.

A to jest jego dom, jego miasto. W tym kościele został ochrzczony i przyjął Pierwszą Komunię Świętą, tu służył do mszy jako ministrant, przy tym ołtarzu przemodlił długie godziny; między blokami tego miasta spacerował smutny i rozgryzał sumienie na widok zakochanych kolegów z klasy; w tym parku siadywał na murku fontanny, by tłumaczyć sobie, że tak musi być - samotność to część życia duchowego, jakie wybrał; w tej księgarni, będąc nastolatkiem, zaopatrywał się w powieści zabronione przez Ambrożego; w tym domu czytywał je, bo były jedyną rozrywką, za którą nie musiał pokutować. Był tu zakorzeniony, zawarty w przestrzeni tego miasta od lat. Od zawsze.

Miasto dziś i miasto niegdyś, z czasów jego dzieciństwa i młodości, te dwie na pozór odległe, niedotykające się sfery, naprawdę były dla niego scaloną jednością. W roku 2009 otoczenie nie przypominało tego sprzed ćwierćwiecza, a tym bardziej z jeszcze odleglejszej epoki. Przemiany ostatnich lat wrosły w krwiobiegi miasta, ale ich znaczenie dla Augustyna miało zaletę wyłącznie użytkową, pozbawione zaś było sentymentalnych uczuć w związku z natłokiem przeobrażeń widocznych na co dzień. A było ich wiele - ulice jarzyły się rozświetlonymi budynkami, wzdłuż krawężników zapłonęły secesyjne latarnie, szyldy reklam pokolorowały poranione ściany, w pustych miejscach rozrosła się gęstwina baraczków, budek, salonów i saloników z różnościami; w centrum i na obrzeżach wyrosły markety z placami parkingowymi, układ ulic rozszerzył się, zapajęczył, tworząc zgrabną sieć otaczającą środkową część miasta; ludzie chodzili żwawiej, kotów i psów było mniej.

Dla wielu osób znanych mu od dzieciństwa to nowe miasto nie miało wiele wspólnego z dawnym - poza budynkami i wspomnieniami starzejących się mieszkańców, nie było już łączności między minionym i właśnie mijającym. Augustyn jednak odczuwał to inaczej. Jego czas był czasem tego miasta, a on sam przez wiele lat budował w sobie harmonię wewnętrzną

- jedność czasu, miejsca i wiary. Zmieniające się miasto nie zagrabiło więc jego przeszłości, a każda uliczka, którą dawniej przemierzał, może odmieniona, nadal wszak pozostawała tą samą uliczką. Jego chód nadal był tym samym chodem co kiedyś. Miejsce, w którym jakaś rzecz trwała przed laty, a teraz nie było po niej śladu, nadal było tym samym miejscem. Tak to odbierał. Rzeczywistość miasta w dzień i w nocy syciła go emanacją niewzruszonego trwania, chociaż dobrze wiedział, że zmienia się jego umysł i jego wiara, że on cały ewoluuje i z księdzaaniola przemienia się w księdzadiabła, a wszystko dookoła traci wartości kulturowane od lat. Owa pozorna stałość przynależna małemu skrawkowi świata, w którym zupełnie zanurzył swoje życie, stanowiła dla niego wartość dającą mu nieco spokoju w odwiecznym niedoborze między pragnieniem a efektem pragnienia. Tkwił więc w tej przestrzeni między domami i blokami jak głaz na dnie oceanu.

I tu, w swoim mieście, bo za takie je uważał, oczekiwał ostatni raz odczucia doniosłości dziania się, wagi tego, co właśnie miało się stać. I nie zawiódł się. Miasto i jego mieszkańcy odpowiedzieli na boski zew, jak przystało katolikom szczerym, a nie podrabianym.

To były tłumy wierzących ludzi, którzy tęsknili za prawdą. Nie ukazywała się w codziennym życiu, w telewizji, gazetach, nie było jej na ulicy, w krzywym spojrzeniu żebraka, nigdzie. Dlatego zjawili się na wezwanie zdumiewające, lecz wygłoszone przez kogoś, kto uosabiał największą miłość i poświęcenie.

Mowa Augustyna była długa, ale prosta, jak mowa proroka. Wiedział, że nie są mu potrzebne żadne chwytły erystyczne, nawet nie musiał zanadto pracować głosem, modulować, wyciągać wysokich dźwięków, zatrzymywać się niespodzianie, aby po chwili znów ciągnąć opowieść. Tym razem mówił, jak mówi się do przyjaciela przy herbacie.

Przed ołtarzem na specjalnym stoliku leżało coś, co przykuwało uwagę parafian w pierwszych rzędach. Przykryte białą tkaniną sakralne szczątki kazał Augustyn kościelnemu i Januszowi ułożyć tak, aby nie dało się wywnioskować, co kryje się pod materią. W związku z tym obaj musieli przygotować specjalne rusztowanie. Przymocowane do stolika dawało odpowiednie oparcie nakryciu. Efekt pracy był całkiem dobry, kiedy więc wierni zaczęli gromadzić się w kościele, przywitała ich tajemnicza biała płachta. Klękali przed nią i kreślili na piersiach znak krzyża. Potem przechodzili dalej, oglądając się jeszcze, jak gdyby sam kontakt wzrokowy niewidzialnym strumieniem jednoczył ich spragnione dusze z prąźródłem stworzenia. Jedna rzecz była natomiast bardzo znamienna. Otóż nie zbliżali się do stolika bliżej niż na dwa metry. Zdawało się, że wstrzymuje ich niewidzialna bariera, zabraniając iść dalej. Wszyscy, dosłownie wszyscy - mowa o tych odważniejszych - podchodzili, składali

pokłon, padali na kolana i wracali, utrzymując dwumetrowy dystans, zupełnie jak w kolejce przed konfesjonalem.

Patrząc na tę zadziwiającą prawidłowość, Augustyn pomyślał, że wiarę dałoby się opisać w kategoriach czysto fizykalnych i cała jej tajemniczość wcale przez to nie byłaby mniej tajemnicza, wręcz przeciwnie - przestrzeń, dystans, policzalność, a po drugiej stronie - bojaźń, duch, sumienie. Nic bardziej odległego, a jednak bliższego sobie. Dwa metry lęku i ciekawości, dwa metry czci oddawanej na kolanach, dwa metry nieprzekraczalnej przestrzeni - to była wiara jego parafian, a on był tym, który ma ich przeprowadzić od jednego do drugiego.

Patrzył na tych ludzi z uczuciem ulgi, bo jednak przyszli w takiej liczbie, a jednocześnie podśmiewał się w duchu z ich łatwowierności. Zaskoczyło go, że bez najmniejszych trudności przekonał tyle osób - od prostych uliczników do śmietanki towarzyskiej miasta. Nawet jeśli część z nich nie dawała wiary jego opowieściom, rozbudzona ciekawość już stawała się sukcesem. Wcześniej obawiał się braku reakcji, lekceważenia ze strony elit, a tymczasem to elity same pchały się do udziału w przedstawieniu. Cieślikowa, otrzymawszy odłamek zęba w kopercie dostarczonej przez Janusza, zupełnie oszalała. Przed rozpoczęciem mszy zapewniła Augustyna o swoim szerokim poparciu i funduszach, które - jeśli tylko będzie trzeba - bez wątpienia się znajdują. Teraz miał pewność, że miasto należy do niego.

- Chcecie relikwii? - zawołał na koniec swojej mowy.

- Chcecie jej?! - odpowiedziała mu cisza, więc ponowił pytanie - No, chcecie?! - wykrzyknął i usłyszał w końcu cichutkie:

„Tak, chcemy”, a potem głośne „Chcemy, księżu proboszczu kochany”, dobiegające z pierwszego rzędu. Zobaczył, że Maurycy Pluta, jego dzielny przewodniczący rady parafialnej, aż pali się do świętości, drży z podniecenia religijnego i w oczekiwaniu na duchowy orgazm drapie się po skroni. Usta ma rozchylone, a język wysunął mu się i skacze to w górę, to w dół.

Augustyn odchylił więc poły ornatu, podszedł do stolika i nareszcie krzyknął.

- Oto więc ją macie!!!

W tym momencie Janusz, który stał nieopodal, zrobił kilka długich kroków i ruchem zamaszystym jak u toreadora poderwał białą tkaninę.

Nikt nie wydał z siebie choćby cichego jęku. Wierni byli sparaliżowani, wprost przygożdżeni łaską daną im na żywo. Działo się dokładnie to, co przewidywał Augustyn. I podobnie jak wcześniej, kiedy Koral żegnał swego świętego chłopca, tak i teraz kilku dziennikarzy z aparatami nie było w stanie się ruszyć.

Oczom wiernych z pierwszych rzędów ukazało się kilka spróchniałych, żółtobrazowych fragmentów kości udowej, piszczeli, trochę żeber, kawałki skruszałej czaszki i wiele innych, małych kościopodobnych elementów. Świetnie zachowana połowa miednicy swą okazałością nieporównanie górowała nad resztą szczątków. Wśród innych pozostałości po zabitym kanoniku od razu rzucała się w oczy jako największy i ułożony w centralnej części stolika eksponat z nieregularnym otworem w górnej części.

- To jest świętość! - zawołał Augustyn i zamachał nad głową kawałkiem piszczela. - To jest świętość, która da wam to, czego tak bardzo potrzebujecie. Da wam wiarę. Ci, co wierzą, niechaj się nie lękają, ci, którym wiary brak, niech przyjdą po światło ducha, które z tych niepozornych szczątków napelni ich dusze. Kiedy tamtej nocy przyszli do mnie Dominik Savio, święty chłopiec, i Henryk Kietlicz, mąż wielki i mocny, nie powiedzieli nic ponad to, co ja wam mówię - wiara was zbawi, a wiara jest tu. - Augustyn wskazał palcem szczątki kanonika.

- Nie dziwcie się, nie śmieJCie, jeśli nachodzą was wątpliwości, to też nic nie szkodzi. Pan powiedział: bierzcie i jedzcie z tego wszyscy. I tak jest tutaj i teraz, zabierzcie, co wam dane. Lecz pamiętajcie: żeby zabrać - tu zrobił pauzę - trzeba przyjsć! - zakończył z werwą i od razu poczerwieniał zawstydzony, bo ledwie wypowiedział ostatnie słowa, a już zapachniało mu sloganem „żeby wygrać, trzeba grać”, więc jeszcze raz podszedł do mikrofonu i rzucił głośno: - Wiara was zbawi, otwórcie serca wasze - po czym skłonił się i cofnął o kilka kroków.

A swoją drogą - pomyślał - gdyby te moje słowa miały siłę porównywalną z tym hasłem reklamowym, to wcale bym się nie obraził.

Relikwia została odsłonięta. Moc mogła się objawić. Maurycy Pluta pierwszy wyrwał się z szeregu i podszedł na dwa metry do stolika ze szczątkami, za nim postąpiła żona, a synowie ministranci, stojąc pod ścianą, przypatrywali się rodzicom z obojętnością w oczach. W tej chwili napór wiernych zaczął rosnać. Rzędy znajdujące się z tyłu nieoczekiwanie zwiększyły nacisk na szeregi stojące przed nimi. Być bliżej, być bliżej, zbliżcie się, zbliżmy się. Masa napierającej wiary rosła z każdą chwilą. Wreszcie pierwsze rzędy przesunęły się nieco do przodu, ale to nie był koniec. Ludzie, którzy stali z tyłu, posuwali się nadal, sądząc, że ci przed nimi wychodzą bokiem, aby zrobić miejsce pozostałym, tak żeby każdy mógł relikwię zobaczyć. Napór więc, zamiast zmaleć, bezustannie rósł.

Augustyn za późno dostrzegł niebezpieczeństwo. W pewnej chwili zobaczył, że wikary Sebastian, dotąd stojący przy ołtarzu, mija go i niemal biegiem zmierza na lewe skrzydło kościoła. Przeniósł tam spojrzenie i zobaczył, że kilka osób osunęło się na ziemię

pod naporem ludzi z tyłu. Sebastian zaczął wykrzykiwać i machać rękami. Udało mu się powstrzymać napór lewego skrzydła, ale nie mógł mieć wpływu na to, co działo się w samym środku, gdzie tłum cisnął się do kości.

Maurycy Pluta stał dwa metry od relikwii i chłonał jej moc. Wiedział, że jemu tam żadnego wpojenia wiary nie trzeba, ale sama bliska obecność dawała mu poczucie obcowania z tajemnicą tajemnic. Był więc bezbrzeżnie szczęśliwy, kiedy spojrzał na Augustyna, i ze zdziwieniem zauważył, że na twarzy proboszcza maluje się przerażenie. Wyprostował się i chciał uczynić gest w jego stronę, już unosił rękę, ale w tym właśnie momencie na jego plecach spadł potworny ciężar. Maurycy Pluta był silnym człowiekiem. Zdołał instynktownie napiąć mięśnie i przez kilka sekund powstrzymać napór ciał. Granica dwóch metrów nie mogła zostać przekroczona, więc bronił jej w Imię Pańskie, z męstwem powiatowego konkwistadora i poświęceniem misjonarza zagubionego wśród pogan. Niczym Atlas niebo, przyjął na swe barki cały tonaż ucieleśnionej wiary, aż żyły zapulsowały mu na czole jak dwie małe jaszczurki.

- Jeezus! - wysapał przez ściśnięte wargi, próbując ostatkiem sił odeprzeć napierającą z tyłu moc setek żądnych cudu parafian. Zobaczył jeszcze, że Augustyn zbiega od ołtarza ku niemu i woła: „Uwaga! Uwaga!”, a potem poczuł, jak jego opór załamuje się i w końcu pęka niby plastikowa słomka.

Nogi Maurycyego Pluty nie przesunęły się ani o milimetr, ale reszta ciała najpierw zanotowała głęboki pochył ku świętym szczątkom i zaraz potem dzielny przewodniczący rady parafialnej zrozumiał, że upadek jest nieunikniony. Przełamał się wreszcie i, walcząc o utrzymanie równowagi, zrobił krok do przodu, beczeszcząc w ten sposób nienaruszalną granicę dwóch metrów, ale było za późno. Nie pomogła mu nawet mocna dłoń Augustyna, który rzucił się, aby zatamować przyływ wiernych. Maurycy Pluta na koniec poleciał w dół jak walący się pień drzewa, lądując szczęką na śnieżnobiałym stoliku z pieczołowicie porozkładanymi świętościami.

Małe kościane kawałeczki wytrysnęły do góry jak krople z fontanny, cięższe odłamki zsunęły się na głowę Maurycyego Pluty, a sam stolik przewrócił się na bok.

- Panie Maurycy! Panie Maurycy! - wykrzyknął Augustyn, pochylając się nad nim. Tuż obok przykucnął ksiądz Sebastian, a zaraz za nim Janusz. Bliźniacy ministranci patrzyli na leżącego ojca, tkwiąc pod ścianą, i czerwienili się ze wstydu. Anna Pluta skamieniała z rękami podniesionymi ku twarzy.

- Panie Maurycy, nic panu nie jest? - zapytał ksiądz Sebastian i zwrócił się do Augustyna: - Proszę księdza proboszcza, trzeba dzwonić po pogotowie.

Proboszcz kiwnął głową i wikariusz natychmiast pobiegł do zakrystii. Maurycy Pluta tymczasem zaczął się podnosić, wspomagany przez Augustyna. Wreszcie stanął wyprostowany.

- Janusz, pozbieraj wszystko, dokładnie - rozkazał Augustyn i poprowadził przewodniczącego do bocznego wyjścia.

- Jak się pan czuje? - spytał, ale Maurycy Pluta spojrział na niego bezradnie. Z oczu płynęły mu łzy. Wskazał ręką na żuchwę i pokręcił głową. Dopiero w tej chwili Augustyn zobaczył, że jest ona nienaturalnie przekrzywiona nieco w górę i w bok, przez co twarz przewodniczącego wygląda jak żywcem wzięta z obrazów Salvadora Dali. Maurycy Pluta delikatnie badał żuchwę palcami, zmagając się z przeraźliwym bólem. Wiedział, że sprawa była poważna. Popatrzył przez łzy na Augustyna, odchylił głowę, złożył ręce i padł na kolana przed księdzem, starając się objąć przez sutannę jego nogi.

- Panie Maurycy, niechże pan wstanie, musimy pójść do mnie, tam poczekamy na pogotowie. Albo nie, jedziemy moim samochodem, tak będzie szybciej - rzucił Augustyn, ale Maurycy Pluta gwałtownie zaprotestował. Wyciągnął z kieszeni notes i napisał w nim: „Nie, ksiądz proboszcz musi tu zostać, ważna jest relikwia, ja księdza tak przepraszam”. W tej chwili pojawił się wikary Sebastian i oznajmił, że karetka przyjedzie za pięć minut.

Augustyn nie opuszczał przewodniczącego ani na moment. Nakazał księdzu Sebastianowi kontynuować i sprawdzić, czy kości są na swoim miejscu. Po niemal dwudziestu minutach zjawili się sanitariusze. Szczęka Maurycyego Pluty nie nadawała się do niczego. Należało natychmiast zabrać przewodniczącego do szpitala. Żona Anna już w karetce ucałowała go w czoło, aby w ten sposób dodać mu odwagi, na co on próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jedynie grymas bólu. Kobieta opuściła ambulans i zbliżyła się do Augustyna. Starła się usprawiedliwić męża, składając wszystko na karb jego szczerzej pobożności i gwałtownej natury. Płacząc, prosiła o wyrozumiałość dla człowieka, który zawsze dla Kościoła robił dużo dobrego, a synów w wierze katolickiej chował tak, że można by go podawać za wzór katolickiego ojca. Kiedy na odchodnym sięgnęła do portfela, Augustyn natychmiast wstrzymał jej rękę. „Nie trzeba, co też pani robi” - powiedział.

Pożegnała się, przepraszając, że nie może zostać do końca, i pobiegła do rodzinnego samochodu.

Dwaj synowie ministranci nie opuścili wyznaczonych stanowisk, ale czerwone twarze zdradzały ich uczucia. Ludzie czekający w ciszy na powrót Augustyna żalowali chłopców i podziwiali ich za wytrwałość w posłudze. „To ci dopiero odważne chłopaki” - mówili naokoło. Wspaniali chłopcy stali z opuszczonymi głowami, a dłonie splecione z tyłu

przywarły im do ściany. Wyglądali jak dwa małe aniołki o płonących policzkach, budząc wśród wiernych szczerze współczucie. Tymczasem prawdziwym powodem czerwoności gorejącej na licach młodzieńców i faktu, że nie byli w stanie w ogóle się ruszyć, a co dopiero pobiec na pomoc ojcu i wesprzeć go w trudnej chwili, był - wstyd. Nic więcej. Nie pierwszy raz ojciec zrobił z siebie w ich oczach pajaca. Stali więc nieporuszeni jak dwie nieme statuy: na pozór wzorowi ministranci, a jednak kryjący w sobie tajemnicę, o której wiedziała tylko najbliższa rodzina - że ich posługa warowana jest ojcowską wolą, że posłusznie, choć z niechęcią, wypełniają tydzień w tydzień nakazane im powinności. Bo tak się należało, bo tak powinno być.

Ciszę, jaką zachowywali parafianie, przerywał tylko odgłos krzątania Janusza. Pozbierał wszystkie odłamki świętych kości i ostrożnie ułożył na stoliku. Z przykrością zauważył, że dorodna kość udowa rozpadła się na kilka kawałków. To będzie cios dla księdza, mówi, że w niej jest najwięcej magii - zadumał się.

Po długim oczekiwaniu wierni wcale nie wyglądali na znudzonych. Wręcz przeciwnie, w miarę upływu czasu zdawali się coraz głębiej przejęci niespodziewanymi wydarzeniami. Ksiądz Sebastian wezwał wszystkich do wspólnej modlitwy w intencji poranionego Maurycego Pluty, ale niektórzy parafianie bardziej zajęci już byli domysłami, jakie zaczęły się rodzić w ich głowach. „Zły znak”, mówili jedni, kreśląc krzyż na piersi. „Po co się pchał”, dodawali inni. „Taką świętą rzecz zbecześcił”, słychać było gdzieś. Niektórzy z lękiem zaczęli spojrzeć teraz w kierunku relikwii, a bojaźń boża odbiła się na zamartwych twarzach, ale większość świadków sceny obrazującej, jak olbrzymią mocą dysponują zetlełe kości, jedynie utwierdziła się w przekonaniu, że mają do czynienia z nadprzyrodzonym zjawiskiem.

Szanowna pani burmistrz Krystyna Cieślik klęczała w pierwszym szeregu i modliła się z zapalem. Ona także była pod wrażeniem tego, co się stało, choć kierując się zawsze zimną logiką, nie przypisywała kościom żadnej mocy sprawczej. Włożyła na tę okazję szary prosty kostium, a na ramiona narzuciła czarny płaszcz, torebkę przekazała nieodłącznemu mężowi i całą swą postawą okazywała katolickiemu ludowi, jak potrafi chwalić Pana. Tuż za nią klębiło się kilka wykreowanych przez nią postaci politycznych. W pobożnych pokłonach dawali świadectwo wiary - tak w Boga, jak i w burmistrzową. Za nimi skotłowani w oczekiwaniu tkwili na swoich miejscach pozostali miejscowi notable.

Stojąc niedaleko, przypatrywała się wszystkiemu Ela Rymanek. Była niespokojna. Właśnie toczyła się w niej walka między odruchową niezgodą na żalostną ostentację Cieślikowej a lojalnością wobec koleżanki i szefowej ugrupowania, mającego dać jej miejsce



na liście. Czowała się nieswojo wśród tych wszystkich gorąco wierzących osób, bo mimo wielu wysiłków, nie mogła znaleźć z nimi wspólnego języka. Dziś jednak nie obchodziło jej to bardziej niż bzykanie cudem jeszcze żyjącej muchy w pokoju Janusza. Koncentrowała się na czym innym. Przez cały czas wpatrywała się w Augustyna, ale on wyraźnie unikał jej wzroku, choć musiał wiedzieć, gdzie stała. Nie zamierzała mu się narzucać, skoro woli tumanić własne owce, niech tumani, lecz żeby w tak rażąco prymitywny sposób?! Całe przedstawienie z relikwią w roli głównej uważała za bardziej jeszcze idiotyczne niż wczorajszy pokaz w wykonaniu proboszcza Korala. Myśl, że Augustyn zwariował, nie tyle już kiełkowała jej w głowie, ile urosła na podobieństwo zaczarowanej fasoli.

- Dzień dobry, pani Elu. - Anna Kiedroń dopadła ją drugi raz tego dnia. - Widzi pani? A nie był to boski znak, żeby się nie pchać, jak ksiądz proboszcz nie prosi? - szepnęła.

- Może i tak, kto to wie - odparła także szeptem Ela. - Sama jestem pod wrażeniem tego wszystkiego.

- O, ja to od razu czułam, że to tak będzie. Jak się różne tałatajstwo schodzi, to pani powiem po cichu, to się tak kończy zawsze. Tu nie trza proroka, żeby to przepowiedzieć. Ale syn pani to taki chłopak dobry, jak on te kości zbierał, biedny taki, to aż mi się płakać chciało. Co on temu winny? Ale posłuch do księdza proboszcza to on ma, ooo, ma. - Kiedroniowa nagle umilkła i wpatrzyła się w drzwi bocznego wyjścia, pokazując Eli tył głowy z włosami upiętymi w gruby kok. Ela z ulgą przestąpiła na drugą nogę w nadziei, że nie będzie musiała już wysłuchiwać wynurzeń sąsiadki. Myliła się jednak, Kiedroniowa bowiem zaraz znowu pochyliła się ku niej.

- A co to pani tak teraz do kościoła przychodzi? - spytała ściszym głosem.

- Pani Aniu, co ja mogę pani powiedzieć, po prostu zmienia się coś we mnie, czuję jakąś taką potrzebę, naprawdę. Ale to pewnie wszystko wola boska. Coś... coś się we mnie zmienia.

- Tak, dobrze, to dobrze. - Anna Kiedroń znowu odchyliła się lekko i popatrzyła w stronę bocznego wyjścia, skąd wszyscy oczekiwali nadejścia Augustyna. Ela wyczuła, że coś nie daje jej spokoju, coś tam z głębi jej świdrowatych oczu wyłazi, ale nie chce do końca wyleźć. W tym momencie Ela zauważyła, że wikary Sebastian, stojący przed poskładaną relikwią, przesyła jej dyskretne pozdrowienie. Odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy. Gorący oddech Kiedroniowej znowu ogrzał jej prawe ucho:

- Bo wie pani, jak to dawno gadali... że no... z księdzem proboszczem. Wie pani, ludzie złe są, żeby znowu się co nie zaczęło. Ja to panią ostrzegę zawsze, ale przecie się wszystkiego nie usłyszysz - wypaliła Kiedroniowa i ponownie zerknęła na boczne drzwi.

Skurcz w okolicach mostka pozbawił Elę złudzeń - jednak nie byłaby zdolna znieść obmowy bez uszczerbku na psychice.

- Pani Aniu, wiem, do czego pani pije, ale przecież pani wie najlepiej, że to komunistyczne plotki były. Ja miałam męża, całe życie z nim przeżyłam, Janusza wychowałam... Pani Aniu, bądźmy poważni - powiedziała szybko, starając się szeptać w miarę wyraźnie, a jednocześnie cicho.

Kiedroniowa nie odrywała spojrzenia od bocznych drzwi. Z pewnością dotarły do niej słowa Eli, a mimo to uporczywie wpatrywała się w ten sam punkt, nieco powyżej klamki. Ela najpierw przypuszczała, że pani Ania zastanawia się, co powiedzieć, ale po chwili zrozumiała, że sąsiadka umyślnie nie odpowiada, że to milczenie jest zamierzone i ma ugodzić prosto w jej serce, ma rzucić oskarżenie, którego nie zmożą żadne tłumaczenia ani dowody niewinności.

Przez kilka minut stały obok siebie, nie rozmawiając więcej. Wtem w drzwiach ukazał się Augustyn, a Kiedroniowa nachyliła się ku Eli:

- O, idzie, no, nareszcie - powiedziała.

Teraz Ela miała już pewność. Pani Ania nie odpowiedziała na jej wyjaśnienia, stosując swą ulubioną taktykę zamilczania cudzych słów. Mogła w ten sposób uwydatnić bezwartościowość, jaką w jej oczach odznaczały się niezgodne z jej pojmowaniem twierdzenia lub plotki. Przestała więc przejmować się Kiedroniową i popatrzyła na Augustyna. W pierwszej chwili wydał się jej jakiś nieobecny, przez moment stał zapatrzony w tabernakulum, a gdy podszedł do niego wikary Sebastian, odwrócił się z wolna i zbliżył do mikrofonu.

I znów jego mowa była prosta, jak mowa proroka. Złe wrażenie po wypadku Maurycego Pluty opuściło wiernych już po pierwszych słowach proboszcza. A więc nie było potrzeby wątpić. W miarę jak rozwijał się Augustynowy wywód, spokój wracał w umysły ludzi.

Oficjalnie uroczystość ukazania kości ciągnęła się aż do dwudziestej. Od prawie trzech godzin kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny pęczniał od natłoku wiernych. W końcu proboszcz zapowiedział złożenie poskładanej kości udowej u podnóża ołtarza w specjalnej szkatule, podczas gdy reszta relikwii miała wrócić do podziemnej krypty. Wejście prowadzące do korytarza pod posadzką zostanie ozdobione i będzie otwarte dla wiernych w określonych godzinach.

Augustyn zapowiedział, że w związku z relikwią nie życzy sobie żadnych datków pieniężnych, bo byłoby to obrażą zarówno dla Boga, jak i tych prześwietnych szczątków. Nie

zamierza także wymagać od ludzi żadnych przyrzeczeń, pokuty, nie chce nikogo straszyć ani przekonywać, że tylko kontakt z relikwią gwarantuje zbawienie; nie przepowiada ani kataklizmów, ani szczególnie dobrych wydarzeń; nie nakazuje budowy świątyń ani kapliczek; nikogo do niczego nie zmusza ani nie namawia. Co miał powiedzieć, powiedział. Kto ma uszy do słuchania, ten usłyszał.

Ela ukradkiem przyglądała się Kiedroniowej. Pani Ania chłonęła słowa proboszcza z wyraźnym napięciem na twarzy. Próbowwała wysilić wszystkie swoje władze umysłowe, aby nie uronić nawet pół słówka i objąć zrozumieniem każdą frazę proboszcza. Stała sztywna, jakby gotowała się do skoku niczym zgłodniała kocica. Ela rozejrzała się i wszędzie widziała to samo: twarze zacięte w absorbowaniu Augustynowego przekazu, rozmodlone i uważne zarazem. A więc tak przeżywali swój kosmos świętego ducha, tak się poiili likierem wiary. Pomyślała, że jest chyba jedyną niewierzącą tu osobą, więc byłoby całkiem właściwe, gdyby te kości jakoś wpoily jej to, co trzeba. A tymczasem stała tu już ponad trzy godziny i nic, żadna isierka nie rozjarzyła się w jej duszy. Mowa Augustyna nie zrobiła na niej wrażenia, wręcz przeciwnie. I to ma być ta niezwykła moc? Ta relikwia niby? Jeśli już komuś coś wpoi, to chyba tylko jeszcze większą bezwolność bezwolnym, przemknęło jej przez głowę. Nie, to było zupełnie nie dla niej. No bo niby jak to wpajanie miało się odbywać? Na siłę taranować barykady ateistycznego racjonalizmu? Gwałcić jej zdrowy rozsądek? Wpychać kłębki trwogi między pielęgnowany latami naukowy światopogląd? W jakiej formie? Poprzez lawinę mistycznych wizji? A może podstępem, cichaczem miało zasiewać w jej umyśle zwątpienie, i to już od tej chwili, gdy stała tu i była świadkiem religijnych cmoków w rodzaju: znak pokoju i moja bardzo wielka wina. Głupie bzdury, metafizyczne rozwolnienie i mdłości, nic więcej. Między wiernymi widziała jednak coś zupełnie innego. Oni naprawdę popadli w miłość, której na imię zaślepienie, i rzeczywiście cmokali teraz do siebie jak natchnieni.

Ogarnął ją smutek. Nic z tego nie będzie. Augustyn i ona - to jednak nadal były dwa odmienne światy. Żadna przyjaźń, nie, nie z człowiekiem mówiącym takie rzeczy. Po co on to robi? A więc nie zmienił się od tamtych czasów, pozostał bujającym w obłokach marzycielem, dzieckiem w oprawie dorosłego mężczyzny. Oni wszyscy tacy są, dlaczego miałabym się przejmować tym jednym właśnie? Księża to dzieci w sukienkach i tyle. Zasuszeni w niezdrowym wyrzeczeniu jak kaktusy na pustyni. I tak jak kaktusy, noszą ostre kolce. Nazywają je wiarą, moralnością chrześcijańską, duchowością kapłana i jak tam jeszcze chcą. Jak ja się dałam wtedy tak zwieść? Po co mi to teraz, po co?

Ela była już niemal zdecydowana opuścić świątynię, bo coraz bardziej niesmaczne myśli kłębiły się jej w głowie, a bluźnierstwa grasujące w umyśle wprawiły ją w zakłopotanie

wobec zebranych tu ludzi. Tak, stanowczo to nie było miejsce dla niej. A jednak kiedy patrzyła na Augustyna, coś nienazwanego powstrzymywało ją w ostatniej chwili. I nie potrafiła nad tym zapanować. I z mieszanymi uczuciami, wręcz złością na samą siebie, dotrwała do końca.

Koniec nie był jednakowy dla wszystkich. Ogromna większość parafian wyszła z kościoła upojona euforią. Wszyscy wracali do swoich domów odmienieni bardziej niż po spowiedzi. Całe ulice napuchły uświęceniem, a nastrój wizyjnomesjanistyczny, jaki roztopił co bardziej zatwardziałe duszyczki mężczyzn, nasycił ich oczy wilgocią łez. Setki ludzi maszerowały chodnikami w przeświadczeniu, że na ich oczach spełniła się jakaś przepowiednia, która musiała istnieć, choć nikt nigdy o niej nie słyszał. Dla wielu z nich po wyjściu z kościoła miasto wokół, brudne i nijakie, przybrało nowy, świątobliwy wymiar, stało się namaszczone obecnością Boga. Pan raczył się pojawić odezwać tutaj, w ich zgrzebnym, nieciekawym świecie.

Ela przez kilkanaście minut stała przed wejściem do kościoła i ćmiła papierosa. Wychodząc, liczyła na to, że Janusz wreszcie do niej podejdzie, zamieni choć parę słów. On jednak prawie nie zwracał na nią uwagi. Teraz dopiero uzmysłowiła sobie, jak bardzo jej syn zaangażował się w to dziwaczne przedsięwzięcie. Był nienaganny, dobrze się ubrał, lepiej nawet niż na randkę z dziewczyną, cały czas uważnie kontrolował to, co się działo. Tylko ten Pluta niefortunny, heh, no tu się spóźnił, a może mógł go podtrzymać czy coś. Czy ja jeszcze mam syna? Czy on jeszcze jest mój?

Wyjęła komórkę i zaczęła pisać esemesa.

- Pani Elu, a może z nami się pani wybierze? - Radny Sławomir Grządka z ugrupowania Cieślikowej właśnie przechodził w towarzystwie kilku osób. Leciał na nią, od kiedy zaangażowała się w tę zabawę.

- A, dobry wieczór, nie, dziękuję, ale już późno, muszę wracać. Bardzo przepraszam.

- Następnym razem nie może nam pani odmówić, w sobotę spotkanie u posłanki, proszę pamiętać - uśmiechał się Grządka.

- Oczywiście, pamiętam, będę na pewno - odrzekła Ela. Kiedy poszli, wystukała wiadomość i zaczęła iść w stronę domu. Zapaliła kolejnego papierosa i kiedy uszła dobre trzysta metrów, zatrzymała się i popatrzyła na podświetlony kościół. Mocniej ścisnęła komórkę. Zaciągnęła się głęboko i nacisnęła „wyślij”.

Mimo że Augustyn zakończył uroczystość, wiele osób nadal przebywało w świątyni. Pani Genowefa Florczak z mężem Atanazym przewodziła grupce wiernych z rady parafialnej. Kilkanaście starszych osób ciągle stało parę metrów na prawo od stolika z relikwią. Nieco

dalej ustawiła się inna grupka z panią Ireną Goszczykową i panem Andrzejem Fiałkowskim. Doktor z pozycji swego nauczycielskiego autorytetu opowiadał ludziom, że jeszcze nie słyszał, aby tak wspaniała relikwia została ostatnio odkryta, i jeszcze żeby ksiądz objawienie miał takie. Pan Andrzej, słynący ze swej matematycznej logiki, zawsze szokował rodziców nieprzebraną wiedzą religijną. Miał w zwyczaju prezentować ją nawet podczas wywiadówek albo godzin wychowawczych, kiedy odwoływał się do świętych pism, aby napiętnować złe zachowanie uczniów. Dlatego teraz, gdy rozwodził się o tym, w jak niezwyklej przychodzi im uczestniczyć adoracji, ludzie stali i potakiwali z uznaniem, a pani Irena, stojąc ramię w ramię z Fiałkowskim, co kilka sekund mówiła „tak, tak”, „ano właśnie”, dzięki czemu wrażenie mądrości i autorytetu doktora spływało także na nią.

Tuż za nimi stali młodzi z miejscowej oazy i kilkoro gimnazjalistów z trzeciej A. Podsluchiwali, co mówi pan Fiałkowski, i szeptali między sobą. Bliżej relikwii, choć nie bardziej niż w odległości dwóch metrów, z Augustynem rozmawiała pani burmistrz, mąż z torebką trzymał się dwa kroki z tyłu, a grupa samorządowych marionetek tuż za nim. Janusz z księdzem Sebastianem wymieniali jakieś uwagi przy stoliku z kośćmi. Kościół pustoszał z minuty na minutę. W kilku miejscach klęczeli pojedynczy wierni. Od strony wejścia na wieżę zbliżał się, utykając, kościelny Wątroba.

Nagle bocznym wejściem wkroczył do kościoła proboszcz Zygmunt Koral. Na moment zatrzymał się i rozejrzał po pustych nawach, potem przeniósł wzrok na grupki ludzi, na kości, i na koniec wpatrzył się w Augustyna i panią burmistrz.

Od razu zauważył, że oboje stoją w odległości co najmniej kilku kroków od reszty, a rozmowa, w której byli pogrążeni, sprawiała wrażenie podejrzaną poufną. Nie czekając, energicznym krokiem ruszył w ich stronę. Obszedł grupkę samorządowców-satelitów i wstąpił na pierwszy stopień prowadzący do ołtarza.

Krystyna Cieślik spostrzegła go i przerywając coś, co tłumaczyła Augustynowi, z uśmiechem powiedziała do Korala:

- Szczęść Boże, drogi księżu proboszczu. Ja się tak zastanawiałam właśnie, czemu księdza nie było. Taka piękna msza, uroczystość właściwie, takie wydarzenie. No to teraz mamy się czym chwalić. Odwiedza nas święty chłopiec, teraz święte relikwie się odkrywają. Właśnie z księdzem Augustynem rozmawiamy, jakie to szczęście dla naszego miasta.

- Bardzo się cieszę, że pani burmistrz tak mówi - odrzekł Koral. - Przychylność ze strony miasta była zawsze wysoko ceniona przez mój kościół.

- Ach, proszę księdza, niech ksiądz spojrzy. - Burmistrzowa skinęła na męża, który natychmiast podszedł, wyszarpnęła od niego torebkę i zaczęła w niej szperać. Po chwili

wyciągnęła zielone aksamitne pudełeczko. Zwróciła się teraz do Augustyna: - Na razie znalazłam tylko takie, ale potem to kupię prawdziwą szkatułkę, żeby dobrze schować - mówiąc to, otworzyła pudełeczko i zaprezentowała Koralowi połowę żółtobrazowego zęba.

W pierwszym odruchu Koral nie skojarzył. Pomyślał, że Krystyna Cieślik chce pochwalić się dokonaniem swojego dentysty, co samo w sobie wydało mu się równie głupie, jak zaskakujący wydał mu się stan zęba niestarej w końcu kobiety. Myśl tę jednak zaraz uznał za zupełnie nieprawdopodobną. Spojrzał na burmistrzową i nic nie mówiąc, lekko skrzywił usta.

- A, ksiądz nie rozumie. - Cieślikowa zamknęła pudełeczko. - To jest podarunek od proboszcza Augustyna, wspaniały doprawdy.

W chwili, gdy burmistrzowa kończyła zdanie, Koral zrozumiał, że ma przed sobą ząb pochodzący ze szczątków.

- No tak, bardzo cenny dar, proboszcz Augustyn słynie z szerokiego gestu. Czemu tylko pół zęba, proszę księdza, a nie cały? Albo szczęka, ach, no tak, pełnego uzębienia brakuje. - Koral nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

- Szkielet nie jest kompletny, nikt by się zresztą takiego nie spodziewał, więc nie rozumiem, co ksiądz proboszcz ma na myśli - powiedział Augustyn.

- Ależ nic, nic. Pytam tylko, czemu zaledwie jeden ząb dla pani burmistrz, ba!, i to nie cały, ale pół tylko. Co jak co, ale, drogi kolego proboszczu, pani Krystyna zasługuje co najmniej na obojczyk. - Koral sam nie wiedział, dlaczego mówi to wszystko, czuł jedynie, że słowa płyną z niego niepowstrzymanie, dając mu przy tym zaskakującą dawkę pokrzepienia.

- Ależ proszę księdza! - wtrąciła się pani burmistrz. - Tak nie można! Tego nikomu nie wolno rozdawać! Fakt, że proboszcz Augustyn raczył mi ofiarować taki prezent, jest, nie zawaham się powiedzieć, aktem królewskiej szczodrości i wspaniałości, na jaką byłoby stać niewielu duchownych. To nie tylko pół zęba, ale aż pół zęba.

- A to przepraszam - mruknął pojednawczo Koral. - W takim razie o swoją wiarę może pani burmistrz być spokojna.

- Ten ząb to jest symbol, proszę księdza - podniosła głos burmistrzowa, zwracając na siebie uwagę wszystkich, którzy jeszcze zostali w świątyni. - To jest ząb naszej wiary, ząb naszej chrześcijańskiej wierności zasadom bożym.

- Pani burmistrz jest bardzo łaskawa - przerwał jej Augustyn, zginając się w ukłonie, i przypomniał sobie scenę ze słynnym misiem. - Czemu zawdzięczam wizytę księdza proboszcza? - spytał, siląc się na chłodną kurtuazję.

Koral uspokajał się tymczasem. Widok Cieślikowej i Augustyna w tak zażyłych

stosunkach znowu wywołał w nim to coś, nad czym nie panował.

- Przyszedłem do księdza, sądząc, że już po mszy, ale widzę, że to prędko się nie skończy. No i jak? Co z tą relikwią? To jest to właśnie? - spytał, oglądając się na stolik.

Wikary Sebastian pokiwał mu głową i wskazał ręką poukładane szczątki, robiąc dwa kroki w tył. Rozmowy po kątach ucichły, wszyscy skupili uwagę na Koralu, który powoli zbliżył się do kości.

- Aha, a więc to tak wygląda. To jest ta święta kość - powiedział i chwycił połowę piszczela. Zważył go w dłoni, obejrzał ze wszystkich stron. Później zbliżył do nosa i powąchał, zamykając oczy. Stał tak przez chwilę, a potem odwrócił się i zaczął podrzucać kość w rękę jak pałeczkę perkusisty.

- Wiecie, ludzie podobno są zachwyceni - powiedział, bawiąc się piszczelem. - Nie wiem, czy się zgodzicie, ale jeśli to rzeczywiście święte szczątki, i tak jak mówi ksiądz Augustyn, wpajające wiarę w niedobre serca, to komu jak komu, ale nam tego najmniej potrzeba. To już powinien ksiądz pogadanki dla ateistów robić, a nie wiernym na pokaz wystawiać. Efekt byłby wyraźniejszy. - Koral zaczął upajać się swoją mową. Wtem usłyszał z prawej strony mocny głos:

- Proszę mi to oddać, proszę księdza. To nie jest rzecz do zabawy. - Janusz delikatnie wyjął mu kość z dłoni. - Przepraszam - dodał i odłożył szczątek na miejsce.

Augustyn zbliżył się do księdza Zygmunta.

- Drogi proboszczu, relikwia jest dla każdego. Dla księdza proboszcza również. Zapraszam każdego dnia, a nawet, jeśli będzie trzeba, każdej nocy. Zapraszam księdza proboszcza, zapraszam biskupa, ksiądz może przekazać. Zapraszam papieża nawet. Jeśli ksiądz proboszcz byłby skłonny w moim imieniu poinformować Rzym o relikwii, byłbym zobowiązany - rzekł, patrząc Koralowi prosto w oczy.

Ksiądz Zygmunt nieco się stropił, bo od chwili, gdy tu wszedł, robił i mówił rzeczy, jakich w ogóle nie zamierzał. Poczuł coraz mocniejszy ucisk w pęcherzu. Ścisnął uda, chowając między nimi czubek swojego członka.

Cholera, przecież wylałem się przed wyjściem, co jest? - pomyślał ze złością. Jeśli teraz się zdarzy, że pocieknie mu po nodze, tak jak dwa czy trzy dni temu na pogrzebie tej Musialikowej, nie znieśie tego. Wspomnienie ciepłej wilgoci na udzie i łydce przepęłniało go największym obrzydzeniem.

- Co tylko ksiądz sobie życzy - odparł. - A czy ksiądz już powiadomił dziekana? Albo biskupa? Takie wydarzenie trzeba szybko rozgłosić.

- Ja myślę, że inne życzliwe osoby uczynią to za mnie - rzekł Augustyn, znacząco

cedząc słowa. - Tymczasem niech się ksiądz rozejrzy. Prosiłbym jednak nie dotykać tych szczytków, są delikatne, a przed chwilą mieliśmy tu mały wypadek.

- No właśnie - podchwycił Koral. - Miałem telefon, że coś poważnego.

- Nie aż tak bardzo. Nie miało to jednak wpływu na uroczystość - odparł Augustyn. - W każdym razie nie potrzebujemy pomocy, jeśli o to chodzi.

W tym momencie Cieślikowa stanęła między proboszczami.

- To był rzeczywiście nieszczęśliwy wypadek, ale pan Pluta to bardzo religijny człowiek, nie potrafił się powstrzymać i rozumiem go. Ja mogę tylko powiedzieć, że jestem pod olbrzymim wrażeniem tego, co dzieje się w mieście. Nasza religia się odradza, i to dzięki obu proboszczom. Jak tu się nie cieszyć?

Komórka pani burmistrz zaśpiewała w rytm znanego wakacyjnego przeboju. Cieślikowa przeprosiła i odeszła na bok. Ludzie w kościele bez słowa przyglądali się księżom i przetrawiali ich wymianę zdań. Pani Irena Goszczykowa obrzucała Korala spojrzzeniami godnymi napalonego neonazisty.

- A po co tu przyszedł? - powiedziała cicho do stojących wokół niej ludzi, jednocześnie zaś na tyle głośno, aby treść mogła dotrzeć do uszu złego proboszcza. I rzeczywiście tak się stało, ale Koral zbagatelizował jej znaczenie, zmuszony koncentrować się coraz bardziej na powstrzymywaniu moczu. Jak na złość pęcherz wybrał akurat ten moment na zupełnie zaskakujący napór.

Pozostali patrzeli na niego z nieukrywaną pogardą. Spodziewali się, że poda Augustynowi rękę, a zamiast tego zobaczyli, że Koral najzwyczajniej mu zazdrości.

- Żeby to się tak do siebie odzywali? Ten proboszcz Koral to zły człowiek, mówią, że dobry, ale to zły jest ksiądz. Nasz to ci dopiero ksiądz, a nie taki nie wiadomo co i skąd - szeptała Genowefa Florczak, która podeszła do Ireny Goszczykowej.

Koral zdał sobie sprawę, że przesadził ze złośliwościami, bo niechęć parafian wyraźnie dała się odczuć. „A to ich kochany Gustek wyćwiczył, brawo” - pomyślał i nagle poczuł, jak ciepły płyn z jego trzewi cieniutką strużką podąży ku posadzce kościoła.

Nie utrzymał!

Spiął się w sobie i resztką sił zdołał zahamować dalsze parcie, wiedział jednak, że musi natychmiast iść się wysikać, bo inaczej zaleje Augustynowi podłogę w kościele.

- Przepraszam, proszę księdza, można na chwilę? - Odszedł z Augustynem na bok. - Gustek, muszę do ubikacji, natychmiast. Pójdę do ciebie na plebanię, dobrze?

- Oczywiście, jak trzeba, to trzeba, iść z tobą?

- Nie, dziękuję, zupełnie mnie zaskoczyło. - Odwrócił się do zebranych ludzi. -



Kochani, to, co tu się wydarzyło, a czego nie oglądałem, jest dla was na pewno wielkim przeżyciem duchowym i religijnym. Módlmy się, aby sprawiło też jak najwięcej dobra dla nas wszystkich. Wierzę, że wasz proboszcz poprowadzi was prostą drogą do prawdy. A teraz przepraszam, zaraz wracam - dokończył i niemal biegiem wypadł przez boczne drzwi.

Klnąc półgłosem na tę okropną męską przypadłość, ruszył w stronę oddalonej o dwieście metrów plebanii.

Po kilku krokach wiedział już, że nie dojdzie. Nacisk moczu dążącego do opuszczenia jego ciała stał się wprost niewyobrażalny i Koral uświadomił sobie, że ma dwa wyjścia: albo zlać się w majtki, albo myknąć w jedną z wnęk kościelnego muru i zrobić, co trzeba.

- Panie, wybacz mi. Błagam, zlituj się, ale już nie mogę - powiedział do siebie, rozglądając się na boki. Na szczęście nie dostrzegł nikogo. Zakasał sutannę i schronił się w cieniu wnęki. Nie miał innego wyjścia. Modląc się, obnażył mokry już nieco członek i puścił na kościelny mur tęgi strumień, znad którego natychmiast wzbiła się gorąca para. Sikał, nasłuchując, czy nikt nie przechodzi, i powtarzał w myślach zdrowaśki. Po minucie odczuł nieopisaną ulgę, ale jeszcze kilka razy parł, aby opróżnić cały pęcherz. Na koniec opuścił sutannę i rozejrzawszy się w obie strony, wychynął na przykościelny chodnik. Stał jeszcze przed wnęką, w której oddał mocz, i przeżegnał się.

- Panie, proszę, wybacz ten grzeszny uczynek, którego dopuściłem się zniewolony słabościami mego ciała - powiedział i wrócił do Augustynowego kościoła.

Zostało w nim już zaledwie kilka osób. Pani burmistrz żegnała się z Augustynem, a ostatnie grupki powoli opuszczały świątynię.

- Coś ksiądz proboszcz szybko wrócił - powiedział do niego wikary Sebastian.

- Tak, tak, rzeczywiście, chciałem być jak najszybciej z powrotem - odpowiedział Koral.

Augustyn pożegnał burmistrzową i podszedł do Korala.

- Widzisz, ludzie się tu garną, oni tego potrzebują. To była bardzo udana uroczystość.

- Domyślam się. Właściwie miałem nie przychodzić, ale najpierw ten telefon, że coś się stało, a potem pomyślałem, że jednak warto to obejrzeć. Ale wiesz, że to się rozniesie, ci wyżej tego tak nie puszczą. - Ksiądz Zygmunt nakreślił w powietrzu poziomą linię.

- Wiem, oczywiście, że wiem. Będą sprawdzać, to naturalne. Jestem na to przygotowany, jeśli o to ci chodzi.

- Gustek - powiedział Koral, ciągnąc go na bok - obaj wiemy, że ja nie przepadam za twoimi metodami, ale powiem ci, że to tylko kwestia tygodnia, może dwóch, aż ktoś się zjawi. I wtedy wszystko może się zdarzyć. Powiem ci jeszcze, że to jest zasadniczo

postanowione.

- Widzę, że sporo wiesz. - Augustyn zerknął na Korala, mrużąc powieki. - No cóż, to nieważne, kim będzie ta osoba czy osoby, to nie ma dla mnie znaczenia. Ale dziękuję ci za te słowa, bo wiem, że musisz robić to, co robisz. Zróbmy tak: ty mi nie utrudniaj, ja ci nie będę utrudniał. I będzie zgoda. A teraz wybaczone, zostawiam cię z księdzem Sebastianem, muszę pędzić do szpitala.

Augustyn skinął na Janusza i obaj wyszli z kościoła. Droga do powiatowego szpitala zajęła im pięć minut. Po chwili już wbiegali na urazówkę, a pielęgniarki rozstępowały się przed nimi. Dyżurujący lekarz oznajmił, że stan Maurycego Pluty nie jest groźny, ale operację trzeba przeprowadzić natychmiast. Poszkodowany przebywał w niewielkiej sali, oczekując na zabieg, który miał się rozpocząć lada chwila. Na widok Augustyna padł na kolana ze łzami w oczach.

- Nie trzeba, wstań, dzielny Maurycy - rzekł proboszcz i podniósł go, a następnie posadził na łóżku - dzisiaj będę przy tobie.

Anna Pluta, która nie odstępowała męża ani na moment, znowu sięgnęła do portmonetki, ale Augustyn zgromił ją wzrokiem, więc od razu cofnęła dłoń.

- Pani Anno, nie każdy ksiądz bierze za to, za co nie powinien brać. Przecież mnie pani zna nie od dzisiaj.

- Tak, proszę księdza proboszcza, ale to już takie przyzwyczajenie z dawnych czasów - cichutko powiedziała Anna Pluta.

- Czasy teraz nadchodzą inne, zupełnie inne, pani Aniu - odparł Augustyn.

## Rozdział 7 - Wpajanie

Wpajanie wiary rozpoczęło się z samego rana.

Augustyn nadal leżał w łóżku, nie było jeszcze szóstej, kiedy usłyszał delikatne pukanie, a zaraz potem w drzwiach ukazała się głowa pani Heli.

- Księżę proboszczu - usłyszał ściszony głos swojej gospodyni - księżę proboszczu.

Przewrócił się na drugi bok i spytał:

- Cóż tam, pani Helu? Przepraszam, chyba musiałem odespać te ostatnie dni.

- Ludzie przyszli.

Augustyn naciągnął kołdrę. O Boże, tylko nie dziś, jeszcze nie dziś. Co im strzeliło do głowy? Żeby tak o tej porze? Już, teraz?! Jeszcze się dobrze nie nasycili, a już im się zachciało?!

Nie od razu wstał z łóżka. Jak tacy wierni, to niech poczekają. Raz w życiu niech poczekają i przemyślą dokładnie, jak to wygląda - nachodzić spracowanego księdza o świcie po takim wydarzeniu jak wczorajsza prezentacja relikwii.

Za oknem wychodzącym na sad jaśniała fioletowa poświata. W pokoju było zimno. Oddech Augustyna zamieniał się w parę. Po raz kolejny skłął bezlitosny nawyk oszczędzania na ciepłe, wpojony mu przez matkę, przez co każdej zimy budził się ze zdrętwiałymi palcami rąk. Potarł dłonie, aby częściowo zmniejszyć ból stawów, i wsunął je pod uda. Nienawidził zimna od czasów chłopięcych. Niemal wszystkie chłodne lub mroźne dni spędzał w niedogranych pomieszczeniach - jeśli nie w domu, zbudowanym dawno z marnej jakości materiałów, to w wyziębionym kościele. W seminarium marzył w małym pokoiku, odziany w dwa swetry zaczytywał się Tradycją, a teraz nawet na swojej plebanii nie pozwalał dogrzewać, choć Sebastian i Seweryn o tym napomykali.

Kiedy stawy wreszcie przestały boleć, wyciągnął rękę i włączył komórkę. Po wstępnych sygnałach powitalnych na ekranie pojawiło się zdjęcie jego Bożego przybytku. Najpierw nadeszły wiadomości o próbach połączenia, a po nich nieodebrane esemesy. Były dwa. Jeden od Janusza i drugi od Eli, wysłany wczoraj po dwudziestej. Trace własnego syna. To straszne - pisała krótko.

Nie, ona jednak nie da mi spokoju, pomyślał. Nie da. Pochuchał w rękę i zaczął odpisywać: On więcej zyskuje, niż ty tracisz. Jeśli chcesz posiedzieć przy kosciach, przyjdź w wolnej chwili. Augustyn. Zawsze podpisywał swoje esemesy, mimo że było jasne, od kogo pochodzą, i prawie nikt tego nie robił, ale dawne przyzwyczajenie zawsze okazywało się

silniejsze. Odpowiedź nadeszła po minucie: Dziękuję. Bede. Dam znac. Odłożył telefon i schował ręce pod kołdrę.

Dziś nie wyjdzie bez śniadania. Niech czekają, skoro tacy pobożni. Fiolet za oknem rozjaśniał się delikatnie, za chwilę zrobi się zupełnie widno. Augustyn przemierzał wzrokiem swój pokój, wystawiwszy łysiejącą głowę. Sutanna zwisała z poręczy stołka tak, jak ją rzucił, na niej dzinsy, które pani Hela kupiła mu w ubiegłym roku, gdy pojechała z córką do centrum handlowego. Kurtkę powiesił natomiast, jak należało, w szafie. Kiedy pani Hela przyjdzie, zaraz wszystko ogarnie, wygadując na ludzkie przywary, co tak zamęczają proboszcza, że nawet nie ma sił ubrań powiesić. Obok obrazka z Jezusem ciągle leżał list przyniesiony przez Jakubka. Na twarzy Augustyna pojawił się smutek. Jeszcze jeden, to już chyba czwarty, w identycznej kopercie, z ładnie wykaligrafowanym adresem plebanii. Jakim cudem znalazł się u Korala?!

U Korala?!

Energicznym ruchem Augustyn odrzucił kołdrę i w samych majtkach, skulony, pokuśtykał boso do stołu. Natychmiast poczuł twardy uścisk chłodu. Sięgnął po kopertę i obejrzał ją dokładnie. Nie, żadnych śladów ingerencji. Cóż za podejrzenie, nie, do tego Korala nie byłby zdolny. To by było za wiele. Koperta była szczelnie zaklejona, tak jak zrobił to nadawca. Augustyn zważył ją w dłoni. Gruba, ciężka, pewnie ładnych kilka kartek. Jak zwykle równe pismo, lekko pochylone litery kreślone czarnym atramentem, ze staromodnymi zakrętami. Włożył list do szuflady i naciągnął spodnie.

W korytarzu natknął się na panią Helę, która właśnie szła z gotowym śniadaniem.

- Jak ksiądz proboszcz z łazienki wróci, to kawa wystygnie, ja myślałam, że ksiądz już się ochlapał, a tu dopiero teraz - burknęła zrzędliwie pani Hela, co Augustyn skwitował uśmiechem i zamknął się w łazience.

Z niesmakiem spozierał na swój brzuch, którego rozrostu nie potrafił w żaden sposób zahamować. Nie obzerał się zanadto, może tylko na obiad lubił podjeść trochę więcej, a mimo to brzuch rósł w oczach. Golenie przebiegło pechowo - znów za mocno najechał na pieprzyk przy lewym kąciku ust i ściał go już na dobre. Zaklął i przylepił kawałeczek papieru toaletowego. Umył się dokładnie pod pachami, wypłukał uszy i wyszorował stopy. Na koniec zostawił umycie zębów. Papier toaletowy w tym czasie nasiąknął krwią, więc wymienił go na drugi, który nasiąknął równie szybko, więc musiał przylepić trzeci. Ponowił tę czynność jeszcze trzy razy, zanim udało mu się jako tako zatamować krew. Ostatni kawałek papieru zabarwił się pośrodku na czerwono, ale na tym się skończyło.

Po powrocie do pokoju zjadł bułkę i włożył sutannę. Kawa była letnia, ale nie zimna.

Pociągnął długi łyk. Zapukała pani Hela, oznajmiając, że ludzie pytają, czy proboszcz wyjdzie w ogóle, bo oni przyszli, tak jak ksiądz nawoływał, a tu już prawie godzina minęła, jak czekają. I był telefon z kurii, kazali oddzwonić.

Kuria. No tak, oni muszą wcześniej, z samego rana.

- Pani Helu, jeżeli znowu będzie telefon, proszę powiedzieć, że nie ma mnie na plebanii, bo jestem niezmiernie zajęty i skontaktuję się, jak tylko znajdę wolną chwilę. - Augustyn delikatnie oderwał papierek i upewnił się, że krew już przestała lecieć. - Proszę powiedzieć ludziom, że za piętnaście minut zejdem, jeszcze chwila cierpliwości.

Włączył komputer. Po chwili włączył Internet i wszedł na stronę parafii pw. Najświętszej Maryi Panny. Ksiądz Sebastian dobrze sobie poradził - zamieścił zdjęcia z wczorajszej uroczystości i ładnie opisał całe wydarzenie. Relikwia zdobywała wirtualny świat nowoczesności. Augustyn zjechał na dół i wczytał się w komentarze. Pierwszy pojawił się tuż przed północą. Jakiś gimnazjalista z zachwytem opisał katechezę z Augustynem w roli głównej, potem następowały posty gloryfikujące jego samego jako księdza o nieprzebranej charyzmie, później dziękczynienie Świętej Paniencie i kilka zapewnień modlitwy za proboszcza, żeby się trzymał.

Na parafialnej poczcie znalazł już dwa mejle z prośbą o wspólną modlitwę przy kościołach - pierwszy dotyczył chłopca chorego na białaczkę, drugi pochodził od niejakiego Krzysztofa Karolczyka, który miał starszego brata furmana, mieszkającego w wiosce na krańcach powiatu, i temu bratu ciężko zachorował koń. I Karolczyk dopytywał się, czy nie można by tego konia uzdrowić, bo to jedyne źródło utrzymania brata. Na koniec umieścił dopisek, że jak trzeba coś na kościół, to on da, a nawet - jakby się dało - chętnie kawałek z tych szczątków kupi.

Zachrypiała komórka. Na wyświetlaczu pojawił się napis:

Kuria And. Sekretariat.

- Odwalcie się z łaski Bożej - syknął Augustyn i poczekał, aż sygnał zamilknie, a następnie wyłączył telefon. Przekleństwo tylko z tymi komórkami, pomyślał. A więc Andursz będzie naciskał od razu, nie zostawi mu paru dni spokoju. Właściwie czego on, Augustyn, się spodziewał? Że mu tak po prostu pozwolą robić, co chce? Bez reakcji? Nie, to niemożliwe. Augustyn pokładał nadzieję w tym, że biskup Andursz lubił go dawniej, proponował stanowisko w kurii, ale przez szacunek do Ambrożego, który tak mocno się za Augustynem wstawił, nie uparł się i pozwolił mu zostać w mieście. To był wielki sukces obu księży. Dziś jednak wszystko mogło się zmienić. W ostatnich latach biskup właściwie nie bywał w jego kościele. Wizytował Korala i jeszcze jeden kościół w mieście - gdzie proboszczował ksiądz

Waldemar Niemczak - proboszcz niewdający się w bliskie kontakty z przedstawicielami innych parafii. U Augustyna jednak biskup nie był już dawno.

Usłyszał pukanie. Na krótkie „proszę” w uchylonych drzwiach ukazał się ksiądz Sebastian.

- Proszę księdza proboszcza, chciałem spytać, czy ksiądz już widział stronę?

- Tak - odparł Augustyn - właśnie przeglądam, niech ksiądz wejdzie. Bardzo mi się podoba, świetnie. Gdyby wcześniej był u nas ksiądz z podobnymi umiejętnościami, to plebania trochę by zaoszczędziła. Na razie wystarczy, później można by trochę rozbudować, pododawać parę nowych rzeczy.

- To nie będzie problemu - powiedział Sebastian, siadając przy stole.

- Jeszcze tak sobie pomyślałem - Augustyn zawahał się - jakaś historia tego biednego kanonika by się przydała. Ja to napiszę, już nawet trochę zacząłem, ale w zasadzie brak informacji o nim. Niech ksiądz jeszcze poszpera, o, może ten historyk z liceum, co ksiądz mówi, że taki odczytany w historii miasta i regionu, on może coś będzie wiedział.

- A jak nic nie znajdziemy?

- Cóż, wtedy trochę powymyślałem, ksiądz rozumie, ludzie lubią mieć wszystko podane na tacy, prawda? Chcą mieć wszystko czarno na białym, żeby od razu wiedzieli. Jakiś opis tego mordu by się przydał, jakaś plotka o cudzie czy coś. No, a co ksiądz powie o wczorajszej mszy?

- Gdyby nie przypadek Pluty, to wszystko wprost pięknie, proszę księdza. Janusz mi zaimponował, kiedy odebrał Koralowi tę kość.

- Tak, Janusz. - Augustyn wzniosł oczy ku sufitowi. - Dzielny z niego chłopiec. Miałbym do księdza jeszcze jedną sprawę.

- Słucham. - Sebastian przesunął dłonią po łysej głowie.

- Wiem, że księdzu cała ta sprawa z relikwią może wydać się dziwna. Że to dla księdza duży kłopot. Mam na myśli kwestię lojalności i tak dalej. Dziękuję księdzu za wczorajszą postawę. Jednak zdaję sobie sprawę, że nie może ksiądz do końca iść moją ścieżką. Prędzej czy później w sprawę zaangażuje się hierarchia. Wiem już, że przyjedzie tu komisja, Koral już coś o tym wie i wczoraj mi napomknął. Najpierw będą jednak chcieli, żebym sam się stawił u biskupa. Od razu księdzu mówię, że nie zamierzam się stąd ruszać.

- Rozumiem, proszę księdza. Jestem w tej parafii wikarym, ksiądz proboszcz jest moim przełożonym. Jeśli chodzi o lojalność, może ksiądz proboszcz być pewny.

Augustyn wstał, uderzył ręką po udzie i podszedł do regału z książkami. Naprawdę dobry ten wikary, pomyślał, żal by go było wpłątywać, on z pewnością nie wierzy w to całe

zamieszanie.

Okręcił się na obcasie i podniesionym głosem powiedział:

- Niech ksiądz nie gada głupot! Lojalność nie ma tu nic do rzeczy! Lojalny ksiądz ma być w stosunku do swojego sumienia i biskupa, który ześle tu swoje kundle! Wszystko, co tu się dzieje, spoczywa na mnie, ja jestem odpowiedzialny! I mam radę - tu Augustyn ściszył głos. - Może ksiądz zebrać dla mnie te informacje od historyka, ale jednocześnie proszę już teraz pisać do kurii, że jest ksiądz zaniepokojony tym, co tu się dzieje. To moja dobra rada. Przecież wiem, że ksiądz w to wszystko nie wierzy.

Sebastian poczuł się zbity z tropu. Czego ten Augustyn od niego chce? Żeby już na samym początku swojej kapłańskiej drogi dał się poznać jako ksiądz podkopujący pozycję swego bezpośredniego przełożonego? Postanowił zmienić temat rozmowy, przejść na neutralny grunt.

- Ksiądz proboszcz bardzo mi imponuje. Razem z księdzem Sewerynem żywimy dla księdza szczerzy podziw. I tak samo jak ksiądz proboszcz lękamy się o przyszłość, o Kościół, o kapłaństwo. Jak ksiądz myśli, po co ja się uczyłem projektowania stron internetowych? Dlaczego Seweryn zabrał młodzież oazową na malarski plener połączony z festiwalem kina offowego? My idziemy do przodu, a raczej wychodzimy naprzeciw. Powiem jeszcze, że mamy plany stworzenia przy plebanii szkoły karate, bo Seweryn ma niebieski pas. Wiem, że nasza otwartość czasem księdzu nie odpowiada, nasze łysy czaszki, wiem. Ale wiara, którą w sobie nosimy, jest tak samo głęboka jak u księdza proboszcza. Ja nie będę pisał donosów na księdza, bo wiem, że jedynym celem księdza proboszcza jest dobro tej parafii, tych ludzi i Kościoła.

- Miło, że ksiądz tak mówi. Łysina jest jednak dobra na starość, tyle księdzu powiem. Wczoraj wieczorem nie było księdzu przypadkiem zimno? Niech ksiądz nie będzie taki niezwykle szlachetny, bo nie o to chodzi. Ksiądz napisze, bo ja tak księdzu nakazuję. I chodzi mi wyłącznie o dobro księdza i księdza Seweryna. Ksiądz napisze tylko, że jest zaniepokojony relikwią i prosi o radę, jak postępować w tej sytuacji. To wszystko. Jeśli ksiądz tak bardzo wzbrania się przed opowiadaniem o mnie niestworzonych historii, może ksiądz na tym poprzestać. Ale napisać trzeba.

- Jak ksiądz proboszcz sobie życzy. - Sebastian czuł, że powinien ustąpić. - A swoją drogą, zaskoczyła mnie reakcja ludzi. Już tam czekają przed plebanią. Moim zdaniem, wszystko toczy się świetnie. Gdyby tak skorzystać z obu metod: naszej z wychodzeniem naprzeciw nowym obyczajom, i księdza proboszcza z przyciąganiem siłą tradycyjnego cudu, jestem pewien, że efekty byłyby dla parafii wręcz wyśmienite.

- Ksiądz jest jeszcze młody, jeszcze wiele przed księdzem i księdzem Sewerynem także. Wy jesteście ulepieni już z innej gliny, inne czasy kształtują wasze wyrzeczenia, wasz charyzmat. Nie ma w was, przynajmniej do tej pory tego nie zauważyłem, nie ma w was kapłańskiej pychy, poczucia elitarności, wyjątkowości, co mnie zresztą nieco dziwi, bo pokora to w istocie rzadko spotykana cecha. Ta prawdziwa pokora, taka od środka.

Augustyn popatrzył na swego wikarego, kiedy ten zamykał za sobą drzwi. Widać było, że przemawiał przez niego młodzieńczy zapał i szczerą wiarą - ta w Boga i ta w ludzi. I nagle przemknęło mu przez głowę, że ci nowi młodzi kapłani są od niego lepsi, że są lepsi niż całe pokolenia starych, wysłużonych księży z klapkami na oczach, że ich język, ta cała bęcwiara, jak mówili, trafia znacznie silniej niż gadanina zasklepionych w ojcowskim moralizatorstwie sutanników.

Jak ten szatan ich zamierza podejść? - myślał. Prawdopodobieństwo, że dusza im się przeistoczy, wzrosło od czasów, kiedy sam zaczynałem życie kapłańskie. Są tacy niewinni, łakome kąski, jakim byłem niegdyś. Aż się proszą o pokuszenie. Jak długo wytrwają, jak długo pozostaną wierni sobie i Bogu? Kiedy zabłyśnie im w głowach pierwsza iskra zwątpienia? Tak, jeszcze trochę, jeszcze trochę. Wiara im zwiotczeje jak niećwiczony mięsień, stanie się słaba i niechętna koniecznej gimnastyce. Zacznie się od tego, że przestaną się modlić. Tak to już jest. Tych, co najgłębiej wierzą, później dotyka najgłębsze zwątpienie. Ich umysły są przenikliwe, nie zadowolają się byle tłumaczeniem, kiedy więc spada na nich po raz pierwszy pytanie: jak jest naprawdę? - nigdy już nie znika i zawsze tli się na horyzoncie. Oni chyba jeszcze tego nie wiedzą, są nadal czysti. Dzieci, po prostu dzieci, cóż oni wiedzą o świecie, o życiu? Posługa nauczy ich tylko czytać z ludzkich losów, ale nie da im przeżycia, nie zapewni poznania od środka tej cholernej płataniny. Dopiero po latach zrozumieją, że ich myśli i uczucia są nagie jak ciało noworodka.

Po wyjściu Sebastiana siedział jeszcze dziesięć minut, czując, jak bardzo odległy od świata tego jest wywód, z jakim docierał do ludzkich dusz. Porozcierał palce, włożył płaszcz i wełniane rękawiczki. Kiedy wyszedł przed plebanię, zobaczył, że czeka na niego już kilkanaście osób. Dochodziła siódma.

- Księżę proboszczu - pierwsza zbliżyła się kobieta, której nie znał - my z parafii świętej Marii Magdaleny, ale my wczoraj byli na nabożeństwie. Proboszczu kochany, my chcieli się przy tych kościach pomodlić, coby naszego syna wspomogła ta relikwia - tu kobieta wskazała klęczącego za nią chłopca, może piętnastoletniego.

Chciała kontynuować, ale nagle jakiś nieznany Augustynowi mężczyzna odsunął ją stanowczym ruchem i stanął przed nią.



- A gdzie się pani tu pcha?! My stoimy od szóstej! - oznajmił tubalnym głosem.

Mimo jego groźnej postury i pewności siebie, kobieta nie dała za wygraną:

- Coś pan?! Kolejkę do Boga robisz? Trza się było odezwać, jak ksiądz proboszcz wyszedł. Księżę proboszczu... - zaczęła, wysuwając się przed mężczyznę, ale już wzmógł się tumult i pozostali ludzie zaczęli złorzeczyć na zaradną babę. Kobieta popchnęła syna w stronę księdza i odwróciła się do nich.

- Pogłupieli! - rzekła z zaciętością.

- A po co tu pani przyszła? Jak nie pani parafia, to się tu pani nie schodź!

- Przecie to dla wszystkich parafia jest!

Augustyn przysłuchiwał się wymianie zdań, aż wreszcie poprosił o spokój.

- Państwo przyszli bardzo wcześnie, nawet nie spodziewałem się wizyty tak prędko. Relikwia jeszcze nie została przygotowana. Dopiero szykujemy jej miejsce, żebyście mogli codziennie o znanych porach przychodzić. Ale skoro już jesteście, zrobię wyjątek. Proszę za mną - powiedział i ruszył do kościoła.

Grupa wiernych hałaśliwie poszła w jego ślady. Świątynia była zamknięta po porannej mszy. Zanim Augustyn zdążył otworzyć, do grupy ludzi dołączyła Genowefa Florczak.

- Proszę państwa, dziesięć minut - powiedział i gestem zaprosił wszystkich do kościoła.

Ludzie wchodzili z wypiekami na twarzy. Już około dwudziestu osób zatrzymało się przed wejściem do podziemnego korytarza.

- Pamiętajcie, że siła tych szczątków - zaczął powoli Augustyn - zawiera się także w waszych duszach. Bóg daje wam szansę, abyście uwierzyli, i czasem czeka przez całe wasze życie, aż pojmiecie, co znaczy wierzyć. I kiedy to się dzieje, On, wasz Pan, raduje się. Ta relikwia ma niezwykłą moc wpajania wiary - tym, którzy wierzą, nie rozumiejąc, i tym, którzy rozumieją, nie wierząc; tym, którzy mają wiarę na ustach, lecz nie mają jej w sercu; tym, którzy wierzyli, lecz popadli w zwątpienie; tym, którym łaska wiary nigdy nie była dana; tym, którzy zatwardziali w swym rozumie, porzucili prostą ścieżkę ku Prawdzie; tym, którzy bluźnili Panu Bogu swemu; tym, których serca szatan objął w posiadanie, a oni bezmyślnie udzielili mu gościny; tym, którzy grzeszyli, nie widząc prawdziwego światła, i błędzili w pomroce zła; tym, którzy tęsknią, lecz nie mają odwagi sprostać wyzwaniom prawdziwej miłości; tym, którzy słuchają, lecz nie słyszą; tym, którzy błędzą po bezdrożach niemoralności; tym, którzy oddają swe ciała na łup złego i nie pamiętają o duszy wiecznej, co cierpieć będzie męki; tym, którzy pożarci przez grzech śmiertelny, idą jak ślepcy ku otchłaniom potępienia; tym, co pchają się przed innych, i tym, co ich w przekleństwie

nurzają; wszystkim wam - dana jest łaska wiary, jaką Pan zsyła w dotykanej, świętej relikwii, aby wasze zatwardziałe serca złagodzić. Kto przyjdzie, ten weźmie, i ten będzie miał.

Ludzie znowu popadali na kolana. Augustyn, przemawiając dobitnie, uniósł w górę ten sam co poprzednio kawałek pieszczela.

- W tym zawarł Pan dobro łaski swojej. Kto pragnie, ten będzie napojony. Przyjdźcie, a będzie wam dane. Bo nic bez łaski Pana naszego nie będziecie zdolni uczynić dobrego, i On chce was uchronić przed złem natury waszej, On was ku łasce swej sprasza. Kto przyjdzie, ten weźmie, a ci, co nie przyjdą, pozostaną w oddaleniu.

Zamilkł. Genowefa Florczak, przyklękawszy w pierwszym rzędzie, roniła największe łzy. Augustyn doskonale znał jej wrażliwe oczy; jeśli zaszła potrzeba, potrafiły tak łzawić przez długie godziny. Proboszcz wiedział, że płacz, zawsze rzęśisty, był dla pani Genowefy nie tyle przejawem chrześcijańskiej afektacji, ile raczej rytualnym dopełnieniem obrzędu, koniecznym dodatkiem, bez którego nie sposób przeżyć podniosłości liturgicznego doświadczenia lub takich jak ten momentów podniesienia duszy w dotąd niezbadane rejony religijnej duchowości. I spoglądając pobłaźliwie na Genowefę Florczak, Augustyn postanowił najpierw jej właśnie, jako wielce oddanej parafiance, przytknąć pieszczel do ust.

Kiedy pani Genowefa zrozumiała, że tuż przed jej wargami znajduje się najświętszy przedmiot, z jakim miała do czynienia w swoim życiu, zamarła z przerażenia. Nie była w stanie wykonać najdrobniejszego ruchu, jakby rzeczywiście obezwładniła ją cudowna moc. Augustyn zaś zbliżył pieszczel na pół centymetra i czekał na pocałunek. Lecz pani Genowefa zamieniła się w posąg. Nawet oddech przestał z niej wychodzić i jedyną oznaką życia na pobludłej twarzy pozostały dwa szlaczki, po których miarowo, jedna za drugą wyciekały łzy.

- Pani Gieniu - szepnął Augustyn.

Usłyszała głos swego księdza i podniosła ku niemu wzrok. Augustyn zobaczył, że jest zupełnie zdrętwiała, więc nie czekał już dłużej - sięgnął ku potylicy pani Genowefy i - nie poruszając pieszczelem - przysunął jej głowę tak, aby usta zetknęły się z kością. Ciało kobiety przebiegł dreszcz. Pani Genowefa wydała z siebie jęk przywodzący na myśl westchnienie rozkoszy i osunęła się na ziemię.

Ludzie pomogli mu ją podnieść. Wspólnymi siłami ułożyli ją na ławce, a Augustyn skropił kobietę wodą święconą. Po chwili odzyskała świadomość. Rozejrzała się zdziwiona i szepnęła:

- To cud, proszę księdza proboszcza, Duch Święty we mnie wszedł i tak palił, tak palił... - Wstała. - Takie ciepło mi rozlał.

- Wszystko dobrze, pani Genowefo? - spytał Augustyn.

- Tak, dobrze, proszę księdza, jaka to jest świętość niepomierzona. Święci Pańscy! Książ jak święty, cuda czyni!

- Spokojnie, pani Gieniu, już nie trzeba teraz. Zemdląła pani, bo emocje były zbyt duże, ale już wszystko w porządku.

- Cud, cud - powtarzała pani Gienia, lejąc dookoła łzami. Już dawno minęło dziesięć minut, jakie zapowiedział Augustyn. Otworzyły się drzwi i wszedł kościelny Wątroba, prowadząc kilka osób. Proboszcz zaklął w duchu.

Tego dnia przyjmował w kościele do wieczora. Po każdej mszy ludzie zamiast się rozchodzić, trwali na miejscach i wkrótce świątynia przestała w ogóle pustoszeć. Było dobrze po dziesiątej, kiedy wyczerpany Augustyn zamknął kościół i wraz z Sebastianem i kościelnym powłókł się na plebanię.

Przez trzy kolejne dni kobiety mdlały Augustynowi niejednym razem. Sama pani Genowefa padała bez czucia na kościelne kafelki cztery razy. Nawet Beatlesi nie mogliby się poszczycić taką liczbą omdleń serwowanych przez tłumy fanek, jaką wierne mieszkanki miasta obdarowały kościół Augustyna. Ustalony rytm życia plebanii przestał istnieć. Tymczasem fama o relikwii zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Objęła najpierw dzielnicę miasta, potem rozszerzyła się na granice powiatu, aż przeniknęła do świadomości regionu.

Wieczorami Augustyn, zmęczony po dniu ciężkiej pracy misyjnej, przysypiał na swojej wersalce. Pogubiony między cyklami mszy i adoracjami relikwii, zgnębiony tłumami oczekujących i pieśniami śpiewanymi ku jego czci, ze skwaszoną miną wsłuchiwał się w bicie dzwonów na dziewiątą. Wiedział, że tam, przed wejściem do jego kościoła, ludzie ciągle są i nie rozejdą się aż do późnej nocy. Nie wychodził już do nich, kładł się i pozwalał odpocząć zmęczonym nogom. Niekiedy wyjmował butelkę martini bianco i zanurzał się we wspomnieniach o Eli, częściej jednak siedział beczynnym z zamkniętymi oczami albo spojrzeniem utkwionym w jakiś punkt ściany lub okna. Starał się nie myśleć o niczym, tylko być towarzyszem mijającego czasu, ale cały ten wysiłek był próżny. Przed oczami stawały mu dziesiątki twarzy szukających religijnego pokrzepienia, ludzi z miasta i ludzi z daleka, klęczących, wpatrzonych w niego z jakimś lękiem w oczach, bojących się podejść bliżej, a co dopiero dotknąć skrawka jego sutanny. Jak mógł najprędzej, odpychał od siebie wspomnienie rozmodlonych wiernych. Próbując oczyścić umysł z tej potworności, jaką stanowił tłum wyznawców, gorliwych bardziej niż wszystkie mohery razem wzięte, poszukiwał w sobie odpowiedzi na pytanie o dobro zawarte we własnych czynach. I nie mógł jej znaleźć. Jako kapłan przez całe życie spełniał swą powinność duchownego z krwawiącym sercem, a sumienie miał pełne żalu za przewiny z lat młodości. Ale to minęło. Nigdy więcej nie zboczył

z raz obranej drogi i obowiązki kapłana spełniał z nadmierną często gorliwością. Jako wyświęcony ksiądz każdego dnia pamiętał, aby uosabiać wzór ludzkiej godności i wewnętrznej siły, wyrzeczenia i wierności wierze - jemu nie wolno było budzić wątplenia w ludzkich duszach, on musiał w samotności poddać się własnemu wyborowi sprzed lat - nawet jeśli dziś ten wybór sprowadzał tylko ból i tęsknotę. Cóż jednak znaczyło jego pogmatwane życie wobec odpowiedzialności, jaką przyjął na siebie, mając dwadzieścia kilka lat? Odpowiedzialności nie za swoją doczesność i relacje z Chrystusem, bo to było sprawą drugorzędną i niemającą znaczenia, ale za wiarę i życie tych ludzi mu oddanych. Teraz, kiedy siedział, odpoczywając, a oni gromadzili się jeszcze przed jego kościołem, pragnął jedynie scalić się z płynącym czasem; jak gdyby w tym bezmyślnym przepływie, naturalnej poezji trwania, mógł odnaleźć prawdę głębszą niż dziwactwa naukowych teorii i banały mistycznych wizji. Kiedy noc rozwijała swe skrzydła, pragnął właśnie tego, bo wszystko inne oznaczało porażającą myśl o życiowej klęsce, którą poniósł jako mężczyzna i kapłan. I zwłaszcza w tych dniach - gdy jego wielkie przedsięwzięcie rozkręcało się jak wprawiony w ruch bąk - świadomość kłamstwa, na którym opierało się dzieło kilkudziesięciu lat jego życia, tego co czynił jako ksiądz i człowiek, stawała się nieznośnie realna.

Niekiedy wstawał z wersalki i gasząc światło, siadał po ciemku za stołem. Podpierał się łokciami o blat i wpatrywał w drzewa za oknem. Kiedy to się zaczęło? - myślał zgarbiony. Właśnie wtedy, gdy przestałem się modlić. To był początek. To był punkt zwrotny. Potem wszystko potoczyło się samo. Czy z nimi też tak będzie? Dwaj młodzi księża - czy wytrwają? Jednym się udaje, innym nie. Panie, czemu ja zostałem stracony? I dlaczego każesz mi mówić ciągle do Ciebie? Mam tyle pytań, na które nigdy nie odpowiedziałeś. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że już nie chcę Cię wzywać, ale nie potrafię przestać. Czemu tak musi być? Boję się. Boję się, że jednak moje wątpliwości są błędem. Boję się, że się mylę. Ale nie mogę nic na to poradzić, Ty wiesz o tym dobrze, i będę musiał żyć w tym lęku, że cały mój akt niewiary jest pomyłką. Największą pomyłką mojego życia. Panie, powiedz mi, dlaczego ciągle muszę do Ciebie mówić? Czemu nie potrafię inaczej? A Ty skrywasz się jedynie za misterną zasłoną świata i nie dajesz nic z Siebie temu, który przez całe życie Cię o to prosi. Czy to Ty odebrałeś mi łaskę, czy ja sam ją odrzuciłem? Nie, przecież sam nie mogłem, prawda? Przecież nie byłbym zdolny odepchnąć ogromu Twojej łaski, więc skoro już jej nie mam, dlaczego mi to zabrałeś? Dlaczego zabrałeś mi wiarę w Ciebie? Moja dusza opustoszała, bo Ciebie w niej nie ma, i choć obrosła wiedzą wieków, mądrościami filozofów, jest odarta z tego, co niegdyś tak pewnie prowadziło mnie przez życie. Dlaczego odebrałeś mi to, co dla księdza jest najważniejsze? Dlaczego skazałeś na dopełnianie obowiązku bez

radości? Czemuś mnie postawił przeciwnikiem Twoim, i stałem się ciężkim sam sobie? Czy tak postępuje miłosierny Pan?

Te wieczory były najcięższe. W dotychczasowym życiu, przed relikwią, umiał zdusić w sobie nędzę samotności. Wahania sumienia, jakie doskwierały mu niemal każdego dnia, starał się topić w lekturze. Krzepił się dziełami Tomasza? Kempis lub św. Teresy z Avila, co nieraz niosło przyływ wewnętrznej siły i gotowości przetrwania najtrudniejszych chwil. Jednak częściej nic nie wychodziło z naśladowania Chrystusa, a cztery stopnie modlitwy okazywały się zbyt wysoką przeszkodą na drodze do ukojenia. Nawet ponowna lektura Wyznań, tak czczonych przez niego w latach młodzieńczych, pogłębiała tylko jego smutek. Nie czuł już tak samo. Czyżbym za grzech młodości miał teraz odpowiedzieć pokutą najszerszą z możliwych - niewiarą? Niewiarą splecioną jakimś przeklętym węzłem z moją posługą dzień po dniu? Niewiarą podsycaną płomieniem wspomnień sprzed lat? Tą koszmarną, nieudolną niewiarą, która nie potrafi zgładzić mojej woli mówienia do Ciebie? A więc tak ma być - wyuczony duchowy sznyt jest silniejszy ode mnie, przyzwyczajenie i norma sterem moich czynów. Panie, nie jestem zdolny przerwać tego monologu, mimo że już nie umiem odpowiedzieć, czy zwracam się do Ciebie, czy tylko do siebie samego. Leżę tu jak na kozetce u psychiatry. Kim się stałeś - słuchaczem moich żalów i trosk? Psychiatra wskazuje drogę, podsuwa radę. A Ty milczysz, więc jak chcesz uleczyć moją duszę, co z Ciebie za diagnosta? A jeśli to już szaleństwo? Ogłupienie? Jaki podszept szatański dyktuje mi te myśli? A więc tak chciałeś mnie wybadać? Diable, zły, podstępny duchu, tak wkradłeś się do mego wnętrza, i jak kiedyś wysysałeś siłę z mego ciała, tak teraz wysysasz ze mnie duszę.

Monolog wielokrotnie urywał się w pół zdania i Augustyn zatapiał się w niemyśleniu. Nie na długo jednak. Zaraz głowę zalewały mu wspomnienia o Eli, młodej, pięknej dziewczynie sprzed dwóch dekad, i dojrzałej, wypielęgowanej zadbanej kobiecie z ostatnich dni. A potem pani Hela wносиła wieczorny posiłek i herbatę.

Kładł się najpóźniej, jak mógł. Zasypiał znękany winą. Niespokojny sen nie przynosił wytchnienia. Budził się znękany obowiązkiem.

A wierni oddawali mu cześć. I znów wychodził ku nim i rozpościerał ręce, i błogosławił, i wpajał. A oni gromadzili się w jego świątyni.

Na efekt medialny nie trzeba było długo czekać. Już na drugi dzień kilka gazet w regionie rozpisało się o niezwykłych wydarzeniach. Jak można się było tego spodziewać, materiał o relikwii skutecznie wypierał doniesienia o peregrynacji świętego chłopca i wielkiej mszy u Korala. W regionalnej telewizji archeolog dr Mariusz Gołosiński powtarzał swoje

poglądy, twierdząc, że kości są nic niewarte, zaznaczał jednak, że ksiądz Augustyn wydał mu się bardzo subtelnym i mądrym kapłanem, i on sam - doktor archeologii - jako głęboko wierzący człowiek i praktykujący od wielu lat katolik, nie może przejść do porządku nad wizją tego proboszcza.

- Co to znaczy? - dopytywała się dziennikarka z mikrofonem, a ludzie przed telewizorami z zapartym tchem czekali na odpowiedź. - Mamy w to uwierzyć?

- Proszę pani, ja jestem naukowcem. Nauka już te szczątki poddała badaniom. Jednak to, co się z nimi dzieje teraz, leży poza naszymi kompetencjami.

- Jak ktoś mówi, że święte, to już nie można badać, aby się przekonać? - nie ustępowała dziennikarka.

- Można, nie sądzę jednak, aby teraz był na to odpowiedni czas. Ja jako archeolog wykonałem swoją pracę. Ksiądz Augustyn wykonuje teraz swoją.

Media podsyciły atmosferę wyjątkowości. Redaktor Kulikowski rozwijał w kolejnym numerze tygodnika „Echo” wątki z pierwszego artykułu. Tym razem bez wsparcia ze strony Augustyna. Przedruki z jego tekstu powędrowały na łamy regionalnych dzienników. W mieście mówiło się tylko o relikwii. Samorządowcy doskonale odgadywali nastroje swoich wyborców. Krystyna Cieślik kazała zwołać w trybie wyjątkowym nadzwyczajną sesję Rady Miasta, aby podjąć uchwałę intencyjną w sprawie budowy kapliczki przykościelnej, upamiętniającej odkrycie. Zdominowana przez nią Rada nie miała wyboru. Płomienne przemówienie dyrektora Rokity nie zdało się na nic.

- Proszę państwa, ja się pytam, co my robimy? - wołał Rokita, a bruzda przecinała mu czoło. - Dlaczego publiczne pieniądze mają zostać, nie zawaham się tego powiedzieć, wyrzucone w błoto? Ja rozmawiałem z przedstawicielami biskupa i wiem, że tam nie ma wcale takiego poparcia, jak się wam wydaje. Co będzie, jeśli Kościół potępi zachowanie księdza Płaczka? Co pani wtedy zrobi, pani burmistrz? Co pani powie mieszkańcom? A dlaczego księdza Augustyna tu nie ma? Czemu nie przyjdzie i tu, na tej sali, nie oświeci nas wszystkich? Gdzie on jest, pytam? Proszę państwa, Kościół na razie milczy, nie ma jasnych deklaracji. Ale co będzie jutro, pojutrze, tego przecież nie wiemy. Proponuję, aby się wstrzymać z decyzją o przeznaczeniu środków z budżetu na budowę tej kapliczki. Nie żyjemy w państwie wyznaniowym, a może się myłę? Może jednak żyjemy? - Radny Rokita odwołał się następnie do ustrojowych zasad demokracji i liberalnych wolności, a skończył na głębokiej wierze w zdrowy rozsądek radnych.

Wiedział, że nie ma szans, bo ugrupowanie burmistrzowej dysponowało ogromną większością, ale rad był przynajmniej z zaznaczenia swojej odrębności. Tylko on, jego kolega

z PO i troje radnych z SLD głosowało przeciw. Burmistrz Cieślikowa była szczęśliwa. Słuchała wypowiedzi radnych, grzebiąc od czasu do czasu w kieszeni kostiumu, gdzie trzymała pudełeczko z połową zęba.

Upłynął tydzień, a wątek relikwii dominował już w większości instytucji samorządowych i opanował posiedzenia zarządów firm, które rozważały włączenie się w sponsoring i możliwość zademonstrowania widocznej reakcji w sferze produkcji. Prezesi i dyrektorzy postanowili nie zwlekać i skorzystać z tak nieoczekiwanej okazji. Uchwała Rady dała im sygnał o poparciu ze strony miasta. Ustawiali więc swoje drogie pojazdy w równych rzędach przed biurkami i - pachnąc świeżością - pędzili do ulubionych sal konferencyjnych, aby radzić. To było poważne - sprawie przyglądały się prasa, telewizja - na razie regionalna, ale można załatwić większe stacje, nawet trzeba to uczynić, niedługo będą tu zjeżdżać z całej Polski. Już należy się przygotować na wyrób ciasteczek w kształcie kości udowej lub żeber albo pójść na całość - zasypać ludzi małymi chrupiącymi szkielecikami, najlepiej z breloczkiem zawierającym wodę święconą. Można skłonić księdza do badań w obrębie kościoła w poszukiwaniu wód podziemnych, może jakieś źródło wytryśnie.

- Proszę państwa, nie ma nic lepszego nad takie źródło - mówił prezes firmy produkującej wodę gazowaną. - Woda z takiego miejsca musi, po prostu musi, być najczystsza i najlepsza. Proszę sobie wyobrazić: relikwia, świętość i nagle źródło, nowe, czyste źródło. To nie musi być zaraz strumyk, wystarczy natknąć się na wodę - zapewniał, a sekretarka szybko notowała jego myśli.

- No, ale, panie prezesie - odezwał się dyrektor produkcji - trzeba by do kościoła iść. Posiedzieć chociaż, żeby on widział. Bez tego się nie obejdzie.

- Tak, no to może pan pójdzie - odparł prezes. - Albo kogoś pošemy, żeby reprezentacja firmy była.

Sekretarka zanotowała propozycję. Dyrektor westchnął tylko.

Miejskie przedsiębiorstwa przeżywały moment zawahania, było jednak jeszcze zbyt wcześnie, aby cokolwiek inwestować. Ostatecznie prezesi postanowili czekać, ale trzymać rękę na pulsie. Dostrzegali jednak fakt, że społeczna przestrzeń miasta jest przepojona sprawą relikwii. Sklepy i markety stały się miejscami sporów i pasjonujących dyskusji. Wierzący przekonywali niewierzących, ateistyczni mądrze zaś przychodzili do Augustynowego kościoła, żeby utwierdzać się w przekonaniu, jak wielkie jest szaleństwo ludzkie. Ale ogromna większość mieszkańców była zachwycona odkryciem i odnajdywała w sobie zaskakujące uczucie przywiązania do znienawidzonego, szarego miasta. Nawet ci, którzy niezbyt szczerze wierzyli i rzadko odwiedzali kościół, odczuwali dziwną dumę z faktu, że to

tu, w ich niewielkim grajdołku, stało się coś ważnego.

Do Augustynowego kościoła ojcowie przyprowadzali niechętnych synów, a matki ciągnęły córki. Młodzieńcy klękali przed szkatułką z kośćmi i udawali, że modlą się o łaskę, dziewczyny modliły się naprawdę, choć nie wiedziały po co. Wystarczyło jednak, aby nagle pojawił się Augustyn i przemówił, a serca młodzieży zaczynały topnieć. Nie wiedzieli, jak to się działo, że wychodząc z domu, raczej śmiali się z relikwii wpajającej wiarę, a teraz wylęknięci czuli, jak coś większego niż oni sami, niż wszystko, co widzieli kiedykolwiek w świecie, chce ich przekonać, że mają przed sobą świętość - i, o dziwo, zaczynali w to wierzyć.

- No, może faktycznie coś mnie tam trochę szczykło - powiedział drugiego dnia trzynastoletni wnuczek pobożnej Felicji Kozłowskiej z rady parafialnej, po tym jak przez pół godziny musiał na klęczkach doświadczać wpajania.

- To dopiero początek - głośno powiedział Augustyn do grupki gimnazjalistów przed stolikiem z relikwią, a wszyscy w kościele wsłuchali się w jego słowa. - Mówicie, że coś was strzyka. To dobrze. Wiara została wpojona. Poczujesz to dziś, za miesiąc, rok lub za dziesięć lat, ale poczujesz na pewno. Masz w sobie łaskę, więc wracaj spokojny. I wy także - zwrócił się do pozostałych, kreśląc znak krzyża w powietrzu.

Kiedy gimnazjaliści opuścili kościół, ich miejsca przy relikwii zajęli inni. Kozłowska podeszła do Augustyna, prosząc o kilka minut uwagi.

- Proszę księdza proboszcza - rzekła z przejęciem - wnuczek mój był przed chwilą i ksiądz mówi, że mu tam wiara weszła. Ale, proszę księdza, jakby on tak jutro przyszedł, pojutrze, to może by mu tej wiary więcej jeszcze weszło, bo on, proszę księdza, taki niedobry, ja go sama chowałam, tyle co mi Gienia Florczakowa pomagała, a on taki teraz się zrobił niedobry, to może, jakby tak przychodził, toby mu więcej weszło.

- Pani wnuczek może przychodzić, kiedy chce, pani Felu - odparł Augustyn. - Wiary nie da się rozczłonkować, podzielić. Łaska jest darem, ale nie na raty, pani Felu. Jeśli weszła, to raz, i więcej już nie wejdzie.

- Ale co on tak gada, że go szczyka, co to jest? Żeby on tu nie bluźnił co.

- Szczyka, szczyka. - Augustyn pokiwał głową. - Wiara u jednych, pani Felu, objawia się wielkim uciskiem w duszy, to najczęstsze doznanie. Ale u niektórych obecność Boża jest na tyle głęboka, że przejawia się w doznaniach cielesnych. W tradycji Kościoła jest wiele pięknych przykładów tego rodzaju obcowania z Bogiem. Jeśli go strzyknęło, to może oznaczać, że zasiana w nim łaska jest naprawdę wielka. Jednak nie od razu może się to ujawnić. Niech przychodzi do kościoła, niech obcuje z kośćmi.

Felicja Kozłowska odeszła, zdawało mu się, że trochę zawiedziona, ale zaraz uklękła z



boku i zaczęła się modlić. Zaniepokoiło ją, że sama żadnego strzyknięcia nie poczuła. Jak to, wnuczek czuje, a przecież ani z niego katolik, co na msze chodzi, ani to pacierza nie zmówi na sen, i go strzyka, a ona taka pobożna, co dzień na mszy i przy parafii niemało robi, a nic ją tam nie zaskrobało, nic nie strzykło. Klęczała więc uparcie, prosząc Pana, żeby ją choć raz coś strzykło wreszcie, i przysunęła się bliżej do stolika ze świętymi kośćmi. Tym bardziej była niezadowolona, że Genowefa Florczak, która czterokrotnie omdlewała i nawet ludzie o niej mówili, że taka na Bożą łaskę wrażliwa, dokładnie opisała jej własne odczucia, jak ten Duch Święty w nią wchodzi i pali, tak cudownie pali. Słyszając takie opowieści z ust bliskiej przyjaciółki, nie mogła pani Felicja znaleźć spokoju. Czemu jej nie palił? Czemu ona nic nie czuła? To wnuczka nawet strzykło, jak przed relikwią klęczał, a jej nic?

Dlatego Felicja Kozłowska przesiadywała w kościele od rana do wieczora. Trzeciego dnia nie zjadła śniadania. Zjawiła się w świątyni o siódmej, zła na siebie, że jest tak spóźniona, i klękawszy, zatopiła się w modlitwie. Po godzinie usiadła na ławce, nieprzerwanie odmawiając różaniec. Minęło południe, a ona ciągle siedziała w kościele. Ludzie przychodzili, adorowali relikwię na klęczkach, wychodzili, na ich miejsce przybywali inni, a pani Fela tkwiła tam, gdzie usiadła, pobożnie prosząc o cielesny znak. Około piętnastej w kościele zjawił się jej wnuczek, zapytał, czemu nie zrobiła obiadu, posiedział trochę, przyklęknął przed relikwią i poszedł. Augustyn próbował wpłynąć na kobietę i odesłać do domu, ale bez rezultatu. Pani Fela uznała, że nie wyjdzie, dopóki nie zazna cielesnego znaku od Pana. Jej cierpliwość została wreszcie nagrodzona. Około dziewiętnastej, kiedy jej twarz przybrała kolor wapna, a głowa z trudem utrzymywała pion, pani Fela, siedząc w ławce pierwszego rzędu, poczuła, jak w dolne partie kręgosłupa wstępuje niesłychany ból. Pojawił się nagle i nie ustępował przez pierwsze minuty. Pani Fela zagryzła wargi, aby powstrzymać jęk, i z całej siły skoncentrowała się na modlitwie, mówiąc sobie, że oto dane jej jest poznać Boży dotyk, więc pod groźbą obrazy świętego majestatu nie wolno teraz z tym walczyć. Kiedy ból zelżał, dokończyła różaniec i pokonując opór zdrętwiałych nóg, podniosła się i powoli wróciła do domu. Choć w nocy ją bolało, była bardzo szczęśliwa.

Po wiarę przychodziło całe miasto, z czasem zaczęli przyjeżdżać ludzie z okolicy. Augustyn odprawiał msze na zmianę z Sebastianem, a między liturgiami uczestniczył w adoracji relikwii, aż pewnego dnia uczuł, że gardło może mu lada moment odmówić posłuszeństwa. Ale nie przerażało go to, ponieważ cieszył się czymś innym: niekiedy kościół był tak pełny, że nawet jedna dodatkowa osoba nie mogłaby się zmieścić. Po wiarę każdego dnia przychodziła pani burmistrz z mężem, zawsze podkreślając, że inni bardziej tego potrzebują. W końcu pojawiła się posłanka Zenobia Ciszewska, ale akurat ona dyskretnie

starala się utrzymywać dystans wobec wydarzeń. Chciała zaznaczyć tylko, że jako osoba głębokiej wiary, katoliczka bez skazy, nie ignoruje tak znaczącego dla miasta faktu. Jednocześnie, znając świat stolicy i dbając o wizerunek rozsądnej, silnej kobiety z przyszłością, unikała jasnego wyrażania swych prawdziwych myśli w obawie przed kompromitującym mianem oszołomki lub dziewicy z ciemnogrodu, jak przed kilku laty na nią wołano.

Pierwszy telefon z kurii, który Augustyn zdecydował się odebrać, miał charakter pojednawczy. Andursz chciał jak najwięcej wiedzieć o relikwii i objawieniu się Dominika Savio i Henryka Kietlicza, i po ojcowsku prosił Augustyna o przyjazd. W drugiej rozmowie, gdy minął już tydzień od objawienia, biskup był chłodny. Poinformował proboszcza, że w najbliższych dniach, na miejscu zjawi się jego wysłannik, by zbadać sprawę, która jemu - Andurszowi - wydaje się podejrzana, i on - Andursz - radzi, aby ksiądz proboszcz głęboko zastanowił się nad tym, co robi, bo prędzej czy później Kościół będzie zmuszony zareagować znacznie radykalniej. Andursz pamięta, że Augustyn, za poparciem prześwieconego księdza dziekana Ambrożego, gorąco prosił o tę parafię, dobrze się w niej sprawował jako wikary i proboszcz, byłoby więc czymś bolesnym i dla niego, i dla Augustyna, gdyby zaszła konieczność przeniesienia go w inne miejsce i przekazania parafii innemu księdzu, może nawet z tego samego miasta.

Augustyn nie miał zupełnej pewności, czy Koral nagabywał biskupa o jego parafię, ale intuicja podpowiadała mu, że to bardzo nieprawdopodobne. Świątynia, nad którą sprawował pieczę, była niekwestionowaną perłą miejskich budowli zabytkowych i sakralnych. Jej renoma nie mogła być podważona. Kiedy mówiono, że coś odbędzie się w głównym kościele, wiadomo było, że chodzi właśnie o ten. Ksiądz Zygmunt mógł mieć chrapkę na bardziej prestiżowy dom Boży, więcej parafian by miał, łatwiej dziekanem by został.

Domysły Augustyna nie odbiegały bardzo daleko od prawdy. Koral chętnie przeniósłby się do sąsiedniej, większej parafii. Kościół był całym jego życiem, prawdziwą rodziną. Od lat czuł się jej pełnoprawnym i ważnym członkiem, oddającym swe największe zdolności dla jej najważniejszego dobra - pomnażania chwały i powagi kapłańskiego stanu w laicyzującym się bezbożnym świecie. Dlatego będąc świadkiem degrengolady Augustyna, uważał, że jego obowiązkiem jest podjęcie jakichś kroków i był przekonany o uzdrawiającej roli, jaką przyjdzie mu odegrać. W zamian za to kapłańska rodzina obsypie go zasłużoną nagrodą.

Kiedy jechał na uroczystość peregrynacji świętego chłopca z udziałem biskupa

Andursza, na której miał być także sam arcybiskup Mieczysław Głuchota - wielki chrześcijański intelektualista - rozmyślał nad tym, jak przysłużyłby się Kościołowi, przejmując obowiązki Augustyna. Przecież to jasne, że był lepszym księdzem. Trzymał się kapłańskiej tradycji i nigdy nie pozwoliłby młodemu wikarym golić głów na zero. Poza winem mszalnym nie skosztował w życiu ani kropli alkoholu. Dbał o rozświetlenie parafii w mieście i poza nim, a na każdej spowiedzi wysłuchiwał z uwagą wynurzeń swoich wiernych i zawsze zalecał pokutę odpowiednią do grzechu. Chciał być wobec ludzi otwarty i sympatyczny, wiedział wszakże, że nie wolno mu przekroczyć nieuchwytej granicy zażyłości, co groziłoby mu ośmieszeniem. Nigdy nie padły na niego żadne podejrzenia o niemoralne zachowanie, wręcz odwrotnie - wierzono, że jest księdzem szczerym i godnym szacunku. Koral wierzył w to równie głęboko jak jego parafianie. Czyż nie pokazał, że parafie pod jego zarządem kwitną bogactwem, że gromadzą więcej wiernych, a on jako ich proboszcz potrafi pozyskiwać wsparcie od ważnych osób? Pokazał, no więc...?

Msza poświęcona świętemu chłopcu ciągnęła się aż do dziewiątej wieczorem. Koral nie dość że nic nie jadł, to miał na nogach cienkie pantofle, przez które przenikał chłód posadzki, a to mogło oznaczać tylko jedno - zwiększone parcie moczu, więc proboszcz Zygmunt modlił się w duszy o jak najszybsze zakończenie ceremonii. W oszłamiającej przepychem katedrze zebrały się tysiące wiernych, kilkunastu proboszczów i dziekanów, zakonnicy z pobliskich klasztorów i parę dziesiątków wikariuszy parafialnych. Kiedy uroczystość dobiegła końca, uszczęśliwiony Koral natychmiast wybiegł do kurii, gdzie odnalazłszy ubikację, z ulgą oddał mocz. Na szczęście nie spóźnił się na wspólną kolację. Od paru godzin burczało mu w brzuchu, więc natychmiast zabrał się do jedzenia. Poczęstunek przeciągnął się do niemal dwóch godzin, aż wreszcie, około dziesiątej wieczorem, kapłani zaczęli się rozchodzić. Andursz podszedł do Korala i poprosił, aby ten poczekał przed jego kancelarią. Ksiądz Zygmunt odetchnął, bo już zaczynał tracić nadzieję, że biskup pamięta o audiencji, jaką mu obiecał kilka dni temu. Odczekał więc kolejne kilkadziesiąt minut bez zniecierpliwienia, a kiedy go poproszono, martwił się tylko, czy jego pęcherz wytrzyma.

- I cóż tam, proszę księdza? - spytał Andursz, kiedy już się upewnił, że Koral wygodnie siedzi i nie jest zmęczony. - A więc, jak ksiądz mówił przez telefon, ksiądz Płaczek tę relikwię, czy jak to tam nazywa, pokazał?

- Tak, ekscelencjo, zrobił właściwie szopkę dla wiernych, zadbał o dramaturgię, że się tak wyrażę.

- Co ksiądz ma na myśli? Ten wypadek? - Andursz zdjął z nosa okulary. Jego twarz wydała się Koralowi jeszcze bardziej koścista. Biskup w ostatnich latach bardzo schudł.

Przebąkiwano, że trawi go śmiertelna choroba, ale sam duchowny nigdy nie wypowiadał się o stanie swego zdrowia. A jednak nie był już tak mobilny jak dawniej. Częściej wysyłał swoich przedstawicieli, niż sam odwiedzał zakątki biskupstwa. Dla Korala wszystko to razem stanowiło jednoznaczny sygnał: Andursz może długo nie pociągnąć.

- Ja nie wiem, ekscelencjo, ale to bardzo podejrzenie wyglądało.
- Co ksiądz chce powiedzieć?

Ksiądz Zygmunt uświadomił sobie, że albo teraz powie jasno, co i jak, albo nie powie tego nigdy.

- Wypadki się zdarzają, to zupełnie jasne - zaczął - a mając na uwadze gorliwość parafian w naszym mieście, można przypuszczać, że mężczyzna padł na ten stolik i połamał szczękę, bo tak mu było tęskno do tego, co wziął w swej naiwności za święte. Bo ci ludzie naprawdę są bardzo oddani, ekscelencjo. Ale z drugiej strony, proszę pamiętać, jak oni, a przynajmniej niektórzy, zapatrzeni są w Augustyna i do czego mogą być w związku z tym zdolni, jeśli ich poprosi lub coś zasugeruje. On jest jak ikona, żywy...

- Chce ksiądz powiedzieć - przerwał mu brutalnie Andursz - że ten człowiek świadomie złamał sobie szczękę, żeby udratyzować mszę?

- Raczej spektakl, ekscelencjo. Nie wiem, brzmi to dość niewiarygodnie, ale proboszcz ma wielki wpływ na wiernych. Nie można wykluczyć takiej możliwości, choć osobiście chciałbym, aby było inaczej.

Biskup znowu nałożył okulary na nos i chrząknął cicho. Na jego twarzy wykwitł rumieniec, a kąciki ust uniosły się lekko, lecz Koral nie miał pewności, czy był to zwykły grymas, niemający nic wspólnego z jego ostatnimi słowami, czy też miał być to uśmiech wyrażający ironię bądź drwinę.

- Tak - rzekł biskup. - To brzmi naprawdę niewiarygodnie

- Rozparł się w fotelu, sięgnął po słuchawkę i w chwilę później do gabinetu wszedł młody ksiądz. - Proszę poprosić księdza Wilczyńskiego - powiedział biskup i zwrócił się do Korala:

- Wiem, pamiętam, że ksiądz proboszcz jest bardzo stały w swoich postanowieniach. Bardzo mi to na rękę. A jak to wygląda w mieście, jak ludzie reagują?

- Bardzo żarliwie. - Koral nabrał tchu. - Są podekscytowani, pełni zapału, sam muszę przyznać, dawno nie obserwowałem takiego napływu wiernych do kościoła. Ludzie są szczęśliwi, można powiedzieć, że rozpiera ich jakaś duma. Hołubią proboszcza, jakby był świętym. Tylko, ekscelencjo, za tym nie stoi prawda, ale bluźnierstwo. Kto to widział, żeby ksiądz opowiadał takie rzeczy?! Kości, co wpajają wiarę?! Nie dość, że to głupie,

przepraszam ekszelencję za wyrażenie, to zupełnie odstaje od prawd naszej wiary, a nawet stoi z nimi w rażącej sprzeczności. Już to jest dowodem, jak bardzo złądził nasz brat w wierze.

Biskup Andursz uniósł rękę i Koral przerwał swój monolog. Stary hierarcha przypatrywał się księdzu Zygmunтови, który spuścił wzrok. Poczł się jak dziecko, niepanujące nad tym, co mówi. Ale wiedział też, że na Andursza można wpłynąć tylko prawdziwą pasją i wiarą we własne słowa.

- Ksiądz niepotrzebnie się unosi - powiedział biskup.

- Proszę zostawić odpowiednim osobom ocenę tych wydarzeń. Informacje księdza są dla mnie bardzo ważne i doceniam je wszystkie. Widzę, że ksiądz jest duchownym dążącym do kapłańskiego ideału i z trudem znosi zamachy na prawdę Bożą. Ja to rozumiem, lecz niech ksiądz pamięta, że równie istotna jest jedność Kościoła i jego nieskazitelny wizerunek. Za dużo było w naszej historii schizm, podziałów i niepotrzebnej rywalizacji. Teraz walczymy o jedność braci w wierze. Ksiądz

Augustyn jest jednym z nas. Jeśli pobłądził, nie możemy go tak zostawić. I nie zostawimy, nawet jeśli się okaże, że będzie musiał opuścić swoją parafię.

- Rozumiem to wszystko, ekszelencjo - powiedział proboszcz Zygmunt.

- A na jego miejsce będziemy potrzebować kogoś przedsiębiorczego, z autorytetem wśród parafian.

- Oczywiście, rozumiem, ekszelencjo.

- Właśnie zależy mi, aby ksiądz proboszcz dobrze to rozumiał - rzekł Andursz.

Drzwi się otworzyły i wszedł wysoki i szczupły ksiądz. Na oko wyglądał na pięćdziesiąt lat, choć w rzeczywistości przekroczył sześćdziesiątkę. Ukłonił się i zbliżył do biurka. Posiwiął czuprynę nadal miał gęstą, a spod krzaczastych brwi wzyerało spojrzenie zimne i przenikliwe. Takim właśnie spojrzeniem objął proboszcza Korala i na sekundę zeszywniał, a księdzu Zygmunтови wydało się, że został właśnie pozbawiony odzienia. Nowo przybyły odwrócił wzrok od proboszcza i popatrzył na biskupa.

- Drogi księżę proboszczu - powiedział Andursz, wstając - pragnę przedstawić księdzu osobę, która jest lekarstwem na nasze bolączki i z pewnością pomoże nam się uporać z tym szczególnym przypadkiem. Oto ksiądz Waclaw Wilczyński, wielce zasłużona dla naszego Kościoła postać. Świetny teolog mistyczny i niezrównany mariolog, w swojej karierze miał już do czynienia z fałszywymi objawieniami. Dość powiedzieć, że w sprawie heretyckich objawień w Oławie napisał bardzo uczoną rozprawę, i to w początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy już od kilku lat przebywał w Rzymie i nie miał bezpośredniej styczności z krajem.

- Ależ oczywiście, słyszałem o księdzu Wilczyńskim. Doprawdy, działalność księdza dla wielu duchownych jest przykładem największej staranności i kapłańskiej poprawności. Byłoby dla Kościoła szczęśliwym zrządzeniem, gdyby wszyscy mogli znać dokonania tak znamienitej osobistości, aby w swej codziennej posłudze móc w trudnych chwilach przywoływać szereg wielkich czynów i sukcesów wcielonych w sławną postać księdza - Koral wygłosił tę mowę z entuzjazmem mającym znamionować szczerą i dobrą chęć.

Efekt był taki, że Andursz spojrział na Wilczyńskiego, a Wilczyński na Andursza, i zrozumieli bez słów. Ksiądz Zygmunt był człowiekiem spostrzegawczym. Natychmiast zauważył, że górnolotnym tonem wzbudził zamiast uznania i wdzięczności jedynie politowanie. Zrozumiał, że przesadził. Cholera - pomyślał, czując, jak pot zalewa mu pachy, a pęcherz domaga się opróżnienia - za bardzo osiadłem na tej prowincji. Nie mam już zmysłu dyplomatycznego.

Co do tego proboszcz Zygmunt miał zupełną rację. Wprawdzie nazwisko Wacława Wilczyńskiego było znane w pewnych kręgach kapłańskich, jednak żadną miarą nie mogło uchodzić za sławne, czyny zaś, o których Koral z takim respektem mówił, bynajmniej nie były wielkie - ot, parę publikacji tu i ówdzie, parę egzorcyzmów w dawnych latach.

- Dziękuję za te piękne słowa - rzekł bez uśmiechu ksiądz Wacław. - To oczywiście pewna przesada, aczkolwiek miło słyszeć, że nasza posługa i małe zwycięstwa znajdują uznanie wśród innych kapłanów.

Andursz poprosił księdza Wilczyńskiego, aby usiadł, i pokrótce wyłożył Koralowi, o co chodzi:

- Ksiądz Wacław za kilka dni przyjedzie do waszego miasta, aby na miejscu zapoznać się ze zjawiskiem, z jakim mamy do czynienia. Ingerencję Kościoła pragnęlibyśmy, przynajmniej na tym etapie, uchronić od niepotrzebnego rozgłosu, dlatego ksiądz przyjedzie sam. Zależy nam na tym, aby ksiądz proboszcz zechciał przygotować zakwaterowanie dla księdza Wacława. Z oczywistych powodów nie powinien on, naszym zdaniem, szukać schronienia u proboszcza Płaczka. To byłoby niewłaściwe. Proszę księdza, czy to będzie możliwe?

Koral przemyślał za i przeciw, jeszcze zanim biskup zadał pytanie. Tak, to mogło przynieść pożytek, choć na tego Wilczyńskiego trzeba będzie uważać, bo jeszcze zamiast przyjrzeć się Augustynowi, zacznie przyglądać się jemu.

- Ależ, ekscelencjo - powiedział, składając ręce na piersi - udzielić wsparcia tak szlachetnemu kapłanowi, a na dodatek w tak ważnej dla nas wszystkich sprawie, będzie dla mnie tylko i wyłącznie zaszczytem.

- Nie wątpię, że ksiądz proboszcz nam pomoże, ale aby formalności stało się zadość, pozwoliłem sobie księdza o to spytać. - Biskup uśmiechnął się i złożył ręce. - No to najważniejsze mamy załatwione. A teraz do rzeczy. Ksiądz Waław z bliska oceni rozmiary zjawiska. Będzie musiał, to oczywiste, rozmówić się z proboszczem Augustynem, aby wyrobić sobie jasny pogląd na to, co się dzieje, i później powziąć słuszną decyzję co do dalszych kroków Kościoła. Opinia księdza Waława będzie mieć dla mnie, a także arcybiskupa Głuchoty, znaczenie pierwszorzędne i na jej podstawie wydamy werdykt co do koniecznych działań. Jeżeli natomiast sprawa oprze się o episkopat i będziemy musieli podjąć kroki w samej Warszawie, to, co będzie miał do powiedzenia ksiądz Waław, może mieć podstawowe znaczenie. Pragnę więc szczególnie uczulić księdza proboszcza, aby służył mu wszelką pomocą, jakiej tylko zażąda.

- O ile tylko okażę się pomocny, będę służył księdzu w miarę możliwości najlepiej - zapewnił proboszcz Koral.

- Bardzo się cieszę - ciągnął biskup. - Rozmawiałem telefonicznie z księdzem Płaczkiem i zgadzam się, że jego postawa jest niepokojąca. Bardzo się boję, że się zatraci. Chciałbym, abyśmy zgadzali się co do jednego: opowieści księdza Augustyna o relikwii i objawieniu Dominika Savio i Henryka Kietlicza są prawdopodobnie najzwyczajszą bujdą. Misja księdza Waława skutecznie te domysły potwierdzi. Nie będzie to zresztą trudne z uwagi na niezgodność jego przesłania z doktryną. Zresztą, mam wrażenie, że o żadnym przesłaniu mowy w tym przypadku nie ma. To pierwszy z celów księdza. Drugi ma polegać na tym, co uważamy za równie ważne, mianowicie na uratowaniu księdza Augustyna dla Kościoła. Ja wierzę, że to jest możliwe. O ile mi wiadomo, ksiądz Waław już w tym mieście pełnił posługę, prawda, proszę księdza?

- Tak, ekscelencja się nie myli. Ale to było bardzo dawno, ponad trzydzieści lat temu. Byłem tam wikariuszem dosyć długo, bo przez kilka lat. Wyjechałem jednak i nie miałem więcej kontaktu z tym miasteczkiem - odparł sucho Waław.

- Ksiądz Płaczek urodził się tam, powinien ksiądz o tym wiedzieć. Zresztą, przed wyjazdem otrzyma ksiądz wszystkie niezbędne informacje na jego temat. Kazałem wszystko przygotować. Jeszcze jedno: dzisiaj sekretarz doniósł mi, że napisał do nas przez Internet wikariusz z tamtejszej parafii. Ksiądz Sebastian... zapomniałem nazwiska. - Biskup podrapał się w brodę.

- Zapewne chodzi o wikarego Sebastiana Kowalczyka - wtrącił Koral.

- A, dziękuję, tak, teraz sobie przypomniałem. Otóż ten wikariusz, niech mnie księża dobrze słuchają, pisze, że jest bardzo zaniepokojony wydarzeniami w jego parafii i

zachowaniem księdza Augustyna. Młody wikary zdaje sobie sprawę, że donoszenie na przełożonego jest rzeczą godną największego potępienia, lecz w obawie o dobro parafian i Kościoła nie może milczeć i pragnie zwrócić uwagę kurii na to, co tam się dzieje. - Biskup przerwał i popatrzył na obu księży.

- To cenna informacja - odezwał się ksiądz Waław.

- Skoro młody człowiek tam jest i już się niepokoi, będzie to argumentem na rzecz udowodnienia księdzu Augustynowi demoralizacji młodego pokolenia kapłanów. No i jest to cenne źródło informacji, poza oczywiście, naszym szanownym proboszczem Koralem. - Ksiądz Wilczyński skłonił się w stronę księdza Zygmunta, który przyjął ten gest z kwaśną miną.

- Nie ma potrzeby, aby zaczynać tak ostro, drogi księżu - łagodnie powiedział Andursz. - Nie chciałbym księdza Augustyna karać w okrutny sposób. Proszę mi wierzyć, mam dla niego wiele sympatii i pamiętam go z jak najlepszej strony. Po środki naprawdę radykalne proponowałbym sięgnąć dopiero w ostateczności. Wiem, że ksiądz Waław dysponuje wyśmienitym wyczuciem w tych sprawach, więc moje sugestie proszę traktować jako materiał pomocniczy. Szerzej porozmawiamy o tym jutro.

- Oczywiście, ekscelencjo. - Ksiądz Waław skłonił głowę.

- Księżu proboszczu - powiedział biskup - proszę przed przyjazdem księdza Waława nie zdradzać się, że ksiądz o tym wie. Oczywiście, proboszcz Płaczek zdaje sobie sprawę, że zareagujemy, jednak dla ułatwienia późniejszej pracy księdza Wilczyńskiego lepiej zbyt wcześnie nie niepokoić proboszcza.

Koral wychodził z gabinetu biskupa Andursza pełen nadziei. Jego dobre samopoczucie nie trwało jednak długo. Za ledwie dotarł do samochodu, już zaczęły dręczyć go obawy. Nie spodobał mu się ten cały Waław, który miał na dodatek węszyć na jego terenie. Chciał tylko, żeby wszystko potoczyło się jak najszybciej, żeby obcy element nie zagnieździł się u niego na zbyt długo. Licho nie śpi - myślał. Taki osobnik, z doświadczeniem z Rzymu, to nie jest ktoś, kogo skromny proboszcz wymarzyłby sobie na kompana.

Kiedy dotarł do miasta, było już grubo po północy. Przejeżdżając obok kościoła z relikwią, zwolnił i skręcił w boczną uliczkę. Okrążała ona bryłę świątyni i rozwidlała się na drugim jej końcu. Zatrzymał się tuż przed rozjazdem. Po lewej stronie miał okna plebanii. Spojrzał na drugie z prawej, na drugim piętrze, gdzie ciągle paliło się światło. Augustyn nie spał. Koral przez kilka minut wpatrywał się w świecąco pomarańczowo szybę, a potem wrzucił jedynekę i wolno odjechał.



## Rozdział 8 - Ela

Wiedziała, że przychodząc do niego, sprawi mu przyjemność. Nie wiedziała natomiast, że przyjemność ta może kosztować go nieprzespane godziny i zgryzotę podobną nocom z przeszłości, gdy spędzał na czuwaniu długie godziny aż po rano.

Za jaśniejącym na pomarańczowo oknem, które obserwował wracający z kurii ksiądz Zygmunt, siedzieli naprzeciw siebie i sączyli martini bianco. Augustyn, ubrany w sutannę, zajmował krzesło przy stole, Ela zaś, w dżinsach i zielonym polarze, ulokowała się z podwiniętymi nogami na wersalce. Kiedy dzisiejszego ranka otrzymała esemesa, nie wahała się i w kilka godzin później zaproponowała spotkanie. Augustyn odpisał po kilku minutach: Nie robmy ceregieli. Po prostu przyjdź. Po ostatnim nabożeństwie. O pania Hele się nie martw. Rysiek.

Zbliżała się jedenasta, kiedy Ela znalazła się w jego pokoju. Uderzył ją zapach podłej kawy, taki sam, jaki wcześniej zauważył Janusz. Augustyn zabrał jej kurtkę i powiesił w szafie. Niemal ślaniał się na nogach i Ela od razu to zauważyła.

- Może jednak wolałbyś odpocząć? - spytała.

- Nie - odparł Augustyn. - Aż tak źle ze mną nie jest. W końcu siedzę tu już prawie pół godziny i czekam na ciebie. Odpocząłem tyle, ile trzeba.

- Ludzie ciągle stoją przed kościołem. - Ela zbliżyła się do okna.

- Wczoraj też stali długo. Jutro też będą stali. I pojutrze. Przez pierwszą godzinę rozmowa się nie kleiła, nie przypominali starych znajomych, którzy mają do wspominania wspólne przeżycia sprzed wielu lat, ani tym bardziej dwojga kochanków, pamiętających chwile ekstazy.

Tuż przed północą, przy drugim kieliszku wina, Augustyn sięgnął po kopertę przyniesioną przez Jakubka. Leżała na wierzchu małego stosiku innych identycznych kopert.

- Zobacz - powiedział - to już czwarty. Teraz przysyła co dwa, trzy tygodnie. Wtedy już wie, że na pewno nie będzie odpowiedzi, i pisze następny.

Ela spojrzała na duże, czarne litery na szarym papierze.

- Pismo ma bardzo ładne. Kunsztowne, można powiedzieć. Dlaczego jej nie odpowiadasz? - spytała, sięgając po kopertę.

- Dlaczego? - zamyślił się, jakby to był niezwykle złożony problem, i po chwili powiedział: - Nie widzę takiej potrzeby. Przez wszystkie te lata wolała się ode mnie odwracać, więc może lepiej, żeby tak zostało.

Ela odłożyła kopertę na stół i wzięła kieliszek z winem. Augustyn odczytał na jej twarzy wyraz niedowierzania: nieco ściągnięty lewy kącik ust i wzrok skierowany ku podłodze, głowa pochylona na prawą stronę.

- Rysiek, no wiesz, ale przecież Jezus chyba kazał wybaczać? - Ela chciała być zabawna, zamierzała wypowiedzieć te słowa tonem figlarnym, ale w oczach Augustyna wypadło to zupełnie nieszczercze. Mimo to kontynuowała: - To w końcu twoja matka. To chyba nie po chrześcijańsku raczej, nie? Nie możesz być taki zacięty.

- Nie jestem. Przeczytałem dwa pierwsze listy. - Podszedł i zabrał kopertę, a następnie położył ją na stosiku. - W każdym z nich byłem zmieszany z błotem. Mogę ci pokazać, ale właściwie po co. Moja matka nadal potrafi nazywać mnie Judaszem. Pamiętasz? Pamiętasz, prawda? Dziś ma pomieszane w głowie, zupełnie zresztą jak ja. Nie warto o tym rozmawiać, pomówmy o czymś innym.

Ele jednak bardzo zainteresowały listy matki Augustyna i czując, jak wino rozgrzewa jej ciało, uparcie drążyła dalej:

- To może być tylko taka forma, a może tak naprawdę ona chce się z tobą pogodzić.

- Inwektywy to dość dziwna forma zbliżenia - sarknął Augustyn. - Nie chce mi się czytać jej kolejnych wypocin. Dla niej jestem zdrajcą najprzenajświętszego sakramentu. Sprzeniewierzyłem się swojemu powołaniu i dowiodłem, że nie jestem godzien, aby nie tyle być tym, kim jestem, ile aby być jej świątobliwym synem. Uwierz mi, Elu, nie ma to dla mnie już takiego znaczenia jak dawniej. Może to i lepiej, bo jak chcesz podążać za Bogiem, to lepiej zerwać rodzinne więzy. Gdyby potraktować słowa Jezusa dosłownie, miałbym idealny pretekst.

- A ja uważam, że ona cię kocha, kocha jak matka, i tyle. Przeczytaj pozostałe listy, nie mogę pojąć, dlaczego tego jeszcze nie zrobiłeś.

- Mówiłem. Teraz, dzisiaj, to już nic dla mnie nie znaczy.

- Augustyn wykonał gest, jakby coś ucinął. - W ogóle wszystko jest mi obojętne. Osiągnąłem spokój ducha, jakiego nigdy wcześniej nie znałem. Może właśnie o to chodzi w życiu. O spokój. Dlaczego miałbym go burzyć na korzyść czegoś tak niepewnego jak ocena mojej matki?

- Ze względu na nią. Ona jest nieszczęśliwa, inaczej nie pisałaby tych listów.

- Ja też jestem nieszczęśliwy, wszystko prawie w moim życiu to nieszczęście. Ty o tym chyba wiesz, prawda?

- Nie, nie wiem.

- No jak to...?

Ela wpatrzyła się w oczy Augustyna z tak ogromną czułością, z taką niezwykle delikatnością, że rozculił się jak na seansie melodramatu. Uczuł płynący od niej ładunek dobroci, ogromny, tęskny zew uczucia, będącego jednak nie miłością, ale głębokim zrozumieniem tego, że cudze troski bołą nie mniej niż jej własne. Ujrzał w niej piękno, za którym kiedyś, nie zważając na przyrzeczenie złożone Bogu, podążał w nieświadomości tego, co może lub co musi się wydarzyć. I oto ona tu jest, po tylu latach, w tym pokoju, siedzi naprzeciw. Alkohol wzburzył w nim krew. Zrobiło mu się gorąco, a wzrok Eli, bezpośredni i odważny, dokładnie taki jak dawniej, sprawił, że wybuchła w nim gwałtowna tęsknota za minionym szczęściem. Ciepło w pokoju stało się już nie do zniesienia. Augustyn specjalnie kazał nagrzać przed wizytą Eli i pani Hela łypała podejrzliwie, ale nie przejmował się tym. Może było warto, może właśnie było warto.

Nie odwracając spojrzenia od jej oczu, upił łyk wina i zaczął rozpinać sutannę. Guzik po guziku, zdecydowanie odsłaniał białą koszulkę pod spodem, brązowy pasek i niebieskie dżinsy. Zanim dotarł do końca, jeszcze raz napił się wina.

Ela przyglądała się temu bez szczególnej reakcji. Gdy Augustyn zmagął się z ósmym guzikiem, taktownie przeniosła wzrok na stertę listów od jego matki. Wszystkie koperty tworzyły równy stos. Wyobraziła sobie tę kobietę, starą, samotną, w rodzinnym domu, gdzie nikt już nie zagląda; i tylko ona tam siedzi dzień po nocy, niemogąca chodzić dalej niż kilkaset metrów. Raz dziennie zagląda do niej ktoś z opieki społecznej, ale nigdy nie robi tego jej własny syn, ukochany przez wiernych kapłan. Pozostały jej tylko te listy wysyłane co parę tygodni, których on nawet nie chce już czytać.

Ela zawsze się wzruszała, kiedy w czymś życiu, choćby przez krótki czas, ważną rolę odgrywały listy; jeśli kreślone pewną ręką, szybko i bez poprawek wyrażały myśl domagającą się odpowiedzi lub wyczelowane w każdym zdaniu narzucały potok uczuć - przyprawiało to ją o wielkie podniecenie. List tak wiele mówił o tym, kto go napisał. Najpierw należało dokładnie obejrzeć kopertę. Najczęściej ludzie nie zwracają na to uwagi, ale jeśli koperta jest nieszablonowa, a na dodatek zawiera jeszcze rysunki, jest kolorowa, ma rzadko spotykany format, wtedy wiadomo, że wypada - jeszcze przed rozpoczęciem czytania, przed samym rozdarciem papieru - podjąć pierwsze analityczne kroki. Koperta to zamknięte drzwi do wnętrza zagadki. Trzymanie w rękach nieotwartego listu to delektowanie się tajemnicą. Ela nie musiała jej poznawać natychmiast, mogła poczekać. O ileż łatwiejsze i mniej ekscytujące było bezmyślne rozdarcie koperty, nerwowe wyciągnięcie kartek i odczytanie w błyskawicznym tempie. To odbieranie sobie samemu wielkiej przyjemności. Ela nigdy nie wiedziała, jak długo będzie w stanie wytrzymać. Ile czasu upłynie, zanim wreszcie otworzy

list? Czy warto dłużej czekać?

Po dokładnym obejrzeniu koperty należało - zdaniem Eli - trzymać ją w rękach i badać dotykiem zawartość skrytą za cieniutką warstwą papieru. Można było przekładać ją z ręki do ręki, ważyć, gładzić, uciskać w różnych miejscach, sprawdzać umieszczenie znaczka, zaklejenie skrzydełek. Później można było ocenić umiejscowienie adresu, jego odległość od brzegów koperty, przekonać się, czy autor umieścił litery wysoko lub nisko. Wypadało poszukać odcisków palców, zbadać zapach i określić położenie listu we wnętrzu koperty: czy jest złożony w sposób odpowiadający jej formatowi, czy między jego brzegami a brzegami koperty znajduje się pusta przestrzeń. Dobrze było ją potem odłożyć i z odległości kilku metrów przyjrzeć się jej - jak leży na środku stołu, biała, szara lub kolorowa.

Kiedy w końcu bliskość koperty wydawała się Eli wystarczająca, podchodziła i, wiedząc, że teraz dopiero stanie przed prawdą, która opuści bezpieczne wnętrze, rozcinała delikatnie jeden brzeg.

List ukazywał się wreszcie. Przed czytaniem wypadało dokładnie przyjrzeć się sposobowi złożenia papieru i jego rodzajowi. Dopiero później, na samym końcu, należało przejść do uważnej lektury. Pierwszej, a po pewnym czasie kolejnej. Kiedy po kilkukrotnym czytaniu pełnia treści docierała do Eli, chowała list z powrotem do koperty i odkładała na pusty stół. Niekiedy zostawiała ją w tym miejscu na długie godziny, nawet do następnego dnia, by znów - o ile list rzeczywiście był tego wart - odczytać go jeszcze raz.

Od dzieciństwa była zakochana we wszelkich listach, liścikach, zaproszeniach pisanych odręcznie lub na maszynie, nawet naskrobanych na lekcji uwagach koleżanki. Kochała się w tajemniczych, złożonych na czworo niewielkich kawałkach papieru, które z uśmiechem i pobladłą twarzą przekazywała jej Gośka Burda w czasie długiej przerwy. Uwielbiała szybko odpisywać, zasłaniając ręką kartkę, jakby zewsząd zagrażało jej wielkie niebezpieczeństwo, a utrzymanie tajemnicy było najwyższą wartością. Kilka naprędce skleconych zdań i Gośka Burda odchodziła z pochyloną głową, by jak najszybciej przekazać odpowiedź.

W późnych klasach podstawówki, kiedy zauważyła, że kolega z piaskownicy, mieszkający nieopodal domu jej rodziców, wyrosnięty, dorodny Andrzej Młynarski, zaczyna jej okazywać coraz żywsze zainteresowanie, podśmiewała się niekiedy do niego, aż wreszcie, już pod koniec siódmej klasy, poprosiła Gośkę, aby przekazała mu krótki list i upoważniła do odpowiedzi. Tak zaczęła się jej przygoda z chłopakiem, który miał wprawdzie kłopoty z romantycznym formułowaniem myśli i popełniał katastrofalne mnóstwo błędów, ale ta właśnie nieporadność w powiązaniu z jego ochotą do korespondencji dodawała mu uroku.

Należy do tego dodać zachwyty, w jaki wprawiła Elę skromnie wyrażona prośba, aby zaczęła go uczyć zasad poprawnej pisowni, bo nauczycielki niczego nauczyć nie potrafią. Zaimponowała jej bezpośredniość tego - nieco wstydliwego, wydawałoby się - życzenia, jakie Andrzej Młynarski przekazał jej na kawałku kartki wydartej z sześćdziesięciokartkowego zeszytu w kratkę.

Tak zaczęły się ich pierwsze spotkania, które Ela przerwała stanowczo na pół roku przed egzaminami do liceum, tłumacząc się nauką. Ale już w wakacje wszystko wróciło do normy. Spotykali się w parkach, przesiadywali długo w budynku Zasadniczej Szkoły Zawodowej, gdzie pobierał nauki Andrzej Młynarski. Czasem zapraszała go do domu, ale starała się robić to jak najrzadziej, ponieważ ojciec, który znał chyba wszystkich ludzi w mieście, delikatnie odradzał jej tę znajomość.

- Tylko dlatego jeszcze na to pozwalam, że jego ojciec, choć pijak i głupek, należy do partii i jest dobrym komunistą. Ale synalek, może nie tak głupi, też mi się nie podoba. Zrozum, Elciu, to nie jest chłopak odpowiedni dla ciebie. To prostak. Tym razem daję ci jednak, wyjątkowo, wolną rękę, gdyż jestem przekonany, że to tylko kwestia czasu i zrozumiesz, o co mi chodzi - mówił.

Władysław Krochmal był sumiennym pracownikiem terenowego oddziału SB, i chociaż nie zajmował w nim wysokiego stanowiska, znał wszystkich ważnych ludzi i mógł zawsze liczyć na wsparcie partyjnych kolegów. Działał dobrze, wiedział, kto kogo informuje, kto jest słaby, a kto silny, komu trzeba się przyjrzeć, a kogo na razie zostawić w spokoju. Znał stenogramy przesłuchań i czytał zeznania niejednego TW. Pracował poza miastem, ale i tak wiedział wszystko o zakładach pracy i wywrotowcach nawołujących do strajków. Wiedział wszystko o całej okolicy. I, oczywiście, dowiedział się wszystkiego o Andrzeju Młynarskim. Ojciec - kombatant, walczył w Batalionach Chłopskich, został ranny podczas szturmów na Wale Pomorskim i stracił trzy palce lewej ręki. Po wojnie ustatkował się, ożenił, wstąpił do PZPR i podjął pracę w miejscowej ubojni. Ktoś próbował go wciągnąć do aparatu, ale zupełnie się nie nadawał - był typem niewyobrażalnie wolno myślącym, po prostu głupcem. On jednak czuł się szczęśliwy, bo pracę w ubojni traktował z pełną powagą. Kiedy urodził mu się syn Andrzej, ubił największego byka, jaki tylko się znalazł, przy czym zastosował tradycyjną metodę ogłuszania młotem, by w chwilę później jednym cięciem rozciąć zwierzęciu tchawicę. Andrzej od najmłodszych lat przypatrywał się jego pracy i swą pierwszą krowę ubił, jeszcze zanim skończył dwanaście lat. Koledzy ojca przymknęli na to oko. Ot, fajna zabawa, chłopak pokazał, że twardy jest.

Włodzimierz Krochmal wiedział o tym wszystkim. Młody Młynarski w jego opinii nie

przedstawiał sobą niczego interesującego. Po krótkiej rozmowie przekonał się, że ma przed sobą człowieka bez przyszłości. Może nie tak głupiego jak stary Młynarski, inteligencja jednak czaiła się w jego oczach, ale brutalnego i pozbawionego zasad. Jako ojciec jednak Włodzimierz Krochmal świetnie zdawał sobie sprawę, że największym błędem wychowawczym byłaby próba narzucenia córce własnej woli. Obawiał się, że mogłoby to przynieść efekt zupełnie przeciwny do zamierzonego. Nie ingerował więc stanowczo, lecz ograniczał się do aluzji i niebudzącego wątpliwości niezadowolenia.

Sobotnie zabawy najpierw jej się podobały i w towarzystwie Andrzeja Młynarskiego czuła się bezpiecznie. Będąc już licealistką, Ela zaczynała wyglądać jak kobieta, z czego świetnie zdawała sobie sprawę, i taki chłopak - wysoki, pewny siebie, męski, a przy tym zabawny - był obiektem zazdrości koleżanek. Andrzej Młynarski miał ponad osiemnaście lat, ale wyglądał bardzo dojrzałe, a między rówieśnikami słynął z siły i odwagi i żaden wiejski tancerz nie pozwalał sobie podrywać Eli, chyba że nie wiedział, z kim ma do czynienia. Ela, wiedząc, że i tak nikt z nią nie zatańczy, z tym większą przyjemnością przywabiała spojrzeniem i ruchami chłopaków z okolicy. Tylko raz zdarzyło się, że jakiś nieświadomy niebezpieczeństwa młokos wdał się w zbyt poufałą rozmowę i nieopatrznie zatańczył przytulańca. Andrzej Młynarski najpierw przyglądał się parze i mrugającej do niego Eli, a potem spacyfikował chłoptasia kilkoma celnymi ciosami. I na tym skończyły się umizgi innych chłopców.

Taka postawa imponowała Eli, ale tylko do czasu. Upływały lata, jej pragnienia zaczynały się zmieniać. Gdy kończyła drugą klasę, po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak puste są jej kontakty z Andrzejem. Dotarło to do niej nieoczekiwanie - akurat stała z matką w kolejce po kielbasę śląską - i aż do chwili, kiedy nareszcie opuściły sklep z pełną siatką, zaskakujące wizje naprowadzały Elę na domysł, że świat Andrzeja Młynarskiego jest pełen prostactwa. Tego wieczoru chłopak jeszcze się nie zorientował, że jego dziewczyna zaczęła przechodzić istotne przemiany wewnętrzne. Trudno się temu dziwić, gdyż sama Ela nie była ich świadoma, a przebłyśki podejrzeń w czasie kolejkowej nudy prysły natychmiast po wyjściu ze sklepu. Dlatego wieczorem pozwoliła Andrzejowi Młynarskiemu błądzić językiem w ustach i miętosić biust. Na nic więcej nie pozwalała, mimo że chłopak zwiększał żądania. W czasie zabaw w macanie czuła, jak jego twardy trzon napiera na jej udo, i ciekawiło ją, jak ta rzecz wygląda - jak to się dzieje, że jest mała, a za chwilę staje się duża, jaki ma kolor i czy to prawda, że przecinają ją cienkie żyłki. Była jednak zdania, że jest za wcześnie, aby iść tak daleko we wzajemnym poznaniu. Zawsze więc, ilekroć Andrzej Młynarski próbował obnażyć przed nią członek lub wepchać jej rękę w swoje majtki, broniła się stanowczo, mówiąc, że na

wszystko przyjdzie odpowiedni czas. Jeśli zaś podniecony chłopak nie słuchał i dalej ciągnął jej rękę do swego krocza, gdzie na dotyk szczupłych palców czekał gorący wzwiedziony penis, używała ostatecznego argumentu, stwierdzając, że tata raczej by tego nie pochwalił. To zawsze działało. Andrzej Młynarski wiedział z opowieści ojca, że Włodzimierz Krochmal ma takie wejścia, że ho, ho, i że nie warto z nim zadzierać.

Przełomem okazała się defloracja. Dlaczego w pierwszej chwili się zgodziła? Czy miał to być bunt wobec ojca, który tego dnia wylał ją za złe stopnie? Może poczuła po prostu, że to ten moment? Może naprawdę chciała mieć to już za sobą? Może chciała sprawić zadowolenie Andrzejowi Młynarskiemu?

Nie umiała sobie potem odpowiedzieć, dlaczego tak się stało. Kiedy powiedział: „Kurczę, wiesz Elka, kiedyś musimy to... zrobić, no musimy”, odpowiedziała nagle: „Dobrze, to zrobimy”. Jak przystało na ubojowego z zasadami, zawahał się tylko przez chwilę, podczas której przetrawiał w głowie to, co właśnie usłyszał. Ani się nie zdziwił, ani się specjalnie nie przejął. Przypomniał sobie tylko, jak poprzedniego dnia onanizował się w łazience. Jeszcze nie skończył myśleć, a już trzon urósł mu w oszałamiającym tempie, wynurzając się spod obcisłych majtek. Żołędź zetknęła się z szorstkim materiałem spodni. Gdyby odbywały się zawody w szybkości przybierania na rozmiarze w czasie męskiego wzwodu, organ Andrzeja Młynarskiego bez wątpienia uplasowałby się w czołówce. Słowa przyzwolenia obudziły napływ pożądania. Już nie mogło stanąć mu na przeszkodzie.

Siąpił drobny deszcz i jak na sierpień zrobiło się zimno, ale i ta przeciwność nie mogła powstrzymać Andrzeja Młynarskiego. Teraz pokaże, na co go stać. Czekał tak długo, tak się spalał, tak walił konia z wypiętą dupą Eli przed oczami, nie, teraz nie popuści, kurwa, dosyć tego pierdolenia, że nie, że za wcześniej, że tatuś, że co jeszcze, kurwa jebana...

Wszystko odbyło się szybko i nawet nie bardzo ją bolało. Wstała, kiedy on jeszcze leżał, gniotąc ciemnozielony mech. Nachyliła się nad nim, a on odwrócił ku niej uśmiechniętą twarz, a potem przewrócił się z boku na plecy, cały czas trzymając w rękach penis, z którego ciekła sinobiała ciecz. Widok ten nie przyciągnął jej uwagi. W oczach zabłyśły łzy. Zebrała w sobie całą siłę, naprężyła wszystkie mięśnie i wymierzyła chłopakowi potężnego kopniaka prosto w nadal sztywny i twardy członek. Kopniak był tak mocny, że gdyby nie dłoń dzielnego defloranta, prawdopodobnie z jąder zostałyby rozkwaszone placki. Andrzej Młynarski zawył niczym byk w ubojni i zwinął się w kłębek, jęcząc: „Kurwa, kurwa... kurwa, ooo, kurwa...”.

Kiedy zjawił się u niej wieczorem, nie miała mu nic więcej do powiedzenia poza tym, że nie chce się z nim spotykać i prosi go, żeby już nie przychodził do niej więcej.

- Elka, no... co ty? Przecież... chciałaś, nie? Sama chciałaś. O to ci chodzi? Wiesz, jak mnie teraz boli? Nie przestaje. Ale dobra, wiem. Ale czemu? - pytał zdezorientowany Andrzej Młynarski.

Nie otrzymał nigdy żadnej odpowiedzi. Ela nigdy mu nie wytłumaczyła, dlaczego zerwała ani co skłoniło ją do skopania go po genitaliach. Sama nie rozumiała ani jednego, ani drugiego. Powiedziała natomiast ojcu, że miał rację i że właśnie podjęła decyzję: Andrzej Młynarski więcej się w jej życiu nie pojawi, bo to głupiec i brutal.

- No, zrozumiałaś - odparł Włodzimierz Krochmal. - Lepiej teraz niż potem. Ja to wiedziałem zresztą.

Andrzej Młynarski nie zrezygnował od razu. Wystawał pod jej oknami, zaczepiał na ulicy, przeproszał, wysyłał kwiaty, składał obietnice, zapewniał, że rzuci się pod pociąg, słał listy, wyraźnie angażując całą posiadaną wiedzę o sztuce epistolarnej i zasadach gramatyki, groził, że pobije każdego, kto się do niej zbliży, „zajebie skurwysyna”. Kiedy zaczął się rok szkolny i Ela znalazła się w trzeciej klasie, przychodził na przerwach i patrzył z daleka, co ona robi, czy nie kręci się wokół niej jakiś „skurwysin do zajebania”, czasami tłumaczył coś jej kolegom z klasy; raz nawet wszedł w czasie lekcji i powiedział historykowi, że mu „urwie łeb”, jak się dowie, że Ela się na niego skarży.

Było jej z tym trudno, ale uznała, że najlepszym wyjściem będzie całkowite ignorowanie młodzieńca. Nie rozmawiała z nim i nie wzbraniała mu tego, co robił. Postanowiła przeczekać, nie mówiąc w domu o niczym. Jak się miało okazać po kilku miesiącach, była to najlepsza strategia. Jeszcze przed nadejściem świąt nachalność Andrzeja Młynarskiego mocno zmalała, aż w końcu niemal całkiem zanikła.

I wtedy to się stało.

List przyszedł z końcem października. Ostatnio z nikim nie korespondowała, więc widok własnego nazwiska na kopercie bardzo ją zaskoczył. Z Andrzejem Młynarskim już dawno zaprzestała wymiany liścików, jeszcze zanim jego zapal do nauki pisania zgasł po tym, jak pojęcie zasad pisania „nie” z przymiotnikami przerosło jego możliwości umysłowe i cierpliwość Eli. Ale to nie było jego pismo. Charakter pisma był wyrobiony, a tego z pewnością po Andrzeju Młynarskim nie mogła się spodziewać.

Była środa po południu, kiedy Włodzimierz Krochmal wszedł do jej pokoju i podał jej szarą kopertę.

- Listonosz przyniósł - powiedział.

- Do mnie? Już dawno nikt do mnie nie pisał - odparła zaskoczona, odrywając wzrok od Lalki, którą klasa miała przeczytać na piątek.



- Musiałem to sprawdzić, wybacz, chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo.

Ela wzięła kopertę i spostrzegła, że jest otwarta. List był w środku.

- Tato! - wykrzyknęła. - Co ty... co ty zrobiłeś?! Przecież to jest list do mnie!!

- Uspokój się, to i tak nic nie da. Wiesz, między jakimi żyjemy ludźmi, jesteś jeszcze młoda i ja muszę wiedzieć, co to za rzeczy. Teraz nawet twoi koledzy mogą być niebezpieczni.

- Tato, co ty opowiadasz?! Jakie bezpieczeństwo! To jest do mnie, rozumiesz?! Do mnie! - Rozpląkała się i z kopertą w ręce osunęła się na fotel.

- Przeczytaj. Porozmawiamy później - powiedział zimno ojciec i zamknął za sobą drzwi. Zakłęła. To nie pierwszy raz, kiedy grzebał w jej rzeczach, ale listów dotychczas nie ruszał.

Te buraki w resorcie już mu pomieszały w głowie, pomyślała, stosując ulubione określenia ojca. Ale żeby własne dziecko podejrzewać, kontrolować?! Oni już poszaleli wszyscy.

Zrezygnowana położyła się na łóżku, wsparta na łokciach, i gryząc paluszki, zajęła się kopertą. Parę minut później sięgnęła po jej zawartość.

List został złożony najpierw wzdłuż, a potem wszerz, co jak najlepiej świadczyło o nadawcy. Wszystkie kartki były zapisane tylko z jednej strony, i ten fakt także policzyła Ela na plus autorowi. Pismo biegło równo, nie podchodząc do góry ani nie opadając; litery lekko pochylały się w prawo; nigdzie nie mogła znaleźć najmniejszej poprawki, żadnego skreślenia, przeróbki jednej litery w inną, nie udało się jej doszukać kleksów, nie natrafiła też na najmniejsze zabrudzenie - nawet na marginesach, które - co zauważyła z satysfakcją - miały jednakową szerokość.

- Przepisany - powiedziała, obgryzając sól z paluszka, przekonana o celności swego domysłu. Nie uważała, aby miało to być coś złego, wręcz odwrotnie: przepisany list zaświadczał o szacunku autora do adresata. Piszący zdecydował się wszystko skopiować, aby podnieść walory estetyczne listu i uchronić czytelnika przed trudnością odczytywania oryginalnego rękopisu - z konieczności najeżonego dopiskami na boku, przekreśleniami, a może nawet zupełnie nową redakcją. Taki chaos byłby nie do zniesienia, więc autor postanowił uporządkować treść pod względem technicznym, a przy tym miał okazję lepszemu ujęcia myśli. Za to w żadnym razie nie wolno piszącego ganić, co czyniły często jej koleżanki, dowodząc, że taki list pozbawiony jest pierwotnej szczerości serca. Ela zaś uważała zupełnie inaczej: list dopiero wtedy stawał się szczery, kiedy autor podczas przepisywania zweryfikował jego pierwszą wersję i nie dając się ponieść złudnym falom

emocji, wyrzucił wszystko, co miało pozornie natchniony, a więc tymczasowy charakter.

Na końcu widniał podpis, obniżony o dwie linijki, skreślony nieco większymi literami, ale nie przesadnie wyeksponowany, postawiony z widocznym zamiarem zachowania właściwych proporcji:

Pogrążony w odmętach tęsknego obrazu, pełen czci i wiary

Rysiek Płaczek.

Uraziła ją kropka po nazwisku, ale uznając zalety całości, postanowiła nie brać jej pod uwagę przy ostatecznej ocenie. Po zakończeniu wstępnych oględzin zaczęła czytać. List był przeładowany wyświechtanymi metaforami, dziesiątkami banalnych porównań, w każdym zdaniu występowała przynajmniej jedna hiperbola; trafiały się powtórzenia i wiele zdań wtrąconych; do tego dochodziła cała masa środków stylistycznych o dyskusyjnej wartości. Dla Eli cały list tworzył niezbyt udaną peryfrazę, za której powstanie odpowiadała ona sama jako obiekt uczuć tego niepozornego chłopaka. Mogła jedynie docenić wysiłek, jaki bez wątplenia Rysio musiał włożyć w napisanie kilkunastostronicowego tekstu, sama jego treść natomiast nie zrobiła na niej większego wrażenia. Wszystko to знаła albo z książek, albo z codziennych rozmów; nie było w liście niczego, co urzekłoby ją do tego stopnia, aby popadła w zachwyty. Wprawdzie zdania były poprawnie skonstruowane - wychwyciła tylko kilka błędów składniowych, autor nie radził sobie ze zdaniami dopełnieniowymi - jednak powszedniość metaforyki i patos, a do tego religijne wstawki i Bóg nad tym wszystkim nie mogły się jej spodobać.

Pewnie sobie myśli, że ja tu teraz z wypiekami na twarzy czytam i płaczę ze wzruszenia - pomyślała.

Rysiek Płaczek. A więc to on. Jak długo się w niej podkochiwał? Od początku liceum? I w żaden sposób tego nie okazał? Nie szukał jej towarzystwa? Nie starał się być jak najbliżej? Dziwne. Takich listów nie pisze się pod wpływem chwili, to musi narastać, aż w końcu wylewa się - jak tu właśnie - atramentem na papier.

Chociaż chodzili do tej samej klasy, nie znali się zbyt dobrze. Ela nawet nie pamiętała, czy rozmawiali więcej niż kilka razy przez ponad dwa lata liceum. Wiedziała o nim tyle, że jest ministrantem i chce w przyszłości zostać księdzem. Jako uczeń nie wyróżniał się szczególnymi zdolnościami. Dobry był z matematyki, z innych przedmiotów nie błyszczał, a z polskiego - ulubionej dziedziny Eli - był zupełnie przeciętny.

Ela odtworzyła w wyobraźni jego nieco zamazany obraz: nie był brzydki, a nawet - musiała to przyznać - można go było uznać za przystojnego chłopaka; rzadko zwracała na niego uwagę, ale o ile zdołała sobie przypomnieć, uchodził za kulturalnego i spokojnego, nie

wszczynał kłótni, nie dokuczał innym, zwracał się do wszystkich uprzejmie, pomagał w matematyce, jeśli ktoś chciał. Ela była niemal pewna, że nie łączyły go bliskie stosunki z żadną dziewczyną, choć oczywiście nie mogła mieć stuprocentowej pewności. Nic więcej nie umiała o nim powiedzieć.

Teraz list leżał na stole, włożony z powrotem do koperty, a Ela popatrywała na nią, jedząc kolejnego paluszka. Mimo wszystko czuła się wzruszona. Nigdy wcześniej nie otrzymała równie długiego listu. Pomijając jego banały i wtórności, nie można mu było odmówić swoistego uroku, wyczuwalnego napięcia, emocji i pewnej szlachetności, jaka wyzierała z tego zapętlenia, zawoalowania prostej treści. Rysio nigdzie nie mówił wprost: Elu, myślę o tobie dzień i noc, umieram z miłości. A jednak coś takiego właśnie dawało się między wierszami odczytać.

Włodzimierz Krochmal siedział na kanapie i przeglądał jakieś papiery. Matka Eli, Lidia, oglądała w telewizji jakiś serial. Kiedy Ela weszła do dużego pokoju, zauważyła, że matka jest czerwona na twarzy, co oznaczało jedno: kłóciła się z ojcem. Lidia Krochmal spojrzała na Elę i powiedziała:

- Usiądź, musimy z tobą porozmawiać.

Grzecznie zajęła fotel. Ojciec oderwał wzrok od teczki z dokumentami.

- Elu, chciałbym, żebyś nas dobrze zrozumiała - zaczął.

- Zależy nam tylko na twoim dobru. Ten list jest niepokojący i podejrzany.

- Jak to podejrzany? - zachnęła się Ela. - O co, mogę wiedzieć?

- Wiesz, że zawsze pozwalaliśmy ci na wiele, nawet z tym debilem Młynarskim, niczego ci nie zabraniałem. Ale tutaj wygląda to inaczej. Nie życzę sobie żadnych twoich kontaktów z tym chłopakiem.

- Tato, czy ty jesteś zdrowy? Z Młynarskim mogłam, a z nim nie? Niby czemu?!

- Elu - wtrąciła matka - bardzo cię proszę, nie krzycz. Ojciec zdjął okulary, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Uspokój się - powiedział głośniejszym głosem. - To jest poważna sprawa, o wiele poważniejsza, niż ci się wydaje. Nie mogę ci tego wytłumaczyć tak, jak bym chciał. Ten chłopak

- Włodzimierz Krochmal szukał właściwych słów - on jest niedobrze rozpoznany, że tak powiem.

- Co? - Ela nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

- Nie chcę, żebyś spotykała się z kimś takim. Kropka. Jego ojciec miał nie tak dawno pewne kłopoty, a może mieć ich jeszcze więcej. Dla twojego dobra będzie lepiej, jak

zignorujesz ten list. Nie życzę sobie żadnych kontaktów! Żadnych! Rozumiesz? - Krochmal zatrzymał się na środku dywanu, patrząc na córkę spojrzeniem rodem z pokoju przesłuchań. Nagle Ela zobaczyła w swoim ojcu kogoś, kogo jeszcze nie знаła. Przeszył ją dreszcz, gdy dotarło do niej, że te oczy nie widzą w niej Eli, ale jakieś małe, płóche stworzenie, które nie chce się poddać nakazowi wyższych racji. Ton, jakim posłużył się w ostatnich słowach Włodzimierz Krochmal, w niczym nie przypominał jej wyrozumiałego ojca.

- Tato, przecież... - Chciała coś powiedzieć, ale zdołała wydać z siebie cichy pisk.

- Koniec! - wybuchnął Włodzimierz Krochmal. - Sprawa jest zamknięta. Tym razem będę stanowczo sprawdzał wszystko. Rozumiesz? Wiesz, że mam możliwości, i to takie, o jakich ci się nie śniło. Jeżeli się dowiem, że między wami cokolwiek zaszło, będziesz tego żałować, ale najbardziej pożałuje on. Zapamiętaj to sobie. Ja nie żartuję! Dopóki mieszkasz w tym domu, nie będziesz się spotykać z synkami podejrzanych typów!

Matka podniosła się i ujęła go za ramię:

- No już wystarczy, siadaj. Elu - zwróciła się do córki

- wiesz, jak tata reaguje na złych ludzi. Denerwuje się, bo oni chcą zniszczyć to, jak wszyscy żyjemy. Tata chce tylko chronić nas, nasze miasto i nasz kraj. Ale ciebie kocha bardzo, tylko teraz tak się zdenerwował. - Krochmalowa popchnęła męża w stronę fotela. - No siadaj wreszcie, widzisz, że ona się boi.

Włodzimierz Krochmal usiadł.

- Elu - powiedział spokojnie - kiedyś to zrozumiesz, naprawdę. Pojmiesz, że robiłem to tylko dla ciebie. Nie możesz się z nim spotykać, nie wolno ci w ogóle okazywać, że otrzymałaś ten list. Mogłem go schować, a jednak ci go dałem. Pamiętaj o tym. Ten chłopak jest synem kogoś, kto źle życzy i tobie, i mnie, i mamie. Rozumiesz? Każdemu, kto uczciwie pracuje w tym kraju. Ja nie wiem, jaki jest prawdziwy cel tego listu. To trudne, wiem, ale musisz mnie i mamie zaufać. I pamiętaj, jakimi dysponuję środkami, aby sprawdzić twoje postępowanie. Jeżeli dotrą do mnie informacje, że się z nim spotykasz, albo ktoś przekaże mi jakiś list, usunięcie go ze szkoły będzie tylko jedną z konsekwencji. Zapamiętaj to sobie dobrze.

- Ale tato, on jest normalny, on... on nawet chce kiedyś być księdzem. Naprawdę, i dobrze się uczy. Dlaczego? - Ela czuła, że nie o to dokładnie chodzi, ale ciągle nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że przeszkoda rośnie niezależnie od niej i Rysia.

- Księdzem! Księdzem!! - Włodzimierz Krochmal prychnął i sięgnął po papierosa. - Chłopak, co chce być księdzem, pisze coś takiego?! Nie czujesz, że coś tu nie gra? Co to z niego za ksiądz? Coś ci jeszcze powiem, bo jesteś za młoda, żeby pewne rzeczy rozumieć.

Księży to ja znam bardzo dobrze i nie każdy jest jak kryształ. Nie każdy. A ten chłopak jest wyjątkowo podejrzany. Dlatego trzymaj się od niego z daleka.

Kiedy Ela wróciła do siebie, Krochmal rozparł się wygodnie w fotelu i głęboko odetchnął. Pierwszy raz zastosował w stosunku do córki tak drastyczne metody, ale wiedział, że nie było innego wyjścia.

- Ja nie wiem, Włodek, czy dobrze robimy. - Lidia Krochmal była zatroskana.

- Dobrze - uciął jej mąż. - Trochę pocierpi, a potem jej przejdzie. Kiedyś będzie nam wdzięczna.

- Czy ja wiem? Nie wiesz, jakie są kobiety, nie rozumiesz ich do końca.

- Ale wiem, jakie są te gnoje! Co ty myślisz? Ja znam tego skurwysyna Płaczka. Myślisz, że jaki był, jak go, chyba ze dwa lata będzie, no, coś koło tego, jak go wzięli za jaja? Taki, kurwa, bohater, taki działacz, tu jeździł, tam jeździł, nawet do Radomia pojechał. Pytam się, po co? Sam sobie naprzytykał. Ale zmiękł szybciotko, jak go tylko odpowiednio wzięli. I teraz co? Teraz się chłopisko przydaje, jest pożytek przynajmniej.

- No to czemu jej zabraniasz? Jak się ten Płaczek zgodził z wami, to chyba dobrze.

- Bo ja mu, chujowi, nie ufam. Na dwa fronty gra, tak mi się zdaje. Ale poczekamy, i tak będziemy wiedzieć, czy dobrze współpracuje, czy źle. Myślisz, że synuś lepszy? Myślisz, że jak oni go chowają? Nie wiesz, do czego są zdolni? I jeszcze córkę mi chcą w to wkręcić? Nie, na to nie pozwolę.

- Ale skąd wiesz? Ten chłopak ma tyle lat, co Ela, a ty go podejrzewasz o to, że opozycja, że spisek? Ja się tam nie dziwię, bo Ela taka jest ładna.

- Za długo w tym robię, żeby ze mnie w żywe oczy kpili. Nie, nie. Ja ich znam, ja ich znam.

Następnego ranka ojciec jeszcze raz przypomniał Eli, że nie wolno się jej zadawać z Rysiem Płaczkiem. Dodał, że wie o nim wszystko, i jego zdaniem chłopiec nie zasługuje na najmniejsze zainteresowanie, a list na pewno pisał ktoś inny.

Przez cały dzień Ela nie zwracała uwagi na Rysia. Już w chwili, gdy weszła do klasy, gdzie miała odbyć się lekcja biologii, poczuła na sobie jego wzrok. Musiała być twarda. Postanowiła trzymać się żądań taty - przez jakiś czas - i skoncentrowała się na tym, aby zachowywać się naturalnie. W czasie lekcji była pewna, że na nią nieustannie patrzy, ale niczego nie dawała po sobie poznać. Dzwonek na przerwę sprawił, że serce zabiło jej mocniej. Nie była pewna, czy uda się jej tak dobrze odegrać obojętność, jak tego chciała. Szybko więc zagadnęła o coś Goškę Burdę i obie wyszły na korytarz. Do końca szóstej lekcji ani razu nie spojrzęła na Rysia, mimo że orientowała się świetnie, gdzie akurat siedzi czy stoi.

Trudno było jej skupić się na zwykłych czynnościach i gdyby nie obecność koleżanek, chyba nie zdołałaby tego wytrzymać. Staranie, aby nie zdradzić się najmniejszym gestem lub spojrzeniem, kosztowało ją tak wiele wysiłku, że w domu padła na łóżko z mocnym postanowieniem zachorowania przynajmniej na tydzień. Później jednak zmieniła zdanie, uznając, że musi to przejść bez tego rodzaju ułatwień. Konsekwentnie chodziła do szkoły i każdego dnia usiłowała przebywać jak najdalej od Rysia, a gdy się zbliżał, stawał nieopodal z całą klasą, traktowała go jak powietrze.

Przez pierwsze dwa tygodnie czuła, że Rysio czeka na znak, ma nadzieję na jej uśmiech, jakąś wskazówkę albo kilka słów rzuconych przypadkowo. Świadomość jego oczekiwania uwierała ją przez każdą lekcję i każdą przerwę. Nie czyniła jednak żadnych pochopnych ruchów. Po szkole chodziła na spacer z Goską lub innymi koleżankami i robiła, co mogła, by zachowywać się jak inne siedemnastolatki, plotkujące o nowym chłopaku tej czy tamtej dziewczyny, chichoczące na widok nowego historyka z rozsuniętym rozporkiem albo wykrzykujące ochy i achy nad ciuchami.

Aż pewnego dnia spostrzegła, że wszystko powoli wraca do normy. Intensywność, z jaką odczuwała napięcie Rysia, siedzącego o kilka metrów od niej, w środkowym rzędzie, zaczęła słabnąć. Najcięższe chwile miała już za sobą. Przynajmniej tak sądziła.

Przerwa świąteczna pozwoliła jej nieco odetchnąć i poszukać rozwiązania trudnej sytuacji. Widziała, że Rysio pogodził się z jej milczeniem, ale zaczęła ją irytować bierność, jaką przejawiał od samego początku. Przypatrując mu się ukradkiem, dostrzegła całkiem ładnego młodzieńca o głębokim, zadziwiająco słodkim spojrzeniu. Gdyby chciał, mógłby mieć niejedną dziewczynę, nie wątpiła w to, ale on zawsze był sam. Jak to się działo, że po takim liście, pełnym jasnych wyznań, nie próbuje chociaż jej zagadnąć, wy badać, rzucić jakiejś aluzji bądź - najprościej - spytać, czy otrzymała list?! Było to niewyobrażalne, aby chłopak mógł tak się męczyć z samym sobą. A tymczasem widziała, że od niej stroni, wyraźnie trzyma się z daleka, co tylko potwierdzało jego skrywane uczucia.

Początkowo Ela nosiła się z zamiarem odpisania na list z prośbą o dyskrecję w związku z jej ojcem. Później jednak zmieniła zdanie. Niecodzienna więź, jaka się między nimi zrodziła, zaczęła ją pociągać. Nie wiedziała, czy on czuje tak samo, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie wie, co czuje ona. Tak samo jak ją irytowała jego bierność, jego mógł irytować brak reakcji z jej strony.

Zauważyła, że idąc do szkoły, zastanawia się - a może Rysio właśnie dziś uczyni ten gest? List z paździenika w miarę upływu czasu nabierał wartości nostalgicznych: zacierały się jego wady i Ela, czytając go kolejny raz, skupiała się na emocjach, jakie w niej

wywoływały te wszystkie głupie metafory i porównania. Były proste aż do bólu, ale już przestała to zauważać; melodia zdań, wprawdzie nie zawsze poprawnych, urzekła ją do tego stopnia, że chciało się jej płakać; wreszcie niektóre z przenośni, ku jej zdumieniu, zaczęły się jej podobać. Działo się coś nieprzewidzianego. Do końca trzeciej klasy przeczytała list prawdopodobnie ponad sto razy, aż złapała się na tym, że zna go prawie w całości na pamięć.

Rysio nigdy nie uczynił najmniejszego gestu, dającego jej nadzieję na kontakt, zawsze zachowywał się jednakowo. Kilka razy ich spojrzenia zetknęły się na moment, ale w oczach Rysia nie zauważyła żadnego płomienia; spoglądał z zupełną obojętnością, a potem przenosił wzrok gdzieś dalej. Grał, czy była to prawda? Kochał ją, jak pisał w liście, czy przestał zaprzętać tym sobie głowę? Dlaczego milczy?

Po kilku miesiącach zwierzyła się Gośce Burdzie.

- Nie powinnaś słuchać tatusia. Jak ci się Rysiek podoba, odpisz mu. Ale on jest trochę dziwny. Wiesz, nie znasz go tak jak ja, bo byliśmy sąsiadami. Mówię ci, on się szykuje na księdza. Napisał, bo akurat mu wpadłaś w oko. Ale widzisz, że nawet do ciebie nie podejździe. Co to za chłopak? - Gośka mówiła otwarcie, co o tym sądzi.

Rady przyjaciółki nie uwolniły Eli od wewnętrznego niepokoju. Poza tym od jakiegoś czasu Gośka nieco odsuwała się od niej. Nadal bywała na zabawach w soboty i spotykała się z tymi typami z Zawy, a te sprawy przestały już Elę obchodzić. Do końca trzeciej klasy nie spotykała się z nikim, poświęcając czas na książki i polski, bo zamierzała iść na polonistykę. Kilka „osiemnastek” niewiele zmieniło, ot - doświadczyła paru obmacywań w tańcu, a jednego razu poszła z jakimś chłopakiem do pokoju, w którym drugi raz w życiu poczuła tę rzecz wnikałą w jej ciało. Miesiąc ciągnął się za miesiącem bez specjalnych wydarzeń.

Kiedy przyszła na pierwszą lekcję po wakacjach, Rysiek w niczym się nie zmienił. Chyba tylko gęstszy zarost obrastał mu szczękę. To już była klasa maturalna, chłopcy zaczęli przypominać mężczyzn.

I znów, tak jak przez prawie całą trzecią klasę, Ela trzymała się od niego z daleka, a on trzymał się z daleka od niej. Jeśli ona grała całkiem dobrze, to on wręcz wyśmieniecie.

Matura nadeszła szybciej, niż się spodziewała. Zaraz po niej był czas egzaminów wstępnych, a potem nagle wszyscy zniknęli, porozjeżdżali się po uniwersytetach, akademiach, politechnikach. Dowiedziała się, że Rysio wybrał jedno z pobliskich seminariów.

Straciła go z oczu na pięć lat.

Studia były czasem wolności. Pamięć o Rysiu i jego subtelnym liście rozplynęła się w tytoniowym dymie na korytarzach akademika. Życie studenckie uwolniło ją od miernoty

miasteczka, wreszcie mogła rozkwitnąć, znaleźć ludzi, z którymi toczyła nocne dyskusje przy wódce i papierosach, odkryć Doorsów i poznać Irka Rymanka, kończącego studia medyczne chłopaka z miasta leżącego blisko jej rodzinnych stron.

Ale przecież wierzyła w to, że któregoś dnia zobaczy go znowu, być może na ślubie jakiejś koleżanki, który on będzie dawał. Nie zapomniała o nim zupełnie i kiedy, idąc z dworca, mijając jego dom, wspomnienie listu sprzed kilku lat i tego dziwnego zawieszenia między nimi wracało, niosąc przyływ nostalgii. Stało się jednak inaczej - nie był to ślub żadnej z koleżanek. Ujrzała go na przystanku autobusowym, na wprost bloku, gdzie mieszkała z rodzicami. Akurat był piątek, wracała z akademika, taszcząc wielkie toboły, i nagle po prostu go zobaczyła. Siedział w sutannie i bawił się listkiem zerwanym z drzewa. Podeszła i zrzuciła plecak. Wyciągnęła z kurtki papierosa i zapaliła.

Augustyn zerwał się i zatopił w niej niekończące się spojrzenie. Ela zaciągnęła się raz, drugi, potem jeszcze raz.

- Chcę ci podziękować za list. Bardzo mi się podobał - powiedziała.

- Ciągłe wymaga szlifów - odparł Augustyn.

- Tak, chyba tak - wydmuchnęła dym i usiadła na ławce. Zapadła cisza. Siedzieli i patrzyli w to samo miejsce - na okna pokoju Eli, z pokolorowaną ciągle szybą. Dmuchała dymem, nie zdając sobie sprawy, że gęste kłęby lecą prosto w niego. Nie widziała nic poza oknem swego niezmienionego pokoju, gdzie w szafce spoczywał dawny list.

- Miło cię zobaczyć po tylu latach. Co u ciebie? - Augustyn starał się mówić bez księżowskiego zaśpiewu.

- Kończę polonistykę, nie wiem, chyba będę pracować w szkole, w naszej piątce. A ty?

- W przyszłym roku święcenia neoprezbiterkie, wcześniej diakonat w Kielcach, a potem nie wiem, jakaś parafia i posługa.

- A gdzie będziesz księdzem?

- Kto to wie? Ambroży chciałby, żebym przyszedł tutaj na wikariusza, ale to mało prawdopodobne, raczej wyślą mnie gdzieś dalej, może później, ale nie na pierwszej parafii.

Zamilkli. Nie uszło jej uwagi, że listek w jego ręku został zgnieciony, a później wylądował na trawie obok ławki. Zebrała się na odwagę i powiedziała:

- Głupio to wyszło... wiesz, z tym listem, kurde, sama nie wiem, przepraszam, mogłam coś powiedzieć, a tak, wiesz, cały czas mnie to gryzło, naprawdę. Przepraszam, tak późno, ale przepraszam, powinnam ci odpisać.

- Dziś to już przeszłość. - Augustyn wpadł w mentorski ton. Ela wychwyciła w jego



głosie nienaturalne brzmienie i to, co próbował ukryć, stało się tym bardziej widoczne. - Nie przejmuj się tym. To, czego doświadczamy w życiu, nie zawsze jest przyjemne, ale w końcu prowadzi nas w dobrym kierunku. Może tak było w tym przypadku. I wszystko dobrze się skończyło. Ścieżki, którymi Pan prowadzi nas przez te wszystkie lata, nie zawsze są proste, ale wiodą tam, gdzie tak naprawdę sami chcemy pójść. Dlatego Jego przewodnictwo i nasza wola są zbieżne i zawsze cieszymy się z tego, że odkrywamy w sobie Jego miłość i wskazówki.

- To dlaczego tu siedzisz? - spytała nagle Ela i zaraz przeraziła się tego, co powiedziała. „Głupia” - pomyślała ze złością. Wyciągnęła kolejnego papierosa i zapalając go, nie spuszczała wzroku z Augustyna.

Nie odpowiedział. Pochylił głowę. Jego prawa noga zaczęła wystukiwać jakiś jednostajny rytm. Na twarz wystąpił mu rumieniec. Ela wstała.

- Muszę już iść - rzekła, zarzucając plecak. - Nie siedź tu za długo, bo zobacz - uniosła głowę, buchając naokoło dymem - chyba będzie padać i nie zdążysz do kościoła. Sutanna ci zmoknie. No i wiesz, grzech i te sprawy.

Augustyn podniósł się z ławki i też popatrzył na chmury. Wcale nie wyglądało na to, że spadnie deszcz. Kpiący ton w ostatnich słowach Eli ukłuł go w samo serce, ale uśmiechnął się tylko, nie próbując nawet nawiązać do jej sarkazmu. Ukłonił się i - jak przypuszczał - ostatni raz w życiu głęboko wpatrzył się w jej oczy. Na pożegnanie.

Ela ugryzła się w język.

- No to cześć - powiedziała i ruszyła w stronę swego bloku. Ciekawe, czy za nią patrzy, pomyślała. Na pewno patrzy, musi, przecież mu się podobam, a może nawet... cholera!

Przystanąła, a zaraz potem odwróciła się do niego. Rzeczywiście patrzył na nią. Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła notesik. Zapisała coś i wyrwała kartkę.

- Jeśli chcesz, jeśli... jeśli po prostu chcesz - powiedziała, podchodząc do niego - napisz. Na pewno odpowiem. Tym razem. To mój nowy adres, bo wyprowadzam się od rodziców, wiesz, ojciec mi załatwił taki mały domek. Ale jak nie chcesz, to nie pisz. Pa.

Patrzył na nią, aż zniknęła w klatce szarego bloku. Przeczytał adres na kartce i powtórzył kilka razy, aby dokładnie go zapamiętać. Czuł jeszcze zapach dymu papierosów. Odszedł spacerowym tempem z rękami założonymi do tyłu.

I tak zaczęło się od nowa.

Kilka dni później Ela urządziła się w nowym domu. Był to parterowy, ale dość przestronny budynek. Przyjechał Irek, żeby pomóc: zaczęli od malowania, a potem bawili się

rozstawianiem mebli przywiezionych przez ekipę, którą wysłał Włodzimierz Krochmal. Kosztowało to ponad tydzień pracy, ale pokoje zaczęły wyglądać ładnie i przytulnie. Ojciec chwalił Irka za pomoc, a matce chłopak się spodobał, bo był bardzo kulturalny.

Miały jednak upłynąć jeszcze prawie dwa lata, zanim młody lekarz podjął pracę w tutejszym szpitalu i zamieszkał z Elą.

We wcześniej musiał dokończyć studia i odbyć staż w szpitalu wojewódzkim. Włodzimierz Krochmal zapewniał, że jeśli tylko zechce, będzie miał pracę, gdzie sobie zażyczy. Irek wyraził swoją wdzięczność w staromodny sposób, który jednak bardzo spodobał się Włodzimierzowi Krochmalowi: poprosił o rękę Eli. Ojciec zgodził się bez wahania, bo od dawna już czekał na takie rozwiązanie, a szczególnie zaimponował mu fakt, że Irek zwrócił się do niego. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że oboje młodzi wszystko ze sobą uzgodnili.

Irek przyjeżdżał raz w tygodniu, najczęściej na sobotę i niedzielę, niekiedy bywał w piątek i wracał następnego dnia. Raz zdarzyło się, że wkroczył do mieszkania, ociekając krwią z rozciętej wargi. Opowiedział Eli, jak to nieznane mu typy chciały pieniędzy, i jak musiał się bronić. Nie była to cała prawda. Postanowił zataić przed Elą fakt, że osobnikiem, który zastąpił mu drogę w parku, był Andrzej Młynarski. Znał go ze zdjęcia i opowieści, a teraz przyszło mu poznać go osobiście. Stał na środku ścieżki, i kiedy Irek próbował go wyminąć, popchnął go w bok.

- Skurwysynu jeden - powiedział - myślisz, że Elkę tak sobie możesz pierdolić? Zapłacisz, kurwa, za to. - To mówiąc, wymierzył Irkowi cios prosto w szczękę. Był pijany, a na dodatek nie zdawał sobie sprawy, że natarł na wysportowanego młodzieńca. Otrzymał kilka mocnych uderzeń, najpierw ręką, później nogą, Andrzej Młynarski padł jak kłoda. Irek sprawdził, czy nie stało mu się nic poważniejszego, a później ocucił go i odszedł.

Ela nigdy nie dowiedziała się o tym zdarzeniu i nawet domagała się od ojca, żeby zaangażował wszystkie służby, aby ująć sprawców.

Pierwszy list od Ryśka przyszedł we wrześniu. Był krótki. Rysio pisał, że jest w Kielcach i próbuje spełniać swoją posługę najlepiej, jak potrafi. I to było wszystko. Odpisała następnego dnia, po powrocie ze szkoły, przedstawiając swe pierwsze kroki w roli nauczycielki. Napisała krótko i w sposób szorstki, i właściwie nie liczyła na to, że korespondencja będzie toczyć się dalej. Początkowo wszystko na to wskazywało - skończył się wrzesień, minął październik i listopad, zbliżały się święta. I wtedy Rysiek przysłał długi list, bardzo teologiczny, zawierający - lekko na szczęście napisany - wykład o roli wiary w codziennym życiu. Początkowo rozzłościła się, bo wcale nie chciała stać się ofiarą jego

działalności misjonarskiej. Powiedziała sobie, że na tak natarczywe kaznodziejstwo nie będzie odpowiadać i radykalnie zakończy stosunki z Rysiem.

A jednak odpisała. W pewien weekend w środku ferii, kiedy Irek nie mógł przyjechać, sięgnęła po stary list z liceum i wczytała się w niego. Siedząc sama w sobotni wieczór, uznała, że zrobi coś, czego Rysiek na pewno się nie spodziewa: odpowie na to stare, metaforyczne wyznanie. Pisała przez pół nocy, a później zabrała się do przepisywania. Skończyła w niedzielny rano i poszła spać. Gdy obudziła się późnym popołudniem, stwierdziła, że myśl o tym, jak Rysiek czyta jej list, wydała się jej niezwykle podniecająca. Te słowa, które on odczytuje z uwagą, próbuje doszukać się ukrytych znaczeń, drąży zdanie po zdaniu, pytając samego siebie, co chciała mu powiedzieć, jego ręce ściskające te właśnie kartki - co za odwrócenie sytuacji sprzed lat!

List wysłała jednak dopiero po miesiącu, pod koniec marca. Zdążyła jeszcze poprawić go w kilku miejscach, wyczelować i wymuskać. W jej opinii był idealny. Czternaście stron dwuznacznych aluzji, odniesień, metafor skreślonych niebieskim atramentem, podkreślającym jej wyrobiony, piękny charakter pisma.

Kiedy po dwóch tygodniach nie było żadnej odpowiedzi, Ela zaczęła się denerwować. Po miesiącu nie była w stanie myśleć o niczym innym i jedynie dzięki temu, że Irek wyjechał na jakieś szkolenie do ZSRR, udało się jej ukryć przed nim swój nastrój. Odpowiedź nadeszła na początku maja. Tym razem Rysiek pisał o cierpieniu wyimaginowanego młodzieńca, który czeka na słowo od ukochanej. Stworzył piękną opowieść, pełną subtelności żalu i goryczy, jaką odczuwa jego bohater. Od samego początku aż do końca czuło się jednak w liście obecność najwyższej mocy - samego Boga, który w ostatnich partiach objawił się z całą mocą. Wreszcie w ostatnim zdaniu Rysio pisał, że lada dzień czekają go święcenia i jako neoprezbiter wyrusza do swojej pierwszej parafii. Prosi, aby na tym ich korespondencja się zakończyła, gdyż wierność posłudze wyklucza tego rodzaju wymianę myśli. Gdyby jednak miała do niego pytania o charakterze religijnym, zawsze jest gotów jej odpowiedzieć, dlatego podaje nowy adres.

W ten sposób korespondencja między nimi ustała, bo Ela nie miała żadnych pytań o charakterze religijnym. Ostatni list od Rysia oceniła wysoko; w odróżnieniu od poprzedniego, z czasów licealnych, ten był napisany wykwintnym, potoczystym stylem, z wyraźną skłonnością do sentymentalizmu. Kilkanaście stron metafor i alegorii. Każde słowo dla niej, z myślą o niej, cały wysiłek - jakże wyczuwalny - po to, aby sprawić jej radość. A potem to zakończenie. Gdy przeczytała ostatnie zdanie, całe napięcie, jakie odczuwała podczas lektury, znalazło ujście w gwałtownym wybuchu płaczu. Nagle dotarło do niej, że przez tych kilka

miesiący pisania i oczekiwania na list od niego, myślenia o nim podczas zaglądania do skrzynki, wyobrażania sobie jego reakcji i swojej własnej na przyszły list - w jej uczuciach zaszła niezauważalna przemiana.

- Czy ja się przypadkiem nie zaczynam zapominać? - spytała samą siebie, siedząc w fotelu z kartkami w ręce.

Nieoczekiwanie zaczęła się łapać na tym, że ma sny pełne erotycznych wyczynów, których wyjątkowo aktywnym partnerem jest właśnie Rysio, i zorientowała się, że chciałaby poczuć go w sobie, zobaczyć, jak zdziera z siebie tę cholerną sutannę i prezentuje to swoje coś między nogami, a potem, nie zadając pytań, bierze ją jednym ruchem. Nie umiała wyjaśnić pochodzenia tych pragnień i wcale nie było jej z tym dobrze.

Po wakacjach, które częściowo spędziła z Irkiem w Bułgarii, postanowiła zaryzykować. Chciała słyszeć jego głos w pisanych słowach, nawet gdyby miał opowiadać o problemach religijnych. Napisała, że dręczy ją pytanie o grzech pierworodny i chciałaby wiedzieć, jaki jest stosunek Kościoła do spraw seksu pozamałżeńskiego.

Tym razem odpowiedź nadeszła wyjątkowo szybko, jeszcze tego samego tygodnia. Augustyn na prawie dziesięciu stronach wyjaśniał zawilości związane z katolicką dogmatyką grzechu pierworodnego. Stosunkowo mało miejsca poświęcił drugiemu jej pytaniu, dowodząc jedynie w paru zdaniach, że jest to złamanie jednego z ważnych sakramentów.

Przez weekend Ela czekała, aż Irek wreszcie pojedzie i będzie mogła zasiąść nad kolejnym listem. W poniedziałek nie poszła do pracy, informując, że jest chora. W rzeczywistości była wyczerpana pisaniem: teraz pytała o Trójcę, pisała, że nie umie pogodzić w sobie tej troistości z jednością, i że wydaje się jej to naciągane. Aby nie wyjść na kompletną ignorantkę, zaczęła czytać Biblię, przyswajając sobie dogmatykę; posunęła się nawet do umieszczania w listach licznych cytatów, dorzucając przypisy u dołu każdej strony.

List z odpowiedzią Rysia przyszedł po dwóch tygodniach. Znowu - obszerny wykład prawdy, której nikt nie pojmie. Ela zauważyła jednak, że nie był tak suchy jak pierwszy. Rysio stosował więcej bezpośrednich zwrotów prosto do niej, jakby chciał dzięki temu znaleźć się bliżej. To jeszcze bardziej ją podnieciło.

- Kurwa! Co się ze mną dzieje? Przecież to jest ksiądz! - wołała do siebie samej, ale jednocześnie dając sobie szczyptę rozkoszy w wannie, wyobrażała sobie, jak jego ręce gładzą jej ciało.

W następnych listach pytała o to, dlaczego nie ma kapłanówkobiet, dlaczego księża muszą godzić się na celibat, czy istnieje piekło, jakim grzechem jest zdrada małżeńska, jak przedstawia się sprawa zbawienia zwierząt, ilu jest aniołów, dlaczego Rysio przybrał imię

Augustyn, jakie są dowody na istnienie Boga, jeśli chrześcijaństwo to jedyna prawda, co z innymi religiami. Pytała niczym automat do zadawania pytań.

Augustyn początkowo dziwił się wzrastającej częstotliwości listów od Eli. Przypominając sobie dwa lata w liceum, kiedy kochał ją miłością nastolatka, i porównał to z obecną sytuacją, myślał, że albo to złośliwość losu, albo plan boski o największych rozmiarach, skoro w taki sposób płaczą się ludzkie pragnienia. Jego uczucie do Eli nie było tak żarliwe jak kiedyś, choć - od chwili gdy zobaczył ją na przystanku i zamienili tych parę zdań - spadł na niego ciężar większy, niż się spodziewał. Miał jednak w sobie siłę, aby oddzielić - zupełnie jak dawniej, za czasów ministrantury - miłość Boga od uczucia ziemskiego. Posługa neoprezbitera przyniosła mu ogromną radość; obcowanie z wiernymi, z braćmi w kapłaństwie, pomoc w trudnych sytuacjach, jakiej oczekiwali mieszkańcy wsi, w której się znalazł, codzienne msze i głębokie modlitwy - wszystko to przyczyniało się do pasji, jaka rosła w nim z miesiąca na miesiąc.

Obraz Eli nieco wyblakł, ale nie stał się całkowicie bezbarwny. Augustyn pogodził się z tym, że ta kobieta na zawsze pozostanie jedyną, niespełnioną miłością jego życia; małym grzeszkiem, na jaki pozwolił sobie tylko raz, a teraz już poświęci się służbie ludziom. Kiedy przeczytał odpowiedź Eli na jego list z czasów liceum, na krótko wróciło dawne pragnienie. Zdumiała go jej bezpośredniość i dziwna odmiana, myślał bowiem, że Ela nie traktuje go poważnie. Ten list jednak zdawał się temu przeczyć. Postanowił więc odpowiedzieć jeden jedyny raz w tym samym tonie. Napisanie listu poprzedził kilkugodzinna modlitwą, a później rzucił się w nurt wyobraźni. Kiedy wrzucał go do skrzynki, był pewien, że to koniec, choć w głębi duszy liczył na to, że Ela odpowie. Stało się tak, jak się spodziewał, nie przypuszczał jednak, że ona zdobędzie się na mało dla przeciętnego człowieka interesujące rozważania z zakresu teologii i Kościoła. Uznał, że albo w Eli zabłysła potrzeba Boga, albo rodzi się coś zupełnie innego. Nie wnikając głębiej w przyczyny, zaczął się rozpisywać o wszystkim, o co go pytała. Sprawiało mu to wielką przyjemność: oto mógł komuś przekazać wiele z tego, czego zdołał się nauczyć, zrozumieć i - co nie mniej ważne - wypełnić posłannictwo, nawracając w ten niezwykle sposób zbłąkaną duszę. Jako kapłan nie mógł sobie wymarzyć lepszego przypadku: niewierząca, ale zadająca pytania, szukająca odpowiedzi, rozwiązania, a on wszystko to jej daje, nasycy jej umysł tchnieniem Chrystusa.

Dla Augustyna był to najszczęśliwszy okres w całym życiu. Pisanie do Eli miało dla jego posługi znaczenie terapeutyczne. Między prostymi ludźmi, w wiosce, gdzie mieszkało dwieście rodzin, żył samą czystą wiarą; stary proboszcz - wspaniały, niezwykle szczerzy ksiądz - rzadko miał ochotę na ciekawszą rozmowę i bardziej interesowały go bieżące sprawy

parafii. Listy do Eli, pełne religijnego uniesienia, duchowo bardziej wzniosłe niż wszystko, co do tej pory napisał, dawały mu radość, z którą wychodził do swoich wiernych. Był jednak księdzem i wiedział, że jego miłość do innego człowieka, do kobiety, musi oznaczać - jak to ujął pewien kapłan - integrację pełni człowieczeństwa. Nie może w tym być żadnego skupienia na części zwanej erotyką, lecz także żadnego odrzucenia i potępienia tej sfery. Wiedział, że musi osiągnąć harmonię między własną duchowością a cielesnością; tylko wtedy jego stosunek do Eli będzie szczery i piękny.

Pisali na tematy religijne aż do kwietnia. Ela nie zdradziła się niczym ani przed Irkiem, ani przed rodzicami, ani przed znajomymi. W czerwcu jej przyszedł mąż miał wyjechać na pół roku do Leningradu na cykl szkoleń, i chociaż nie bardzo mu się chciało, gdyż marzył już o tym, aby wreszcie zamieszkać z Elą i spokojnie żyć, zgodził się spełnić prośbę Włodzimierza Krochmala, który wykorzystał przy załatwianiu tego wyjazdu swoje najważniejsze kontakty.

Na początku maja Ela otrzymała list, w którym Rysio, zamiast odpowiedzieć na kolejne pytania, zawiadamiał ją, że skierowano go jako wikariusza do tutejszej parafii i przyjeżdża pod koniec miesiąca. Ambroży zabiegał o to od dawna, aż wreszcie biskup wyraził zgodę. W liście nie było żadnej aluzji do spotkania ani dalszej korespondencji.

Ela nie odpisała. Pierwszy raz od miesiący nie zadała następnych pytań, a teologiczny wymiar świata obrzydł jej w jednej chwili. Korespondencja była przyjemna, świadomość więzi z Ryśkiem, skrywanej przed innymi, dawała jej w życiu sferę tylko dla niej, do której nikt nie ma wstępu, gdzie może pozwolić sobie na marzenia i wszystko, na co ma ochotę. Ale jego obecność w mieście, tak blisko, na odległość kilkunastu minut spacerem? To już było coś zupełnie innego. Bliskość stawała się dotykalna.

Kiedy Irek wyjechał, zdawała sobie sprawę, że Rysio już tu jest, że mieszka na plebanii, że chyba nawet odprawia msze, spowiada, ludzie do niego przychodzą. Nie myliła się, już po paru dniach dotarła do niej wiadomość, że jest w parafii ksiądz Augustyn, który tu był ministrantem, i ludzie bardzo się cieszą, że mają swojego księdza, bo to rzadkość.

Odezwał się tuż przed końcem roku szkolnego. W kopercie była kartka z adresem plebanii. I nic więcej. Co to miało znaczyć? Ela czuła się zdezorientowana. Zachęta do pisania czy zaproszenie na kawę? Przez następne kilka dni nie robiła nic. Wiodła spokojny wakacyjny żywot nauczycielki: spacery po mieście, wieczorna lektura, telewizja, czasem wizyta u rodziców. Aż któregoś dnia ujrzała go z okna, jak powoli przechodził pod jej domem. Zatrzymał się nawet na moment i spoglądał w kierunku jej mieszkania. Potem ruszył dalej. Po dwóch dniach sytuacja się powtórzyła. Rysio znowu spacerował sobie jak gdyby

nigdy nic. Trzeciego dnia, dokładnie o tej samej porze, kiedy wyłonił się zza zakrętu, Ela czekała już na chodniku. Wszedł prosto na nią.

- Cześć, Rysiu - powiedziała.

- O, witaj, Elu - odparł.

Jego twarz jaśniała. Wydał się jej pewny siebie, zupełnie różny od chłopaka, którego zobaczyła na ławce przed rokiem.

- Tak sobie po prostu chodzisz tędy? - spytała.

- Chodzę, to prawda. - Augustyn mówił równym głosem, nieprzypominającym charakterystycznego kapłańskiego zaśpiewu. - Wróciłem, jak widzisz. Można tak powiedzieć. Czy tak po prostu chodzę, no cóż, tego akurat nie jestem pewien.

- Niczego nie udawał. I ona to widziała.

- Dlaczego nie napisałeś?

- Napisałem. Nie dostałaś liściku?

- Rysiu, ja pytam, dlaczego nie odpisałeś na moje pytania?

- A chcesz, żebym ci na nie odpisywał?

- Chcę, przecież... przez tyle czasu chciałam, czemu sądzisz, że coś się zmieniło?

Pytania nadal pozostają bez odpowiedzi.

Augustyn rozejrzał się.

- Może pospacerujemy albo usiądźmy gdzieś - powiedział.

- Po parku, chodźmy do parku.

Po kilku minutach szli jedną ze ścieżek, lubianych przez okolicznych emerytów. Usiedli na ławce pod przekrzywioną brzozą.

- Nie boisz się, że ludzie zaczną gadać? Wiesz, siedzimy tak, ksiądz i dziewczyna...

- Nie, przecież nas tu znają. A czego właściwie miałbym się bać? - Spojrzał na nią tak wymownie, że poczuła, jak wzbiera w niej wstyd.

- No, że my, wiesz...

- Że my... - Wzrok Augustyna zdradził jej wszystko. On też o tym myślał, bronił się, próbował to od siebie odegnąć, a jednak pragnął jej bliskości, chciał słyszeć jej głos, dotykać jej ciała. Odwrócił głowę. - Elu, to pisanie wpędziło mnie w coś... w jakiś mrok... Nie wiem, czy cię znam, nie wiem nawet, czy znam siebie.

- Ciebie? Mówisz, że ciebie wpędziło? A o mnie nie pomyślisz? Ja mam narzeczonego, wiesz o tym? I co on by pomyślał, jakby się dowiedział, że piszę listy do księdza i toczę teologiczne dysputy? Nie byłby zadowolony. Rysiu, ja... ja też, nie wiem, nie wiem. Po prostu odpisz mi na pytania, które ostatnio zadałam. Czemu przysłałeś tylko adres?

- Dobrze, odpiszę - pośpiesznie zapewnił Augustyn, jak gdyby się bał, że Ela może lada moment zmienić zdanie. - Odpiszę. Jeszcze dziś. Teraz już muszę iść, proboszcz może mnie potrzebować, a nie ma mnie już prawie godzinę. - Wstał, wpatrując się w Elę.

- Będę czekać - odparła, wstając także. - Bo powiem ci, że być może jesteś na dobrej drodze, żeby nawrócić niewierzącą. Wiesz, zaczęła mnie pociągać sama problematyka. Więc pisz, pisz dużo - poprosiła, wiedząc, że kłamstwo, jakiego się właśnie dopuściła, jest dla niego czytelne jak wszystkie listy, które do tej pory napisała.

Uśmiechnął się i pokiwał głową. Wtedy wyciągnęła do niego rękę. W pierwszej chwili zdezorientowany, najpierw popatrzył na jej dłoń, a później przeniósł spojrzenie na twarz. Zachęciła go delikatnym uśmiechem.

- To tylko uścisk ręki. Na pożegnanie. Jesteś moim nauczycielem, mentorem religijnym, pragnę więc uścisnąć ci dłoń.

- Znowu kłamała, bo chodziło jej tylko o to, żeby poczuć dotyk jego palców, zbadać, czy są miękkie, czy twarde, czy uścisk będzie słaby, czy mocny. Po prostu chciała to wiedzieć, nic więcej, zaledwie tyle.

Jego uścisk okazał się dość mocny, ale niepozbowiony wyczucia; palce najpierw zetknęły się z jej opuszkami, a później przesunęły wzdłuż dłoni, aż po nadgarstek. Poczula jakiś elektryzujący dreszcz i zauważyła, że on też drgnął. Chciała cofnąć rękę, ale Augustyn ścisnął ją mocniej. Popatrzyła mu w oczy. Po chwili odwrócił wzrok. Wreszcie ją puścił.

Ela wróciła do siebie oszołomiona. Nie sądziła, że dotyk męskiej dłoni jest w stanie obudzić w niej tak silne emocje. Pewna swego i doświadczona była przekonana, że nic jej nie zaskoczy, a tymczasem właśnie zrozumiała, że jej doświadczenie jest niczym wobec tego, co się dzieje.

Augustyn wrócił do kościoła z przeczuciem zbliżającego się niebezpieczeństwa. Nie potrafił go nazwać czy określić stopnia zagrożenia, ale wstępując po schodach świątyni, czuł, że jest bliski przekroczenia granicy, poza którą był już tylko

- grzech. Szedł zamyślony i machinalnie odpowiadał na ukłony parafian, nie wiedząc, kto go właśnie mija; świat ogarnęła mgła, a uczucie nierealności stało się tak intensywne, że Augustyn sam sobie wydał się nierzeczywisty i zapytywał sam siebie, czy w ogóle istnieje. W kościele klęknął przed ołtarzem i począł się modlić. Czyżby ją zczudował w myślach swoich, patrzył na nią, aby jej pożądać? Czy to ten grzech niezmywalny, jasny dla Boga, ciemny dla człowieka? Czy znowu musi stawić najbardziej zacięty opór, na jaki będzie go stać? Czy może domagać się pomocy?

Wieczorem pisał do Eli. Kiedy list był gotowy, zapragnął, aby go jak najprędzej



dostała już dziś, teraz, tej nocy. Przebrał się w dres i powiedziawszy pani Lucynie, że idzie pobiegać, gdyż ma w zwyczaju co parę dni aplikować sobie kilka kilometrów dla zdrowia, po kilkunastu minutach był już pod domem Eli. Nie wahał się ani chwili. Przesadził płot, wszedł na schody i położył list na wycieraczkę. Zapukał i co tchu pobiegł z powrotem. Stał zasłonięty przez pień drzewa i wsłuchał się w ciszę. Po chwili usłyszał, że drzwi się otworzyły. Wydało mu się, że usłyszał ciche - Rysiu, ale może się przesłyszał. Dobiegł go trzask zamykanych drzwi. Odczekał pięć minut i wszedł jeszcze raz, aby upewnić się, że list został zabrany.

Ela nie spodziewała się po nim takiego odważnego, ale jednocześnie nieprzemyślanego ruchu. Jak mógł przyjść tutaj, narażając się na obmowy sąsiadów. Jeśli nawet jeszcze go nie znają, to tylko kwestia czasu. A jednak postępek ten wzbudził w niej czułość. List okazał się zakamuflowanym wyznaniem miłosnym i kończył się oskarżeniami siebie samego o grzeszność. W postscriptum Augustyn zapraszał ją na plebanię, aby mogli porozmawiać o sprawach wiary.

Przyszła po dwóch dniach. W kancelarii siedział jakiś mężczyzna, którego nie znała. Powiedziała, że przychodzi do księdza Augustyna. Wskazał jej drzwi.

Augustyn czytał coś za małym biurkiem. Nie ruszył się, kiedy ją zobaczył. Ela była już pewna, że to, co ma się wydarzyć, jest nieuniknione. Stała przed nim.

- Jestem. Tak jak chciałeś.

- A ty nie chciałaś?

- Ja też chciałam.

Pocałowali się, najpierw delikatnie, zaledwie muskając się ustami. Od razu wyczuła, że to jego pierwszy raz, więc delikatnie naciskała jego wargi, powoli wnikając głębiej. On objął ją w talii. Z minuty na minutę nabierał odwagi. Przyciągnął ją do siebie i zaczął przesuwac palcami po jej pośladkach.

Ela oderwała się od niego.

- Rysiu, czy ty wiesz, co my robimy?

- Kocham cię, Elu - odpowiedział zdyszany. - Tylko Bóg wie, że tyle lat próbowałem zgasić to w sobie, ale nie potrafię. Jestem przeklęty. Grzech, którego się dopuszczam, jest niewybaczalny.

Do samego wieczora Augustyn myślał tylko o tym, aby znów zobaczyć Elę. Na plebanii przebywała zaledwie kilkanaście minut i zaraz poszła, aby nie budzić podejrzeń. Pani Lucyna, dowiedziawszy się, że była, przyszła do niego po południu.

- Rysiu - powiedziała - a właściwie księżu Augustynie, bo teraz tak cię muszę

nazywać, ta dziewczyna to córka esbeka. Nie wiesz o tym?

- No wiem, że jej ojciec jest w aparacie, przecież znam ją jeszcze z czasów liceum. To koleżanka, dobra dziewczyna.

- A tam dobra, proszę księdza, lepiej uważać. Oni teraz to tak się rozbestwili, że nie pamiętam, żeby tak było. A ten Krochmal to, proszę księdza, lepiej uważać na niego. Wiadomo, czy córki gdzie nie wciągnął?

- Pani Lucyno, przecież, jakby chcieli mnie szpiegować, toby wybrali kogoś poza podejrzeniem, a nie córkę esbeka, prawda?

- No tak, ale teraz to nie wiadomo, wie ksiądz, pod latarnią najciemniej.

Odprawił popołudniową mszę, a w kazaniu mówił o tym, jak ważne jest, aby przed drugim człowiekiem być szczerym i nie czynić zła jemu i sobie podejrzeniami, podłym szpiegowaniem, kłamstwem i donosicielstwem. Jego słowa były mocne, a zebrani patrzyli w niego jak w obraz. Ambroży nigdy nie mówił takich rzeczy - mających drugie dno. Tymczasem ten młody ksiądz, którego wielu pamiętało jeszcze jako chłopca, ma odwagę mówić coś takiego.

Wieczorem ubrał się i - jak zwykle - zapowiedział, że idzie biegać. Było już po dziewiątej, kiedy wyszedł. Nieopodal domu Eli stał przez parę minut, sprawdzając, czy nikt nie idzie ulicą, a później skierował się do furtki. Otworzyła mu ubrana w sukienkę do kolan.

- Wiedziała, że przyjdiesz - powiedziała.

- Wiedziałem, że wiesz - odparł.

Jego pierwszy akt seksualny nie wypadł najlepiej. Ela jednak okazała się nadzwyczaj wyrozumiała. Później było już o wiele lepiej.

- Wiesz co, Elu - odezwał się, kiedy leżeli w łóżku. - Nie rozumiem, dlaczego to ma być złe.

- Co?

- No, wiesz, to, co robiliśmy przed chwilą.

- To nie jest złe.

- Jest dla mnie, dla mojej profesji. Przez całe życie uczyłem się, jak unikać podobnych sytuacji, jak odepchnąć od siebie tę ludzką słabość, jak zebrać w sobie siłę, aby wytrwać w wyrzeczeniu. A jednak zgrzeszyłem. Zadałem się z kobietą, splamilem i siebie, i ją. Tylko że, teraz kiedy tak tu leżymy, nie wiem, dlaczego to ma być złe. Ale jak wrócę do siebie, na pewno będę wiedział. I to jest przerażające.

- Rysiu, ja nie czuję się splamiona.

- Wiesz co, Elu, są księża, którzy mają nałożnice, sypią z nimi, robią, co chcą, a

jednocześnie nie czują wyrzutów sumienia. Słyszac takie historie, nigdy nie mogłem pojąć, jak to jest, że godzą te sprawy. Że robią to z kobietą, a później odprawiają mszę, jak gdyby nigdy nic. I wszystko, ich zdaniem, jest w porządku. Rozumiesz coś z tego? A ilu parafian się z tym godzi? Coś tam niby wiedzą, o czymś plotkują, ale nikt nic nie robi. Nic. A ja... ja po prostu cię pokochałem, może nawet bardziej niż Boga... o Boże... - Augustyn odwrócił się do niej plecami, bo w oczach zaszklily mu się łzy.

Ela przyłgnęła do niego nagim ciałem.

- Ja też cię kocham. Chcę z tobą żyć.

Na plebanii był przed północą. Modlił się prawie godzinę, ale jednocześnie czuł, że szczerosc modłów jest niepełna, gdyż w tle cały czas tkwił obraz Eli i tego, co robili.

Następanej nocy także poszedł biegać, podobnie jak kolejnej. Biegał tak każdego dnia przez tydzień. Tłumaczył się, że nabral zwyczaju nocnego biegania podczas studiów w seminarium i później kontynuował go jako neoprezbiter.

- Proszę księdza, ja to myślę, że księdzu to bieganie to więcej szkodzi, niż pomaga - powiedziała któregoś dnia pani Lucyna. Augustyn siedział blady nad talerzem zupy. Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową. Ambroży, który zajmował krzesło naprzeciw, przyglądał mu się uważnie.

- Pani Lucyno, proszę nas zostawić. Proszę księdza - rzekł, zwracając się do niego - niech ksiądz się modli. Jeśli ksiądz przestanie, to koniec.

- Słucham? - Augustyn podniósł głowę.

- Niech ksiądz niczego nie ukrywa. Wiem, że oni są sprytni, że umieją straszyć. Będzie może lepiej dla księdza, jak przeniesiemy księdza do innej parafii.

- Nie! - zaprotestował Augustyn. - Tyle zabiegów ksiądz proboszcz zrobił, żeby tu mnie sprowadzić, a już chce się mnie ksiądz pozbyć.

- Widzę, że nad księdzem zbierają się chmury. Dziś zaden z nas nie jest bezpieczny. Wiem, do czego są zdolni. Mnie też próbowali złamać. Na różne sposoby, przed laty. Przesłuchiwali, grozili, nawet szantażowali, rozpuszczali na mój temat paszkwile, chcieli upodlić. I powiem księdzu, że pomogła mi przetrwać modlitwa, szczerza i głęboka. Właśnie to, właśnie modlitwa. Teraz dali mi spokój, bo się przekonali, że nic nie wskórają. Ja nie chcę, żeby ksiądz uległ im i sobie. Jest ksiądz młody, takich jak ksiądz najłatwiej podejść. To już nie to, co robili jeszcze dwa lata temu, jak Popiełuszkę zabili, ale nadal są groźni. Niech ksiądz uważa i we własnym sumieniu rozstrzyga, co jest dobrem, a co złem.

- Nikt mnie nie podchodzi, proszę księdza proboszcza.

- Wiem, że była tu ta córka Krochmala. No, nie wiem, co o tym sądzić. Pamiętam

naszą rozmowę sprzed lat. Pamięta ksiądz tę spowiedź? Ja pamiętam.

- To nie ma ze sobą nic wspólnego. Przyszła jako koleżanka, nic poza tym.

- Hm, no dobrze, niech tak będzie. Ale niech ksiądz pamięta, że Krochmal jest człowiekiem aparatu. Ja też już miałem z nim do czynienia. I niech mi Bóg wybaczy, że to mówię, ale to jest perfidny typ, podejrzliwy, zdolny do wszystkiego. Wprawdzie nie ten departament, ale u nich nigdy nie wiadomo.

- Proszę księdza, Ela jest nauczycielką. Uczy dzieci polskiego. Naprawdę nie ma nic wspólnego z tymi sprawami. Przyszła odnowić znajomość i to wszystko.

- Ja tylko chcę, żeby ksiądz był ostrożny. Oni w ostatnich latach bardzo energicznie szukają wśród nas. Szukają słabych punktów, ogniwa, które mogą przerwać, aby wniknąć do środka. Te nocne wyjścia mogą się wydać podejrzane, proszę księdza.

Przez następny tydzień Augustyn wychodził co dwa dni, później co trzy, kiedy zaczął się sierpień, był u Eli kilka razy. Za każdym razem kochali się i opowiadali sobie historie z życia: ona o akademiku, on o seminarium i posłudze. Rozmawiali o książkach, o prawdach wiary, o ludziach w swoim mieście.

Ela rozkwitła, co nie uszło uwagi jej matki, która odwiedzała ją co parę dni, mając pewne, ukrywane na razie podejrzenia co do prowadzenia się córki na własnych śmieciach. Ponieważ Ela czasami bywała u rodziców na obiadach, Lidia Krochmal miała jeszcze więcej okazji, aby zauważyć, że dzieje się tutaj coś dziwnego. Jej przenikliwe oko już w pierwszym tygodniu wychwyciło pewne oznaki świadczące o tym, że w życiu Eli zjawił się ktoś nowy - prawdopodobnie młody mężczyzna. Przez pierwsze dni Lidia Krochmal postanowiła nie robić żadnych pochopnych ruchów, gdyż zdawała sobie sprawę, że jak delikatną materią ma do czynienia, a poza tym przyszły zięć zadzwonił z wiadomością, że niedługo przyjeżdża na parę dni. Podzieliła się jedynie swoimi podejrzeniami z mężem, ale ten odparł krótko, że Ela już teraz od nich nie zależy i prowadzi własne życie, w które nie powinni ingerować. Lidia Krochmal nie była zadowolona.

- Rysiu, za kilka dni przyjedzie Irek - powiedziała Ela, leżąc obok Augustyna. - Dzwonił do rodziców. - Umilkła. Minęło parę minut, zanim znów usłyszał jej głos. - Powiem teraz coś, co może dla ciebie być trudne, ale nie chcę już dłużej nikogo oszukiwać.

Augustyn zamarł. A więc to stanie się teraz. Za chwilę zostaną wypowiedziane słowa, od których nie będzie odwrotu.

- Słucham.

- Przestań być księdzem - wymówiła to zdanie, wydawałoby się, bez żadnych emocji.

- Kochasz mnie. Sam mówisz, że grzeszysz, że tak ci nie wolno, a jednak nadal to czynisz.

Nie umiesz przestać. Więc zrób to. Możemy się pobrać, wszystko się ułoży. Mój ojciec nam pomoże. Chcę być z tobą.

Na wspomnienie ojca Eli Augustyn aż się wzdygnął. Spojrzał na nią. Widział, że nie kłamie, że myśli to, co mówi. Spodziewał się, że ten temat musi się w końcu pojawić, i tylko ciągle nie wiedział, czy ma o tym zacząć on, czy czekać, aż zacznie ona.

- Nie wiem - odparł. - To by było jak przejście na drugą stronę. Jak zdrada. Przerazająca zdrada, i to nie tylko braci w kapłaństwie, ale wszystkich wiernych. Przecież twój ojciec jest w SB, chyba rozumiesz.

- Ale to nie ma znaczenia! - wykrzyknęła Ela.

- Ma - odrzekł Augustyn. - Ma o wiele większe, niż sobie wyobrażasz. Ja rozumiem, że nie wciągnął cię w te sprawy, że chciał, byś miała normalne życie. Ale ze mną może to wyglądać inaczej.

- To normalne życie może być z tobą. Możemy sami sobie żyć. Ja będę nauczycielką, ty coś tam sobie powoli załatwisz. I tak jesteś świeżym księdzem. Niewiele tracisz.

- Tracę wszystko - łagodnie, ale stanowczo odparł Augustyn. - Tracę całe moje życie, wszystko, czego się nauczyłem i w co wierzyłem. Tracę szacunek ludzi, tracę przyjaciół, choć nie mam ich wielu. Tracę własną duszę. To wszystko tracę.

- Ale coś też zyskujesz, prawda? Pomyśl o mnie. Jest Irek, to dobry człowiek, ja muszę mu o tym powiedzieć. I powiem, naprawdę powiem, gdy tylko przyjedzie. - Ela przytuliła się do niego.

- Tak, zyskuję. Pozwól mi to przemyśleć.

- Jutro mi powiesz?

- Powiem.

Kiedy opuścił dom Eli, dochodziła pierwsza. Postanowił pospacerować po parku. Z głównej alejki skręcił w prawo i szedł ścieżką, która miała go doprowadzić do wiecznie suchej fontanny. Tylko co druga lub nawet trzecia latarnia miała sprawną żarówkę, toteż ze strefy światła zanurzał się w mrok, aby po chwili znów wejść na oświetlony obszar. Miał na sobie letnią kurtkę zarzuconą na sutannę, co okazało się stanowczo zbyt słabą ochroną przed chłodem.

Słyszał o księżach porzucających swoją posługę. W ustach braci kapłanów byli zdrajcami pozbawionymi honoru; w jednej chwili tracili estymę należną duchownym; nie znaczyli nic, dla swoich braci nie byli już osobami - przestawali istnieć; tak jakby ich postępek, szczerza rezygnacja, stawiały ich automatycznie poza ludzką społecznością. Nie wiedział, jak sobie radzili, czym się zajmowali, czy ich życie było dobre i religijne, czy wraz

z odejściem tracili wiarę. Słyszał tylko, że pobłdzili i zadali cios autorytetowi Kościoła, że ich powołanie nie pochodziło z serca, ale z podszeptu szatana. Czy miał w sobie odwagę na taki krok? Odpowiedzialność wobec wspólnoty czy dążenie do własnego szczęścia z drugim człowiekiem - co ma większą wartość? Czy więcej dobra będzie czynił jako kapłan? A może to jest niepoliczalne i nie ma czegoś takiego jak ilość dobra, wielkość dobra lub jego jakość, a każdy mądry i uczciwy wybór znajdzie u Boga właściwą ocenę. Czy uczyniłem Ci zło, Boże? Wiążąc się z tą kobietą, wyrządziłem Ci zło? Czy kogoś skrzywdziłem? Nie, Panie, Ty wiesz, że poza sobą nie skrzywdziłem nikogo. Pozwól mi zrobić to, co miłe będzie Tobie. Jeśli zrezygnuję z jednego sakramentu, aby z pełną wiarą oddać się innemu i dać szczęście kobiecie, to przecież zadowolę Cię, czyż nie? Postąpię sprawiedliwie i szlachetnie. Panie, Ty wiesz, że to nie poddanie się słabości, jak myślą inni, bo coś silniejszego niż wszystkie słabości mego ciała i duszy wzywa mnie teraz do bycia mężnym i prawdomównym.

A jeśli to poryw chwili i cała ich miłość rozplynie się w codziennym, najpewniej trudnym życiu? Jak się ma ta miłość do człowieka w obliczu największego możliwego uczucia - miłości do Boga Jedyne? Coś płytkiego, pełnego niepewności, podatnego na zmiany, wobec stałości bezwarunkowej i wiecznej. Czy miłość między nimi jest już na zawsze? Nie przemienie? A co z jego poświęceniem, tymi latami nauki, rozmyślań, modłów, umartwień - co z tym wszystkim? Co z Bogiem, co z jego wiarą? Ale przecież ona nie przemija, wiara nie przemija wraz z tym. Ja nadal jestem taki sam, Panie, nadal Kocham Cię jednakowo, i nadal pragnę Ci służyć. Ta miłość jest szlachetna, jest dobra. Jeśli oni mnie potępiają, czy Ty potępisz mnie także?

Usiadł na ławce. Po drugiej stronie parku, w odległości może trzystu metrów, stał dom, w którym się wychował. Matka pewnie spała. Znów poczuł, że świat wokół nie wygląda, jakby istniał naprawdę. Ogarnęło go poczucie winy. Wobec Ambrozego, który tak bardzo w niego wierzył; wobec matki, takiej dumnej po jego ostatnich kazaniach; wobec wiernych, których oszukiwał, słuchając ich spowiedzi, choć był nie mniej grzeszny. Jestem winny wszystkich złych rzeczy, które przysięgałem naprawiać. Sam stałem się narzędziem. Więc tak do mnie dotarłeś, szatanie. Tak mnie pokonałeś.

Potrząsnął głową - nie, nie wolno mu tak myśleć, gdyż to by oznaczało, że zło, jakie czynią on i Ela, jest największe i nic go nie naprawi. Co mam robić? A może...

Dostrzegł jakiś ruch. Od strony alejki, skąd przyszedł, zobaczył niewyraźne zarysy ciemnych postaci. Czterech mężczyzn zbliżało się, paląc papierosy. Odgłos kroków na żwirowym podłożu mieszał się z niskimi głosami.

Augustyn przyjrzał się im uważnie. Albo wracali z pijackiej nasiadówki, albo... sam

nie wiedział, dlaczego przyszło mu na myśl to, co mówił Ambroży: „Niech ksiądz będzie ostrożny. To ludzie zdolni do wszystkiego”. Szli w miarę równo, więc trudno mu było ocenić, jak bardzo są pijani. Byli zbyt daleko, aby rozpoznać twarze. Przyszło mu na myśl, że samotny ksiądz, siedzący na ławce w parku o pierwszej w nocy, to dość niezwykły widok. Zastanawiał się przez moment, czy nie wstać i nie pójść szybko na plebanię, ale ostatecznie postanowił nie ruszać się z miejsca. Nagłe odejście w pośpiechu mogło tylko wzbudzić w nich podejrzenia.

Gdy byli już zupełnie blisko, Augustyn rozpoznał w jednym z nich Andrzeja Młynarskiego, pozostałych nie znał. Dawny kochaś Eli zatrzymał się o kilka kroków od niego.

- Niech będzie pochwalony - powiedział. - To teraz tu się na modły przychodzi?

Augustyn zauważył, że Młynarski jest pijany, nie bardzo, ale wyraźnie. Jeden z jego kompanów usiadł na ławce obok niego.

- Do Boga modlić można się wszędzie - odparł Augustyn, próbując odgadnąć, skąd się tutaj wzięli. Wydało mu się dziwne, że tak nagle zatrzymali się i otoczyli go ze wszystkich stron. Spojrzał na księżyc. Nagle poczuł, że osobnik siedzący obok łapie go za rękę.

- Trzymej go, kurwa! - rzucił inny. Któryś chwycił go za szyję i mocno pociągnął do tyłu. Grube palce zacisnęły się na gardle, uniemożliwiając oddech. Augustyn próbował wyrwać rękę z uścisku, ale nie miał dość siły. Pierwszy cios trafił go w brzuch, drugi w lewy bok. Usiłował krzyknąć, ale jeden z napastników zatkał mu usta śmierzdzącą, szorstką dłonią.

- A to chuj! - usłyszał głos. - Trzymej go, do chuja!

Podjął ostatnią próbę, aby się wyrwać. Napiął wszystkie mięśnie, lecz bez rezultatu.

- Bier go! Tam, kurwa, do cienia go.

Mężczyźni zaciągnęli Augustyna w cień, pod drzewa. Szamotał się i wił, nie miał jednak najmniejszych szans. Trzy czy cztery kopnięcia sprawiły, że w jednej chwili stracił resztki siły, a ból zdławił ostatnią wolę oporu. Zobaczył nad sobą twarz Andrzeja Młynarskiego.

- No i co? Jak ci... teraz... chuju? - Młynarski, mówiąc to, zadawał mu kolejne ciosy w brzuch. Następnie chwycił go za brodę i przyłożył do szyi ostrze noża. - Dobrze ci? Zaraz ci się poprawi.

- Andrzej... - Jeden z kompanów chwycił go za ramię.

- Odpiardol się! - krzyknął Andrzej Młynarski. - Wiem, kurwa, nie bój się! No i co? Ja cię, kurwa, pamiętam. Taki z ciebie księżulek, co? Kurwić się chce? To ci się teraz odechce, chuju jebany - powiedział i zwrócił się do reszty. - Trzymejta go, kurwa!

Augustyn poczuł jeszcze kilka ciosów w uda i bok. Osłabł zupełnie. Trzymali go za ręce. Ktoś podciągnął mu sutannę i zaczął rozpinać spodnie.

- Andrzej, co ty, kurwa, robisz? Miał być tylko łomot, nie, kurwa? Nie po mordzie miało być, bez farby.

- Kurwa! Nie pierdol! - Andrzej Młynarski manipulował przy rozporoku spodni Augustyna. - Łomot był, jak miało być. Ja mu tylko dołożę z mojej, kurwa, kasy - rozpiął suwak i zaczął ściągać spodnie. - Teraz ci, kurwa, pokażę, skurwysynu święty. Łap mu te ręce, kurwa!

- Co ty, kurwa, chuja mu chcesz uciąć? Ja pierdołę, kurwa, księdzu chuja odetnie.

Augustyn zrozumiał, że nie zdoła się obronić. Śmierząca dłoń zatykała mu usta i nos. Prawie nie mógł oddychać. Resztkami sił wyszarpnął nogę z uścisku i uderzył Andrzeja Młynarskiego kolanem. Chwycili go mocniej.

Młynarski zaklął i dzielił go łokciem w klatkę piersiową.

- Ciepiesz się! Ciep się, kurwa - powiedział i nachylił się nad nim. - Trzymej mu, kurwa, te nogi!

Augustyn poczuł, że Andrzej Młynarski ściska mu jądra. Starał się krzyknąć, ale mocna dłoń przywarła mu do ust. Przez załzawione oczy spojrzął na gwiazdy. Konstelacja Małej Niedźwiedzicy jaśniała mu niemal nad głową. Cięcie było szybkie, fachowe. Jeden precyzyjny ruch. W pierwszej chwili Augustyn nic nie poczuł. Tylko w jego świadomości błysnęła myśl, że właśnie stało się coś przerażającego. Między nogami poczuł ciepłą krew. Ból wystrzelił jak wciśnięty w trzewia granat.

Trzymali go nadal. Andrzej Młynarski coś syknął przez zęby. Wstał. W ręce trzymał zakrwawiony strzép ciała.

- No, ciulu, już se nie podupcys - mówiąc to, rzucił obok głowy Augustyna odciętą mosznę i kilka razy przydeptał obcasem. - Ale nie bój się, tera toś jest ksiądz, a nie chuj. A tylko, kurwa, coś piśnij. Tylko coś, kurwa, piśnij, to za tatusiem pójdzie mamusia. Żebyś se to zapamiętał.

Puścili go. Zwinął się w kłębek, próbując powstrzymać krzyk. Całe ciało przeszywał mu ból nie do zniesienia.

- Andrzej, weź to, kurwa, zakop czy coś - powiedział jeden z nich.

- Nie bój się. Idziemy. Pierdol to. Psy zjedzą - odparł Andrzej Młynarski. - Ale fachura, co?

- Ty, kurwa, a jak on tu wykituje? Farba mu leci jak chuj.

- Poleci i przestanie. Idziemy. Jakbyś byka kiedy kastrował, tobyś, kurwa, wiedział.



Odeszli w kierunku kościoła. Augustyn nie podnosił się przez kilka minut. Czuł, że krew upływa z jego ciała, i zdał sobie sprawę, że będzie coraz słabszy. Jeżeli nie uzyska pomocy, wykrwawi się na śmierć. Najbliżej było do domu matki.

Wpuściła go przerażona tym, co zobaczyła. Kiedy krzyknęła, że zaraz do kogoś pobiegnie, żeby zadzwonić na pogotowie, Augustyn stanowczo zaprotestował. To ona musiała mu teraz pomóc, nie, nikt nie może się dowiedzieć, niech powiedzą proboszczowi, że go pobili, ale o tym - ani słowa. Stefania Płaczek miała doświadczenie pielęgniarskie i natychmiast fachowo zaczęła tamować upływ krwi. Płacząc, przeklinała złych ludzi, którzy w imię szatana tak postąpili z jej synem.

- Kto to był? A widzisz - mówiła, otwierając świeży bandaż - to po tych kazaniach twoich. Od razu się im to nie spodobało. Ale żeby tak od razu? Nie mogli ci najpierw czegoś powiedzieć? Tylko zaraz do bicia, i... i to jeszcze?

Było już po trzeciej, kiedy Stefania Płaczek pobiegła na plebanię. Proboszcz Ambroży nie spał, miał złe przeczucia.

- Pobili go, pobili, proszę księdza! - zawołała przez łąki. Ambroży usiadł przy jego łóżku i odmówił modlitwę. Rozmawiali cicho. Augustyn powiedział, że napadli go, kiedy wracał na plebanię, około dziesiątej, gdzieś go zaciągnęli i pobili, aż stracił przytomność. Obudził się i poszedł do matki. Nie wie, co to za ludzie, nie umiałby ich rozpoznać.

- Proszę księdza proboszcza - powiedział - nie chciałbym, aby to rozgłaszać. Nie wiadomo, do czego są zdolni, a to już nie tylko o mnie chodzi. Rozumie ksiądz. Bardzo o to proszę.

- Ludzie i tak się dowiedzą, ale mówić o tym za dużo nie należy - zgodził się Ambroży.

Przez następny tydzień Augustyn nie opuszczał domu matki. Powoli dochodził do siebie. Zgodnie z przewidywaniami, po mieście rozeszła się plotka, że podobno młodego księdza ktoś pobił. Kiedy więc zjawił się wreszcie w kościele, aby znów odprawić mszę, parafianie patrzyli w niego jak w obraz. Ich młody ksiądz, tutejszy, wychowanek tej parafii, pobity przez tych typów.

Przez pierwsze dni Ela nie wiedziała, co się stało. Rysio nagle zniknął. Przecież miał jej powiedzieć, i to następnego dnia, co zamierza, ale nie zjawił się więcej. Rozumiała, że potrzebował czasu, i była gotowa poczekać na jego decyzję, która - tego była pewna - miała ich połączyć w parę, ale kiedy przez trzy dni nie otrzymała od niego żadnej wiadomości, zaczęła się niepokoić i postanowiła pójść na plebanię. Tam pani Lucyna spojrzała na nią wyniośle i rzekła:

- Księdza pobili, to pani o tym jeszcze nie wie?

- Jak to pobili? Kto pobił?

- No, to już niech pani raczej ojca się spyta.

Włodzimierz Krochmal na pytanie córki zrobił zaskoczoną minę. Nie, nic nie wie na ten temat. Słyszał, że podobno jakiegoś tam księdza ktoś pobił, ale skąd on ma wiedzieć coś o tym? Ela odeszła z niczym. Nie wiedziała, że ojciec okłamał ją, jak wiele razy wcześniej. Wiedział wszystko o jej spotkaniach z Augustynem. Kiedy bowiem żona zwierzyła mu się ze swojego niepokoju i domysłów, że ktoś nowy zjawił się w życiu ich córki, tego samego dnia podjął odpowiednie kroki. Dzień później już wiedział, o kogo chodzi. Nie chciał, aby tą sprawą zajmował się resort. Wybrał swego mało ważnego TW, z którego usług kilka razy już korzystał. Andrzej Młynarski otrzymał proste zadanie: nieco potarmosić księżulka, nie zanadto, tylko żeby poczuł. To wszystko. Włodzimierz Krochmal nic nie powiedział żonie. W swoim mniemaniu postąpił słusznie, najlepiej jak mógł. Pozwolić na to, aby jego córka marnowała sobie życie w tak głupi sposób, nie mógłby - jego zdaniem - żaden ojciec. Cóż znaczył ten marny księżulek wobec jego córki i jej dobra?

Ostatni list, który Ela otrzymała od Augustyna, przywędrował do niej w dzień przyjazdu Irka. Był krótki i stanowczy w treści: ksiądz informował ją, że wszelkie kontakty między nimi, poza sprawami ściśle religijnymi, są wykluczone.

I to było wszystko. Potworna treść w dwóch zdaniach.

Ten krótki list Ela przechowywała przez wszystkie lata razem z innymi, złożonymi na strychu, w dyskretnym miejscu. Od reszty różnił się tym, że nie był podpisany, nie miał daty, był pozbawiony nagłówka. Przeczytała go tylko dwa razy. Wtedy, gdy dostała go do rąk, i drugi raz, kiedy wiele lat później wybierała się do Augustyna, po tym, jak wymienili esemesy. Przejrzała wszystkie stare listy i na koniec jeszcze raz rzuciła okiem na ostatnią wiadomość.

Siedząc u niego w pokoju i patrząc na listy od jego matki, poczuła chęć wznowienia ich dawnej korespondencji. Spojrzała na niego, kiedy wreszcie dotarł do ostatniego guzika i zdjął sutannę.

- Kiedyś to lubiłem - rzekł z uśmiechem - ale odpinanie ich wszystkich po pewnym czasie zaczyna nużyć.

Złożył sutannę na oparciu krzesła i dolał sobie wina.

- Rysiu, dlaczego wtedy, na koniec, napisałeś tak krótko i brutalnie? Wyszedłeś wtedy i nagle koniec. To dlatego, że cię pobiły jakieś typy? Bałeś się? Kto to w ogóle był? Wiesz, co mówili ludzie, że... służby na ciebie szukały haka, nawet o mnie coś przebąkiwali, a potem, że byłeś taki odważny, to cię pobili. Pamiętasz? To były plotki, ale przez jakiś czas sąsiedzi

dziwnie na mnie patrzyli. Irek się dopytywał, bo ktoś mu doniósł, że chciałam księdza zwerbować, wyobrażasz sobie?

- Bałem się, Elu, tak. Wtedy zrozumiałem, że przeciwko nam jest i Bóg, i ludzie, a z takiej matni nie da się wyjść.

- Ale tylko dlatego, że cię pobili?! Przecież mogłeś to zgłosić, podać ich rysopisy, to małe miasto, znaleźliby na pewno.

- Elu, ja znam tych ludzi, to znaczy znam jednego. Ale to już nie ma dziś znaczenia.

- Jak to? Więc wiedziałeś cały czas i nic nie zrobiłeś?

- Co mogłem zrobić? Grozili mi śmiercią. Zresztą nie tylko mnie. To było zlecenie, wykonywali czyjś rozkaz czy jak to tam nazwiemy. Byliśmy młodzi i naiwni, wiesz, nie wiedzieliśmy nawet, że wokół nas ciągle dzieje się coś, czego nie widzimy.

- Chcesz powiedzieć, że nas szpiegowali? Ja... wiesz, ja... pytałam ojca później, on o niczym nie wiedział. Ale kto to był? Czemu nigdy nie powiedziałeś?

- Elu, nie ma potrzeby do tego wracać, nie dziś. Posiedźmy sobie, porozmawiajmy jak dawniej, po co drążyć stare dzieje. Dziś mam ważniejsze sprawy na głowie. Relikwia zdobywa popularność. Widzisz, co się dzieje. Ludzie wierzą, nawet młodzież przychodzi liczniej niż kiedyś.

- A twoja matka? Tylko dlatego cię przeklęła?

- To jest najdziwniejsza rzecz, nie rozumiem tego. Powiedziałem jej o nas rok czy dwa lata później. Opowiedziałem jej, że nosiłem się z zamiarem rzucenia sutanny, że pokochałem cię chyba bardziej niż Boga. I ona nie mogła tego pojąć ani zaakceptować. Przestała przychodzić na moje msze, nazwała mnie księdzem Judaszem, zdrajcą, szatanem i w ogóle. Staralem się, naprawdę. Na próżno. A teraz ona tak się nagle zaczyna ku mnie zwracać. Ale dajmy już temu spokój.

Dla Eli nadal nic nie było jasne. Trzymała w ręku kieliszek martini i przesuwiała po nim palcem. Nadal nie rozumiała tłumaczenia Augustyna. Gdzie motywy, gdzie prawdziwa przyczyna? Tak po prostu przestał do niej przychodzić, nie chciał jej już widywać, kochać się z nią? Wszystko miało przepaść przez kilku oprychów?

- Rysiu, ale ja nie rozumiem, jak mogłeś mnie tak potraktować! - rzekła zdenerwowana. - Tylko ten okropny list przysłałeś. Mogłeś chociaż spotkać się ze mną ostatni raz, porozmawiać. Przecież ja nie wierzę, że tak nagle wszystko z ciebie uszło. Tak po prostu sobie to powiedziałeś i już?

- Elu, może nie powinienem ci tego mówić, ale właściwie dziś i tak nic to nie zmienia. Widzisz, kochałem cię nadal i tylko ja wiem, jak było mi ciężko bez ciebie, z jaką

determinacją próbowałem oddać się tylko posłudze i nie myśleć o tobie. Ale było jeszcze coś. Widzisz, jest jedna rzecz, o której wie tylko kilka osób. Oni wtedy nie tylko mnie pobili.

- Nie tylko?

- Nie, oni mnie wykastrowali. Ela oniemiała.

- Co? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Tak, wykastrowali. Wycięli mi jądra, jeśli mam być dokładny. Dobrze, że tylko tyle. Grozili, że zrobią coś więcej. I jestem pewien, że chodziło o nas. O mnie i o ciebie. Musieli nas obserwować. I pobili mnie. Dzięki temu zostałem księdzem wielbionym, walczącym z systemem, wiesz, takim pokrzywdzonym, szlachetnym kapłanem, który się nie poddaje i nie boi. A przecież byłem tym, który bał się najbardziej. Słuchasz mnie? Najbardziej.

- Ale kto? Powiedz mi, proszę cię. - Ela niezbyt dokładnie zapamiętała, co jej mówił w tej chwili. Ujrzała obraz potwornego zdarzenia sprzed lat i łzy nabiegły jej do oczu.

- Elu, kochana, do niczego to nie prowadzi. - Augustyn podszedł do niej i objął jej szyję. - Powiem ci tylko, że to ktoś, kogo oboje znamy. Ale nic więcej, i nie prosz o to. To stare dzieje.

- Nie! - krzyknęła Ela. - Te stare dzieje zdruzgotały moje i twoje życie! Kurwa, Rysiek, nie rozumiesz?

- Nie uważam, żeby całe moje życie było bezowocne albo przegrane. Jako kapłan...

- Przestań! Czy ty nie pojmujesz, że oni nas pozbawili czegoś ważnego?

- Elu, troszkę ciszej. Nie oni. To ja się wystraszyłem. To ja nas pozbawiłem wszystkiego. To ja... - Zabrakło mu słów.

Ela zwróciła ku niemu twarz i powiedziała cicho:

- Janusz to twój... - Nie była w stanie dokończyć.

- Tak. Domyślam się, że to mój syn. Od dawna. Szczupły taki, jak sam kiedyś byłem, a teraz widzisz, jaki ze mnie kloc. To efekt kastracji zresztą, bardzo się przybiera na wadze.

- I nie widzisz, że to wszystko ich wina? Że nie pozwolili nam na to? Że to, co ci zrobili, przekreśliło całe nasze życie?

- Elu, dajmy już spokój. Mam radę, przyjdź do kościoła, pomódl się, popatrz na relikwię. To wspaniałe znalezisko. Ludzie tak się do tego garną.

- Rysiu, dajże spokój. Ja do modlitwy?

- Przyjdź z Januszem, będzie mi miło widzieć was razem.

- Ależ ty pieprzysz. Janusz nigdy nie dowie się, że to ty. Nigdy.

- Wcale tego nie chcę. Mógłby to ciężko przeżyć. Więc przyjdź sama. Usiądź w ławce, będę na ciebie patrzył podczas mszy. Bóg nam pobłogosławi.

- To ty wierzysz? Jak pamiętam, już wtedy miałeś wątpliwości. I co, nadal się modlisz?

- Bóg nie jest po to, żeby w Niego wierzyć, ale po to, żeby do Niego mówić. To wystarczy, to bardzo wiele.

- To znaczy, że mówisz nie do Boga, tylko do siebie samego.

- Tak, można tak powiedzieć. Grzeszę. Przez całe życie grzeszyłem - jako ksiądz, jako mężczyzna. Nie wiem teraz, jak z tego wybrnąć. Jedyna moja pociecha, że nieraz ratowałem ludzi w potrzebie. Ale ja sam jestem stracony. I dla Boga, i dla Kościoła, i dla siebie.

Dochodziła druga, kiedy Ela włożyła płaszcz. Augustyn podszedł i objął ją, przycisnął do siebie i delikatnie pocałował w szyję. Przytuleni stali tak przez kilka minut w milczeniu.

- Mogę przyjść jeszcze? - spytała.

- Teraz przez jakiś czas lepiej nie - odparł. - Mam przecucie, że czeka mnie parę trudnych rzeczy, wiesz, w związku z relikwią. Muszę mieć zupełny spokój. Dam ci znać, jak wszystko się uspokoi.

Ela spojrzała mu głęboko w oczy. Kłamał czy mówił prawdę? Grał czy był szczery?

- Mówisz poważnie?

- Tak. Zadzwoń, jak będzie po wszystkim. Obiecuję. Odprowadził ją na werandę. Na schodach odwróciła się i pocałowała go w usta. Głęboko i namiętnie, jak dawniej.

## Rozdział 9 - Rozpoznanie

Zza okna gabinetu burmistrz Krystyny Cieślikowej rozpościerał się widok na ulicę Drewnianą. Jej nazwa, wywodząca się podobno od szeregu połączonych drewnianych domków, dawno już nie pasowała do obecnego wyglądu centralnej części miasta. Po obu stronach wznosił się ciąg dziewiętnastowiecznych piętrowych kamienic. Ulica biegła wąskim tunelem i przechadzając się tędy, można było odnieść wrażenie, że wilgotne ściany w kolorze ołowiu nachylają się ku sobie i tworzą kamienny szpaler ponad głowami spacerujących i dachami samochodów. Każdą z dostojnych budowli zdobiły kolorowe reklamy i szyldy sklepów, dlatego kamienice z posępnych ruinopodobnych kłoców zmieniały się w równie posępne, tyle że pokryte pstrokacizną, jakby ktoś na ich długowieczny naskórek położył kilka plam współczesności. Drewniana była główną ulicą miasta. U jej początków stał dworzec PKP, dalej plackiem rozpościerał się plac, z niego wchodziło się w szpaler kamienic, by kilkaset metrów dalej dotrzeć do skrzyżowania z ulicą gen. Stefana Grota-Roweckiego. Urząd miejski znajdował się pośrodku owego szpalera, w miejscu, gdzie równy ciąg kamienic został brutalnie przerwany w czasie wojny niemieckimi pociskami pancernymi. Właśnie tutaj na początku lat pięćdziesiątych powstał socrealistyczny gmach magistratu z odpowiednio zaadaptowaną wolną przestrzenią dookoła.

Krystyna Cieślik opierała się o wysoki parapet i patrzyła z wysokości drugiego piętra urzędu, jak na jej miasto spada ulewa stulecia. Dawno czegoś takiego nie widziała - woda wylewała się z rynien jak z hydrantu. Stare kamienice zdawały się opłakiwać swój los. Na szczęście od wschodu nadchodziło wybawienie, niebo z ciemnosinego zmieniło się w jasnoszare.

Pani burmistrz podeszła do biurka i pociągnęła łyk kawy rozpuszczalnej, której resztki pozostały po spotkaniu z prezesem Towarzystwa Budownictwa Społecznego. Dochodziła dziesiąta. Nie jest źle, przed uroczystością nadania przedszkolu imienia nowego patrona zdąży jeszcze przejrzeć gazety. Później tylko chwila przed lustrem, dopieszczenie makijażu i można zasuwać do przedszkola, aby zadośćuczynić obowiązkowi reprezentacyjnemu.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła Adriana Kuzimska, od trzech miesięcy zasiadająca w sekretariacie.

- Pani burmistrz, jakiś ksiądz czeka. Nazywa się Wilczyński - powiedziała, zbliżywszy się do biurka.

- Jak to - zdziwiła się Krystyna Cieślik - tak bez zapowiedzi? Mówił, czego chce?

- Nie, powiedział tylko, że reprezentuje kurię. Burmistrzowa drgnęła. Namyślała się przez chwilę i w końcu rzekła:

- Powiedz mu, że go przyjmę za dziesięć minut. Niech zaczeka.

Rozparła się w fotelu. Wilczyński. Nie, to nazwisko nic jej nie mówiło. Ale skoro to wizyta z kurii, to bez wątpienia chodzi o Augustyna. Tylko po co tu? Dlaczego przyszli do niej? Że się angażuje, że wspiera? Co w tym złego? Robi to dla dobra wszystkich, a że trochę przy tym wypromuje siebie, to zaraz piętnować?

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Augustyna. Nie odbierał, więc wystukała komórkę Eli Rymanek. Po chwili usłyszała jej zaspany głos.

- Co ty, śpisz? - spytała.

- Nie, już nie - słabo odparła Ela, która ciągle leżała w łóżku.

- Słuchaj, coś mi tu nie gra. Powiedz Januszowi, że jakiś ksiądz z kurii przyjechał, niech przekaże księdzu. Nie wiadomo, co węższy.

- Z kurii? Ale gdzie przyjechał?

- No... - burmistrzowa nagle się zawahała, jej wzrok szybko przebiegł sufit od ściany do ściany - tu, do miasta, tak słyszałam, że podobno z kurii. Muszę kończyć, no na razie, pa.

Zakłęła, zła na siebie. Ten telefon był niepotrzebny, a jeśli już, to powinna zadzwonić po rozmowie z tym księdzem. Taka stara wyjadaczka, a głupia jak but. Podniosła słuchawkę i kazała poprosić gościa.

Do gabinetu wszedł postawny mężczyzna, starzejący się, ale jeszcze nie stary, i prawdopodobnie w dobrej kondycji fizycznej jak na swój wiek. Ubrany był w ciemny garnitur, pod brodą biała koloratka. W prawej ręce trzymał czarną laskę z posrebrzaną gałką. Pani burmistrz uśmiechnęła się, wstając, co on przyjął lekkim skrzywieniem warg. Na jej „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, odpowiedział krótko „Na wieki wieków”, po czym zajął krzesło, które mu wskazała, i założył nogę na nogę.

- Rzadko się zdarza, żeby przedstawiciel kurii odwiedzał burmistrza miasta w jego gabinecie, a przy tym tak nieoczekiwanie - powiedziała Cieślikowa, starając się być maksymalnie miła i dyplomatyczna zarazem.

- Tak. To prawda, pani burmistrz - sucho odparł Wilczyński i ogarnął spojrzeniem gabinet z miną wskazującą wyraźnie, że wystrój pomieszczenia z brązową boazerią, do której podoczepiane były dyplomy, zdjęcia, kalendarze, wydał mu się nieudolnym połączeniem przytulnego szyku z neonowym prostactwem, emanującym z gablot z mało ważnymi pucharami.

- Czego się ksiądz napije? - Cieślikowa położyła dłoń na słuchawce.

- Dziękuję, nie trzeba. Zajmę pani burmistrz niewiele czasu. - Wzrok Wilczyńskiego sunął po twarzy burmistrzowej, później przemknął na szyję, bez wahania objął biust i na koniec zatonął w jej oczach. - Mam też do załatwienia kilka ważnych spraw. Dlatego podziękuję za poczęstunek. Wolałbym od razu przejść do rzeczy. - Władczy ton kapłana niezbyt pasował do wyobrażenia burmistrzowej o księżach. Na dodatek ta pretensjonalna laska, o którą oparł dłonie, sprawiła, że wydawał się tyle śmieszny, co straszny.

Krystynie Cieślik nie spodobała się nonszalancja, z jaką ją potraktował. Poczuli brak szacunku z jego strony.

- W takim razie, czego ksiądz sobie życzy? - spytała, odchylając się na oparcie fotela.

Wacław Wilczyński momentalnie zauważył, że burmistrzowa przestała udawać życzliwość. Nie przejął się tym zanadto. Wsparł laskę na podłodze i położył na gałce lewą dłoń.

- Skoro rozmawiamy w ten sposób, powiem otwarcie. Moje życzenie jest bardzo proste. - Przerwał, popatrzył Cieślikowej w oczy i podjął: - Chciałbym, żeby pani burmistrz raczyła się powstrzymać od energicznego popierania proboszcza

Płaczka w jego ostatnich działaniach.

Cieślikowa przymrużyła oczy. Czy on jest normalny?! Tajemniczy ksiądz rozsiewał wokół aury pewności siebie i pani burmistrz pomyślała, że gra niczym aktor, który dobrze wie, jak skończy się rozmowa. O nie, kochasiu, tak dobrze nie będzie, pomyślała i rzekła z lodowatym uśmiechem:

- Proszę księdza, ja jestem głęboko wierzącą katoliczką, praktykującą i zawsze wspieram i wspierałam Kościół. Jako osoba prywatna i jako burmistrz tego miasta. Więc proszę mi nie dyktować, co mam robić, a czego nie. Wchodzi ksiądz do mojego gabinetu i obcesowo wydaje polecenie. Dobrze znam wielu różnych kapłanów i bardzo ich cenię, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkałam.

Na księdzu Wacławie przemowa Cieślikowej nie zrobiła żadnego wrażenia. Najmniejszym ruchem nie zdradził, co dzieje się w jego głowie. Nie spuszczał z niej wzroku i milczał. Po paru sekundach zwrócił twarz w stronę krucyfiksu wiszącego nad jej fotelem. Cieślikowa poczuła się zdezorientowana. Do cholery, co to, jakiś wariat?

- Czy ksiądz raczy coś powiedzieć? - spytała.

- Pani burmistrz - zaczął - nie spotkała się jeszcze z wieloma rzeczami, z jakimi w najbliższych dniach zapewne się pani spotka. - Znów wpatrywał się w nią intensywnie. Zimne szare oczy wbijały się w nią jak dwa sztylety i przez chwilę pani burmistrz miała wrażenie, że ksiądz penetruje jej umysł.



Cieślikowa myślała szybko. Coś jest nie tak. Ten ksiądz nie jest tu przypadkiem. Szykują coś na proboszcza i są pewni, że im się uda. Albo chcą mnie zakasować, albo mieć po swojej stronie. On bada moje nastawienie. Co wiedzą? Co zamierzają?

- Mogłabym powiedzieć, że jestem oburzona. - Sięgnęła po kawę, ale zorientowała się, że w filiżance nic nie ma. Siedzący naprzeciw człowiek w jakiś dziwny sposób sprawił, że Cieślikowa po raz pierwszy w życiu poczuła się skrępowana we własnym gabinecie.

- Ale pani tego nie powie - przerwał jej Waław. - Pani wcale nie jest oburzona. Teraz jest pani zaniepokojona, a to zupełnie inne odczucie. Zanim wyjdę, coś pani powiem. Przyjechałem dziś i pierwsze kroki skierowałem do tego gabinetu. Spyta pani, dlaczego? Już mówię... proszę mi nie przerywać! - Ksiądz uniósł rękę, co było pierwszym gestem, jaki uczynił od chwili, gdy zasiadł na krześle. - Sprawa proboszcza Płaczka skazana jest na przegraną, a on sam zostanie napiętnowany i z całą pewnością będzie musiał opuścić to miasto. Stanowisko Kościoła będzie jasne i sceptyczne, czego należało się spodziewać. O innych reperkusjach nie musi pani wiedzieć. Natomiast wspierając go, wpędzi się pani w kłopoty. Chyba pani to rozumie. Wiem, ile znaczą dla pani głosy ludzi, ile poparcia zdobyła pani dzięki życzliwości naszych kapłanów w tutejszych parafiach. Zapewne nie chce pani, aby to się zmieniło, prawda? - Ksiądz Waław zawiesił głos, czekając na potwierdzenie, ale Cieślikowa milczała, patrząc gdzieś za okno. - Wydaje pani publiczne pieniądze na przegraną sprawę - ciągnął Waław. - Za to też się oberwie, i to zdrowo. Chcę w związku z tym, aby przemyślała pani wszystko i jak najprędzej, a najlepiej od dzisiaj, przestała tak mocno mu pomagać. W jakiegokolwiek formie.

Zamilkł i czekał. Cieślikowa poczuła, jak żołądek skręca się jej w żywy supeł. Nie wiedziała, co powiedzieć. Już wcześniej zakładała możliwość podobnej sytuacji i mówiła sobie, że nie da się przekabacić. Relikwia była zbyt dobrym materiałem na promocję jej drugiego z rzędu burmistrzostwa i całego miasta. Ona właśnie, Krystyna Cieślik, mogła je rozślawić niczym nową Jasną Górę. Wmawiała sobie, że gdy tylko Kościół wystąpi przeciw objawieniu, ona stanie przy Augustynie i będzie go bronić, tak jak inni ludzie. To będzie ich wspólne przedsięwzięcie, wspólna - ramię przy ramieniu - walka o szacunek dla świętych kości. Cóż za piękny przykład obywatelskiego i religijnego poświęcenia. Wszyscy będą o tym mówić. Cały czas była pewna, że się nie cofnie i raczej podejmie ryzyko, niż zmieni front. Ale ten dziwny ksiądz o magnetycznym spojrzeniu i głębokim głosie wprawił ją w rozterkę. Zaskoczona tym, że dzieje się to tak błyskawicznie, zrozumiała, że jej wiara w powodzenie przedsięwzięcia zaczyna się chwiać.

- Czy pani burmistrz wreszcie mi odpowie? - zapytał swobodnie Waław.

Oderwała wzrok od okna i sięgnęła po filiżankę, ponownie stwierdzając, że jest pusta.

- Co to za podstępne metody? I to Kościół tak postępuje? - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Ksiądz Wacław drugi raz podczas wizyty u burmistrzowej wykrzywił wargi.

- To nie są metody Kościoła - odparł. - To są moje metody.

- Ksiądz to Kościół.

- Ksiądz to ksiądz, a Kościół to Kościół. Niech pani burmistrz to dobrze pojmie.

Wracając do rzeczy, jaką otrzymam odpowiedź?

Cieślikowa czuła, jak pewność siebie uchodzi z niej szybciej niż z przedziurawionej opony.

- Zastanowię się - powiedziała cicho.

- To mi wystarczy. - Wacław wstał. - Widzę, że jest pani rozsądna i postąpi pani rozsądnie. Żeby panią uspokoić, dodam, że wspieranie herezji jest ogromnym błędem, dlatego stosując się do moich rad, czyni pani wielkie dobro Kościołowi.

- Ale gdzie tu herezja?

- To niemodne dziś określenie najlepiej oddaje wyczyny księdza Augustyna. To heretyk. No, ale na mnie czas. Było mi bardzo miło. Zostawiam wizytówkę, gdyby chciała mi pani coś powiedzieć. Szczęść Boże, pani burmistrz.

Drzwi zamknęły się za nim. Cieślikowa sięgnęła po wizytówkę. Wikariusz pomocniczy, przeczytała.

- Też mi pomoc - wyszeptała do siebie.

Wilczyński, opuściwszy magistrat, skierował się prosto do swojego passata. Wizyta u pani burmistrz przebiegła tak, jak sobie wyobrażał, i był już całkowicie pewien, że wsparcie ze strony władzy właśnie się skończyło. Zdążył zebrać wiele informacji i doskonale się orientował, że miasto niezwykle pomaga Augustynowi, próbując przy tym ugrać ile się da dla siebie. Burmistrzowa nie okazała się twardym przeciwnikiem. Kiedy zauważył, jak się płoni, w chwili gdy patrzył na jej biust, nie miał wątpliwości, że ulegnie.

Zbliżała się dopiero połowa dnia, a już czuł się zmęczony. Cóż, to już nie te lata, nie ten wiek. Andursz powinien wysłać kogoś innego, gdzie mu tam kręcić się po jakichś miasteczkach, niuchać, sprawdzać, po co mu to? Ruszył powoli i zaczął objeżdżać ulice. Deszcz był znacznie słabszy, ale nie ustawał i siąpił drobnymi kropelkami. Tak, pamiętał te zaułki, te wszystkie ciemne kąty, klockowate domy, które odwiedzał po kolędzie. Chociaż wiele ulic zmieniło wygląd, a tam, gdzie wcześniej była pusta przestrzeń, wyrosły nowe budynki, zaroiło się od sklepów z kolorowymi wystawami, to jednak miasto przypominało

mu dawne czasy. Kilka lat młodzieńczej posługi, jego druga parafia, ech, ile to lat, trzydzieści, czterdzieści? Coś koło tego. Poczuł nagłą tęsknotę za młodością, nawet za tymi marnymi latami w niedużym mieście. Czy ktoś mógł go tutaj pamiętać? Może któryś z dawnych ministrantów będzie w stanie go rozpoznać albo jakiś uczeń z lekcji religii. Właściwie niewiele pamiętał ze swojego pobytu w tej parafii. Barwne życie w Krakowie, później za granicą - we Włoszech i Niemczech - zatarło wspomnienia o tym, co tu robił, i poza szczególnymi przypadkami nie potrafił przypomnieć sobie dokładnie, jakie stosunki łączyły go z tutejszymi ludźmi. Pamiętał miejsca, charakterystyczne zabudowania przemysłowe i parę zabytków, kościół i plebanię, przypominał sobie proboszcza Ambrożego, paru ministrantów i jedną blondyneczkę z warkoczami, tak, ta była wyjątkowa. A, był jeszcze taki uczeń, nie ministrant, ale strachliwy jakiś, robił wszystko, czego się od niego żądało. Ponad rok do niego przychodził, na każde wezwanie, i Boga się bał bardzo. Ksiądz Wacław westchnął na to wspomnienie i poszukał w pamięci jeszcze kogoś, ale reszta pozostawała zakryta.

Tłumek przed kościołem upewnił go, że opowieści Korala nie były przesadzone. Z przyjemnością przyjrzał się świątyni, niewidzianej od tylu lat. Nadal przyciągała uwagę wyniosłym dostojeństwem. Spostrzegł, że plebania też niewiele się zmieniła. No, będzie jak w domu.

Zostawił samochód na podjeździe i wymijając grupki ludzi, wszedł do kościoła. Prawie wszystko było tak samo. Dwa rzędy starych ławek, przybrudzona posadzka, obrazki ze stacjami Drogi Krzyżowej po obu stronach. Na prawej ścianie, na wysokości ołtarza, ciągle widniał stary fresk z przedstawieniem Świętej Marii o zmrużonych powiekach, co w jego odczuciu odbierało jej nadziemską świętość, nadając postaci zmysłowe człowieczeństwo, w tym przypadku kobiecość. Specjaliści uzupełniający katalog zabytków uznali malowidło za niezwykle cenną pozostałość znacznie większej kompozycji. Niestety reszta nie zachowała się do czasów współczesnych. Wydało mu się, że ściany miały kiedyś ciemniejszy kolor, ale być może było to złudzenie. Ołtarz stał na podwyższeniu, za nim znajdowało się połączane tabernakulum. Tuż obok tłoczyli się ludzie, klęcząc przed niewielkim stolikiem. Stała na nim szklana gabłota. Nieco dalej rozstawione było rusztowanie przykryte ciemną kotarą, skrywającą wejście do podziemi.

Wilczyński przystanął nieopodal. Jakiś młody wikary, zupełnie łysy, siedząc spokojnie przy bocznym wyjściu, nagle powiedział coś do młodzieńca obok, a później, zerknąwszy na księdza Wacława, zniknął w drzwiach zakrystii. Chłopak podszedł do stolika i oparł się o blat, popatrując od czasu do czasu na tajemniczego gościa. Ksiądz Wacław nie

zaszczyił go najmniejszą uwagą. Rzucił okiem na kości za szybą, a później wycofał się i usiadł w jednej ze środkowych ławek. Obserwował kobiety i mężczyzn z dziećmi, którzy gromadzili się wokół. W świątyni panował niezmacony spokój. Słuchać było jedynie szepty modlitw.

Minęła godzina i nic się nie zmieniło. Kościół ciągle wypełniał się wiernymi. Ksiądz Wilczyński zaczynał się nudzić. Zdziwiło go, że nikt nic nie mówi, nie ma księdza, tylko jakiś chłopak po drugiej stronie, zapewne organista i ten wikary, który był, następnie wyszedł, potem wrócił, później znowu gdzieś zniknął. Ksiądz Waclaw nie przejmował się tym, przyszedł tu tylko po to, żeby na własne oczy zobaczyć, z czym ma do czynienia. I już wiedział - miał przed oczyma autentyczną wiarę w nadprzyrodzone, nic nowego, standard, w Oławie było tak samo. Nauczony doświadczeniem, orientował się, że nieobeznanych z zasadami ortodoksji wiernych łatwo zwieść, bo wszystko im się myli. Gubią się w prostych sprawach, a głębsze i bardziej złożone tajemnice to dla nich czarna magia. Ci głupcy klęczą tutaj i myślą, że się modlą, ale nie mają pojęcia o fundamentach, źródłach własnej religii, nie znają uzasadnień prawd wiary poza samą wiarą, nie wiedzą o nauce Kościoła i jego historii. Jakże mało trzeba, aby zamącić im w głowach. Waclaw nie miał wątpliwości, że najgorętsi wyznawcy Chrystusa, tacy jak tu, przed tymi kośćmi - to idealny materiał do manipulowania, gdyż ich religijność jest banałem, w jaki płytkie umysły prowincjonalnych owieczek przetworzyły bogactwo praw kościelnych, formalistykę Tradycji, ogrom działów teologicznych, mądrość encyklik, systemów filozoficznych i - Biblii, której nawet nie znają, mimo że od setek lat istnieją przekłady na języki narodowe. Wystarczy wszystko sprawnie wymieszać i przekazać ludziom w natchnionej mowie, a niechybnie doznają orgazmatycznego wytrysku prymitywnej mistyki dla ubogich. Czyż nie do tego posuwa się ów wspaniały Augustyn? Nie tego chce? Szczwany księżulo, ani słowa.

Waclaw zauważył dziwnego człowieka z głową poowijaną bandażami. Mężczyzna powstał z klęczek przed relikwią i wlepił w niego spojrzenie. Oczy widoczne spomiędzy białych fałd intensywnie wpatrywały się w Waclawa. Nic więcej z twarzy owego mężczyzny nie dało się zobaczyć. Wilczyński zmierzył go obojętnie wzrokiem, bawiąc się cały czas gałką swojej laski. Tak, pomyślał, to chyba ten od złamanej szczęki, pewnie największy żarliwiec. Człowiek w bandażach patrzył na niego przez kilka sekund, a potem przeżegnał się i odszedł na bok.

Nagle stare deski zaskrzypiały i obok Waclawa spoczęło jakieś wielkie cielsko. Odwrócił głowę i poznał Augustyna. Zaskoczył go. Z tyłu nadszedł, cwaniak. Waclaw od razu pojął, że ogolony na zero wikary musiał poinformować proboszcza o wizycie nieznanego

duchownego. Zdjęcia, które oglądał, pochodziły sprzed kilku lat, dziś proboszcz wyglądał starzej i wydawał się grubszy.

- Szczęść Boże. Witam księdza Waclawa. Powraca ksiądz do naszego kościoła niby syn marnotrawny. Wielka szkoda, że służbowo, a nie z potrzeby serca - powiedział Augustyn ściszym głosem. Na twarzy miał serdeczny uśmiech, ale w jego głosie czuło się chłód szachisty.

- Szczęść Boże - odparł Wilczyński i zaklął w duchu. Był na tyle doświadczony, że od razu zrozumiał: proboszcz nie da się zastraszyć, nie ugnie się jak ta głupia burmistrzowa.

- Winszuję, ksiądz proboszcz bez trudu mnie rozpoznał.

A może ktoś już księdzu proboszczowi doniósł, że mnie się ma spodziewać?

- Nikt mi nie doniósł. Poznałem księdza, bo przecież znamy się całkiem nieźle, prawda? Jego ekscelencja wykazał niezwykle poczucie humoru, wydelegowując akurat księdza - odpowiedział Augustyn.

- Raczej profesjonalizm i - Waclaw na chwilę zawiesił głos - troskę o tutejszych wiernych.

- Ależ oni są pod wyśmienitą ochroną. Zupełnie zbędna troska. - Augustyn nieoczekiwanie zmienił temat. - O, wspaniała laska. Od dawna ją ksiądz Waclaw nosi? Bo wcześniej, o ile pamiętam, chyba nie? Czyżby ksiądz wątpił w moje umiejętności duszpasterskie? - Szyderstwo Augustyna było tak widoczne, że aż zaskakujące.

Waclaw nie spodziewał się, że ten durny, jak mniemał, proboszcz tak od pierwszych słów przejdzie do ataku. Andursz ostrzegął, że ksiądz Płaczek to nieprzeciętny duchowny. Nachylił się ku niemu i powiedział z naciskiem:

- Niech proboszcz nie udaje, że nie wie, o co chodzi. Przyjechałem zbadać okoliczności tak zwanego objawienia, czy raczej halucynacji, jakie podobno proboszcz miał. Ksiądz musi dokładnie wszystko opowiedzieć, aby Kościół mógł zająć stanowisko. Najpóźniej jutro proboszcz przedstawi mi wszelkie szczegóły dotyczące sprawy, historię odkrycia, treść przekazu. Wtedy przedyskutujemy to i wspólnie podejmiemy decyzję, co czynić dalej. Podkreślam, że od mojej wizyty zależą dalsze kroki Kościoła i, pośrednio, jego ostateczne stanowisko.

- O, stanowisko to chyba Kościół już zajął, tak mi się wydaje. Co do treści, to myślę, że ksiądz Waclaw wie już wszystko. Nic więcej nie mam do dodania, ale skoro księdza to ciekawi, oczywiście, opowiem, co trzeba. A więc pojutrze? Bardzo dobrze. Gdzie? Może tu, na naszej plebanii, blisko relikwii? No to świetnie. - Augustyn na chwilę przerwał, a później ciągnął dalej: - Ale bardzo się cieszę, że ksiądz już uporał się z tą swoją, że się tak wyrażę,

wadą wymowy. - Augustyn położył mu dłoń na przedramieniu. - Nie słyszę już słynnego „asz”, które tak zaśmiewało księdza kazania. Co się stało? Musiał ksiądz włożyć dużo pracy w taką przemianę.

Wacław mocniej zacisnął pięść na lasce. Nienawidził tego okropnego nawyku i włożył mnóstwo wysiłku, aby przestać co kilka słów wtykać zbitkę „asz”.

- Pamiętam księdza jako zdolnego ministranta - powiedział - ale nie przypominam sobie, aby w wieku chłopięcym proboszcz wykazywał taką złośliwość i brak taktu. Jestem tu i zrobię, co do mnie należy, niech proboszcz pamięta. Dziś tylko zaszedłem popatrzeć, ale jutro lub pojutrze będę się domagał od proboszcza jasnej deklaracji.

- W obliczu relikwii deklaracje nie mają znaczenia, drogi księżo. A brak taktu to przejawiał chyba ksiądz - powiedział głośniejszym głosem Augustyn. - Rozumie ksiądz, w stosunku do chłopców właśnie, ministrantów, uczniów, o dziewczynkach nie wspomnę, i wolę nie wiedzieć, co ksiądz wyprawiał po opuszczeniu naszego miasta.

Twarz Wacława pobladła.

- Co proboszcz za bzdury wygaduje!? - powiedział swoim najbardziej lodowatym tonem. - Niech się proboszcz zastanowi, co mówi! - Ściszył głos, gdyż zauważył, że kilka osób zwróciło na nich uwagę. - Ja tu przyjechałem badać rzekome świętości, które tu proboszcz kryje, głosi o nich w gazetach, i wypraszam sobie podobne insynuacje!

- Może sobie ksiądz wypraszać. - Augustyn nachylił się ku niemu i szepnął w ucho: - Pamiętasz zakrystię? Tam, po prawej? Musisz pamiętać. Twoje nieudolne próby uwiedzenia chłopca. No? Co chciałeś zrobić? Co zrobiłeś innym, takim jak ja? Pewnie ciągle cię to bierze, co? A tylko tknij kogoś z moich parafian... pedofilu. - Augustyn chuchnął mu lekko w ucho i odsunął się.

Wacław wyłowił nagle z zakamarków pamięci mglistą scenę: mały Rysio z krzykiem wybiegający na dwór i ten obraz, Święta Maria spoglądająca na niego, siedzącego na taborecie.

- Posłuchaj, kolego - rzekł zimno. - Nie myśl sobie, że mnie czymkolwiek zastraszysz. Brednie, które wygadujesz, nie robią na mnie wrażenia. Jesteś skończony i dziwię się, że jeszcze tego nie zrozumiałeś.

- Boicie się, co? Cha, cha, śmiać mi się chce - odrzekł Augustyn.

- Wszystko, co muszę zrobić, to formalności. Tylko to. Ale już teraz mogę powiedzieć, że dni proboszcza w tej parafii są policzone. - Wacław podniósł się i przełożył laskę z ręki do ręki.

- Proszę spojrzeć na tych ludzi. Widzi ksiądz? Czyż nie są bliżej Boga? Przecież tego

chcemy, czyż nie? - Augustyn zatoczył ręką dookoła.

Wacław rozejrzył się także. Ludzie ciągle klęczeli przed relikwią. Modlili się, odmawiali różaniec, niektórzy płakali, jeszcze inni całowali posadzkę tuż przed stolikiem, w głębi utworzyło się kółeczko wiernych ze świecami w dłoniach. Wilczyński znów spostrzegł mężczyznę w bandażach, który nie spuszczał z niego wzroku.

- Prymitywna zagrywka z człowiekiem ze złamaną szczęką to właśnie księdza sposoby na obudzenie tradycyjnego poczucia wiary? - zwrócił się do Augustyna. - To wspaniale. Brawo. O tej tak zwanej relikwii już niedługo nikt nie będzie pamiętał, a proboszcz... radzę się zastanowić. Jego ekscelencja ma do proboszcza dziwną słabość, której nie rozumiem, i tylko dlatego to mówię. Pojutrze domagam się spotkania z proboszczem i żądam przedstawienia głównych treści objawienia, abym mógł wstępnie ocenić jego zgodność z doktryną.

Żegnam księdza.

Wilczyński odwrócił się i dystyngowanie opuścił kościół. Panował nad sobą aż do chwili, kiedy znalazł się w samochodzie. Tutaj uderzył kilka razy w kierownicę i zaklął na cały głos. A więc pamiętał, przypominał sobie, poznał go. Ten szczeniak, tak, pamiętał dokładnie. Mały pędrak. A więc tu się zasuszył, w tym zapyziałym grajdole.

Wrzucił jedynekę i ruszył powoli. Zaskoczyło go, że Augustyn był tak obcesowy. Dlaczego tyle w nim niechęci? Ksiądz Wacław zdał sobie sprawę, że pojednanie nie jest możliwe i głupi proboszcz stanie okoniem. Zacznie się upierać, że miał mistyczne widzenie, a kości to boska świętość. Udowodnienie, że błędzi, nie będzie trudne. Jedynym problemem mogą się okazać wierni, którzy go kochają. Przez prawie dwa tygodnie nasłuchali się i staną w jego obronie. Tutaj sprzymierzeńcem może być tylko czas. A ten nie gra na ich korzyść. Procedura weryfikacyjna jest długa. Trzeba jak najszybciej sporządzić raport, który może być podstawą zawieszenia tego krnąbrnego księdza. Uznanie objawienia za fałszywe przyjdzie potem. A tymczasem ludzie zapomną.

Ksiądz Wacław, zanim pojechał na plebanię Korala, zaparkował o kilkaset metrów od Augustynowego kościoła i zaczął się przechadzać po chodniku, wystukując swoją laską rozmaite takty. Bezbłędnie rozpoznawał tych, którzy szli do kościoła, i tych, którzy wracali. Już wcześniej zauważył, że między wiernymi jest wiele młodzieży, a w świątyni siedziała chyba cała klasa. Wilczyński zaczepił kilkoro przechodniów i wszyscy mieli do powiedzenia tylko jedno: Augustyn to żywy święty. Ten, co doświadcza takiego objawienia, nie może być zwykłym człowiekiem, widać nad nim czuwa Pan. Okazało się, że proboszcz nie mówił nic o nakazach czy zakazach, nie przekazywał żądań, nie straszył karami dla nieposłuszných. To

było nowością. Waclaw wiedział już, że samo objawienie nie będzie miało znaczenia, gdyż nie posiadało treści. Jedynym istotnym punktem było heretyckie twierdzenie, że kości mają moc wpajania wiary. Na tym należało się oprzeć. Wilczyński pożałował, że Augustyn nie głosi potępienia Kościoła, co często się zdarzało podczas objawień, że przynajmniej nie skrytykował księży albo papieża. Z tego już dałoby się coś sklecić.

Z tym jednak można było sobie poradzić. Księdza Waclawa niepokoiła jednak dobra pamięć Augustyna. Skoro od razu nawiązał do wydarzeń sprzed dziesięcioleci, to może zdobyć się na to, aby oskarżyć go publicznie. Teraz czasy są inne. Media tylko czekają na kolejnego pedofila w sutannie. Mogliby się na niego rzucić jak psy. I zaraz by się zaczęło: artykuły o tym, że na pewno niewolił chłopców, przymuszał do praktyk seksualnych nieletnie dziewczynki, wykorzystywał, niszczył psychikę. Lincz, jak nic, lincz. Może on chciał to zasugerować. Powiedział: uważaj, bo ja też coś na ciebie mam.

Waclaw, idąc w kierunku samochodu, szukał w pamięci sytuacji, które mogły wzbudzać podejrzenia. Nie, w tym mieście wszystko przebiegło bez skandalu, wręcz wzorowo. Zawsze był bardzo ostrożny. Raz tylko biskup nie miał wyjścia i musiał natychmiast przenieść go do innej parafii. Później Wilczyński zdał sobie sprawę, że dokonał błędnego wyboru. Dziewczynka okazała się harda. Po pierwszym spotkaniu nic nie wskazywało na jej zamiary. Poddawała się jego woli z podniecającą naiwnością i zawstydzeniem. Przygotowywał ją do bierzmowania i wreszcie któregoś dnia udało mu się skłonić ją do wspólnego spaceru, po którym - co oczywiste - musiał wymasować jej nogi. Następne masaże objęły całe jej ciało i co parę dni Waclaw osiągał szczyty przyjemności. Tyle że po dwóch czy trzech miesiącach dziewczynka przyszła do niego z ojcem, który o mało go nie zabił. Tak się złożyło, że był nim zawodowy wojskowy, człowiek, mający za sobą ciężkie boje w operacji „Pustynna Burza”. Właśnie wrócił z kolejnej misji i córeczka w przyływie uczuć do rzadko widzianego taty napomknęła co nieco o tym, jak to ksiądz Waclaw dzielnie go zastępuje. Ojciec wpadł w furję. Na szczęście skończyło się na tym, że przycisnął go do ściany i wymierzył parę solidnych uderzeń. To już był początek lat dziewięćdziesiątych, rodzina bardzo się wzburzyła, chcieli sprawę ujawnić, iść do gazet, ale okrągła suma zamknęła im usta. Najtrudniej było przekonać wojskowego, aby zachował milczenie, ale po interwencji biskupa pomocniczego udało się jakoś go udobruchać. Mimo to sprawa stała się lokalnie głośna i Waclaw pożegnał się z tamtą parafią, lądując po drugiej stronie kraju.

To była w zasadzie jego jedyna wpadka. Na ogół uważnie wybierał dzieciaki - głównie te spokojne, które lgnęły do niego, gdy w czasie katechez lub pogadanek po mszy



zamieniał się w czarującego wujka, snuł dowcipne opowieści, rozdawał smakołyki i uczył gry na gitarze. Szczególną uwagę zwracał na chłopaków bez ojca. W takich przypadkach nawiązanie bliższego kontaktu było najłatwiejsze, a matki cieszyły się, że ich synalek znalazł nagle takiego opiekuna.

Umiał wyczuć, kiedy chłopiec czy dziewczynka mieli go dosyć i zaczęli podejrzewać, że wbrew temu, co im mówił, dotykanie jego genitaliów i doprowadzanie do wytrysku nasienia jest grzechem. Gdy tylko zauważył, że w główkach dzieciaków pojawiają się niebezpieczne myśli, przybierał pozę biednego, samotnego duszpasterza i posługiwał się najbardziej kojącym językiem, na jaki było go stać. Później wprowadzał nowy element: spowiadał dzieciaki, przekonując, że od tej pory ciąży na nich tajemnica spowiedzi, więc niczego nigdy nie wolno opowiadać, a tajemnica jest podzielona po równo między spowiednika i spowiadanego. Jednocześnie dyskretnie, choć stopniowo urywał kontakt. Spotkania przebiegały już bez erotycznych rozrywek, skupiały się na rozmowach i interpretacji fragmentów Biblii. Po miesiącu zaczynał unikać podejrzliwego dzieciaka, aż w końcu zupełnie go ignorował. Schemat ten zazwyczaj doskonale się sprawdzał.

Inaczej postępował jako wykładowca. Potrafił przekonać młodych alumnów w dwóch seminariach, gdzie prowadził zajęcia, że tak naprawdę nie grzeszą, bo świętość ich wyboru i wyrzeczenia się ziemskich pokus tego świata przysłania tę niewielką słabość, której sobie folgują. Jeśli alumn nadal miał wątpliwości, ksiądz Wacław wytaczał decydujący argument: najlepsza ocena i opinia. Ci, którzy ulegali, zachowywali tajemnicę, gdyż jej ujawnienie ugodziłoby ich samych, i Wacław doskonale o tym wiedział.

Początkowo, jeszcze jako młody wikariusz, błagał na kolanach o przebaczenie; leżał wczesnym rankiem pod krzyżem i prosił Boga, aby raczył go wybawić od niemożliwej do ugaszenia potrzeby. Tyle razy powtarzał sobie, że to już ostatni raz, że to już koniec z nawiązywaniem bliskich przyjaźni i seksualnymi wybrykami; koniec z robieniem zdjęć i nagrywaniem filmików - ta ostatnia forma utrwalania podobała mu się najbardziej. We wczesnym okresie swego kapłaństwa miał jeszcze w sobie autentyczną wolę przerwania tego wszystkiego. To spotkanie z małym Rysiem, które mu teraz przypomniał Augustyn, tak, ten wzrok z witraża i zaskoczenie zachowaniem chłopca, tak, wtedy też chciał skarcić siebie samego, ale nic z tego nie wyszło, bo już na drugi dzień nie czuł wyrzutów. I tak było prawie zawsze - pamięć zła znikwała po kilku godzinach, a jej miejsce zajmowało spłaszczone wspomnienie nagich czynów, czystego przechodzenia z jednego dziania się w drugie. Zdarzenia odchodzące w przeszłość traciły piętno grzechu i dzięki temu Wacław miał się całkiem dobrze. A później, po dwóch czy trzech latach, najzwyczajniej zaczął przywykać. Nie

było już odwrotu, nie umiał już zrezygnować z tych spotkań, pieszczot, niezapomnianego dotyku miękkiej, gładkiej skóry. Był skazany i sam się skazywał.

Kiedy teraz szedł ulicami miasta, w którym jako młody wikariusz opiekował się grupą ministrantów, zdusił w sobie wywołaną oskarżeniem Augustyna złość i wyrzuty sumienia, jakich nie doświadczył od wielu lat. Nigdy jeszcze brat w kapłaństwie nie wygarnął mu prosto w oczy, jak bardzo nim pogardza. Czemu akurat mnie to spotyka, i to teraz, akurat teraz?, zastanawiał się, podchodząc do samochodu. Czego ten Augustyn chce? Jeśli chce wojny, będzie miał wojnę.

Nie obawiał się niczego. We własnym mniemaniu Waclaw był szczerze oddanym kapłanem. Nie krzywdził tych dzieci, chciał tylko obarczyć je swoją miłością, bo w rzeczywistości wszystkie je kochał, choć czasami bywał surowy. Przecież tak naprawdę nic im nie zrobił, co najwyżej popatrzył, podotykał, co w tym złego? Czy im coś się stało? Był taki delikatny, uczuciowy, nigdy nie wykorzystywał swojej przewagi fizycznej, nie przekraczał pewnej granicy, a na prawdziwe stosunki seksualne pozwalał sobie wyłącznie z dorosłymi kobietami. Raz nawet, w cywilnym ubraniu - wybaczone, Panie - zawitał do amsterdamskiego burdelu. Ale dzieciom żadnego zła by nie uczynił. I dawał takie piękne prezenty.

Nagle uzmysłowił sobie, że pobyt tutaj, w mieście z przeszłości, może jednak okazać się dla niego niebezpieczny. O ile u pani burmistrz był zupełnie pewien swej przewagi, o tyle po rozmowie z Augustynem coś się zmieniło. Dla parafian tutaj Kościołem był ich proboszcz, a nie biskup. Waclaw znał takie miejsca i mentalność żyjących w nich ludzi. Tutaj miejscowy klecha, budujący swoją pozycję przez lata, był namaszczonej nienaruszalnością, i w tym przypadku tak właśnie było. Augustyn uosabiał wzór chrześcijanina.

- Do czasu - odpowiedział Waclaw swoim myślom, parkując przed plebanią Korala. Wygramolił się z auta i stukając laską o płytki chodnika, podszedł do drzwi wejściowych. Po lewej miał kościół, który zrobił na nim jak najgorsze wrażenie. Nie można było nazwać go imponującym, ot, przeciętna budowla w okropnym stylu z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Przypominała rozpięty namiot z krzyżem na szczycie, a nie miejsce chrześcijańskich obrzędów. Ściany były pomalowane na żółto, a dach na niebiesko. Całość tworzyła wyjątkowo brzydką kompozycję. Nic dziwnego, że tutejszy proboszcz miał dość tego miejsca i chętnie zmieniłby je na inne, lepsze.

Przyglądał się jeszcze pokracznej świątyni, kiedy otwarły się drzwi i wyrzał z nich Zygmunt Koral.

- A, szczęście Boże, drogi księżo Waclawie - powitał go, rozkładając ręce. - Proszę,

proszę, niech ksiądz wejdzie.

- Dziękuję - odparł Waclaw. - W samochodzie mam swoje rzeczy, może...

- Tak, zaraz się tym zajmiemy - zapewnił Koral i zwrócił się do stojącej obok gospodyni: - Pani Basiu, a niech tam wikary wniesie walizki księdza Wilczyńskiego. Proszę, zapraszam księdza do jego pokoju. Został specjalnie przygotowany na księdza przyjazd.

Godzinę później Waclaw i Koral siedzieli przy stole, każdy nad talerzem zupy jarzynowej, po której miało nastąpić danie główne, czyli rolada w sosie chrzanowym z ziemniakami. Pani Basia przez cały ranek wprost wychodziła z siebie. Proboszcz uprzedził ją, że przybywa znakomity gość i wypada, przynajmniej na powitanie, przyrządzić wyjątkowe dania.

Ksiądz Zygmunt zauważył, że jego gość jest bardzo zamyślony, że coś go wyraźnie zaprzęta. Kilka razy nie usłyszał, co proboszcz do niego mówi.

- Spodziewałem się, że ksiądz przyjedzie z samego rana - rzekł Koral, przyjmując od pani Basi wielki talerz z parującym mięsem.

- Byłem w mieście już wcześniej. Widziałem tę relikwię, czy co tam to jest - odparł Waclaw. - Nie wygląda jakoś szczególnie. Ksiądz proboszcz też ją widział?

- Tak, reprezentacyjna raczej nie jest. Co ksiądz zamierza, można wiedzieć? Przepraszam, jeśli to tajemnica lub ksiądz nie chce o tym rozmawiać, proszę to pytanie uznać za niebyłe. Może jednak będę mógł w czymś pomóc. Ziemniaczków? - Koral trzymał w ręce przechylony półmisek z kopczykiem kartofli.

- A, tak, proszę bardzo. Zupa była doskonała, proszę przekazać gospodyni, że obiad jest wyśmienity - odrzekł Waclaw.

- To żadna tajemnica. Moja rola polega na ocenie wstępnej. Co z tym zrobić, orzeknie Kościół na dalszym etapie. Sprawa jest wyjątkowa ze względu na to, że przy objawieniu upiera się osoba duchowna. Niewiele znacząca wprawdzie, ale jednak po święceniach. To nieco komplikuje podejście.

- Rozmawiał ksiądz z nim? - spytał Koral, przetrawiając lekceważące słowa o niewielkiej ważności proboszcza Augustyna.

- Krótko, zaledwie kilka zdań w kościele. Ale już to dało mi obraz tego człowieka. Chciałbym pojutrze, najdalej za dwa dni zorganizować spotkanie, ale zależy mi na tym, aby miało, rozumie ksiądz, nieco szerszy charakter.

- Publiczny?

- Tak, przynajmniej z udziałem rady parafialnej. Pański kolega, jestem tego pewien, nie ustąpi. Trzeba więc będzie już teraz zasugerować opinii publicznej, że Kościół go potępia.

Trzeba zasiać ziarno. A potem sprawy same się potoczą. On w każdym razie już jest martwy.

- Wilczyński przejechał kantem dłoni po własnym gardle i włożył do ust spory kawał rolady.

Koral poczuł, że robi mu się zimno. Przełknął ziemniak z głuchym odgłosem. Waclaw spostrzegł, że jego rozmówca jest przerażony.

- Niech się proboszcz tak nie boi - powiedział, krzywiąc wargi, co miało prawdopodobnie oznaczać uśmiech. - Martwy w sensie kapłańskim. Jeden proboszczyna to nie przeszkoda. Zawsze znajdzie się ktoś na jego miejsce. Prawda, księżo proboszczu? - Waclaw popatrzył znacząco na Korala.

- W istocie, może ksiądz okazać się bardzo pomocny. Najważniejsze, aby miejscowa ludność zmieniła zdanie o tym Płaczku. Rozumie ksiądz, muszą się przekonać, że relikwia to jakiś niestworzony mit. Właściwie do tego zmierzamy od początku. W tym może pomóc miejscowa prasa, bo to ludzie czytają. Koszty nie grają roli, jeśli o to chodzi. Dobrze będzie jasno wyrazić stanowisko Kościoła i jednocześnie pokazać głupotę i szachrajstwo księdza. Przydałoby się coś... hm... coś z jego przeszłości. Może jest coś kompromitującego w jego życiu? Coś osłabiającego ten nieskazitelny wizerunek. Nie na tyle oczywiście, żeby godziło to w Kościół. Najtrudniejsze przypadki rozpatrujemy, to proboszcz rozumie, w łonie Kościoła, tu jednak przydałby się mały rozgłos na temat czegoś, co niekoniecznie odziera tego księdza z wszelkiego autorytetu, ale nieco go tylko nadweręża, zasiewa wątpliwość. Coś takiego może pomóc. Tak na początek. A nie ma tu ksiądz proboszcz jakiegoś dobrego wina?

- Eee... tak, tak - powiedział Koral zaskoczony nagłą zmianą tematu. - Proszę zaczekać, zaraz przyniosę.

Podniósł się i skierował w stronę drzwi. Na progu zatrzymał się i zwrócił do Wilczyńskiego:

- Sądziłem, że ksiądz przyjechał zrobić tylko taki... rekonesans, podjąć się perswazji... A tu tak od razu, takie bezpośrednie działania? O ile zrozumiałem, biskup Andursz...

- Biskup Andursz dał mi wolną rękę! Proboszcz niczego nie rozumiał! - przerwał lodowato Waclaw i wpatrzył się w twarz księdza Zygmunta. Oparł widelec o krawędź talerza i wstał, ocierając usta papierową serwetką. - Nie rozumiem proboszcza. O co chodzi? To proboszcz przecież donosił na kolegę, prawda? To od proboszcza pierwszego wiemy, co ten Augustyn tu wyrabia. Zdawało mi się, że proboszczowi zależy na jak najszybszym usunięciu tego szaleńca, ale zaczynam podejrzewać, że proboszcz powoli zmienia zdanie.

Koral poczuł nieodparte parcie na pęcherz. Wiedział, że zaraz zrobi się czerwony, usiłując powstrzymać moc.

- Nie, nie, to nie o to chodzi... tylko... - zaczął.

- Skrupuły? - podchwycił Waclaw. - Co się z proboszczem dzieje? Ten kapłan nie służy Kościołowi, gwałci prawdziwą wiarę. Proboszcz, mam nadzieję, chce natomiast służyć najlepiej, jak umie.

- Tak, tak, oczywiście, ksiądz się nie myli.

- No to niech proboszcz służy. - Waclaw poklepał go po ramieniu. - Może proboszcz zacząć od wina.

- Ależ, co ksiądz... - Koralowi głos uwiązł w gardle.

- No, no, oczywiście, przepraszam. Bardzo proboszcza proszę o najlepsze wino, jakim proboszcz dysponuje. Niech się proboszcz tak nie czerwieni. A zastanawiał się proboszcz kiedy, jak by to było objąć dekanat? - Waclaw uśmiechnął się nieoczekiwanie, zamiast skrzywić lekko wargi. - Ja myślę, że byłoby to dla proboszcza piękne ukoronowanie posługi.

Koral zamknął za sobą drzwi i cały czerwony pobiegł do ubikacji. Wydało mu się, że słyszy czyjeś kroki, więc nabrał przekonania, że pani Basia uległa pokusie i stara się posłyszeć jak najwięcej z rozmowy. Sikał z olbrzymią ulgą, napawając się chwilą wytchnienia od towarzystwa księdza Waclawa.

W kuchni odszukał butelkę czerwonego wytrawnego wina, którego nazwa nic mu nie mówiła, sięgnął po dwa kieliszki i zamiast wracać jak najszybciej, usiadł przy oknie w ulubionym miejscu pani Basi. Serce biło mu mocno, oddychał drżaco. Za oknem znowu się rozpadało na dobre. Woda lała się strumieniami z kościelnego dachu. Nad miastem wisiały niskie, sinawe chmury, przez co w kuchni, której okno wychodziło bezpośrednio na ścianę kościoła, zrobiło się ciemno jak późnym wieczorem. Ksiądz Zygmunt wsłuchiwał się w dudnienie kropel o metalowy dach świątyni. Zaczął się modlić. Wypowiadał kolejne słowa, a palce zbieleły mu od ściskania butelki z winem. Nie, Pan nie byłby zachwycony takim rozstrzygnięciem. Nie tędy droga. My tu się możemy spierać i zarzucać sobie różne rzeczy, ale kiedy do akcji wkracza wyższa hierarchia, wszystko się zmienia, staje się bezduszne. Ksiądz Zygmunt pochylił głowę nad stołem. Nie rozumiał, dlaczego ni stąd, ni z owąd, opadły go wątpliwości: czy dlatego, że Waclaw sponiewierał go w ostatnich słowach, czy tak nim wstrząsnął obraz wyklętego Augustyna? Dobro Kościoła wymaga ofiar, pomyślał. Pojedynczy kapłan to drobiazg wobec dobra ogólnego, wobec obowiązku przetrwania i zło należy niszczyć w zarodku. Ale jak je rozpoznać? Zło przybrane w szaty dobra to prawdziwie szatański podstęp. Koral przypomniał sobie wspaniałą mszę w swoim kościele. Święty chłopiec i ekstaza parafian. I on sam w środku uroczystości, w samym ich centrum, i te błyskające flesze, i czekanie na artykuł w gazecie. Ale przecież dał im radość, dał tym ludziom podniosłą chwilę, moment uniesienia, religijnej prawdy, i wierzył w to, że dzięki tym

wydarzeniom wierni pod jego opieką poczuli sens własnej wiary i umocnili się w niej. Cóż z tego, że pragnął w zamian za to nieco uznania dla swojego poświęcenia, że chciał być widziany, zauważony.

Na czoło księdza Zygmunta wystąpiły krople potu, pod pachami zrobiło mu się mokro. Nagle uświadomił sobie, że właściwie lubi Augustyna. Tylko w ostatnich kilku latach nie mógł przeboleć, że miły w końcu ksiądz za dużo popija, nigdzie nie bywa i zamyka się na swojej plebanii. Koral uznał, że to karygodne zachowanie naraża na szwank nie tylko autorytet proboszcza, ale - zwłaszcza - Kościoła, wielkiej duchowej wspólnoty, której był tak bardzo oddany. Podczas gdy on starał się ze wszystkich sił dawać jak najlepszy przykład swoim parafianom, dbać o ich sumienia i być jak najbliżej, Augustyn sprawiał wrażenie, jakby nie za bardzo mu na nich zależało. I najdziwniejsze było w tym to, że ciągle był kochany przez swoich wiernych.

- Kto tu jest szatanem? - zapytał na głos samego siebie. Spojrzał na zegarek i zerwał się na nogi. Przesiedział ponad kwadrans. Odwrócił się i zamarł. W drzwiach stał Wacław i przypatrywał mu się, oparty o futrynę. Marynarkę miał nonszalancko rozpiętą. Koral nie słyszał jego kroków przez ten tłumiący dźwięki chodnik w korytarzu.

- Dziękuję za wino - rzekł chłodno Wilczyński. - Pójdę odpocząć do siebie.

- Przepraszam. Już miałem iść, tylko...

- Słyszę, że proboszcz rozmyśla o sprawach piekielnych. Rozumiem, że to musi zajmować немало czasu. No więc, kto tu jest szatanem? Już proboszcz wie?

- Nie w tym rzecz, proszę księdza...

- Ależ w tym! - Wacław podniósł głos. - Niech proboszcz uważnie patrzy i w mądry sposób wydaje opinie. Tymczasem pójdę odpocząć. Spotkamy się na wieczornej mszy.

Wilczyński poszedł do swojego pokoju, tym razem stukając laską. Włączył telewizor i rozłożył się na jednoosobowym tapczanie. Nie podobał mu się ten Koral. Był słaby. Wyjął komórkę. Wybrał numer, a później przyłożył ją do ucha.

- Szczęść Boże, no i jak przebiega misja? - usłyszał głos Andursza.

- Ksiądz Płaczek będzie obstawał przy swoim, księżo biskupie. Że miał objawienie, że kości są święte. Mam obawy, że może poddać krytyce Święty Kościół.

- Jest ksiądz pewien?

- Tak. To osobowość narcystyczna. Jest przeświadczony o swojej nieomyślności.

- Sam nie wiem jeszcze, co w tej sytuacji należałoby zrobić. Proszę księdza o delikatność i wyczucie. Rozmawiałem na ten temat z arcybiskupem Głuchotą i doszliśmy do wniosku, że częściowe uznanie objawienia mogłoby rzeczywiście mieć pozytywne strony.

No, ale to trzeba dokładnie przebadać. O ile wiem, nie ma jednak żadnego orędzia, prawda?

- W istocie, nic takiego nie ma. Same ogólniki i nic więcej. Z całym szacunkiem, ekscelencjo, ale nie wyobrażam sobie, aby można było uznać coś jawnie wykraczającego poza katolicką doktrynę.

- Ma ksiądz na myśli to wpajanie wiary przez kości?

- Tak, to oczywiście absurd.

- Rzeczywiście, widzę tu pewną trudność. No cóż, pozostaje kwestia weryfikacji. Kiedy mogę się księdza spodziewać?

- Za trzy, najwyżej cztery dni. Chcę zebrać jak najwięcej danych, w tym wyznanie księdza Płaczka.

- Dobrze. Niech Bóg księdza prowadzi.

Wacław umieścił telefon na ławie i ułożył się najwygodniej, jak to było możliwe. Tapczan skrzypiał i druty uwierały w plecy, a środek był wyraźnie zapadnięty. Wilczyński pomyślał, że poprzednio musiał tu mieszkać jakiś wielki, opasły ksiądz, który może nawet na tym tapczanie umarł. Zaczął przerzucać kanały, lecz ich liczba ograniczała się do zaledwie czterech, więc zatrzymał się na jedynce i bezmyślnie patrzył na ekran. Senność przychodziła powoli. Czuł złość z powodu dobrotliwości Andursza. Dla niego sprawa była prosta: duchowny plecie androny, ośmiesza etos katolickiego duszpasterstwa, najprawdopodobniej oszukuje i chce coś na tym zyskać. Nie ma tu nic do rozważania. Zanim zasnął, zdążył jeszcze wyłączyć telewizor.

Nie miał pojęcia, jak długo spał, ale widząc nad sobą twarz Korala, uznał, że jest późno. Pokiwał głową na znak, że już wstaje, i zaczął się podnosić. Zrobiło mu się wstyd, że proboszcz widział go, jak w codziennym stroju leży na tapczanie i śpi.

- Chyba ksiądz jest bardzo zmęczony, bo pukałem, ale ksiądz nie otwierał - rzekł Korala.

- Tak, musiałem się trochę przespać. Czy już msza? - spytał Wilczyński, przecierając oczy.

- Nie, właściwie budzę księdza z innego powodu. Msza dopiero za godzinę. Bardzo proszę, aby ksiądz udał się ze mną do kancelarii. Mamy gości, którzy chcieliby się z księdzem widzieć.

- Gości? Tak szybko się rozniosło, że przyjechałem? No cóż, proszę poczekać, zaraz przyjdę.

Wacław poprawił koloratkę, włożył marynarkę i buty. Stał przed lustrem i przygładził włosy.

- Możemy iść - powiedział.

Kancelaria była nader ubogo urządzona: w środku znajdowało się biurko, jedna ciężka szafa i trzy krzesła. Na ścianach portrety Jana Pawła II, krzyż i plansza z rozkładem zajęć. W kącie stał wieszak. To wszystko.

Czekają na nich dwóch mężczyzn. Stali w pobliżu biurka i coś do siebie mówili półgłosem. Na widok księży jeden z nich podszedł do Wacława.

- Szczęść Boże, proszę księdza.

- Szczęść Boże - zdawkowo odparł Wacław.

- Proszę księdza, nazywam się Marek Rokita, jestem dyrektorem jednej z tutejszych szkół, a zarazem radnym miejskim. Wiem, że dziś był ksiądz w urzędzie, że rozmawiał ksiądz z panią burmistrz...

- Tak, rzeczywiście, do rzeczy proszę - przerwał mu Wacław, niezadowolony, że ktoś ujawnia jego kroki.

- Otóż, wiemy już, że ksiądz przyjechał z kurii, żeby przyjrzeć się tym objawieniom i tak dalej. Bardzo się cieszymy...

- Kto się cieszy? - spytał Wacław.

- Rozsądni ludzie, proszę księdza - odrzekł Rokita. - Nie wiem, jak się na to zapatruje kuria, ale wydaje mi się, że ksiądz utrzymujący, iż miał bezpośredni kontakt z Bogiem, to coś, hm, szczególnego, prawda? I to taki ksiądz, kryształ po prostu.

- Proszę powiedzieć, o co panu chodzi - zniecierpliwiał się Wacław.

- A gdyby się okazało, że proboszcz Augustyn wcale nie jest taki święty, na jakiego wygląda?

Wacław przyjrzał się uważniej Rokicie. Mężczyzna wydawał się wiarygodny. Podszedł do niego i zapytał:

- A mógłby pan się wyrażać jaśniej?

- To już nie moja rola. Myślę, że zupełnie jasno mógłby to wyjaśnić ten pan. - Rokita odwrócił się i przywołał drugiego mężczyznę. - To jest pan Andrzej Młynarski, kierownik ubojni, który przed paroma dniami wyjawiał mi szczegóły pewnego epizodu z życia księdza Augustyna. Jestem przekonany, że mogłyby one księdza zainteresować.

- Niech będzie pochwalony - przywitał się Młynarski. Wacław obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Ogromny mężczyzna z wielkimi łapskami i czerstwą twarzą. Gęsta czupryna zdążyła zaledwie lekko posiwieć. Czuć było od niego przetrawiony alkohol.

- Na wieki wieków - odpowiedział wyraźnie i powoli. - Cieszę się, że panowie przyszli. Każda informacja jest ważna.



- Dlatego właśnie pozwoliłem sobie przyprowadzić pana Młynarskiego, który początkowo miał pewne opory. - Rokita spojrział na Młynarskiego, który spuścił głowę z miną nadąsanego chłopczyka.

- A czemu to pan miał opory? Nie trzeba mieć oporów - przemówił Waclaw cieplejszym tonem. - Proszę panów, może usiądźmy, cały czas stoimy.

Rokita i Młynarski usiedli na starych krzesłach, a Waclaw za biurkiem. Koral stanął przy oknie.

- No więc, co to za opory, panie Andrzeju? - spytał Wilczyński i oparł podbródek na rękę.

Andrzej Młynarski chrząknął, potarł nos i pochylił się w kierunku biurka.

- No, wie ksiądz, jak ja powiem, to... - urwał, starając się wynaleźć odpowiednie słowo.

Waclaw w lot pochwycił, o co chodzi:

- Proszę pana, proszę się nie obawiać o swoje dobre imię. Tożsamość osób, które udzielają nam informacji, pozostaje tajemnicą Kościoła. To jak na spowiedzi, nie wolno nie ujawnić.

- Uśmiechnął się szeroko, co zdumiało księdza Zygmunta, gdyż nagle zobaczył w Waclawie ucieleśnienie sympatycznego wujka, który lada chwila wyciągnie cukierki i zacznie rozdawać prezenty.

- Aaa, to, no dobrze - wystękał Andrzej Młynarski.

- Może więc pan mówić bez obaw, panie Andrzeju. - Wilczyński splótł palce obu rąk i pochylił się ku Młynarskiemu.

- Reprezentuję kurię i biskupa, a wszelkie informacje na temat księdza proboszcza Płaczka będą dla mnie niezwykle cenne. Proszę pamiętać, z jak poważną sprawą mamy do czynienia. Aby Kościół mógł uznać objawienie i prawdziwość relikwii, którą głosi proboszcz Płaczek, musi dysponować pełnymi informacjami na jego temat. Odnosi się to zarówno do dnia dzisiejszego, jak i do przeszłych wydarzeń.

Młynarski zaczął się kręcić na stołku, który wydawał z siebie niepokojące skrzypienie.

- No... - zaczął i znowu utknął.

- Proszę, proszę - zachęcił go ksiądz Waclaw.

Młynarski poczuł się trochę pewniej, spojrział na Rokitę, później odwrócił głowę i popatrzył na Korala, który stał z założonymi rękami, a następnie znowu zwrócił się do Wilczyńskiego.

- Bo... ten ksiądz Augustyn... babę miał... dawno - powiedział cicho.

Wilczyńskiemu zabłyśły oczy.

- O, proszę, proszę - powiedział.

- I on z nią - ciągnął Młynarski - on... tego, tego z nią, że, no wie ksiądz...

- Aha. - Wacław odchylił się na oparcie krzesła, zakładając ręce za głowę. - Proszę mi powiedzieć na ten temat coś więcej.

Młynarski sięgnął do wewnętrznej kieszeni brązowej przybrudzonej kurtki i wyjął kratkowaną kartkę.

- Ja tu opisałem to. Dzisiaj opisałem, na prośbę pana dyrektora - powiedział.

## Rozdział 10 - Preludium

Jak to mogło wyglądać? Posiekał go na ulicy, w kościele - zupełnie jak król Bolesław Szczodry świętego Stanisława, o czym mistrz Kadłubek namiętnie się rozpisywał - a może zaciągnął go daleko w pole i tam ubił? Dookoła gromadzili się gapie? Ktoś z tłumu próbował mu pomóc? Kim była żona czeskiego okrutnika? Dlaczego nienawiść za dawną obrazę musiała znaleźć ujście w krwawej rozprawie? Jakaż piękna i zarazem władcza musiała być ta białogłowa, skoro baron nie zawahał się uśmiercić biednego kanonika?

Augustyn siedział nad plikiem kartek przyniesionych przez wikarego Sebastiana i próbował wyobrazić sobie tragedię sprzed stuleci, która w tak niezwykle sposób stała się podwaliną współczesnych wydarzeń. Tekst był wyjątkiem z pracy jakiegoś historyka z tutejszego liceum ogólnokształcącego. Kilka stron poświęcono legendzie o morderstwie popełnionym przez złego barona. W istocie nikt nie wiedział, dlaczego baron lubował się w okrucieństwie i czemu był - czeski. Krążyły dwie wersje legendy: jedna opowiadała o trzech pozabijanych mnichach, druga o kanoniku.

Augustyn namyślał się przez chwilę, a później zaczął pisać ostatnią część artykułu, jaki zamierzał zamieścić w najbliższym numerze „Echa”.

Niestety pewnego dnia przez wieś przejeżdżał w drodze do swych ziem czeski baron z żoną, pan srogi dla podwładnych, który jak wieść niosła, chłopca umiał zarznąć niby osła, gdy go tylko chęćka wzięła i w biczowaniu lubował się jak nikt na świecie, a już najbardziej rozsmakowany był w delikatnych plecach młodych praczek, które, jeśli tylko jaką sobie upatrzył, gwałtem sprowadzano do zamku. O terrorze panującym na ziemiach straszego feudała zaświadczały liczne ucieczki z tamtejszych folwarków, a zbiegowie opowiadali wszędzie o przerażających praktykach, jakie odbywały się w lochach zameczyska lub o przybocznej Czarnej Konnicy barona. Miała ona w zwyczaju porywać z chałup dziewczki i urodziwych parobków, którzy nie wracali już do swoich matek. Toteż nic dziwnego, że kiedy baron wjechał do wsi, wszyscy pochowali się w domach, co go mocno rozeźliło, albowiem przywykł był do hołdów ze strony niższych stanów i na dodatek ubrdał sobie, że wszyscy mają go kochać jak króla. Pamiętając jednak, że nie w swoich dobrach się znalazł, zdołał powstrzymać krwiożercze zapędy i zajechał do pobliskiej karczmy, jedynej we wsi, aby w niej mogła zebrać siły przed daleką drogą jego piękna żona. Karczmarz uwijał się w strachu i ugościł pana i jego świętę najlepszym miodem, jaki miał w piwnicy. W pewnej chwili baronowa, chcąc się nieco rozgrzać, podeszła do ognia, przy którym siedział pewien młody

kanonik, który dopiero co poświęcił nowe izby na piętrze i korzystając z wdzięczności karczmarza, sycił się jadem. Wedle legendy baronowa rozpoznała w nim młodzieńca, w którym się niegdyś kochała, a który odrzucił jej umizgi, aby przywdziać szaty duchownego. Podobno nie mogła mu tego wybaczyć, a teraz jej serce przepelniała śmiertelna nienawiść. Ochłonawszy, natychmiast poskarżyła się mężowi, że kanonik przy ogniu, jako świecki jeszcze młodzian, posiadał ją wbrew jej woli, gdy była młodą dziewczyną. Baron nie mógł znieść zniewagi. Oczy zaszły mu czerwienią, dopił miodu i powstał groźny, z potężnym toporem w dłoni - swoją ulubioną bronią. Nie patrząc na nikogo, przemierzył całą długość karczmy, a następnie z siłą wołu opuścił ciężkie ostrze prosto na głowę kanonika. Pobudzony zapachem krwi odrzucił topór i obnażył obosieczny miecz, wywinął nim kilka razy, rycząc przekleństwa niemile nawet Szatanowi, i dwoma mistrzowskimi cięciami pozbawił swą ofiarę obu rąk, zanim ta zdążyła upaść na deski podłogi. Reszta gości w popłochu wybiegła z izby, podczas gdy baron ćwiartował ciało biednego kanonika, roztrzaskiwał stoły i ławy, upajał się wściekłością jak największą z rozkoszy. Wreszcie ubroczony krwią wyszedł z izby, dosiadł rumaka i odjechał.

Augustyn odsunął się od monitora i przeczytał cały tekst. Może okazać się za długi, naczelny prosił o zwięzłą wypowiedź. To nic, mogą puścić w dwóch częściach, pomyślał. Tylko kto się ma podpisać? Umieszczenie własnego nazwiska wydało mu się czymś niewłaściwym. Może pozostawić tekst jako anonim? I tak ludzie poczytają. Wzruszenie czytelników, w głównej mierze tych wierzących, stałych bywalców w kościele, będzie nie mniejsze, niż gdyby na końcu widniał czyjś podpis.

Augustyn zdecydował, że publikacja będzie anonimowa. Pozostało tylko dopisać zakończenie, wiążące te straszne wypadki z obecnymi wydarzeniami po odkryciu świętych szczątków. Musi się śpieszyć, bo zostało mało czasu. Wczorajsze przyjęcie Wilczyńskiego, przespiegi w kościele i rozmowa dały Augustynowi wystarczająco dużo wskazówek co do roli, jaką odgrywał ksiądz Waław. Augustyn nie miał wątpliwości, że dawny opiekun grupy ministrantów, do której on należał jako chłopiec, zjawił się w mieście z misją zdyskredytowania relikwii. Wiedział, że Waław długo przebywał za granicą, a po powrocie pod koniec lat osiemdziesiątych zaliczył jako proboszcz cztery parafie - rzecz rzadko spotykana w historii polskiego Kościoła - najczęściej w większych miastach, trzy lata spędził jako wykładowca w dwóch seminariach, aż na początku 2005 roku został wikariuszem pomocniczym biskupa Andursza. Wszystko to Augustyn wiedział dzięki zaprzyjaźnionemu pracownikowi sekretariatu kurii. Ksiądz ten przekazał mu wiele cennych informacji na temat Wilczyńskiego. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ksiądz Waław zyskał rozgłos w

środoisku wyższych duszpasterzy dzięki swoim elukubracjom w jednym z popularnych tygodników. Szczególną sławę przyniosła mu publikacja na temat objawień oławskich, okołowickich, chotyńskich i konińskich. Nie wdając się w nużące szczegóły, Wilczyński znalazł wspólne cechy owych objawień i bezpardonowo rozprawił się z głosicielami tej formy interwencji Pańskiej, a przedstawivszy ich jako narzędzia złego ducha, dał wielu niezdecydowanym lub nieprzekonanym kapłanom i zwykłym ludziom argumenty na poparcie tezy o potrzebie piętnowania zarówno twórców objawień, jak i najgorętszych ich zwolenników. Tekst sam w sobie nie był szczególnie odkrywczy, lecz ostra, wręcz napastliwa forma wzbudziła wiele emocji, dodała też niejednemu duchownemu odwagi w bezpardonowej krytyce wszelkich objawień, jak również stała się źródłem cytatów i odniesień. Nazwisko Wilczyńskiego stało się znane, co pociągnęło za sobą kolejne artykuły w różnych pismach, a także jego drugą publikację książkową Niepokalane poczęcie. W obronie Maryi przed świecką krytyką.

Augustyn był więc zupełnie pewien, że Wilczyński przyjechał do jego miasta, aby zdusić w zarodku coś, co nie spodobało się jego przełożonym. Wiedział, że to nastąpi. Relikwia wpajająca wiarę nie może liczyć na odruchową akceptację kolegów po fachu. To by bowiem znaczyło, że materialne szczątki są przepelnione Duchem Świętym, który na dodatek poprzez ich autonomiczny byt wstrzykuje każdemu odpowiednią dawkę wiary. Nawet hostia nie byłaby w stanie rywalizować z cudownymi kośćmi. Augustyn od samego początku przeczuwał więc, że absurd ten nie znajdzie zrozumienia wśród innych duchownych. I choćby chcieli uwierzyć w jego słowa o kluczowej roli Dominika Savio i Henryka Kietlicza, ich sumienia nie przełkną czegoś podobnego przede wszystkim ze względu na efekt wyniesienia zupełnie anonimowego proboszcza. Niby czemu on miał doświadczyć wyróżnienia, czemu to akurat na niego Pan zwrócił Swe oczy? Owszem, takie rzeczy się zdarzały, ale to było dawno, dziś weryfikacja dowodzi, że zjawiska te są mało prawdopodobne, prawdziwych objawień dostępują dzieci - nieskalane dusze. Dla dorosłych bowiem liczy się przede wszystkim własna chwała i - nie mniej ważny element - korzyści płynące ze sprzedaży dewocjonaliów.

Dokończenie tekstu zabrało mu około pół godziny. Jeszcze raz dokładnie wszystko przeczytał, po czym zapisał na dysku i przesłał do redakcji „Echa”. Następnie wszedł na parafialną stronę internetową, zalogował się i wrzucił historię kanonika jako najświeższą wiadomość. Udostępnił komentarze. Zauważył, że ksiądz Sebastian popracował nad estetyką i zawartością strony. Pojawił się blok tematyczny: Nasza Relikwia, charakteryzujący znalezisko od strony naukowej i religijnej, i zapoczątkowany przez wikariusza temat na forum parafialnym: Szansa dla niewierzących. Augustyn wstał i zaczął rozcierać zgrabiące ręce. W

ostatnich dniach temperatura w jego pokoju każdego ranka wydawała się niższa niż poprzednio. Jednak, mimo sygnałów pani Heli, uparcie nie godził się na rozkręcenie grzejników. Jeszcze nie czas, mówił i uśmiechał się do swojej gospodyni.

Dochodziła ósma. Wyszedł z pokoju i usłyszał, jak pani Hela krząta się po kuchni. Przemknął obok i wyszedł na powietrze. Dobrze wiedział, że jego gospodyni nie pochwała wizyt Eli. Świadczyło o tym jej zachowanie: na jego pytania odpowiadała krótko, z kamienną twarzą, nastroszona jak stara kocica. Niczego nie komentowała, ale jej postawa miała być jednym wielkim wyrzutem. I on dobrze to rozumiał.

Przy relikwii byli Janusz i kościelny. Msza odprawiana przez Sebastiana już się skończyła, ale ludzie ciągle siedzieli w kościele. Na jego widok w świątyni rozległ się szmer. Wiele osób przeżegnało się i opuściło głowy. Augustyn podszedł do gabloty, klękawszy wcześniej przed ołtarzem. Czuł, że wszyscy czekają, aż coś powie, ale wcale nie miał zamiaru tego robić. Co było do powiedzenia, powiedział, a teraz niech działają siła niedomówienia i plotki.

- Proszę księdza proboszcza - stanął przed nim Janusz - mam dość ważną sprawę.

- Słucham, co takiego? - spytał Augustyn i pociągnął chłopaka w stronę zakrystii.

- Mam wrażenie, że te kości jakoś zmieniają kolor czy coś. Ja nie wiem, czy dobrze robimy, tak je tu przetrzymując.

- Nie martw się o to - uspokoił go proboszcz. - Kościom nic nie będzie, rozmawiałem ze specjalistami. Ale rzeczywiście, można zmienić sposób ich wystawienia. Jeszcze nie teraz jednak, jeszcze trochę muszą być dostępne bliżej, tak żeby je było widać. Aha, Janusz, przyjdź później do mnie, uregulujemy co trzeba.

- Proszę księdza, ja... - Janusz zawahał się na moment, widać było, że chce powiedzieć coś ważnego. - Jestem tu już długo, przy tych kościach, właściwie dzień po dniu i... proszę księdza, ja... ja myślę, że coś czuję - wyrzucił w końcu z siebie.

Augustyn popatrzył na niego uważnie. Tylko nie to, pomyślał, tylko nie to. Zauważył, że Janusz jest bladejszy niż zwykle i chyba trochę zmizerniał. Policzki mu się zapadły, a zmęczone oczy świadczyły o tym, że ostatnio niewiele sypia.

- Coś się we mnie zmienia, proszę księdza. Gdyby moja mama wiedziała... pewnie by się trochę zdziwiła. Ja, wie ksiądz, przez ten cały czas, jak tu jestem, stoję, patrzę na tych wszystkich ludzi, to, no coś... i ta relikwia, i ksiądz proboszcz, jak tak tych ludzi porywa. No, nie wiem, ale... - Janusz wyraźnie miał coś na wątrobie.

- Dobrze - powiedział Augustyn, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Porozmawiamy o tym później.

- Dobrze. Mam wiele pytań do księdza. Aha, a co to był za ksiądz, ten taki dziwny, z laską, co wczoraj z nim ksiądz proboszcz rozmawiał tam w ławce?

- Znajomy z dawnych czasów. Był tu kiedyś wikariuszem. Przyjechał, bo Kościół zainteresował się naszą relikwią. Jeszcze go zobaczysz, możesz być pewien. No, pomówimy o tym później. Teraz muszę iść do ludzi, bo czekają - dodał. Miał tego nie robić, ale znów ujęło go tak liczne przybycie parafian, a nawet osób, których nie rozpoznawał. I to tak wcześniej. No tak, pomyślał, sobota, do roboty nie idą.

Wierni, gdy tylko zobaczyli, że Augustyn pojawił się w kościele, nie tylko zaczęli się żegnać i modlić jeszcze żarliwiej, jakby sami doznali objawienia. Niektórzy rozpoczęli powolną wędrówkę, aby znaleźć się tuż przy uwielbionym kapłanie. Polegało to na serii krótkich, ale precyzyjnych przesunięć między innymi: tu krocze, tam krocze - i pół metra bliżej się zrobiło; po chwili tu w prawo, tam w lewo - i kolejne pół metra pokonane. Augustyn popchnął lekko Janusza w stronę gabloty, a sam, uśmiechając się, zszedł po trzech stopniach i wstąpił między ludzi. Kto mógł, pchał się do jego szat; ci, co stali dalej, prosili, żeby ich przepuścić, bo też chcą dotknąć.

Największym poważaniem cieszyły się dłonie Augustyna. Zetknięcie z nimi wierni poczytywali sobie za bezbrzeżnie cenny dar chrześcijańskiego ducha. Nieco tylko mniejsze pożądanie wzbudzała sutanna. Fizyczny kontakt z nią był znacznie łatwiejszy niż osiągnięcie świętych palców duszpasterza. Nieraz więc ludzie nawet nie starali się tknąć jego rąk, tylko od razu przesuwali dłońmi po sutannie, muskali rękawem kurtki lub ocierali się plecami. Tym, którzy nie byli w stanie podejść wystarczająco blisko, pozostawały próby nawiązania kontaktu wzrokowego i utrzymanie go jak najdłużej, aby poprzez takie właśnie niematerialne połączenie dusz wchłonąć jak najwięcej boskiego tchnienia.

Augustyn powoli kroczył między wyciągniętymi rękami. Rozglądał się dookoła i, jak każdego dnia, tak i teraz ludzie wpatrywali się w niego natarczywie. Nie potrafił sobie wytłumaczyć tych mocnych spojrzeń. Chciał spoglądać na nich błogosławionym wzrokiem, ale przychodziło mu to z ogromnym trudem, ponieważ z oczu osób stojących w głębi biła odrażająca nachalność, która zdawała się rosnać z każdym kolejnym metrem. Nie potrafił spoglądać dłużej na nikogo, bo wciąż natrafiał na twarze wykrzywione ekstazą, z wytrzeszczonymi oczami. Przeszedł przez cały kościół i zawrócił. Wziął do ręki mikrofon i zaczął Ojcze nasz, a potem Zdrowaś Mario. Po chwili Janusz oznajmił mu, że przybyła grupa młodzieży oazowej z gitarami. Mieli dziś grać w kościele pieśni religijne. Augustyn podszedł do nich. Pięć czy sześć dziewczyn i tyłuż chłopaków. Czekali na niego w nabożnym milczeniu. Augustyn zamienił z nimi kilka słów, pogłaskał każdą główkę i kazał Januszowi

przygotować im miejsce po lewej stronie ołtarza. W kościele zaczęła się rotacja. Część osób wyszła, na ich miejsce zaczęli przychodzić inni, którzy woleli pospać dłużej w sobotni ranek.

Augustyn patrzył przez chwilę, jak młodzi rozkładają sprzęt, a później udał się do zakrystii. Przypominał sobie wyraźnie tę chwilę sprzed wielu lat. Tak, Wacław stał dokładnie w tym miejscu, między szafką a regałami, światło lampki padało od strony ściany, a on sam - mały ministrant - znajdował się tuż pod oknem. Witraż z archaniołem Gabrielem i Marią miał za plecami. Który to mógł być rok? Niedługo po pierwszej komunii, prawdopodobnie siedemdziesiąty trzeci. Tak, nie później. A więc Wacław musiał być jednym z tych, co lubią dzieci za bardzo. To nie przypadek. Augustyn zastanowił się, czy nie był zbyt ostry i niesprawiedliwy, kiedy nazwał go pedofilem, ale zaraz przypomniał sobie wszystkie informacje na temat księży oskarżonych o pedofilię, skandale z biskupem albo z tym wychowawcą młodych chłopców, jakieś oskarżenia, sprawy sądowe z zapadłych parafii, a następnie powiązał to ze wspomnieniami z klasy. Był, musiał nim być. W ostatnich latach ileż podobnych do siebie przypadków wychodziło na jaw. Gazety pluły na cały stan kapłański, nie bacząc zupełnie, że dewianci w sutannach stanowią ułamek procentu.

- Przyjdzie nam wszystkim odpokutować - wyszeptał do siebie - za tych padalców.

Było po dziewiątej, kiedy do zakrystii wszedł Sebastian, prowadząc wikarego Seweryna. Młody ksiądz właśnie wrócił z obozu dla młodzieży chrześcijańskiej. Augustyn spojrzał na niego i zamarł. Seweryn, podobnie jak Sebastian, golił głowę na zero i przed wyjazdem trzy tygodnie temu dokładnie zjeździł maszynką całą jej powierzchnię, nie pozostawiając najmniejszego włoska. Jakże więc zdziwił się Augustyn, widząc, że przez środek głowy księdza biegnie teraz czarny pasek włosów szerokości około trzech centymetrów, równo przycięty z obu stron. Reszta głowy pozostała pieczołowicie wygolona.

Popatrzył na Sebastiana, który tylko wzruszył ramionami i uniósł brwi.

- Wiem, wiem, proszę księdza proboszcza - rzekł Seweryn.

- Wiem, co ksiądz myśli. Ale proszę dać mi szansę. Irokez jest teraz na czasie, na fali, że się tak wyrażę. Młodzież ma świetne podejście do takiej fryzury u duchownego.

- Mam nadzieję, proszę księdza, że to nie będzie wysokie na pół metra - uszczypliwie odparł Augustyn.

- O nie, to by było za dużo. Najwyżej dziesięć centymetrów, nie więcej.

- Młodzież z oazy - wtrącił Sebastian - mówi, że to bardzo dobry pomysł.

- No dobrze, zostawmy to - posępnie zakończył temat Augustyn. - Pamięta ksiądz, co mu mówiłem przez telefon, kiedy ksiądz dzwonił, chyba tydzień czy dwa temu?

- Tak, pamiętam. Miałem nabrać dystansu do tych wydarzeń. Do wszystkiego, co



ksiądz proboszcz mówi i czyni. O to chodzi?

- Tak, o to. Mam dla księdza radę, której powód i motywację najlepiej wyjaśni ksiądz Sebastian. Proszę jeszcze dziś, najpóźniej jutro, napisać mejla do kurii. Proszę się odżegnać od tych wydarzeń i usprawiedliwić się koniecznością słuchania moich poleceń. Dodać, że kieruje się ksiądz troską o dobro Kościoła i obawy co do mojej poczytalności zmuszają księdza do pisania.

- Ale... nie rozumiem.

- Zrozumie ksiądz - powiedział Augustyn, który nagle wydał się obu wikarym w całkiem dobrym nastroju.

Seweryn pokręcił z niedowierzaniem głową. Wtedy Augustyn zaczął się śmiać. Najpierw cicho, później coraz głośniejsze, aż w końcu śmiech wybuchnął z niego jak niepowstrzymane tsunami. Wikariusze spojrzeli na siebie, nic nie rozumiejąc. Mimo woli na ich twarzach także pojawiły się nieśmiałe uśmiechy. Tymczasem Augustyn już wręcz pokładał się ze śmiechu. Seweryn dyskretnie domknął drzwi zakrystii, choć nie miał złudzeń, że ryki śmiechu proboszcza nie dotrą na zewnątrz. Docierały z pewnością! Minęło pół minuty, ale nic nie wskazywało na to, że Augustyn ma dość. Trzymał się za brzuch, drugą rękę oparł o drzwiczki szafki i ryczał jak jakiś demon z tanich horrorów. Jego twarz nabrała barwy buraczkowej, a z oczu kapwały łzy. Wreszcie zaczął się uspokajać. Otarł oczy i ciągle rozbawiony zwrócił się do obu swoich wikarych:

- Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. To ta nowa księdza fryzura - powiedział, wskazując na czubek głowy Seweryna. Wikariusze zauważyli, że następny wybuch niepohamowanego śmiechu jest tużtuż. Ale Augustyn tym razem zdołał nad sobą zapanować. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale kiedy ksiądz tak pokręcił głową i ten irokez tak się śmiesznie przesuwiał, nie mogłem się powstrzymać. Rozumie ksiądz, ten dysonans: sutanna i taka fryzura. Bardzo przepraszam, ale to strasznie komiczne. Proszę nie brać tego do siebie, proszę księdza.

- Ależ skąd, księżo proboszczu. To kwestia przyzwyczajenia. Muszę szybko podmienić zdjęcia na naszej stronie. Zdaję sobie sprawę, że to na pierwszy rzut oka może tak wyglądać - zapewnił Seweryn.

Augustyn poklepał go po ramieniu i wyszedł z zakrystii. Stał przy ołtarzu. W pierwszych rzędach dostrzegł posłankę Ciszewską. Ukłoniła się, ale z dystansem. Jak zwykle. Nieco z boku, Maurycy Pluta słuchał, co mówi jego żona Anna.

Oboje pochylali się ku sobie, a Pluta po chwili zaczął pisać coś w notatniku. Jego stan się poprawił, ale nadal miał kłopoty z mówieniem. W kościele było około setki osób. Sporo,

pomyślał Augustyn, jak na sobotę. Można dziś przygotować jakieś ciekawe kazanie na wieczorną mszę. Albo na jutro. Coś motywującego i emocjonalnego zarazem.

Podszedł do mikrofonu i jeszcze raz odmówił z wiernymi kilka modlitw. Od chwili wysłania tekstu o kanoniku zupełnie nie mógł się skupić na niczym istotnym. Ten dzień będzie mu się dłużył aż do końca, już teraz był tego pewien. To, co ważne, rozegra się dopiero jutro, kiedy on tu przyjedzie. Dziś tylko mozolne obowiązki, tylko robienie dobrej miny. Może właśnie dlatego potrzebne mu będzie mądre i długie kazanie na ten wieczór. Tak żeby sam mógł odzyskać wiarę w to, co robi.

Kiedy minęła dziesiąta, doszedł do wniosku, że niedługo powinien zatelefonować Wacław. Pora ustalić termin jutrzejszego spotkania. Pewnie Wilczyński zjawi się w towarzystwie Korala, niestrudzonego w niesieniu pomocy.

Postanowił wrócić do siebie. W ostatnich dniach zupełnie zaniedbał sprawy kancelaryjne i gdyby nie pomoc Sebastiana i wyręczanie go w obowiązkach, kto wie, jak funkcjonowałyby plebania. Chciał zerknąć w papiery, posprawdzać wpisy, wypełnić czas zwyczajnymi zajęciami proboszcza. Nie zdążył jednak oddalić się nawet o kilkanaście kroków od kościoła, kiedy usłyszał za sobą wołanie.

- Proszę księdza, my chcieli coś księdzu powiedzieć. - Genowefa Florczak starała się przekrzyczeć porywisty wiatr. Dookoła latały zbutwiałe liście i żółta reklamówka.

Z bocznych drzwi kościoła wyszło kilkanaście osób, prawie wszyscy z miejscowego kółka różańcowego, rady parafialnej i - to było zaskakujące - młodzi ludzie, wśród których Augustyn rozpoznał swoich uczniów.

- O co chodzi, pani Gieniu? - Zapiął kurtkę i włożył ręce do kieszeni, aby rozgrzać palce, które znów zaczęły go boleć.

- Myślmy o tym, proszę księdza, żeby relikwię dobrze ochronić. Bo to tera nigdy nie wiadomo - zaczęła pani Irena Goszczykowa.

- Ksiądz przecie sam tych gości nie upilnuje, nawet jak ksiądz kościół zamknie, gości schowa, to ile tera piszą o włamaniach - dodała pani Genowefa.

- Ale wszystko jest bezpieczne, naprawdę. - Augustyn kolejny raz wzruszył się niezwykłym oddaniem sprawie, jakie wykazywali jego parafianie.

Do przodu wysunął się pan Andrzej Fiałkowski.

- Kochamy proboszcza wszyscy - powiedział - i dlatego chcemy pomóc. Proszę księdza proboszcza - tu jego ton nabrał belferskiego patosu - chcemy pełnić honorową wartość przy kościach. Każdej nocy. Sporządziliśmy grafik - mówiąc to, Fiałkowski wręczył Augustynowi kartkę. Były na niej nazwiska i daty.

- Niech się ksiądz proboszcz zgodzi. Tych ludzi to tera tyle przyjeżdża. Coraz ich więcej. My to ich nie znamy ani nikt. A nie wiadomo, co to, skąd to ci przyjeżdżają. A to przecie nasza relikwia - rzekła w podnieceniu Genowefa Florczak, a stojąca obok Felicja Kozłowska, którą teraz codziennie coś strzykało w krzyżu, podchwyciła, kiwając głową:

- No, no, no! - powiedziała.

- No ale - zaczął Augustyn - sami tak chcecie? Wiecie, jak to jest, noce w zimnym kościele? Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, ale państwo już są nie najmłodszy, że się tak wyrażę.

- Proszę księdza proboszcza - podszedł do niego Andrzej Fiałkowski. - Niech ksiądz nas posłucha. Te kości mają moc, niezwykłą moc, to wspaniała relikwia. I każdy zaświadczy, że jak jest tu w kościele, to się coś takiego dzieje, że nie da się wytłumaczyć ani opowiedzieć. Pani Florczak to chyba najlepiej wie po tych zemdleniach, ale nie tylko ona. My w to wierzymy, proszę księdza, i chcemy tego bronić. Bo to jest nasze, chociaż dla wszystkich. No i prosimy bardzo, żeby ksiądz jakoś nam spisał to swoje objawienie, jak je ksiądz usłyszał.

- Ale po co to wam?

- Proszę księdza proboszcza, my chcieliśmy mieć księdza słowa w domach swoich, u siebie, żeby ksiądz proboszcz był dzięki temu bliżej nas.

Augustyn stał bezradnie, trzymając w dłoni kartkę z wartami wyznaczonymi dla każdego ochotnika. Stawało się to, czego pragnął i obawiał się jednocześnie. Relikwia zdobywała fanatycznych wyznawców, gotowych kruszyć o nią kopię.

- Przemyślę waszą prośbę - powiedział łagodnie. - Jestem nieco zaskoczony, ale nie mówię nie.

Pożegnał się z grupą swoich najwierniejszych parafian i szybkim krokiem ruszył na plebanie. Nie zdążył jednak dotrzeć na miejsce, kiedy usłyszał tupot ciężkich butów i dopędzili go trzej wysocy młodzieńcy.

- Proszę księdza! - wykrzyknął jeden z nich, bo wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, głośno świszcząc. - Proszę księdza, my też chcemy jakoś księdzu pomóc.

Augustyn poznał Krystiana Błaszczoka z trzeciej A, nazwisk pozostałych nie pamiętał.

- Ale jak chcecie pomóc?

- Po tej lekcji, jak nas ksiądz nazwał przeklętymi, to się wszyscy bardzo przejęli. To znaczy nie wszyscy, ale niektórzy tak. Założyliśmy taki szkolny teatr i gramy różne sztuki, no i pomyśleliśmy, że może byśmy o tej relikwii i o księdzu taką sztukę wystawili.

- Sztukę? A co by w tej sztuce było?

- No, wszystko. - Błaszczok pochylał głowę, zwracając się do Augustyna.

- Aha, wszystko. - Proboszcz westchnął. - Wszystko, czyli pewnie nic. I to ma być ta wasza pomoc?

Licealiści milczeli. Popatrzyli na siebie i kiwnęli głowami.

- No tak - powiedział jeden z nich, krępy, zupełne przeciwieństwo długonogiego skoczka wzwyż.

- Proszę księdza, my wszystko napiszemy. Jeden akt. O tym, jak było objawienie, i że Kościół nie chce księdza wspierać. A ksiądz proboszcz nie daje się i prowadzi wiernych - przekrzykiwał wiatr trzeci z nich, rudowłosy młodzieniec.

- A skąd wam się wziął pomysł, że Kościół nie chce mnie wspierać?

- No... - Błaszczok szukał odpowiednich słów - tak mówią co poniektórzy. Proboszcz Koral podobno coś złe o tym mówił. Podobno jakaś komisja ma przyjechać czy coś. Dokładnie to my nie wiemy. No i my byśmy chcieli...

- Dobrze. Wystarczy - głośno przerwał mu Augustyn. Przyjrzał się swoim uczniom i nagle złagodniał, mówiąc z uśmiechem: - Wiem, co ludzie mówią, wiem, co mówi proboszcz Koral. Jeśli ta pamiętna katecheza tak na was wpłynęła, to jestem bardzo rad. Oby więcej takich jak wy. Cieszę się. I sami to napiszecie, tak? Aha, no piszcie, proszę bardzo. Róbcie. Róbcie, co chcecie.

- Ale my... musimy to z księdzem skonsultować. Żeby ksiądz to przeczytał, coś doradził może.

- Proszę bardzo. Przyjdźcie, kiedy będziecie mieć jakiś szkic. Proszę.

Zostawił licealistów i schronił się u siebie. Opadł na wersalkę, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszał. Starzy chcą pełnić wartość, młodzi wystawiać sztuki. Co jeszcze przyjdzie im do głowy? On bohaterem szkolnego przedstawienia. No proszę.

Tylko gdzie to wystawią? Rokita w szkole im nie pozwoli, to pewne. Dom Kultury albo plenerowe przedstawienie dla chętnych - to wszystko, na co będą mogli sobie pozwolić. Właściwie, to bardzo dobrze, że zdołał zainteresować miejscową młodzież. Niezależnie od tego, co napiszą, jak podejną do tematu, widać w tym sporo dobrej woli. Czyżby osiągnął to, czego chciał? Relikwia budzi emocje, te złe i te dobre. Pytanie, których więcej. A przecież to nie koniec, jest jeszcze nadchodzący ważny element finalny, mający w sobie zapewne największą siłę napędowopromocyjną.

Spojrzał na zegarek. Waclaw powinien już dzwonić. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę. - Augustyn przesiadł się z wersalki na krzesło przy stole.

Do pokoju wtoczyła się pani Hela. Od razu zauważył, że coś jej leży na sercu, bo

twarz miała naburmuszoną bardziej niż zwykle.

- Można, proszę księdza? Bo chciałam coś powiedzieć? - spytała, stojąc w progu.

- Ależ oczywiście, proszę, pani Helu, niech pani siada. Pani Hela usiadła naprzeciwko proboszcza i wpatrzyła się w obrazek Jezusa w ramce. Nie ponaglał jej. Czekał, aż zbierze wszystko, co ma mu do powiedzenia, i zawrze wyrzuty w jednym długim zdaniu. Pani Hela ręce złożyła na udach, cała spięta, z lekko rozwichrzonymi siwymi włosami, usta miała zaciśnięte.

- Po co ta kobieta tu przychodzi? - wyrzuciła z siebie, nie odrywając spojrzenia od obrazka z Jezusem.

Augustyn nie odpowiedział. Jak miał wytłumaczyć pani Heli, że wieczorna wizyta Eli znaczyła więcej niż codzienne msze? Może nawet więcej niż wszystkie msze, jakie odprawił od tamtej pory?

- Wie ksiądz proboszcz, co to za kobieta? - ciągnęła pani Hela. - Kim był jej ojciec? Ja ją pamiętam z czasów, jak ksiądz wikarym tu był. Ksiądz też pewno pamięta, bo przecie to koleżanka ze szkoły. Ale żeby tak się zadawać? Ja, proszę księdza, wszystko zniosę, ale żeby baba tu przychodziła? W nocy? Czego ona tu chce? Ani to parafianka żadna, w kościele to ja jej nie widziałam. A przecie to się zara rozniesie, zara ludzie będą gadać.

- A dlaczego miałyby się roznieść, pani Helu? - spytał Augustyn.

Kobieta nie odezwała się słowem, uparcie wpatrując się w Jezusa. Na jej pomarszczone policzki wystąpił rumieniec. Podniosła ręce i złożyła je na stole. Augustyn położył dłoń na jej zaciśniętej pięści.

- Czy ktoś coś widział? Słyszał? Pani się niepotrzebnie złości. Pani Helu, tyle lat tu razem żyjemy, przecież mnie pani zna. Przyszła tu, bo jest na zakręcie duchowym, a że pamięta mnie z lat szkolnych, chciała pomówić o sprawach duchowych. Nie wolno nam odtrącać zbłąkanych dusz, pani Helu. Nikogo nie wolno nam odtrącać, przeciwnie, trzeba czynić wszystko, aby przyjąć je na łono Kościoła.

- Ja nie wiem, czy ksiądz proboszcz dobrze robi. To jest wredna kobieta, ja wiem. Tera to ludzie różne rzeczy mówią.

Zza okna dobiegł warkot samochodu. Ktoś podjechał pod same okna plebanii. Silnik przez kilka sekund pracował, potem zgasł i oboje usłyszeli zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego.

- Ja się tym zupełnie nie przejmuję, pani Helu. Jestem duszpasterzem, otwartym na każdego, kto pragnie pocieszenia.

- Augustyn wstał i podszedł do okna. Na placu stało czarne polo. - No to mamy

gościa. Czy mogę panią poprosić o dwie filiżanki gorącej kawy? Jedna ze śmietanką do kubka, a dla mnie jak zwykle.

- Ja się tylko o proboszcza niepokoję - wyznała pani Hela, wychodząc. - Tyle dobrego ksiądz robi, ta relikwia, ludzie się do kościoła garną. Żeby co złego z tego nie było.

- Wszystko w porządku, pani Helu, wszystko dobrze - uspokoił ją Augustyn.

Nie miał pewności, czy pani Hela rzeczywiście się uspokoiła. Dlaczego przyszła z tą sprawą dopiero teraz? Już kilka dni minęło od ostatniej wizyty Eli, a gospodyni potrzebowała aż tyle czasu, aby zaufanemu księdzu powiedzieć, co o tym myśli? Co najmniej dziwne.

Zszedł na dół i stanął na ganku. Proboszcz Zygmunt Koral nadal nie wychodził z samochodu. Dawno niepodcinany, przeredzony żywopłot przesłaniał wnętrze pojazdu i Augustyn nie mógł dostrzec, że Koral siedzi z rękami na kierownicy, jak gdyby się zastanawiał, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając tutaj. W pewnej chwili położył dłoń na kluczyku w stacyjce, trzymał go przez moment, a później wyciągnął zdecydowanym ruchem i z westchnieniem wydobył się z auta. Zatrzasnął drzwi i stał jeszcze przez chwilę, zanim ruszył w stronę ganku.

Na widok Augustyna zatrzymał się i ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Spoglądali na siebie w milczeniu. Wiatr tarosił im sutanny. Koral nie miał ani biretu, ani żadnej czapki, Augustyn nawet nie włożył kurtki czy płaszcza. Z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu ze śniegiem. Nad całym miastem zawisły chmury zwiastujące nadejście prawdziwej zimy. Choć nie było jeszcze południa, mroczny cień opadł na ulice, objął budynki i drzewa, spowił kościół ciemnym całunem, w którym utonęły barwne witraże, a ściany zlały się w jedną bryłę o nieokreślonym kształcie. Po niebie pędziły granatowe masy, posiekane żółtobrunatnymi rysami, popielatymi wązowymi światła. Nikłe promienie przezierają przez nie na krótką zaledwie chwilę i zaraz znikają. Kościół przez moment rozjarzał się wątłym blaskiem, a potem ponownie skrywał w cieniu.

Gdzieś z dala dobiegł odgłos pierwszego grzmotu. Wiatr jeszcze mocniej poderwał gałęzie drzew, równo zasadzonych wokoło świątyni. Deszcz i śnieg zacięły od strony kościoła prosto w plecy Korala. Augustyn przysłonił twarz i gestem zaprosił go do środka. Ksiądz Zygmunt kiwnął głową i powoli wszedł na schody. Wyciągnął rękę.

- Witaj - powiedział.

Augustyn odwzajemnił uścisk dłoni.

- Wejdz, czeka na nas kawa. - Wskazał schody prowadzące do jego pokoju.

Koral ociekał wodą. Szybko ściągnął kurtkę i poprosił o ręcznik. Już w pokoju Augustyna wytarł dokładnie głowę, twarz i szyję, odpiąwszy wcześniej koloratkę.

- Ciemno jak w późny wieczór - rzekł.

- Ponoć zapowiadali tęgą burzę. - Augustyn przysunął mu kubek kawy i podał śmietankę.

- Ludzie przychodzą w taką pogodę? - Koral zasiadł za stołem i pociągnął łyk kawy. - Pamiętałeś. Taka jak lubię.

- Sporo czasu minęło, to fakt. Ludzie, no cóż, jest sobota, zimno, ciemno, a przyszli. Słyszałem, że dziś w gazecie znowu jest jakiś artykuł. Tylko że ze mną nikt nie rozmawiał.

- Gustek, ci redaktorzy już tacy są. Chyba to wiedziałeś?

- Nie interesują mnie aż tak bardzo te gazety. Dobrze, że piszą, że mówią. Ale przejdźmy do rzeczy, Zygmunt. Przychodzisz z polecenia twojego szanownego gościa, jak przypuszczam? Zaczął już pisać raport?

- Nie do końca z jego polecenia. Poprosił mnie, abym z tobą ustalił, gdzie i kiedy, to wszystko, co mam zrobić. Mogłem zadzwonić, ale chciałem przyjść. Myślę, że... że ostatnio niepotrzebnie między nami...

- Zygmunt - przerwał mu Augustyn - ja pod tobą nie robię. Wiesz, o czym mówię.

- To nie jest dokładnie tak, jak sobie to tłumaczysz. Zgadzam się, może czasem robiłem niepotrzebne rzeczy. Jestem tylko księdzem, a nie świętym, jakim ty chcesz chyba zostać. Wybacz, że tak mówię. Augustynie, ty jesteś autodestrukcyjny, pijesz czy piłeś, nie wiem, nigdzie od paru lat nie wychodzisz, zamykasz się, ludzi unikasz. A my, księża, jesteśmy przecież dla nich, dla ludzi, nie dla siebie. Nie wiem, czemu ciągle jesteś taki lubiany, nie pojmuję tego. Więc zrozum, obawiam się o to, co będzie w tym mieście i z nami, i z naszą katolicką wiarą. Rozumiesz? Każdy ma swój skrawek, za który odpowiada. Dla mnie tym skrawkiem jest moja parafia, ale kiedy widzę, że w sąsiedniej dzieje się źle, muszę coś zrobić. A ty jesteś jak ksiądz odludek, taki kapłan samobójca. To jest niebezpieczne dla nas wszystkich, dla księży i dla wiernych, zwłaszcza dla wiernych.

- Tak - powiedział cicho Augustyn. - Jestem takim kapłanem samobójcą. To prawda. Właściwie zadziwiająco trafne określenie, Zygmunco.

- Sam widzisz. I jak zacząłeś z tą relikwią, po prostu pomyślałem, że oszalałeś. Dosłownie. Szaleństwo duchownego może być niebezpieczne nie tylko dla niego, ale dla ludzi, którzy mu ufają. Powiedz mi, powiedz, jak jest naprawdę. W co ty grasz?

- Dlaczego nagle miałbym ci mówić? W ostatnich dniach nie bardzo mi pomogłeś. Wręcz przeciwnie. Relikwia jest ponad naszym zrozumieniem. Jest na poziomie wiary, ale tej prawdziwej.

- To banały.

- Nie. Wcale nie. To prawda. Pochodzenie źródła nie ma wpływu na jakość wierzenia. A im bliższe to źródło, tym wiara mocniejsza. Ludzie ubóstwiają tajemnicę, a tajemnica i wiara to bliskie siostry. Wiesz, że licealiści chcą o tym zrobić sztukę teatralną? A na pocztę parafialną już przyszło kilkanaście pytań, kto to był ten Henryk Kietlicz. Były pytania, czy to ten, co w Polsce celibat zaprowadził. Tak się zainteresowali, dasz wiarę?

- Gustek, Dominik Savio to rozumiem. Skorzystałeś z tego, że relikwie gościły u mnie. Ale skąd wytrzasnąłeś tego Kietlicza? Chcesz mi powiedzieć, że naprawdę ci się ukazali? I jeden, i drugi?

- Raczej udźwignęli. - Augustyn, mówiąc to, dotknął swego ucha.

- Nie, nie, nie, nie! - Koral zamachał rękami. - To niemożliwe, nie wmawiaj mi takich rzeczy. Ja pytam poważnie, jaki cel ci przyświeca? Chcesz się wypromować na... właśnie, na kogo?

- Ech, Zygmunt, człowiek małej wiary z ciebie. Tu jest relikwia. Kości poćwiartowanego kanonika, w których drzemie wielka moc. I wiesz, że nawet po mojej śmierci jeszcze długo ludzie tu będą przychodzić. Kościół ich nie przekona, bo to już się stało. Aura nadzwyczajności już została przypisana do tego miejsca. Niedługo powstanie strona w Internecie, słyszałem, że jakiś nauczyciel chce to zrobić. Czy Andursz chce tego, czy nie, ludzie będą pamiętać. Zobaczysz, poczekaj jeszcze trochę. A najlepiej przyjdź do kościoła, uklęknij, pomódl się, to ci dobrze zrobi.

- Ja mam wiarę. - Koral odsunął się od stołu. - Nie wiem sam, może i dobrze czynisz. Ale doktrynalnie jesteś podejrzany. Wilczyński nie popuści. Pozbawi cię parafii, do tego zmierza.

- Zygmunt, czy nie tego chciałeś? No, powiedz prawdę? Koral milczał przez chwilę. Powrócił w myślach do czasów, kiedy wydawało mu się, że może coś osiągnąć jako ksiądz, i przypomniał sobie, jak szybko porzucił te marzenia. Zdołał powstrzymać swoje zapędy i ograniczyć ambicje do cichej misji między wiernymi ku chwale Kościoła.

- Tak, chciałem - powiedział. - Chciałem, bo Kościół to moja rodzina i każdy jej członek jest tak samo ważny, nawet najmniejsza parafia. To są cegiełki, z których budujemy naszą wspólną wielką budowlę. Ale przecież ty to doskonale rozumiesz. Więc chciałem, bo twoja cegiełka zaczęła się kruszyć.

- A teraz już nie chcesz? Zmieniasz zdanie?

Ksiądz Zygmunt ponownie się zamyślił. Postukał palcami w kubek. Potem podniósł wzrok na Augustyna.

- To nie jest kwestia zmiany zdania. Nie umiem ci dokładnie wyjaśnić. To raczej



intuicja, jakieś wewnętrzne przekonanie, że może powinienem podejść do tego inaczej. Tak mnie wczoraj naszło. - Koral chwycił kubek i wypił kawę do końca trzema wielkimi łykami. Odstawił naczynie. - Niezręcznie mi teraz. Może popełniłem błąd, nie wiem. Ja po prostu nie rozumiem metod, jakie stosujesz - relikwie, objawienia. Ale jeszcze mniej rozumiem... ich metody.

- Cieszę się, że to mówisz. Ale formalnie mnie nie poprzysz, nie myślę się, prawda? Boisz się, że wylądujesz gdzieś pod wschodnią granicą w wiosce z dwudziestoma domami, na plebanii, gdzie trzeba palić węglem. Rozumiem. Nie mam żalu.

- Augustyn podszedł do szafki i wyjął butelkę koniaku. Nalał do kieliszków i postawił je na stole.

Ksiądz Zygmunt bez słowa upił łyk, potem jeszcze jeden. Następnie odstawił resztę trunku, mówiąc, że przyjechał samochodem i nie powinien więcej wypić.

- Miałeś kiedyś kobietę? - wypalił nagle. Augustyn spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Miałeś?

- Skąd to pytanie, Zygmuniecie?

- Odpowiedz.

- Odpokutowałem za swoje winy. Uwierz mi, odpokutowałem.

Koral nie ponowił pytania. Wstał i przemierzył kilka razy długość pokoju. Widać było, że zмага się z jakąś trudną myślą. W końcu zatrzymał się i rzekł:

- Zawsze z całej duszy potępiałem księży łamiących śluby. Słabych księży nie toleruję. Zbyt wiele wkładam wysiłku we własne wyrzeczenia, żeby przemykać oczy na ich wiarołomstwo. Nie chcę, żeby w moim najbliższym otoczeniu był ktoś taki. Ale nie wiem, co jest większym złem, to, co ty zrobiłeś kiedyś, czy to, co oni mogą zrobić teraz.

- Co masz na myśli?

- Wiedzą o tym, Gustek. Wilczyński się dowiedział. Kto wie, czy nie powoła się na świadka. Więc radzę ci, zgódź się na wszystko, czego będzie chciał. Ja cię o to proszę.

- Świadka? - spytał Augustyn i natychmiast wyobraził sobie panią Helę, opowiadającą księdzu Wacławowi o nocnej wizycie Eli. To może stąd jej dziwne zachowanie, spóźnione wyrzuty sumienia.

- Mam wrażenie, że on to będzie chciał wywlec.

- Nie pozwolą mu.

- On cię nienawidzi, tak mi się zdaje. Ty go znasz?

- Tak, to pedofil - lekkim głosem oznajmił Augustyn - który będąc tu wikarym, chciał mnie, ministranta, uwieść. Dawne dzieje.

Koral opadł na krzesło. Chwycił kieliszek i wychylił go do końca. Jedynym grzechem, jakiego dopuścił się przed laty, był nałóg nikotynowy. Zwalczył go jeszcze przed trzydziestką i dziękował Panu za siłę. Teraz zupełnie nieoczekiwanie poczuł ogromną chęć na papierosa.

- Co ty mówisz? Jak to... pedofil?

- Pamiętam go dobrze. Obląbiał nas, dzieci, zapraszał do siebie, najczęściej grupami, ale wiem o paru takich, co chodzili sami. Mnie też próbował raz zaprosić. Nie wiem, co robił później, mogę się jedynie domyślać, ale pamiętam jego wzrok, pamiętam dotyk, dobrze pamiętam. Śmieszne i zarazem straszne jest to, że ktoś taki przyjechał mnie tu osądzać. Zastanawia mnie tylko, czemu Andursz go przysłał, to przecież dobry człowiek, bardzo prawy. Nie rozumiem, czyżby nie wiedział? - Popatrzył na księdza Zygmunta, jakby omawiali dobrze znaną im obu kwestię teologiczną.

Koral siedział jednak bez ruchu. Augustyn zauważył, że znowu walczy z własnym sumieniem.

- Pójdę już. Pamiętaj, co ci powiedziałem. Może lepiej dać sobie spokój.

- Poczekaj. - Augustyn przytrzymał go za ramię. - Powiedz mi, kto jest tym świadkiem?

- Przykro mi, nie mogę, naprawdę. I tak powiedziałem dużo.

- Tylko jedno - nalegał Augustyn. - Kobieta? Stara? Młoda?

- Nie. To nie kobieta - odparł Koral i zobaczył na twarzy

Augustyna wyraźną ulgę.

Na koniec ustalili, że spotkanie z Wilczyńskim odbędzie się na plebanii, w jednej z dawnych salek katechetycznych. Gość z kurii domagał się obecności wikariuszy i proboszcza z trzeciej parafii, a także kilku osób reprezentujących miejscową radę parafialną. Augustyn zgodził się na wszystko.

- Nie wiem, czego on chce, ale możesz mu powiedzieć, że nie dowie się niczego ponad to, co już wiedzą wszyscy. - Augustyn pożegnał Korala na schodach plebanii i patrzył, jak odjeżdża.

Wiatr dał z nieco mniejszą siłą. Burza przeszła bokiem, ale nad miastem ciągle wisiał mrok. Strumienie wody spływały do kraterów, na nierównych jezdniach potworzyły się olbrzymie kałuże. Augustyn odprowadził wzrokiem samochód Korala i wrócił do siebie.

Po obiedzie położył się do łóżka. Budzik zadzwonił o szesnastej. Wstał i poszedł do łazienki. Spoglądając w lustro, namyślał się, jak to zrobić. Gdzie? Właściwie do tej pory nie zastanawiał się nad tym, jakie wybrać miejsce. Tymczasem sprawa nie była wcale prosta. Co do metody, rozważał kilka możliwości, lecz ciągle nie był pewien, która jest najwłaściwsza.

Wypadek samochodowy, upadek z wysokości. Trudno wybrać. Wiedział tylko, że nie powinno to wyglądać na samobójstwo. Do tej pory najlepszy wydawał mu się wypadek. To mogłoby wywołać odpowiednie wrażenie. Nagłówki w gazetach: Wypadek proboszcza, który miał objawienie, Śmierć opiekuna relikwii, Bóg zabrał wiernego sługę. Medialnie wyśmienite. Umiera jak męczennik. Najpierw objawia, co mu przekazali Dominik Savio i Henryk Kietlicz, zbiera ludzi, daje im nadzieję, i nagle - ginie, straciwszy panowanie nad kierownicą.

- Piękny powód do zakończenia nędznego życia - odezwał się, oglądając swoją pulchną twarz. To miała być ostatnia dobra rzecz, jaką uczyni swoim parafianom i przy okazji samemu sobie. Nie, odwrotnie - przy okazji parafianom.

Spędził w łazience prawie pół godziny. Kiedy wyszedł, był pewien: rozpędzi opla na prostej, z której tak lubił zjeżdżać do lasu, na polanę. Jakieś trzysta metrów od skrzyżowania zaczynała się prywatna posiadłość miejscowego milionera, ogrodzona solidnym betonowokamiennym murem. Jeśli dobrze poprowadzi samochód, szanse przeżycia będą równe zeru.

Wstąpił do kuchni, aby przed pójściem do kościoła napić się wody gazowanej. Przy radiu siedziała pani Hela i słuchała mowy ojca dyrektora. Na widok Augustyna wyłączyła odbiornik, wiedząc, że proboszcz niechętny jest tym audycjom, i spytała, czy chciałby coś zjeść. Augustyn uprzejmie odmówił i nalał sobie wody do szklanki.

- Co za pogoda dzisiaj - powiedział. - Myślałem, że przynajmniej ten wiatr ustanie po południu, a tu nic.

Pani Hela milczała. Augustyn uśmiechnął się pod nosem.

- No, czas do kościoła. Jutro, pani Helu, przyjedzie tu ważna osoba, aby sprawdzić, czy relikwia jest prawdziwa. Ksiądz Wilczyński.

- A niech ta. Niech ta przyjeżdża. Co on tam wie.

- A pewnie. Wrócę za dwie godziny, pani Helu - rzekł i wyszedł z kuchni.

Pani Hela odwróciła się i krzyknęła za nim:

- Ona znowu przysłała do kościoła! Siedzi tam i się modli! Ale ja swoje wiem, ja w takie rzeczy nie uwierzę! - zakończyła ostro.

Augustyn puścił mimo uszu ton swojej gospodyni. Udając, że nie traktuje poważnie jej uszczypliwości, zamknął za sobą drzwi i wyszedł prosto w ciemność. Natychmiast dopiął kurtkę. Powiewy mroźnego powietrza uderzały go w twarz. Pogoda nie poprawiła się ani na jotę. Mrok nad miastem powoli przechodził w naturalną ciemność wczesnego wieczoru. Po ulicach pełzały skrawki kartek i opakowań z wywróconego kosza na śmieci. Dźwięk

przypominający jęki tonącego statku niósł się zewsząd, niski, a za chwilę wysoki, szorstki zgrzyt zmieniający się łagodny śpiew. Wichura zawładnęła miastem. Włożył ręce do kieszeni i jak najszybciej podążył do swojej świątyni.

Liczba wiernych nieco spadła od rana, ale wciąż było ich sporo. Augustyn zauważył, że ubyłło wielu jego parafian, a na ich miejsce przyszli nieznani mu ludzie. Podszedł do niego wikary Seweryn.

- Proszę księdza proboszcza - powiedział z charakterystycznym dla niego uniesieniem - to, co tu się dzieje, przechodzi najśmielsze wyobrażenia. Nie spodziewałem się, że to przybierze aż takie rozmiary. To coś wspaniałego. Moglibyśmy z księdzem Sebastianem zrobić z tego piękną promocję naszej parafii i wykorzystać jako element tradycji w podejściu do wiernych. Jestem oszołomiony! Dziś o tym...

Augustyn uniósł rękę, powstrzymując dalsze wywody Seweryna.

- Wiem, że ksiądz ma w sobie dużo dobra, dużo chęci i zapału. Jeszcze raz jednak proszę o pewną wstrzeźliwość w podejmowaniu decyzji. Na wszystko przyjdzie czas, jeszcze zdąży się ksiądz nacieszyć tym znaleziskiem, zapewniam. Już wkrótce. A teraz, ksiądz wybaczy.

Poklepał wikarego irokeza po ramieniu i odszedł kilka kroków. Seweryn, zdezorientowany, popatrzył za nim z rozdziawionymi ustami. Zaraz jednak przybrał zwykłą minę, przypominając sobie, że mimowolne rozdziawianie gęby wygląda komicznie i kilkakrotnie już zdołało nadważyć jego powagę duchownego.

Siedziała w pierwszym rzędzie. Odziana w czerń, jak w żałobie, złożyła ręce w modlitewnym geście i w niczym nie odróżniała się od pozostałych kobiet - tych pogrążonych w modlitwie i tych kontemplujących wewnątrz kościoła, czekających na spowiedź u Sebastiana lub klęczących przed liną, która oddzielała je od szkatuły z kośćmi.

Czy przyszła dlatego, że ją prosił podczas tej jedynej wizyty po latach? Nie, to byłoby śmieszne. Nie udawała. Spoglądał na nią i widział, że niczego nie udaje. Ona naprawdę chciała tu być. Piękna jak zawsze, ta sama Ela, delikatna i zmysłowa, nawet w tej bogobojnej pozie emanowała kobiecym czarem.

- Elu, co za niespodzianka. Jednak przyszłaś - powiedział cicho, zbliżywszy się do ławki.

- Sama nie wiem, co robię - odparła po krótkim milczeniu.

- Wierzysz w to? - spytał, wskazując relikwię.

- A ty? - Podniosła głowę.

- Jeszcze raz ci powiem. - Augustyn nachylił się nad nią.

- Moja wiara jest bez znaczenia, może jej nie być. Ale oni tego potrzebują. Jeśli kiedyś odnajdziesz w sobie taką potrzebę, moja wiara lub niewiara będą ci obojętne - przerwał, ale po chwili podjął ściszym głosem: - Tylko ty wiesz, jaki ze mnie ksiądz. I niech tak zostanie. Ale ty przecież zamierzasz kandydować, prawda? Więc ludzie będą mówić, że udajesz, przychodzisz, żeby pokazać coś, czego w duszy nie masz. Chcesz tego?

Ela pokręciła głową. Była świadoma komentarzy, jakie zaczną się rodzić. A jednak jej wizyta w kościele nie była racjonalną kalkulacją, o co podejrzewał ją proboszcz. Od czasu, kiedy spędziła u Augustyna te kilka godzin, zaczęła odczuwać niewytłumaczalną potrzebę bliskości, więzi, potrzebę płynącą być może z odurzenia religijnego. W każdym razie chciała być przy nim. Ze zdziwieniem zauważyła, jak z dnia na dzień rośnie w niej tęsknota - za jego głosem, spojrzeniem, twarzą, słowami; chciała czuć jego zapach i zwyczajnie siedzieć obok, towarzyszyć mu, być z nim i myśleć. Dlatego jeszcze raz poszukała jego słów w dawnych listach, pełnych teologicznego roztrząsania i przesyconych misjonarską pasją. Aż dziś, obudzony się późnym rankiem, wiedziała już, co chce zrobić. Rysowało się przed nią coś, czego nigdy jeszcze nie robiła, a co najczęściej wywoływało jedynie uśmiech pogardy: pójdzie do kościoła i powie Bogu - Ty, Boże. Pomodli się pierwszy raz w życiu. Przynajmniej spróbuje, tak z ciekawości, czy to coś da, czy ją odmieni. Ale było coś jeszcze.

- Przyszłam, bo prosił mnie Janusz - powiedziała cicho.

- Właściwie tylko dlatego, no i jeszcze te stare listy, wiesz. Ja i Janusz rozmawialiśmy bardzo szczerze w ostatnich dniach. Wiesz... coś się z nim dzieje. Nie wiem, czy to dobre, on...

- Boisz się, że uwierzy za mocno? Że stanie się z nim to co ze mną? - Westchnął, stając tuż obok niej. - Ze mną było inaczej. Dziś mam wrażenie, że moje powołanie dało o sobie znać zbyt wcześnie. Miałem jeszcze czas. Janusz też ma go jeszcze trochę.

- Nie zgodzę się na to.

- Skoro tu przyszłaś i siedzisz, to już się zgodziłaś.

- Nie wiem, co się dzieje. W ciągu dwóch tygodni bardzo się zmienił. Na początku był sceptyczny, nawet podśmiewał się z tego, a teraz... sama nie wiem.

Augustyn przysunął się jeszcze bliżej i położył dłoń na głowie Eli. Zaczął odmawiać modlitwę. Oczy wielu osób wpatrywały się w księdza i kobietę. Proboszcz już wiele razy zaszczycał niektórych parafian indywidualnym błogosławieństwem, więc nie dostrzegli w tym niczego niezwykłego. Po chwili większość ludzi wróciła do swoich modlitw i rozmyślań.

Tylko jedna para oczu nie odrywała się od nich.

Pani Anna Kiedroń znajdowała się po przeciwnej stronie kościoła i czekała w kolejce

przed konfesjonalem. Miała przed sobą tylko jedną osobę, ale zaczynała się niecierpliwieć, gdyż jakiś nieznany mężczyzna wyznawał grzechy już ponad dwadzieścia minut i nie zanosilo się na prędkie zakończenie litanii przewin. Narastająca złość skłoniła panią Annę do coraz częstszych westchnień i chrząknięć, mających trafić do uszu tego najwyraźniej potwornego grzesznika. Czy jednak dusza tak dalece przeżarta grzechem zdoła pojąć, o co jej chodzi? A jeśli nawet, czy znajdzie w sobie dość szlachetności, aby ustąpić miejsca starszej kobiecie? Pani Anna poważnie w to wątpiła. Nie wiedziała już, co z sobą zrobić, bo repertuar chrząknięć wyczerpał się do cna, gdy jej wzrok padł na Augustyna kładącego dłoń na głowie Eli. Pani Anna Kiedroń wstrzymała oddech. Zogniskowała spojrzenie na jego palcach, próbując wychwycić najmniejsze oznaki intymności, jakiej po księdzu nie należało się raczej spodziewać. Palce zatopiły się we włosach, zdaniem pani Anny zbyt głęboko, a cała dłoń dotykała głowy nienaturalnie mocno.

Innych tak nie dotykał, pomyślała i jeszcze uważniej wpatrzyła się w Augustyna i Elę. Teraz była już całkowicie pewna, że na jej twarzy pojawił się subtelny wyraz przyjemności. Nie mogło się jej przywidzieć. Przymknęła oczy, czy mi się wydawało? Przymknęła, tak na pewno - myśli i podejrzenia biegły przez głowę pani Anny Kiedroń jak stado mustangów po pustej prerii. Jak długo tak będzie trzymał rękę na jej głowie?!

Pani Anna wysiliła pamięć i próbowała złożyć do kupy wszystkie plotki, jakie przed dwudziestu laty krążyły o nim i tej kobiecie. Coś tam musiało być na rzeczy, z niczego się plotki nie biorą. Potem mówili, że to nieprawda, bo zły ojciec chciał wykorzystać własną córkę, żeby z młodego wikarego zrobić szpiega. Ile w tym było prawdy, nikt nie wiedział. Pani Anna Kiedroń szybko przeanalizowała swoje wspomnienia i nabrała całkowitej pewności: grzeszyli. Ten gest zdradził jej wszystko, a resztę dopowiedziała niezawodna intuicja. Może nawet cały czas, aż do dzisiaj, grzeszyli ze sobą, cudem utrzymując tajemnicę przed rodziną i sąsiadami. Pani Anna poczerwieniała ze złości. Taki dobry, mądry ksiądz. Ta lafirynda tak go zbałamuciła i jeszcze teraz ma odwagę przychodzić tu do kościoła, żeby bruździć!

Usłyszała pukanie w kratkę konfesjonalu. Ostatni raz spojrzała na Augustyna, który wreszcie cofnął rękę, a potem z nienawiścią popatrzyła na Elę. Wydało się jej, że widzi na jej twarzy jakiś szatański uśmieszek, a w oczach czerwony błysk.

Wprawdzie tak naprawdę oczy Eli cały czas pozostawały otwarte, a twarz bez wyrazu, ale to nie miało znaczenia z prostego powodu: pani Anna Kiedroń od dawna nie dysponowała sokolim wzrokiem. Serce łomotało jej szaleńczo. Teraz miała przed sobą dowód diabelskich sztuczek tej córki esbeka. Miała pewność.

Uklęła, przeżegnawszy się wcześniej, i powitała księdza Sebastiana.

- Ostatni raz u spowiedzi byłam w zeszłym tygodniu... - zaczęła.

## Rozdział 11 - Spór

Pan doktor Andrzej Fiałkowski pierwszy pełnił nocną wartę przy kościach kanonika. Następnego dnia był bardzo zmęczony, lecz nie mógł opuścić ważnego wydarzenia, jakim miało być przybycie wysłannika kurii i przesłuchanie proboszcza Augustyna dotyczące objawienia. W spotkaniu mogli wziąć udział członkowie rady parafialnej w roli świadków i w razie konieczności - mieli zostać dopuszczeni do składania zeznań. Procedura wydawała się niecodzienna, ale też krążyła powszechna opinia, że ów ksiądz Wilczyński jest niezwykle kapłanem i ma duże doświadczenie w podobnych sprawach. Wikary Sebastian powiadomił kilka osób i prosił o przekazanie informacji o spotkaniu.

Było tuż przed drugą, kiedy pan Andrzej znalazł się w pobliżu plebanii. Przyspieszył kroku. Wiał mocny wiatr, więc zarzucił na głowę kaptur. Znajdował się kilkanaście metrów od bramy wjazdowej, gdy na plac wtoczył się czarny volkswagen. Z samochodu wysiadł proboszcz Koral ze swoim wikariuszem i ksiądz Wilczyński. Pan Andrzej zauważył, że gość z kurii ma na sobie sutannę, na głowie zaś dopasowany biret. Wymachiwał laską z posrebrzonym końcem. Twarz miał bladą i pochmurną. Wysoko uniesiona głowa znamionowała pewność siebie i własnych racji.

Koral coś do niego powiedział, ale pan Andrzej był za daleko, żeby usłyszeć. Wilczyński wzruszył ramionami i wyciągnął z samochodu brązową teczkę. Fiałkowski wreszcie wszedł na plac plebanii. Dopiero teraz zobaczył, że po drugiej stronie, pod samym płotem, stoi grupka osób, niewidoczna wcześniej, bo zasłaniał ją wysoki żywopłot. Pani Irena Goszczykowa przywołała go do siebie.

- Dzień dobry, panie Andrzeju. Jak się pan czuje? Dobrze? A nikt pana tam nie niepokoił przez całą noc? - spytała.

- Nie, było bardzo spokojnie. Trochę nawet, wie pani, pospałem, tak nad samym ranem. Pani Ireno, powiem pani, że taki całonocny pobyt, wie pani, przy tych kościach, to tak człowieka... jakoś podnosi na duchu.

- A pewnie - zgodziła się pani Irena. - Ja pojutrze będę pilnować i już się nie mogę doczekać. No, niech pan patrzy - odwróciła głowę. - Przyjechali. Ciekawe, co tera będzie.

- Chyba nam powiedzą, tak myślę. - Pan Andrzej podrapał się w głowę.

- Niech pan popatrzy, jak się ten ksiądz panoszy, jakie panisko. Widzi pan, jaki nabzdyczony? Mina jaka, o, żeby się czasem nie przeliczył.

Wacław spojrzął przelotnie na grupkę ludzi pod płotem. Domyślił się, że szepcą o



nim. Kobieta i mężczyzna na przedzie pochylali się ku sobie i coś mówili, obserwując go bez przerwy. Wyczuł, że nie budzi w nich sympatii.

Z budynku plebanii wyszli wikariusze.

- Szczęść Boże - głośno przywitał wszystkich Seweryn.

- Ksiądz proboszcz zaprasza do kościoła. Na pewien czas został zamknięty. Zdaniem księdza proboszcza rozmowa w obecności relikwii będzie bardziej odpowiednia.

Wacław zobaczył pasek włosów na głowie księdza Seweryna i zmartwiał. Czegoś podobnego jeszcze nie widział. Jeden łysy, drugi z irokezem. No pięknie, bardzo ładnie ta parafia funkcjonuje, pomyślał.

- Co to za fryzura, proszę księdza? - spytał ostro, mierząc

Seweryna lodowatym spojrzeniem.

- Yyy... - Seweryn był zdziwiony napastliwym tonem Wilczyńskiego. - Teraz taka jest modna, popularna, idziemy z duchem czasu...

- Z duchem czasu?! Co ksiądz wygaduje?! Robi ksiądz z siebie błazna i ośmiesza wizerunek polskiego katolickiego kapłana! Nazwisko księdza!

- Seweryn Kuśmierzak. - Z twarzy wikarego odpłynęła krew. Patrzył bezradnie, jak Wilczyński zapisuje w notesie jego dane. - Ale, proszę księdza, to...

- To, co widzę, wystarczy mi zupełnie. A ta łysina księdza - wskazał Sebastiana - też jest nie całkiem na miejscu. Ale to jeszcze mogę tolerować. Natomiast głupoty i braku odpowiedzialności księdza - spojrzał do notesu - Kuśmierzaka nie można ignorować. Proszę jeszcze dziś doprowadzić się do porządku. A teraz słucham, gdzie jest proboszcz?

Do przodu wysunął się Sebastian.

- Ksiądz proboszcz zaraz zejdzie - wyjaśnił. - Prosił, żeby wszyscy przeszli do kościoła. Uznał, że salka katechetyczna niezbyt dobrze się nadaje na poważne sprawy.

- Chce ksiądz powiedzieć, że proboszcz nie raczył mnie poinformować o zmianie planów? - Wacław uniósł wysoko łaskę.

- To już pytanie do księdza proboszcza, ja tylko przekazuję jego prośbę - spokojnie odparł Sebastian.

- Ach tak, piękne porządki tu panują. Proszę, proszę. Księża z fryzurami jak... i na dodatek takie przyjęcie. - Wacław rozejrzał się wokół. Grupka ludzi pod płotem urosła do około trzydziestu osób. - Chodźmy zatem. Skoro czcigodny proboszcz Augustyn sobie tego życzy, jakże moglibyśmy się sprzeciwić?

Pierwszy ruszył w stronę kościoła. Sebastian skinął na kościelnego i podążył za nim. Ksiądz Seweryn i grupka kilkudziesięciu osób szła za nimi.

Augustyn obserwował scenę ze swojego pokoju na pierwszym piętrze. Przez otwarte okno dobrze słyszał całą rozmowę. Odwrócił się i wziął plik gęsto zapisanych kartek. Złożył je razem i wsunął do koperty. Zakleił ją, uważnie wypisał adres, a następnie schował w wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie miał pewności, czy dobrze robi, wysyłając ten list, ale czuł, że powinien to zrobić. Był jej to dłużny. Pisał od rana przez kilka godzin, zleciwszy wszystkie obowiązki swoim wikariuszom. Kiedy list był gotowy, przepisał go na czysto i dopiero wtedy odpoczął.

Czuł się dziwnie. Co właściwie można robić ostatniego dnia? Jak go sobie ułożyć? Zjeść śniadanie, wypić kawę, napisać list? Można też poleżeć, porozmyślać, przypomnieć sobie najważniejsze chwile życia. To w niczym nie różni się od przeciętnego dnia. Wszystko przebiega tak samo. Zapachy i kolory są wciąż takie same; powietrze przezroczyste, jak każdego dnia; wskazówki ani nie przyspieszają, ani nie zwalniają. Można taki dzień spędzić na zupełnej bezczynności, tak aby przygotować się jak najlepiej i nabrać odwagi. Można nasycić zmysły - napatrzeć się, nasłuchać, wczuć. Można wtedy wyobrazić sobie, że cały świat, który za chwilę opuścimy, już właściwie przestał istnieć, bo nasz czyn unieważnia każdą formę bytu, poza tym jednym - naszym. Można się pogodzić z odczuciem wyższej konieczności, jaka nakazuje ten krok. Można ciepło pomyśleć o wszystkich ludziach, którzy przewinęli się przez życie: wrogach i przyjaciółach, rozgrzeszyć w duszy wszystkie złe rzeczy, zwłaszcza te niezawinione przez nikogo z wyjątkiem nas samych. Augustyn wszystko to już zdążył uczynić. Kiedy zastanawiał się wcześniej, co będzie robić przez ostatnie godziny życia, wyobrażał je sobie jako coś niezwykłego; myślał, że czas nabierze wtedy niecodziennej intensywności, będzie wprost namacalnie odczuwalny; rzeczywistość skondensuje się, a jego spostrzeżenia i wyobrażenia ugniotą ją w ciężki, zbity gęsto zbiór wrażeń.

Tak się nie stało. Wszystko było zwyczajne. Zbliżająca się chwila śmierci nie potrafiła odmienić bieżącego przeżycia w takim stopniu, aby świat wydał się sam w sobie niezwykły. Mimo iż Augustyn starał się nadać każdej czynności apokaliptyczny wymiar, czuł, że wysiłek ten jest pozbawiony naturalnego odczucia, jakie z łatwością odzywało się w obliczu choćby pięknego krajobrazu. To co robił, było sztuczne i nie miało sensu. W końcu zrozumiał, że bliskie zakończenie życia w niczym nie zmienia jego doznań, lecz zupełnie je trywializuje, zanieczyszczając ich pierwotną więź z tym, co się zjawiało, pragnieniem nadania im wartości, jakiej w rzeczywistości nie posiadały.

Kiedy ostatni uczestnik spotkania zniknął w kościele, Augustyn odszedł od okna, ubrał się i zszedł na dół. Pani Hela wyglądała na zaniepokojoną.

- No, na mnie czas, pani Helu. - Popatrzył na nią łagodnie.

- Była pani... jest pani wspaniałą gospodynią i nie życzyłbym sobie nikogo innego na pani miejscu.

Pani Hela podeszła i uściskała go serdecznie.

- A niech mu ksiądz się nie da - rzekła podniecona.

- A gdzie tam, pani Helu, gdzie ja bym się dał...

W kościele Wilczyński i Koral pochylali się nad gablotą i wymieniali jakieś uwagi. Wnętrze świątyni nie zostało oświetlone w całości. Dzień był równie ciemny jak poprzedni i choć nie było jeszcze czternastej, świątynia potrzebowała więcej światła. Półmrok jednak zupełnie Augustynowi nie przeszkadzał. O kilka metrów od gabloty z kośćmi stał nakryty białym obrusem stół i dwa krzesła. Janusz postawił na nich flakonik z wodą i dwie szklanki. Wszystko było tak, jak nakazał. W pierwszych rzędach siedzieli członkowie rady parafialnej, nieco dalej osoby spoza rady, przyprowadzone przez zaproszonych. Kiedy wszedł, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Dostrzegł Maurycego Plutę, który uniósł ku niemu rękę z zaciśniętym kciukiem. Przewodniczący rady ciągle nie mógł mówić i gestem wyrażał swoje emocje. Siedząca obok Anna Pluta uśmiechnęła się nieśmiało.

Augustyn podeszedł do gabloty i zatrzymał się obok Korala i Wilczyńskiego.

- Szczęść Boże - powiedział. - Przepraszam księdza za małą zmianę. Sądziłem, że będzie ksiądz zadowolony.

Wilczyński spojrzał na niego w taki sposób, że Augustyn przypomniał sobie czasy, gdy młody wówczas wikariusz Wacław obserwował jego koleżanki i kolegów.

- Jest mi to obojętne - odparł. - Możemy od razu przejść do rzeczy.

- Jak ksiądz sobie życzy - półgłosem zgodził się Augustyn. Obaj przyklękli przed ołtarzem, a później zasiedli za stołem. Janusz ponalewał wody do szklanek i usunął się na bok. Ksiądz Zygmunt usiadł w jednej z ławek. Nieopodal ulokowali się wikariusze Sebastian i Seweryn, ten ostatni z długopisem i zeszytem w ręku. Wilczyński ustawił na stole dyktafon i rozpoczął przesłuchanie.

Najpierw padły pytania o tożsamość i funkcję. Następnie ksiądz Wacław zapytał o przebieg posługi Augustyna, o lata w seminarium i wczesny okres kapłaństwa. Później zagadnął o zdanie proboszcza na temat obecnej sytuacji Kościoła. Nagle przeszedł do rodziców, interesowało go, co sądzą o jego wyborze drogi życiowej.

Augustyn cierpliwie i spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania. Jeśli było trzeba, dookreślał szczegóły. Po półgodzinie wypytywania Wilczyński nieoczekiwanie przeszedł do wydarzeń bieżących.

- Czy proboszcz utrzymuje, że doznał objawienia?

- Tak, tak utrzymuję.

- Czy jako chłopiec słyszał proboszcz jakieś głosy?

- Nie, nic nie słyszałem.

- A więc w dzieciństwie nie doświadczał proboszcz żadnych sygnałów, wskazówek czy zapowiedzi tego, co ksiądz miał usłyszeć przed paroma tygodniami?

- Nie, jedyne, co zapamiętałem z tego okresu, to głosy różnych duchownych, tych dobrych i tych złych - powiedział głośno Augustyn.

Po kościele poniósł się szmer. Obecni parafianie z zapartym tchem śledzili wymianę zdań między obydwoma księżmi. Teraz ich oczy zwróciły się na blade oblicze Wacława. Augustyn także nie spuszczał z niego wzroku. Wacław obserwował go chłodnym spojrzeniem. Nie podobało mu się, że proboszcz jest nienaturalnie spokojny, a ton jego wypowiedzi irytująco ironiczny. Kąciki ust Wilczyńskiego uniosły się lekko. Pochylił się do przodu i zapytał ostro:

- Ach, więc oskarża proboszcz stan kapłański, a może nawet cały Kościół zamierza proboszcz oskarżyć?

- Nie ośmieliłbym się oskarżać Kościoła, w ogóle nikogo o nic nie oskarżam.

- Mówi proboszcz, że słyszał głosy złych duchownych, to ciekawe. A proboszcz zapewne siebie samego nie zalicza do tej grupy? Proboszcz zalicza siebie do tych dobrych, jak rozumiem?

- Jeśli ksiądz pragnie ująć to w ten sposób, proszę bardzo. Po latach posługi myślę, że mogę uchodzić za dobrego kapłana. Dlatego, skoro już o tym mowa, mam powody, aby zaliczyć siebie do grupy dobrych duchownych, do której, co stwierdzam z przykrością, ksiądz zaliczyć nie mogę.

- Nie interesują nas subiektywne opinie proboszcza o braciach w kapłaństwie. Proboszcz upiera się, że w Kościele Bożym nie ma doskonałości poza samym proboszczem. Objawienie ma to zapewne uwydatnić, czy tak? Z tego, co proboszcz głosił tu, w tym kościele, wynika, że proboszcz to pochodnia i światło, a ci, co tego nie widzą, brną w ciemności. Proszę, niechaj proboszcz opisz swoje doświadczenie, cóż takiego się wydarzyło, że mamy dać wiarę temu, co się tutaj mówi.

- Wielokrotnie to powtarzałem - spokojnie odparł Augustyn. - Objawienie miało charakter jednorazowy, usłyszałem głosy świętego Dominika Savio i arcybiskupa Henryka Kietlicza. Pierwszy twierdził, że są to odnalezione szczątki kanonika sprzed kilku stuleci, a drugi, że mają moc wpajania wiary. To wszystko.

- Ależ to nie wszystko! - uniósł się Wacław. - Proboszcz w swoich homiliach głosił, że

ci, którzy nie przyjdą doznać owej mocy, nie spotkają Pana, nigdy nie zazną łaski wiary. Proboszcz zastraszał wiernych groźbą potępienia, sugerował, że zostaną opuszczeni, jeśli nie poznają się na niezwykłych właściwościach tych tu marnych szczątków. Mam tutaj kilka nagrań z proboszcza kazań i wyczuwa się w nich groźbę. W moim odczuciu proboszcz żeruje na prawdziwej wierze dobrych ludzi.

- To czyste insynuacje, nie wiem, jakimi nagraniami ksiądz dysponuje, ale wnioski, jakie ksiądz wyciąga, to bełkot. Nikogo nie zastraszałem ani też nic nie sugerowałem. Jeśli ludzie do mnie przyjdą, będzie to ich własna wola i decyzja.

- Przyjdą do proboszcza. A więc wiara może być wpojona przez te - tu Wacław na moment zawiesił głos - kości za pośrednictwem proboszcza właśnie, aha. A co się stanie z tymi, którzy nie przyjdą do proboszcza, umiłowanego syna Pańskiego?

- Nic się nie stanie, będą nadal żyli tak, jak żyli. Z wiarą w duszy bądź bez niej. Nie twierdziłem, że nasza relikwia to jedyna droga do wiary. Ksiądz zupełnie niepotrzebnie się zacierzewia.

- A więc, zdaniem proboszcza, te kości sprawiają, że w duszy człowieka rośnie łaska Pana naszego. Innymi słowy Pan podjął ingerencję i w tej parafii postanowił uczynić ludziom tak niezwykłą przyjemność, że wystarczy przyjść, pochylić się nad szczątkami jakiegoś kanonika i sprawa załatwiona, tak? Wiara jak z czarodziejskiego pucharu leje się i wypełnia duszę?

- Nie wiem, jakie są ścieżki Pana. Najwyraźniej przekazuje Swoją łaskę w rozmaity sposób. On nas wybiera.

- Dość szczególny sposób obrał Pan na to wybieranie. I proboszcz jest w tym przypadku prorokiem, nie myślę się chyba.

- Myli się ksiądz. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Pan wybrał. I wie, którzy przyjdą, a którzy ominą to miejsce. Nie mówię oczywiście o wszystkich ludziach na ziemi, mówię o tych, co mogą przyjść, a nie zechcą.

- Ci będą potępieni, tak?

- Wyroki Boga są poza naszym rozumieniem. Cóż to jest potępienie? Ksiądz używa przebrzmiałych określeń. Nie ma potępienia, jest tylko wybór Pana lub go nie ma. Czy łaska dana poprzez tę świętą relikwię jest inna od łaski danej w inny sposób? Nie, to ta sama łaska.

- Ach, ksiądz, jak widzę, sporo wie o łasce.

- Łaską jest wewnętrzna potrzeba przyjścia tutaj. To już jest łaska, to już jest usprawiedliwienie. Przed tym nie ma ucieczki. Ci, którzy tu przychodzą, zostają wewnętrznie odmienieni mocą miłosierdzia Bożego, zresztą, niech ksiądz sam ich zapyta.

- Czyżby proboszcz zaprzeczał, że wprawdzie samo usprawiedliwienie jest dane człowiekowi darmo, ale on sam musi się przygotować i dobrowolnie współpracować z łaską poprzez akt wiary? Czy tu usprawiedliwieniu staje się zadość? Przed wiarą? Łaska zawsze jest udzielana na określonych warunkach, jakie człowiek musi spełnić. Efektem jest, jak chyba proboszcz wie, akt zbawczy. Tego proboszcz swoim wyznawcom nie zapewni w ten sposób.

- Usposobienie każdego człowieka to dyspozycja wewnętrzna. Tu przychodzą usprawiedliwieni. W nich już jest głęboka przemiana ontologiczna. Dokonana i przez chrzest, i przez wiarę. Są i odnowieni, i oczyszczeni, ale i grzeszni.

- Brzmi to jak herezja, proboszczu. Nie dość, że heretycko, to niedorzecznie. Lutra z Tomaszem chce proboszcz pogodzić?! Co to za brednie?! A może powie ksiądz jeszcze, że wartość czynów naszych dla łaski wiary i zbawienia jest mała lub żadna?

- Jeśli to brednie, to nie mniejsze niż księdza. Zbawia zawsze łaska, ale waga czynów jest bezsporna i wielka. To oczywiste, że nie mówię nic innego. Żyjąc w łasce, czynisz dobrze. Ale ksiądz chyba nie wziął sobie za bardzo do serca tej nauki. Ksiądz zapomina, że człowiek znajduje się w stanie upadłym i nieustannie potrzebuje łaski, a więc pomocy Bożej. Ci, co tu przychodzą, wierzą bądź nie wierzą, ale wszyscy odchodzą napelnieni Duchem Świętym. Któregoś dnia każdy z nich zrozumie, co to znaczy. Pomoc Pana będzie ich ochraniać. Obawiam się jednak, że ksiądz tej pomocy od dawna nie odczuwa.

- Do rzeczy. Czy zamierza proboszcz napisać orędzie?

- Nie widzę takiej potrzeby. Relikwia przemawia sama za siebie. Żałuję tylko, że ksiądz nigdy nie usłyszy jej głosu.

Wacław od kilku minut był bardzo blady, ale teraz jego twarz stała się wręcz trupia. Augustyn ciągle uszczypliwie go atakował, mając zapewne na myśli to, co powiedział mu podczas ich pierwszego spotkania. Wilczyński starał się ignorować zaczepki, ale jego wytrzymałość zaczynała się kończyć.

- Rozmawiamy otwarcie - rzekł. - Jest tu z nami wiele osób, które, mam nadzieję, zdobędą się dziś na zaświadczenie i potwierdzenie prawdziwości słów proboszcza - tu zwrócił się do parafian. - Chciałbym poznać opinię państwa na temat tych kości. To dlatego prosiłem o państwa przybycie. Członkowie rady parafialnej, z tego co wiem, mieli z tymi kośćmi do czynienia. Zanim to jednak nastąpi, mam jeszcze kilka pytań. Proboszcz upiera się, że w tych szczątkach zawiera się moc naszego Pana Jezusa Chrystusa, a może nawet On sam? Może proboszcz zamierza przenieść światło obecności Pana z tabernakulum do tej gablotki?

- Nic takiego nie mówiłem.

- Ale nikt nie wie, czy kiedyś proboszcz czegoś podobnego nie powie. - Waclaw pociągnął wody ze szklanki. - Proboszcz chce skłaniać do wiary, nawracać w dość niecodzienny sposób. Chce proboszcz uchodzić za duchownego, któremu ukazał się nawet nie święty, ale jeden z polskich hierarchów sprzed wieków. Dobrze. Pytam jednak, czy proboszcz przypadkiem nie chce w ten sposób odsunąć od siebie ciężących na nim podejrzeń? - Ostatnie słowa Waclaw wymówił powoli i dobitnie, a następnie oparł się wygodnie.

Augustyn domyślił się, że cała rozmowa zmierzała właśnie do tego miejsca. Oderwał wzrok od twarzy Wilczyńskiego i popatrzył gdzieś w dal. Był zupełnie spokojny. Wyobraził sobie ciemną drogę, las, pędzący samochód i betonowe ogrodzenie tuż przed łukiem w prawo. Pokręcił głową i spytał:

- A jakież to podejrzania na mnie ciężą?

Waclaw czekał na to pytanie i zdziwił się, że padło tak szybko. Spodziewał się, że Augustyn będzie lawirował, odpowiadał atakiem, tymczasem sam zarzucał na siebie pętlę. Wstał energicznie i wyjął z teczki jakąś kartkę.

- Drogi proboszczu, proszę państwa - zaczął patetycznie.

- Wiem, że proboszcz Płaczek zjednał sobie u tutejszych wiernych wielką sympatię, zapracował na nieposzlakowaną opinię, a teraz dodatkowo kreuje się na człowieka doznającego objawienia. Wygląda to pięknie, pobożnie. A jednak nie wszystko jest takie, jakie się wydaje. Pan powiedział: Po ich owocach poznacie ich. Cóż tedy mamy, jeśli te mądre słowa odnieść do posługi proboszcza Płaczka? Jakież są te jego owoce, jeśli to kapłan, na którym ciąży wielki grzech?

Zapadła cisza. Wierni w napięciu czekali na dalszy ciąg wywodu Wilczyńskiego. On zaś, lekko wykrzywiając wargi, przeszedł kilka kroków i stanął nad proboszczem.

Augustyn był zaskoczony. Wydało mu się wręcz niemożliwe, by Waclaw otrzymał polecenie zaatakowania go w ten sposób. Kościół nigdy nie odkrywał swoich ciemnych stron, a już z pewnością nie czyniłby tego w równie ostentacyjny sposób. To się załatwiało w zaufanym, ścisłym gronie, bez rozgłosu. A tymczasem Wilczyński robił wszystko, aby zbrukać dobre imię Kościoła.

- Widzę, że proboszcz nie ma nic do powiedzenia - ciągnął ksiądz Waclaw. - W takim razie ja spytam. Nie ma proboszcz nic do powiedzenia o pewnej kobiecie, z którą przed dwudziestu laty proboszcz wdał się w płomienny, jak przypuszczam, romans?

- Jeśli ma ksiądz na myśli owe plotki, wszyscy wiedzą, że są nieprawdziwe. Żadnych rewelacji ksiądz nie odkrył.

- Doprawdy? - Wilczyński uniósł kartkę papieru. - Mam tu spisana historię

proboszczowych podbojów miłosnych. Wiarygodność świadka, który to spisał, jest nie do podważenia. Są tu zanotowane dokładne daty i godziny wizyt proboszcza u pewnej młodej panny.

- To śmieszne, proszę księdza. Jaka jest wartość tego rodzaju donosów?

- Osoba, która to pisała, jest gotowa, jeśli zajdzie potrzeba, złożyć wyjaśnienia pod przysięgą, nie kryjąc swojej tożsamości. Co więcej, mamy podstawy sądzić, że romans ten trwa nadal.

- Nie mam zamiaru tłumaczyć się z czyichś podłych zarzutów.

Wierni siedzieli jak sparaliżowani. Tylko wikariusze Sebastian i Seweryn zakręcili się w ławkach. Koral siedzący po drugiej stronie poczuł pierwsze parcie na pęcherz i ze smutkiem spoglądał na Augustyna. Zaczęła w nim rosnać nieokreślona złość. Na siebie samego, na tego Wilczyńskiego z jego wstrętnym uśmiechem.

- Wobec tego - podjął ksiądz Wacław - chciałbym zapytać państwa, czy jest możliwe, aby świętym objawieniem obdarzył Pan człowieka skalanego sprzeniewierzeniem się świętemu sakramentowi kapłaństwa? Czy to, co tu się dzieje, jest prawdziwe, czy to tylko wymysł proboszcza Płaczka? - Umilkł i patrzył po kolei na każdego z obecnych. Po minucie uciążliwego milczenia przemówił z tryumfem: - Proszę państwa, moje ustalenia to dopiero początek. Weryfikacja musi przybrać znacznie szerszy wymiar i będzie gruntowna. Nie rzucamy na proboszcza oskarżeń, ale ciąży na nim podejrzenie i trzeba będzie to wyjaśnić. Wierzę, że współpraca nas wszystkich doprowadzi do rozstrzygnięcia. Aby z całkowitą pewnością wiedzieć, czy mamy do czynienia z prawdziwym objawieniem, a nie z fałszywym, jakich wiele już Kościół rozpoznał, trzeba jednak czasu i wiele pracy. A teraz chciałbym wysłuchać państwa, dowiedzieć się, na czym polegają te głębokie doznania, jakich państwo doświadczają. Proszę, słucham.

Widać było, że nikt nie kwapi się do wystąpienia, więc ksiądz Wacław skrzywił się jeszcze bardziej i wskazał na Irenę Goszczykową.

- Czy pani mogłaby powiedzieć nam coś więcej o tej tak zwanej relikwii? Jak to pani odczuwa? Proszę na początek się przedstawić.

Goszczykowa spozierała na Wilczyńskiego z wyraźną niechęcią. Podniosła się i powiedziała krótko:

- Tak łatwo nas od proboszcza nie odgonicie. Po co szczujecie? Po co oskarżacie? Co, źle robi nasz ksiądz Augustyn?

Żeby inni byli tacy jak on, a nie... - Machnęła ręką i usiadła.

Wilczyński, niespeszony, nie przestając krzywić warg, podszedł do pierwszego rzędu i



zwrócił się do Andrzeja Fiałkowskiego. Pan Andrzej już miał wstać i zbierał myśli, żeby powiedzieć coś mądrego i jednocześnie stanąć w obronie Augustyna, kiedy ktoś krzyknął:

- Nie!

Oczy wszystkich zwróciły się w tył, gdzie w trzecim rzędzie ławek stała Anna Pluta z mężem. To ona właśnie krzyknęła, a teraz, prowadząc obandażowanego pana Maurycego, szła w stronę Wilczyńskiego.

Ksiądz Waclaw już wcześniej przestał zwracać uwagę na oczy wpatrujące się w niego spomiędzy bandaży. Zignorował fakt, że spośród kilkudziesięciu osób właśnie ten człowiek, tak jak dwa dni wcześniej, nie spuszczał z niego wzroku. Kiedy jednak Maurycy i Anna Plutowie powoli szli w jego stronę, intuicyjnie wyczuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Ci dwoje nie wyglądali przyjaźnie.

- Mogą państwo pozostać na miejscach, tu dobrze słychać, ale najpierw może ten pan zabierze głos, a państwo zaraz po nim - rzekł nieco mniej władczo Wilczyński i zaraz pomyślał, że popełnił błąd. Pojedynczy ton ich nie powstrzyma, teraz widział to dobrze. - Proszę państwa, proszę zostać na miejscu! - poprawił się szybko.

Tymczasem Anna i Maurycy Plutowie wyszli już przed pierwszy rząd ławek. Minęli siedzącego nadal za stolikiem Augustyna i zatrzymali się przed Wilczyńskim. Ten cofnął się zdezorientowany. Wzrok zabandażowanej twarzy zaniepokoił go. Proboszcz Koral chciał w pierwszym momencie zareagować, ale nagle zmienił zdanie, wyczuwając, że zanoszą się na coś ważnego. Augustyn uśmiechnął się pod nosem i mrugnął do pobladłego księdza Sebastiana.

- Nie zostaniemy na miejscu! - głośno powiedziała Anna Pluta.

Wilczyński, opanowawszy się, zamierzał jeszcze raz przywołać ich do porządku, kiedy pan Maurycy wolno uniół rękę i wymierzył palec prosto w jego pierś, na której błyszczał pozłacany krzyż.

- Co... co to znaczy?! - wykrztusił ksiądz Waclaw. - Co mi pan tutaj tym palcem...

- Nie masz prawa osądzać naszego proboszcza! - wykrzyknęła jeszcze głośniejszą pani Anna. Waclaw pierwszy raz w życiu spotkał się z tak ostrym sprzeciwem. Zaniemówił. Kobieta była wyraźnie zdeterminowana, jakaś potężna emocja pchała ją coraz bliżej. Maurycy Pluta nadal godził w niego wyciągniętą ręką. Długi ciemny płaszcz przydawał mu dostojeństwa. Oczy wyrażały nieskończoną pogardę. Ksiądz Waclaw poszukał wzrokiem swojej laski. Stała oparta o stolik. Chciał ją zabrać, ale musiałby przejść obok tych dwojga dziwnych ludzi.

- Mój mąż poznał cię od razu, ale nie wiedział, co zrobić - ciągnęła Anna. - Teraz wie,

on wie, i ja wiem. Ty jesteś Waclaw

Wilczyński, wikariusz w naszej parafii. Byłeś tu za proboszcza Ambrozego i tu mojego męża Maurycego wykorzystałeś jako chłopca.

Maurycy Pluta nadal wyciągał swoją rękę, a jego wskazujący palec celował w pierś Waclawa.

Zygmunt Koral mimowolnie zakaszłał. Wymienili z Augustynem długie spojrzenie. Koral pokiwał głową, a Augustyn na chwilę przymknął oczy. Ksiądz Zygmunt odczuł narastające parcie, ale uznał, że choćby miał zalać posadzkę w kościele, nie wyjdzie, póki nie zobaczy, co będzie dalej.

- Pani chyba oszalała - wykrztusił wreszcie Wilczyński.

- Co pani wygaduje? Jakie wykorzystywanie? To jest jakiś spisek przeciwko mnie, przeciwko Kościołowi! To sprawka proboszcza, czyż nie?!

Milczący Augustyn tylko pokręcił głową i rozłożył ręce. Waclaw zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Misterny plan, mający zohydzić Augustyna w oczach jego najbardziej oddanych parafian, mający zasiał ziarno niepokoju, wątpliwości, nagle obracał się przeciwko niemu.

- Mój mąż cię rozpoznał - powiedziała Anna Pluta niskim, pozbawionym emocji głosem. - Nie może mówić, bo rozbił sobie szczękę, ale widzi i pamięta bardzo dobrze. Ja też mam kartkę. Tak - wyciągnęła z torebki biały papier - to napisał mój mąż. Tu jest wszystko. Przez cały dzień wczoraj zastanawialiśmy się, co robić, jak postąpić. Mąż wyznał mi wszystko. Ty jesteś winien nieszczęść, jakie spadły na wielu chłopców i dziewczynki z naszego miasta. I teraz wiemy już, co należy zrobić. Oboje jesteśmy prawnikami, ludźmi wierzącymi. Nawet po tylu latach będziemy się domagać sprawiedliwości. Jak miałeś czelność przyjechać tutaj i osądzać naszego proboszcza, ty, który sam jesteś pedofilem? Tu cię nie tylko mój mąż zapamiętał, ale i inni. Tylko się bali, wstydzili. Ale oni też wystąpią za nami.

- To jakieś ponure brednie! Pani jest chora! Jak można mnie posądzać o tak potworną zbrodnię?! Czy pani wie, co mówi?! Nie pozwolę, żeby mnie tu obrażano w taki sposób!

- Ksiądz Waclaw mówił donośnym głosem, ale nie krzyczał. Wiedział, że w takiej chwili najważniejszą sprawą jest opanowanie.

- To wszystko prawda, co mówi pani Anna. Ja też dobrze pamiętam, jak pociągały księdza Waclawa dzieciaki z mojej szkoły - wtrącił nagle Augustyn.

Wilczyński otworzył usta, ale nie wydobył żadnego dźwięku. Rozejrzał się wokół. Nie, to niemożliwe, żeby ci prowincjusze mogli go stąd wykurzyć. On się tak łatwo nie

podda. Co ci ludzie mogą wiedzieć o prawdziwym powołaniu, o nieszczęściu powołania i walce ducha z ułomnościami ciała. Teraz są silni, bo razem, bo się wspierają. Przekonamy się, jacy będą na osobności, w pojedynkę, w rozmowie z nim. Ksiądz Waclaw wreszcie się przemógł i równym krokiem podszedł do stolika, aby wziąć swoją laskę. Zastanawiał się, jak zareagować, co powiedzieć. Zdążył zrozumieć, że mieszkańcy są mu niechętni, że wręcz życzą mu jak najgorzej. Milczące poparcie dla pary oszołomów powiedziało mu więcej, niżby chciał słyszeć.

- Dobrze - powiedział, sięgając po laskę. - Jak państwo sobie życzą. To zmowa. Opis tego, jak tutejsi parafianie traktują urzędników kościelnych, znajdzie się w moim raporcie o cudownym, jak upiera się proboszcz, objawieniu i relikwii. To, co tu się dzieje, grozi szaleństwem, zbiorową histerią, czego symptomy widziałem przed chwilą. Państwu dziękuję! - zwrócił się do Plutów i wskazał im miejsca w ławkach.

Ale Anna i Maurycy Plutowie wcale nie mieli zamiaru słuchać poleceń księdza Waclawa. Pan Maurycy stale celował palcem w jego pierś, a pani Anna wyraźnie zabierała się do dalszej przemowy.

- Proszę zakończyć te nieszczęsne dywagacje! To wystarczy! - wykrzyknął zdenerwowany Waclaw. - To miasto opanował zły duch! Uważacie, że to relikwia!? To!? - dramatycznym gestem wskazał kości. Jego twarz z bladej stała się w czerwona. Nabral powietrza i powoli wycedził: - Nie jesteście we władzy Pana, jesteście we władzy szatana! - Patrzył na milczące twarze, ale nikt nawet nie pokiwał głową. Zdawał sobie sprawę, że powinien pozostawić po sobie mocne wrażenie, że pełen oburzenia i pewności diabelskich podszeptów, musi teraz opuścić to przeklęte miejsce, wykrzykując podniosłe nauki. Zignorował Maurycego Plutę, który podszedł do niego z wyciągniętym palcem jak jakiś niemy zombi, i rozłożył szeroko ręce. - Nie rozumiecie?! Przecież to, co tu się dzieje, to nie jest dzieło Boże! Czy tego nie widzicie? Czyście oślepli? Wielu jest fałszywych proroków, wielu zwodzicieli! A wy patrzycie, ale nie widzicie! Nie umiecie dostrzec podstępny. A więc dobrze, Pan widzi wszystko. Oby wasze zbłądzenie było krótkie, obyście w porę zobaczyli światło i wyszli z cienia, w jakim pogrąża was nie kto inny, ale ten proboszcz, którego tak kochacie!

- Chyba się ksiądz zagalopował! - wykrzyknął nagle Koral.

- Takie jednoznaczne wyroki nie należą do księdza kompetencji. Ksiądz miał tylko poczynić wstępne obserwacje, o ile mi wiadomo.

Wilczyński nie spojrział na księdza Zygmunta, ale wezbrała w nim potężna złość. W głowie krążyły mu wspomnienia sprzed paru dziesiątek lat. Tych kilku chłopców, jeden taki

nieśmiały, ale uległy, był z biednej rodziny, cieszył się z każdego podarku. Może to on? Ten zabandażowany dziwak? A to babsko? Skądże mógł wiedzieć? Wieśniactwo jest pamiętliwe.

Nagle tuż przed nim stanął Maurycy Pluta. Zza bandaży wyglądały tylko oczy i kawałek nosa. Wilczyński instynktownie uniósł laskę, jakby chciał się nią osłonić. Pan Maurycy jeszcze raz wyciągnął rękę i palcem uderzył w pierś Wilczyńskiego. Ksiądz Waław odsunął się o krok. Wzrok Pluty powędrował w stronę krzyża zawieszzonego na szyi kapłana. Jego święte ramiona dotykały piersi przeklętego człowieka, którego wspomnienie zapadło głęboko w pamięć przewodniczącego rady parafialnej. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Maurycy wydał głośny okrzyk, złapał księdza Waława za szyję, zacisnął na niej ramię. Chwycił krzyż i mocno pociągnął. Waław jęknął, gdyż łańcuch wpił mu się w skórę, ale nie puścił. Solidna włoska robota. Pluta ponowił szarpnięcie, jednak teraz Wilczyński zdołał przytrzymać jego rękę. Uścisk Maurycyego zelżał. Ksiądz Waław wsunął laskę między siebie i napastnika i użył całej siły, aby go odepchnąć. Podbiegli Seweryn, Sebastian i Janusz, którzy odciągnęli Maurycyego Plutę na bok.

Wilczyński obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, podniósł głowę i głośno odkaszlnął. Stał krótką chwilę, a potem, nie zwracając na nikogo uwagi, podszedł do ołtarza i przyklęknął. Zaczął odmawiać modlitwę. Mówił półgłosem, tak aby ludzie mogli dosłyszeć słowa, w których przeproszał Pana za zło przemocy, jakie dokonało się w jego przybytku, i błagał, aby Pan raczył przebaczyć tym tu zgromadzonym parafianom, tak jak on im przebacza. Później wstał, podszedł do stolika i schował do torby dyktafon oraz papiery.

- Myślę, że tego, czego dokonaliście w domu Pana naszego Jezusa Ch...hystusa, nie można porównać z niczym. Całe to miasto jest przeklęte. Proście Boga o przebaczenie, jak ja o to proszę. - Z tymi słowami ksiądz Waław opuścił kościół.

Najpierw odchrząknął Janusz, a zaraz potem Anna Pluta spytała męża, czy wszystko w porządku. Augustyn jeszcze przez chwilę siedział na swoim miejscu, po czym wstał.

- Moi kochani - powiedział - dziękuję za wielkie zaufanie, jakim mnie obdarzacie. W obliczu tego, co tu usłyszeliśmy, trudno zebrać myśli, a co dopiero ująć je w słowa. Nasza relikwia nie jest dziełem szatana, jak chce ten ksiądz. To on kultywował dzieło szatana na ziemi. Wiem o tym, bo sam przed laty znalazłem się w niebezpieczeństwie. Jeszcze dziś udam się do kurii, aby nadać bieg sprawie.

Maurycy Pluta i jego żona stali się natychmiast obiektem wielkiego zainteresowania. Wszyscy duchowni i parafianie obecni w kościele otoczyli ich kręgiem. Anna oświadczyła, że oboje zdecydowali się złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa i zażądać od Kościoła odszkodowania. Andrzej Fiałkowski uściśnął Augustynowi dłoń i zapewnił go, że nikt z tu

obecnych nie wierzy w oszczerstwa księdza Wilczyńskiego, a relikwia już tyle zrobiła dobrego dla parafii i wielu ludzi z daleka, że nikt nie weźmie poważnie ataku niezrównoważonego duchownego. I za relikwią każdy stanie, obiecywał, wszyscy tu obecni i ich rodziny, i w ogóle całe miasto.

Augustyn szepnął Sebastianowi, że trzeba się przygotować do mszy o szesnastej, poprosił go, aby ją celebrował, i wezwał wszystkich do opuszczenia kościoła. Podeszedł do niego Koral.

- Nie wiem, co z tego wyniknie - rzekł - ale życzę ci jak najlepiej. Przepraszam cię, ale muszę iść, bo on pewnie stoi i czeka na mnie przy samochodzie. Powiedz tylko, czy to prawda?

- To prawda, Zygmuncie. Czysta prawda.

- Słuchaj, myślę, że mogę się czuć zwolniony z przyrzeczenia trzymania tego w tajemnicy przed tobą. Tym człowiekiem był Andrzej Młynarski. On to wszystko powiedział. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale... - Koral nie umiał dokończyć tego, co chodziło mu po głowie.

- Dziękuję ci za to, co powiedziałaś - rzekł Augustyn. - Najważniejsze teraz jest to, co ma się stać. Oni tego nie zniszczą.

Koral jeszcze raz uściskał mu dłoń, mówiąc, że zajrzy do niego później, i opuścił kościół. Augustyn wyszedł jako jeden z ostatnich. Na zewnątrz czekał na niego Janusz.

- Proszę księdza proboszcza - zapytał, kiedy szli razem w stronę plebanii - mogę jechać z księdzem?

- Nie, Januszu, pojedę sam - odparł Augustyn. - Jesteś bardzo oddany sprawom naszej parafii i będzie o wiele lepiej, jeśli tu zostaniesz.

Zatrzymali się przed proboszczowskim oplem.

- Przyjdź do mnie później - powiedział Augustyn. - Już wcześniej postanowiłem, że wybiorę się do kurii, zresztą, najwyższy czas. Zostań tutaj, bądź blisko. To najlepsze, co możesz zrobić.

Zostawił go przed drzwiami. Udał się do siebie, wcześniej poprosiwszy panią Helę o kawę. Stary pokój po Ambrożym miał oto widzieć ostatni raz. Cztery ściany, z którymi nawiązał kontakt głębszy niż z wiernymi w swojej parafii. Któż pojmie samotność proboszcza? Inny proboszcz? Nie, tej samotności inny proboszcz nie zrozumie. Augustyn znowu siedział na wersalce i pił ostatnią kawę w swoim życiu. Niezdrowa „plujka” smakowała mu najbardziej, nie mogła się z nią równać kawa z najlepszego ekspresu.

Było po szesnastej, kiedy wyszedł i postanowił pospacerować ulicami miasta. Może

tuż przed odejściem pojmuję się świat wyraźniej, percepcja staje się ostrzejsza, wyrazistsza, czuła na najdrobniejsze niuanse. Może tak jest, a może nie - w czasie tych ostatnich godzin nie uda mu się tego sprawdzić. Chłodny wiatr zaciął od strony parku i prószył w oczy maleńkimi kropelkami wody. Spacer. Znane ścieżki, domki, bloki, niekiedy znane twarze. Szedł, próbując zapamiętać każdy krok, chrzęst piasku pod butami, wyłowić zgrzyt starej blachy albo poświszt powietrza w dziurawych rynnach; chciał spamiętać szarawe barwy dookoła i chlupot wody pod kołami pojazdów. Posuwał się naprzód, ale jakby wkraczał w wysokie góry. W parku chciał sięść na ławce, gdzie przed laty siedział w towarzystwie Eli i cały płonął ze zdenerwowania. Niestety, ławka była mokra po obfitym deszczu. Stał tam jakiś czas, potem zawrócił i okrężną drogą dotarł na plebanię.

Gdy wsiadał do samochodu, zaczęło się ściemniać. Pomyślał o Januszu. Nie umiał wykrzesać z siebie ojcowskich uczuć. Chłopak był mu bliski, lecz nie zdołał odkryć w sobie tej potrzeby bliskości, jaką - wyobrażał sobie - przejawiają ojcowie w stosunku do swych dzieci. Syn, cóż to znaczyło - syn. Lubił go jako chłopca i ministranta, ale jako syna? Nie, tu nie było nic. Może, gdyby wiedział wcześniej, gdyby miał całkowitą pewność, a nie tylko niejasne domysły, może wtedy umiałby pojąć własne ojcostwo, ale teraz było już za późno. Nie myśl o tym, jedź, zrób, co masz zrobić, zostaw ich i relikwię - swój największy wkład w życie parafii. Jedź i nie zastanawiaj się dłużej, unikaj zwątpienia, jedź jak najszybciej.

Samochód wytoczył się wolno z placu plebanii, minął kilka domów i wyjechał na ulicę Drewnianą. Jechał spokojnie, zgodnie z przepisami. Silnik pracował cicho i równo. W baku było sporo benzyny. Na światłach skręcił w lewo, wydostając się na ulicę, która miała go wyprowadzić z miasta. Kilka kilometrów dalej był zjazd w prawo na rzadko uczęszczaną drogę. Prowadziła prosto do trasy DK-1, po drodze mijało się kilka wiosek, wcześniej jednak ciągnął się długi, betonowy płot.

Augustyn z żalem pomyślał o piersióweczce, którą zostawił w pokoju. Przydałby się choć nieduży łyk. Wiedział jednak, że sekcja zwłok z pewnością wykazałaby obecność nawet niewielkiej dawki alkoholu. Jego śmierć miała być czysta, niewinna, i taka właśnie będzie. Po kilku minutach znalazł się na ponaddwukilometrowej prostej. Wiedział, że od płotu dzieli go kilkaset metrów. Poprawił się na siedzeniu i mocniej chwycił kierownicę. Redukcja na trójkę, sprzęgło i - gaz. Samochód zaczął przyspieszać. Jeszcze jakieś pięćset metrów. Augustyn wpatrzył się w miejsce, gdzie zaczynał się płot. Było zbyt ciemno, aby dało się go dostrzec. Silnik zaryczał. Czwórka i - gaz.

Od betonowego płotu dzieliło go najwyżej dwieście metrów. Napiął wszystkie mięśnie i skupił wzrok na rozświetlanym światłami asfalcie. Odruchowo spojrzął jeszcze w lusterko i

zobaczył dwa jasne światła. Ktoś jechał za nim.

Cholera! Noga z gazu, hamulec, luz. Nie chciał żadnych świadków, niech przyczyna zostanie tajemnicą. Właśnie zbliżał się do skrętu na ulubioną polanę, gdzie nieraz przyjeżdżał. Włączył kierunkowskaz i zjechał w leśną dróżkę. Może dobrze się stało. Ostatni raz odwiedzi ulubione miejsce, a potem zrobi to, co należy.

Zostawił samochód w pobliżu drogi i poszedł w znanym sobie kierunku. Było już bardzo ciemno, ale jeszcze nie całkiem czarno. Przystało padać. Uszedł jakieś dwieście metrów i las się przerzedził, a ścieżka zaczęła biec brzegiem okrągłej polany, okolonej ze wszystkich stron przez rosłe sosny. Wszedł w trawę. Buty zapadły się w grząskim gruncie i zaczęły przemakać. Augustyn przystanął i popatrzył w niebo. Żałował, że chmury przesłaniają księżyc, który powinien jasną pełnią oświetlać polanę. Wciągnął głęboko rześkie powietrze i w tej właśnie chwili niespodziewanie uszło z niego całe napięcie. Oto przed chwilą pędził jak szalenciec, by roztrzaskać się o beton, a teraz stał pod chmurami i sycił wzrok widokiem ich groźnych bebeczków. O tej porze powinien już nie żyć. Zgodnie z tym, co zaplanował, już miał być martwy - jego ciało miało teraz być połamane lub zmiążdżone; polana miała być pusta, nie powinien się tutaj znaleźć.

Ale tu był. Pomyślał, że jest kimś innym, że to nie on stoi tu, w lesie, tylko jakiś przypadkowy wielbiciel przyrody, i przed momentem usłyszał piekielny huk, jaki spowodował proboszczowy opel, wpadając na ścianę betonu. Ten człowiek stoi więc zdeorientowany. Przestraszony. Co to było? Wypadek? Ktoś poniósł śmierć? Kto? Szuka w kieszeniach telefonu. Trzeba szybko wezwać policję. Tam prawdopodobnie umiera człowiek, może kilku ludzi, rodzina lub młodzi kochankowie. Halo, policja? Chcę zgłosić wypadek, słyszałem samochód, ślisko, chyba wpadł w poślizg...

A drzewa kołyszą się tak samo jak przedtem. Chmurzyska ciężko znikają nad polaną. Szum lasu to wzmaga się, to opada. Augustyn znieruchomiały patrzy w nieokreśloną dal. Byłby teraz martwy, gdyby nie zobaczył tych światel. Coś niewytłumaczalnego kazało mu zdjąć nogę z gazu.

Panie, czy to był znak? Dałeś mi znak? Czy to Twoja wola sprawiła, że ujrzałem te dwa światła w lusterku? Tak bardzo pragniesz mojej wiary? Mojego życia, a nie śmierci?

Zaczął przechadzać się wkoło. Nie powinien zdejmować nogi z gazu. Jeśli już raz zdjął, czy nie cofnie się przy drugiej próbie? Czy te światła mogły być przyczyną? Nie umiał odpowiedzieć sobie, co tak naprawdę kazało mu przyhamować i zjechać na polanę. Tak długo o tym myślał, przygotowywał się, wyobrażał sobie tę chwilę, a kiedy nadeszła - czy czegoś nagle zabrakło?

Ja, ksiądz bez wiary w zmartwychwstanie, śmiejący się z dogmatyki, mam nagle kłopoty z samobójstwem. Mam kłopoty z samym sobą. I to poważne. Jeśli te światła były znakiem od Boga, to moja niewiara jest chwilowym pobłędzeniem. Jeśli to przypadek, że akurat ktoś jechał tędy do domu, to fakt, że stoję tutaj, zamiast być trupem, też jest przypadkiem. Od chwili zdjęcia nogi z gazu moje istnienie to przypadek.

Czas chyba spróbować ponownie. Przekonamy się, jakie jest prawdopodobieństwo następnego przypadku.

Jednak nie odchodził. Przejął się świadomością, że w tej właśnie chwili powinien leżeć martwy w samochodzie, bo jego czas minął; godzina była już za późna, aby żyć; nędzny żywot miał się wreszcie zakończyć. Wybawiony, jak mu się zdawało, przez przygodnego kierowcę, nie umiał pojąć różnicy między dwiema rozchodzącymi się historiami: on martwy w samochodzie i on żywy na polanie. A jednocześnie stale obie te możliwości stawały mu przed oczami.

Czy to odczuwa zmartwychwstały? Irytującą rozbieżność? Jego wola podjęła decyzję, już go zabiła, a mimo to niewiadomy impuls nakazał mu o dwieście metrów od betonowego ogrodzenia zwolnić. Tłumaczenie, że nie chciał mieć świadków, jakoś do niego nie przemawiało. A jeśli to jednak Bóg? W najbardziej dramatycznym momencie podrzuca mu strzęp Swej mocy. Drwi nieledwie. Dawniej w podobnej sytuacji nie miałby najmniejszych wątpliwości. Klęczałby właśnie i modlił się z przejęciem. Zamiast tego doszukiwał się cech właściwych pogańskim bożkom, bawiącym się naszym życiem.

Nadal nie wracał do samochodu. Wilgotny las go uspokajał. Pomyślał o Eli, zaraz później przed oczami stanęła mu matka. Dało o sobie znać niejasne poczucie winy. A gdyby jednak porozmawiać z Koralem, błysnęło mu w głowie, zasięgnąć u niego rady, wygadać się, a potem skończyć z tą błazenadą w sutannie. Nie, to już lepiej pozostawić wszystko jak jest, tylko z Elą częściej się widywać.

W środku lasu, z dala od świata, wizja ta zrobiła na nim większe wrażenie, nagle wydała się zupełnie realna, a nawet pociągająca. Dotychczas odrzucał ją jako niemożliwą do urzeczywistnienia, a teraz niespodzianie stwierdził, że może mu odpowiadać. I co teraz? Rozpędzić znów samochód czy nie rozpędzić?

Odgłos kroków dotarł do niego z opóźnieniem. Pochłonięty rozważaniem życiowych kwestii nic wcześniej nie słyszał. Naraz zdał sobie sprawę, że nie jest sam na polanie. Stąpnięcia były delikatne, ale wyraźne.

Ktoś się skradał.

Augustyn wstrzymał oddech i znieruchomiał. Odwrócił głowę w stronę, skąd



dochodziły dźwięki. Kilkanaście metrów dalej ścieżka niknęła w ciemności. Kroki ucichły, ale za chwilę znów je usłyszał. Tym razem pewniejsze, ciężkie.

Za drzew wyszła wysoka postać. W pierwszej chwili Augustyn nie mógł jej rozpoznać. Ale im bliżej był tajemniczy osobnik, tym większej nabierał pewności, kogo ma przed sobą.

- Co tu robisz? - spytał, kiedy mężczyzna zbliżył się i stanął. Nie było odpowiedzi. Oczy dawnego ubojowego mierzyły go chłodnym spojrzeniem. Augustyn cofnął się o krok, ale zaraz zrozumiał, że okazanie lęku tylko pogorszy sytuację. Zadawanie dalszych pytań wydało mu się pozbawione sensu. Tamten także milczał. Stali przed sobą na skraju polany jak dwa posągi. Zaczęło lekko wiać. Włosy Andrzeja Młynarskiego uniosły się, odsłaniając duże zakola. Augustyn nawet nie starał się pojąć, o co chodzi. Miał przed sobą tego człowieka, to był fakt, i żadne zdumienie bądź niedowierzanie nie mogło tego zmienić. Sam nie wiedział, czemu poczuł się zażenowany jego przyjściem. Sięgnął do dolnego guzika kurtki, bo zrobiło mu się zimno. I wtedy usłyszał ruch. Zdażył jedynie unieść głowę. Młynarski już był przy nim. Jego ręka zatoczyła szeroki łuk. Augustynowi wydało się, że coś błyska w powietrzu. Nie było czasu na instynktowną reakcję. Cios trafił go prosto w brzuch. Jęknął. Nie rozumiał, co się dzieje. Poczuł, jak ostrze noża wierci się w jego wnętrznościach, a jednocześnie nie mógł w to uwierzyć. Chciał powiedzieć: „Przestań, lepiej porozmawiajmy”, tak jakby nic się nie stało. Ale osunął się na kolana. Otrzymał kopnięcie w twarz i zwałił się na plecy. Nisko nad sobą miał bezgwiezdną czerń. Co się dzieje?! Znowu cios. Tym razem nóż zagłębił się w klatce piersiowej. Następny wniknął w bok, dziurawiąc wątrobę. Augustyn zamachał rękami. Wtedy Młynarski zadał jeszcze jedno uderzenie. Wbił nóż ponownie w brzuch i mocno przycisnął. Trzymał go przez kilka sekund, wsłuchując się w słaby krzyk ofiary, który zaczął przechodzić w rżenie. Wstał.

Augustyn był ciągle świadomy. Widział, jak Młynarski nachyla się nad nim i przystawia mu ostrze do policzka, następnie zjeżdża niżej. Płytkie cięcie na szyi spowodowało trudności z oddychaniem. Zobaczył, że ubojowy znowu wstaje i przygląda mu się na tle chmur. Zaczął się krztusić. Spróbował przewrócić się na bok. Ból zdawał się słabnąć. Poczuł, że Młynarski znowu wbija mu nóż, tym razem w plecy.

Nie mógł już wydać żadnego głosu. Miał przed oczami zimny krzak. Rozpaczliwie szukał jakiejś myśli, wspomnienia, lecz w głowie wirowały mu tylko strzępy słów i obrazów. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale jego krtani napotkała nicość.

Boże!

- Augustynie...

Głos, piękny, głęboki głos...

- Augustynie... jestem tu... Starzec wyłania się z ciemności.

- To ja.

Augustyn patrzy na niego oniemiały.

- Henryk Kietlicz, to ty jesteś Henryk Kietlicz.

- Tak, ja. Co chciałeś uczynić, Augustynie?

- Dać ludziom wskazówkę. Chciałem dać też wskazówkę sobie.

- Niedobrze czynisz, Augustynie. Cóż zostało z moich starań? To ja dałem wam celibat, a ty go zbecześciłeś.

- Chciałem być uczciwy, Henryku, wolałem odejść, niż żyć w kłamstwie...

- Wszystko, co widzisz wokół, jest kłamstwem. Teraz to zrozumiałeś, jak każdy.

Tylko zawsze jest za późno...

Henryk Kietlicz zaczął rozmywać się w ciemności, odchodził, choć Augustyn wyciągał ku niemu dłoń. Później zniknął zupełnie.

Znowu odczuł wirowanie, nie pojmował już tych strzępków słów i obrazów. Rozumienie świata ustąpiło przed zalewem nazw, których nie wymówi żaden ludzki język.

Nie potrzebował już ani słów, ani obrazów, ani żadnych świętości.

## Rozdział 12 - Kamienie

Miała pełną świadomość tego, że dziwnie na nią patrzą. W chwili, kiedy weszła na salę, poczuła na sobie nieprzychylnie spojrzenia wielu osób - znanych jej i zupełnie obcych. Kłaniała się na powitanie, ale tylko nieliczni odpowiadali tym samym. Część udawała, że jej nie dostrzega. Postanowiła zignorować dowody niechęci i mocniej wsparła się na ramieniu Janusza.

Oboje zajęli miejsca w czwartym rzędzie. Stąd najlepiej widać było scenę w Miejskim Domu Kultury. Nie zwróciła uwagi na szepty, których była przedmiotem. Czarny płaszcz przewiesiła na fotelu obok w nadziei, że nikt przy niej nie usiądzie.

Początek przedstawienia uciszył audytorium. Kiedy umilkła muzyczna uwertura, z wysoka pospadały na scenę ludzkie kości, a w chwilę później zza kulis wynurzył się Krystian Błaszczok, uczeń trzeciej A, odziany w sutannę.

Eli wydał się nawet nieco podobny do Rysia z czasów liceum, tylko był wyższy. Inscenizacja trwała niewiele ponad pół godziny. Jednoaktowa sztuka miała być zwieńczeniem żałoby, jaka spadła na miasto po tragicznej śmierci proboszcza

Augustyna. Gimnazjaliści z pomocą uczniów liceum, tak jak obiecali, postanowili opowiedzieć historię nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego wydarzenia, jakim było zesłanie świętych relikwii i objawienie księdza. Na widowni zasiadło kilkuset widzów. Ci, dla których nie starczyło miejsc siedzących, podpierali ściany. W rogu stała kamera telewizji regionalnej, a kilkunastu reporterów przykucnęło ze swymi nikonami i canonami. Dla mediów była to niezła pożywka: relikwia, zamordowany ksiądz, żal mieszkańców, a teraz to przedstawienie. Przydałoby się coś jeszcze.

Miasto przeżyło wstrząs na wieść o znalezieniu ciała Augustyna. Tamtego dnia, kiedy nie wracał do późna, a komórka milczała, pani Hela poważnie się zaniepokoiła. Wprawdzie, jak powiedział, wybiera się do kurii, jednak kiedy minęła północ, a jego ciągle nie było, gospodyni postanowiła zadzwonić do Korala. Proboszcz Zygmunt kilka godzin wcześniej pożegnał księdza Wacława. Jego niechciany gość odjeżdżał w złości i zarzekał się, że wyciągnie konsekwencje z pobytu w tym mieście. Ksiądz Zygmunt już wcześniej kilkakrotnie próbował dzwonić do Augustyna, ale bez rezultatu. Komórka była włączona, ale nikt nie odbierał. Położył się spać niespokojny.

Pani Hela zmęczona usnęła dopiero nad ranem. Obudził ją ksiądz Seweryn. Młody wikary, wbrew zaleceniom Wilczyńskiego, nie zgolił irokeza.

- Księdza proboszcza ciągle nie ma? - spytał.

Pani Hela załamała rękę. Pobieгла do pokoju księdza, lecz nie zastała w nim nikogo.

- Trzeba dzwonić na policję - rzekła wystraszona.

Nowina szybko obiegła miasto. Mieszkańcy, zjawiwszy się na porannej mszy, przekazywali ją sobie, dodając jakieś niepotwierdzone szczegóły. Komisarz Marek Surowy z aspirantem Jackiem Kluzą przybyli kilkanaście minut po telefonie pani

Heli. Pochodzili, popytali i kazali wysłać radiowóz w trasę na

Kraków. Informacja nadeszła po półgodzinie.

Komisarz Surowy spojrział na panią Helę, wyłączwszy komórkę:

- Znalaziono jego samochód... - powiedział.

- O Boże... - jęknęła pani Hela.

- I jego też - dokończył komisarz.

Aspirant Kluza włączył koguta. Na miejscu zjawili się po kilku minutach. Samochód Augustyna stał przy ścieżce leśnej, on zaś leżał nieco ponad sto metrów dalej, na skraju pięknej, cichej polany. Komisarz podszedł i nachylił się nad ciałem. Zwłoki Augustyna spoczywały na boku, otwarte oczy patrzyły na niewielki krzew, którego łodygi kołysały się przed martwą głową.

- Zadano mu sześć ciosów długim, ostrym narzędziem i podcięto gardło - powiedział obecny na miejscu lekarz Sławomir Jagoda.

Komisarz Surowy zagryzł usta. Wyciągnął papierosa i poczęstował lekarza.

- Będzie cieplej - powiedział. - Co on tu, kurwa, robił? Z kim tu przyjechał? - Popatrzył dookoła. - Podobno jechał do kurii, po co miałby się tu zatrzymywać?

- Może chciał się odlać - rzucił Jagoda. - Staął, wszedł trochę w las. I ktoś go pociachał.

- Eeee, po co by wjeżdżał w las, mógł stanąć na poboczu. Poza tym księża nie leją poza plebanią. Nie. - Komisarz zamyślił się i dodał: - On tu przyjechał specjalnie. Tu chciał wejść. Tylko po co?

- To ksiądz był, wiesz, może się chciał pomodlić.

- Eeee, nie - mruknął komisarz i zwrócił się do policjantów:

- Sprawdzić dokładnie, czy nie ma śladów innych opon.

- Spojrzał na Jagodę i spytał: - O której?

- Trzydzieści, czterdzieści godzin temu. Długo leżał.

Kiedy półtora miesiąca później komisarz siedział na widowni i oglądał inscenizację, dochodzenie nadal stało w miejscu. Śledczym nie udało się zidentyfikować opon drugiego

pojazdu, nie mieli żadnych odcisków buta, nie potrafili ustalić motywu morderstwa, nie mieli nikogo podejrzanego i właściwie nie wiedzieli, co dalej robić.

Początkowo, zebrawszy informacje i opowieści z wydarzeń w kościele w dzień śmierci Augustyna, komisarz Surowy postanowił przesłuchać księdza Wilczyńskiego. Z relacji świadków wynikało, że wzburzony opuścił miasto po południu, natomiast w kurii zjawił się dopiero następnego dnia wieczorem. Mało sympatyczny ksiądz wydał się komisarzowi bardzo pewny siebie, ale w pierwszej rozmowie nie umiał wyjaśnić luki czasowej między swoim wyjazdem a powrotem do kurii. Dopiero gdy Surowy jasno zasugerował, że podejrzenia mogą objąć także jego, Wilczyński wyznał, że nocował u pewnego rzeźbiarza. Artysta ten nie ukrywał swego homoseksualizmu. Ksiądz pojechał do niego, bo chciał spokojnie odreagować wydarzenia z kościoła. Teraz poprosił o dyskrecję. Komisarz sprawdził wszystko dokładnie; wersja księdza Wacława nie została potwierdzona przez rzeźbiarza. Artysta wypierał się jakichkolwiek intymnych stosunków z klechami i nakrzyczał na komisarza, że ten ośmiela się posądzać go o takie rzeczy. Ksiądz Wacław, usłyszawszy o tym, zaklinał się, że mówi prawdę, a tamten dopuszcza się ohydnych kłamstw. Jak komisarz w ogóle może pomyśleć, że on - kapłan, wybitny dogmatyk, mógłby uczynić coś równie przerażającego!

W istocie Surowy nie miał żadnych dowodów na udział Wilczyńskiego w zabójstwie Augustyna, a prywatne sprawy duchownego, jakkolwiek same w sobie niezbyt czyste, przestały go interesować.

Gdy tylko rozeszła się wieść o tragicznej śmierci proboszcza, kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny zappełnił się tłumami, jakich jeszcze tutaj nikt nie widział. Ludzie, nie zważając na ziąb, modlili się w świątyni, inni otaczali ją, zagradzając drogę samochodom. Pogrzeb zgromadził tysiące wiernych, a mszę celebrował proboszcz Koral. Na miejscu zjawił się biskup Andursz we własnej osobie. Był bardzo przejęty i jego szczery żal nie budził niczyich wątpliwości. Udał się do kościoła i w asyście wikariuszy Seweryna i Sebastiana oglądał stare kości. Mimo śmierci proboszcza relikwia nienaruszona spoczywała w gablocie. Biskup rozmawiał z ludźmi i błogosławił dzieci, przychodzące się pomodlić przed cudownymi kośćmi.

- Jestem niezmiernie wzruszony - powiedział wieczorem przy wspólnej kolacji ze wszystkimi księżmi z miasta. - Śmierć proboszcza Augustyna to wielka strata dla Kościoła. Bez wątpienia był wspaniałym kapłanem, duchownym o wielkim sercu. Kiedyś byłem jego wykładowcą w seminarium i bardzo go ceniłem. Był jednym z tych ludzi, o których z całym przekonaniem mówimy: to szlachetny człowiek.

Andursz oznajmił, że w związku ze śmiercią Augustyna trudno będzie ustalić wiarygodność objawienia, jednak on sam - jako biskup - widząc wielką wiarę tutejszych parafian, będzie przychylny pozostawieniu kości tam, gdzie są.

- Kto wie, co tu jeszcze będzie z pamięcią o Augustynie? - pytał retorycznie.

Tymczasem w tydzień po śmierci proboszcza w regionalnym dzienniku ukazał się obszerny artykuł pośrednio dotyczący ostatnich wydarzeń. Maurycy i Anna Plutowie snuli w nim mrozącą krew w żyłach opowieść o tym, jak przed ponad trzydziestu laty wikariusz tutejszej parafii Waław Wilczyński wykorzystywał seksualnie dzieci i młodzież, w tym samego

Maurycego Plutę. Bohater artykułu bez ogródek opowiadał o praktykach wikarego: ksiądz Waław namawiał do pocałunków, trzymania za genitalia, onanizmu i seksu oralnego. Maurycy Pluta nie potrafił wyjaśnić, dlaczego poddawał się tym nakazom, choć z biegiem czasu było mu coraz trudniej.

Nie miałem odwagi. To nie takie proste, jak się jest dzieckiem, a tu stoi ksiądz, w którego autorytet i czystość wierzy się całkowicie. Rodziny nie dopuszczały nawet takich myśli, a co dopiero coś takiego. Nie umiałem o tym mówić. Aż do dziś - opowiadał Maurycy Pluta w artykule.

Bardzo dokładnie został opisany powrót Wilczyńskiego po latach i jego zabiegi przeciwko uznaniu relikwii za prawdziwą świętość. W miasteczku zawrzało. Sprawa po kilku dniach trafiła na czołowe strony ogólnopolskich gazet. Internetowe fora szalały. To wystarczyło. Ludziom rozwiązały się języki. Przykład Plutów sprawił, że ni stąd, ni z owąd, mieszkańcy zaczęli przypominać sobie dziwne zachowanie Wilczyńskiego, ślali listy do redakcji, udzielali wywiadów telewizyjnych. Nie minął tydzień, a odezwały się głosy z drugiego końca kraju. Jakiś emerytowany wojskowy w randze porucznika opowiadał, jak ten ksiądz uwiódł jego córkę, i jak to sprawił mu tęgie lanie na jego plebanii. Ktoś zapowiedział zawiadomienie prokuratury o popełnieniu przestępstwa. W niecały miesiąc od śmierci Augustyna życie księdza Waława zamieniło się w koszmar.

Skrył się za murami kurii, ale tu wcale nie było lepiej. Wyczuwał, że bracia w kapłaństwie unikają go, nie życzą sobie kontaktów z nim. Tacyście wszyscy święci, braciszkanie, myślał, wymijając ich na korytarzach. Andursz postanowił, że wyśle go za wschodnią granicę, na Ukrainę albo na Białoruś, ale zdawał sobie sprawę, że trudno będzie uniknąć skutków skandalu.

- Obiecał mi ksiądz dawno temu, że więcej podobnych rzeczy nie będzie. Przysięgł ksiądz! - powiedział Wilczyńskiemu w czasie ostatniej audiencji.

- Ekscelencjo, większość tych zarzutów to insynuacje. Ja nigdy...

- Niech ksiądz nie mówi nigdy! - brutalnie przerwał Andursz. - Dosyć! To dopiero początek. Tego się boję. Oskarża księdza wielu ludzi. Zdjęcia księdza są na pierwszych stronach tych szmatławców z podpisem Ksiądz pedofil znowu atakuje! Rzecznik kurii już nie wie, jak dobierać słowa, żeby wyjść z tego z twarzą! Jeżeli Bóg mi kiedyś wybaczy, że byłem zbyt pobłażliwy dla niektórych naszych braci, to będzie wszystko, czego mógłbym się spodziewać. Jeżeli zostanie księdzu wytoczony proces, nie będę miał wyboru. Oby jak najmniej takich kapłanów jak ksiądz.

Wychodząc z gabinetu biskupa, Wilczyński czuł na sobie pogardliwe spojrzenia młodych księży. Ktoś syknął za plecami: pedofil. W telefonie miał mnóstwo anonimowych esemesów typu: wsadz se ta laske w dupe gnoju. Przyzwyczajony do szacunku, poważania ze strony innych duchownych, teraz znosił najgorsze obelgi bez mrugnięcia okiem. Jakby tego było mało, kuria otrzymała zawiadomienie, że nie wolno mu opuszczać kraju. Z wyjazdu na Wschód nici.

Na dodatek znowu zaczął go nagabywać komisarz Surowy. Jeszcze raz o wszystko wypytał, skrzętnie notując i nagrywając odpowiedzi.

- Proszę księdza - powiedział w pewnej chwili, rzucając na stół kolorowy tabloid z jego zdjęciem na pierwszej stronie - myślę, że tak czy owak w końcu trafi ksiądz za kratki.

- Pan sobie na zbyt wiele pozwala - odparł wściekły ksiądz Waclaw.

- Pan komisarz sobie na zbyt wiele pozwala - poprawił go

Surowy i pożegnał się, zostawiając gazetę na stole.

Wilczyński czuł, że źle się dzieje wokół niego. Hierarchia aż nadto dała mu odczuć dystans. Nie wiedział, jak długo może liczyć na ochronę. Niechęć Andursza mogła mieć duże znaczenie. Sprawa dotrze do papieża. Zaczną się naciski prasy. Już teraz kilka razy dziennie odrzucał telefony jakichś dziennikarzy. W Internecie jego zdjęcia krążyły z potwornymi opisami na forach.

Z bratem - właścicielem kilku ogromnych kurzych ferm - skontaktował się z budki telefonicznej.

- Bronek, zorganizuj coś. Masz chody. Pomóż mi - po raz pierwszy prosił o coś jedynego człowieka, jakiemu mógł teraz zaufać.

- Niby co mam zrobić?

- Nie wiem. Ty wiesz. Jest po mnie, jak nic nie zrobię. Muszę... muszę stąd wyjechać.

- Wacek, powiem tak. Nawet mnie nie wkurwiał. Odzywasz się po nie wiem ilu latach i tak po prostu mam ci pomóc. Chłopie, poczytaj gazety.

- Jesteś moim bratem. - Waclaw wiedział już, że nic nie wskóra.

- Odpierdol się ode mnie.

Tego samego dnia, kiedy Waclaw rozmawiał z bratem, prokuratura rejonowa wszczęła postępowanie z urzędu w związku ze zgłoszeniem popełnienia przestępstwa przez księdza Waclawa Wilczyńskiego. Autorem zgłoszenia był Maurycy Pluta.

Surowy nie wierzył w to, że ksiądz mógł zabić księdza. Jakoś trudno mu było to sobie wyobrazić. Coś mu podpowiadało, że w tej sprawie istnieje jeszcze jeden, nieznaną wątek. Komisarz spędził długie godziny w pokoju Augustyna, oglądał kości, kilka razy wracał na miejsce zbrodni, na koniec udał się do Eli.

Znał ją, uczyła jego młodszego syna.

- Nie chcę wnikać, na ile intymne były pani relacje z księdzem. Ale znała go pani. Jaki był? - zapytał, siedząc w jej mieszkaniu i popijając kawę.

- Znałam go od czasów liceum. Był to kulturalny, odcytany chłopiec. Potem został księdzem. To prawda, że widywaliśmy się krótko, gdy został wikariuszem. Ale bez żadnych bliskich stosunków. Ludzie potem wymyślili bajkę, że byłam marionetką w rękach SB, że chcieli coś na niego mieć. Kto w to uwierzy? Że własny ojciec pakuje córkę w coś takiego? Głupoty. - Ela machnęła ręką.

- To są sprawy zamierzchłe - odparł Surowy. - Wie pani, że ksiądz był okaleczony?

- Okaleczony?

- Pozbawiony jąder. Nie rozgłaszamy tej informacji. Chcę pani jednak powiedzieć, że to, co ktoś uczynił proboszczowi, miało miejsce przed wielu laty. - Komisarz zatrzymał przenikliwe spojrzenie na twarzy Eli.

- Coś pan sugeruje?

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, czy orientuje się pani, kto mógł mu to zrobić?

- Nie, zupełnie się nie orientuję. Jak mówiłam, nasze kontakty nie trwały długo i nie były aż tak intymne, aby ksiądz opowiadał mi o swoich ówczesnych wrogach, jeśli miał takich.

- To, co ksiądz Wilczyński opowiadał w kościele, rozeszło się po mieście, słyszała pani zapewne.

- To bzdury.

- Zna pani nazwisko Andrzej Młynarski?

- Tak, przed laty nawet był moim pierwszym chłopakiem, ale to jeszcze czasy licealne.

- Udało się nam ustalić, że to on doniósł księdzu Wilczyńskiemu o pani stosunkach z



księdzem Płaczkiem.

Ela nagle przypomniała sobie słowa Augustyna: To ktoś, kogo oboje znamy. Czyżby to on? Myślała szybko, a jednocześnie starała się nie wzbudzić podejrzeń komisarza.

- Może to on zabił... - powiedziała.

- Ma alibi. Nie mamy też najmniejszych śladów na miejscu zbrodni, właściwie nic nie mamy. Poza tym zarzekał się, że opowiedział tylko to, co wszyscy wiedzą. Mówił, że pani ojciec polecił mu śledzić panią i tak wpadł na trop księdza. Nie rozgłaszał tego, bo pani ojciec sobie tego nie życzył. Teraz jednak, gdy nie żyje...

Ela siedziała nieruchomo. Komisarz Surowy nie spuszczał z niej wzroku. Wiedziała, że może się zdradzić najdrobniejszym gestem, ruchem ust, czymkolwiek. Serce biło jej coraz mocniej, a ciało przeniknęło lekkie drzenie. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Komisarz podniósł się z fotela.

- Dziękuję za kawę - powiedział. - Na mnie już czas.

Ela kiwnęła głową i odprowadziła go do wyjścia. Czowała, że do oczu cisną się jej łzy. Potknęła się o przewróconą parasolkę. Surowy podtrzymał ją za ramię.

- Pani Elu - rzekł już w drzwiach - nie będę naciskać, skoro pani nie chce. Jeżeli któregoś dnia uzna pani, że warto, proszę przyjść. Być może dzięki pani pomocy udałoby się rozwiązać tę zagadkę.

Komisarz uklonił się i wyszedł.

Ela wróciła do salonu i padła na fotel. Pozwoliła płynąć łzom. Siedziała nieruchomo i analizowała słowa komisarza. Zerknęła na zdjęcie rodziców, oprawione w ozdobną ramkę. Włodzimierz Krochmal obejmował żonę i patrzył z uśmiechem w obiektyw.

- Głupia, głupia cipka z ciebie... Elka - powiedziała, tłumiąc szloch.

Zerwała się na nogi i pobiegła na górę. W sypialni, którą przez lata dzieliła z Irkiem Rymankiem, sięgnęła po ukryty w żyrandolu klucz i otworzyła ciężką komodę. Zaczęła z niej wygrzebywać masy papierów, aż wreszcie dotarła do pliku listów i liścików od Andrzeja Młynarskiego. Wszystkie były związane niebieską wstążką i tworzyły pokaźny stosik obok innych podobnych. Nie myśląc zbyt wiele, Ela rozwiązała je i zaczęła drzeć na drobne kawałki. Następnie zebrała wszystko do reklamówki i wrzuciła do kominka na dole.

Komisarz Surowy był pewny, że Ela nie powiedziała wszystkiego, co wie. Przesłuchując Andrzeja Młynarskiego, zauważył, że ten typ pasuje do roli mordercy. Jak ułał, można powiedzieć. Problem w tym, że nie było żadnych dowodów jego winy. Fakt doniesienia księdzu Wilczyńskiemu o niemoralnej przeszłości Augustyna mógł być co najwyżej bardzo słabą poszlaką. O coś takiego nie dało się oprzeć oskarżenia. Ponadto na

temat romansu zabitego proboszcza i córki esbeka mówiło teraz całe miasto, a różni ludzie nagle sobie coś tam przypominali.

Siedząc w szóstym rzędzie, komisarz Surowy nieraz zerkał na Elę. Była starsza od niego o kilka lat, ale nadal mogła uchodzić za atrakcyjną kobietę. Wyraźnie pochłonięta przedstawieniem, nie zwracała uwagi na innych.

- O przyszła, zobacz pani - usłyszał siedzącą za nim Annę Kiedroń.

- Że to się nie wstydzisz tak tu przychodzić - odparła jakaś kobieta.

- Pani, a co się będzie wstydzisz? Grzesznica taka to wstydu nie ma.

- Biedny proboszcz to się opamiętał jeszcze za młodu, a potem jaki był dobry, ile on ludziom pomógł, pani, a ta to... ach, jeszcze go nachodzić chciała podobno.

- To diabeł jest, pani powiem - szeptała Anna Kiedroń.

- Jak proboszcz świętą relikwię wystawił, to diabeł przyszedł. Tak, pani. Szatan najświętszych ludzi goni.

Komisarz odwrócił się i popatrzył groźnie na obie kobiety.

- Proszę przestać rozmawiać, zaczęło się przedstawienie

- rzekł i obie plotkarki zamilkły.

Krystian Błaszczok zebrał zasłużone brawa za rolę księdza, ale zdaniem widzów w ogóle wszyscy uczniowie wystąpili wspaniale. Spektakl był krótki, ale i tak zrobił wielkie wrażenie. Wszyscy mieli świeżo w pamięci dramatyczne wypadki ostatnich tygodni, więc reagowali bardzo emocjonalnie. Kiedy opadła kurtyna, publiczność oklaskiwała wykonawców na stojąco. Ostatnia scena, w której umierającemu Augustynowi ukazuje się ów anonimowy kanonik posiekany przez czeskiego barona, wycisnęła ludziom łzy z oczu. Matka Krystiana Błaszczoka omal nie zemdląła z wrażenia, patrząc, jak jej syn oddaje ducha na scenie.

Zygmunt Koral stał obok Krystyny Cieślik i jej męża, i klaskał może nawet głośniejsz niż pozostali. Burmistrzowa trzymała się blisko księdza. Usłyszawszy o wydarzeniach w kościele i zarzutach w stosunku do Wilczyńskiego, natychmiast odczuła przypływ sił, a jej początkowe wahanie od razu przemieniło się w wolę wytrwania. Śmierć Augustyna zmobilizowała ją do szybkich posunięć. Nie mogła stracić relikwii przez to, że umarł jej główny strażnik. Zjawiła się u Andursza w towarzystwie księdza Zygmunta, jeszcze zanim odbył się pogrzeb. Widoki na upragnioną parafię były dobre i proboszcz zgodził się reprezentować wiernych pragnących zachować relikwię w kościele.

- Ekscelencjo, to bardzo ważna sprawa dla naszego miasta i mieszkańców. Ludzie nadal przychodzą do kościoła - zapewniała biskupa.

- To prawda, co mówi pani burmistrz - dodał Koral.

Andursz milczał przez chwilę. Jeszcze nie wiedział, jak postąpić. Dotarli już do niego oskarżenia wobec Wilczyńskiego i poważnie się tym zaniepokoił. To było znacznie poważniejsze od jakiejś tam relikwii.

- Teraz, gdy nieodżałowany proboszcz Augustyn nie żyje, wszystko się zmieniło. Nie znamy motywacji Pana i jego interwencje mogą przybierać rozmaite postacie. Jak rozumiem, pani burmistrz jest gotowa służyć pomocą...

- Ależ oczywiście, ekscelencjo, miasto jest dumne z relikwii i z proboszcza Płaczka.

- Ksiądz go znał - zwrócił się Andursz do Koral. - Znał dobrze, o ile pamiętam. Jakie jest obecnie zdanie księdza proboszcza na ten temat?

- Błądzimy, ekscelencjo, tyle mogę powiedzieć. Nie zawsze nasze wybory służą prawdzie. Augustyn został brutalnie zamordowany, i to w chwili, gdy chciał zrobić najwięcej dobrego. Czy jego poświęcenie ma pójść na marne?

- Drogi proboszczu, osobiście cieszę się, że takie jest stanowisko księdza. W zasadzie nie miałbym nic przeciwko. Z tego, co wiem, wierni w tych kościołach widzą raczej moc uzdrawiającą niż wpajanie wiary, hm. No, ale musimy poczekać na oficjalne stanowisko Kościoła w tej sprawie.

- Ekscelencjo - zaczął Koral - miałbym jeszcze coś do powiedzenia o księdzu Waclawie.

Andursz uniósł rękę.

- Nie - powiedział. - O tym rozmawiać nie będziemy. Cieślikowa i Koral wyjeżdżali z kurii z błogosławieństwem biskupa, który następnego dnia, po pogrzebie Augustyna, zapewnił publicznie o swoim poparciu dla całego miasta.

Po tym jak młodzi aktorzy zeszli ze sceny oklaskiwani na stojąco, weszli na nią burmistrzowa i Koral. Ktoś podsunął im statywy z mikrofonami.

- Drodzy państwo - zabrała głos Cieślikowa - to, co nas spotkało w ostatnim czasie, tragizmem dorównuje starożytnym tragediom. Jesteśmy wszyscy zdruzgotani tą ogromną stratą. Nasze miasto utraciło jednego ze swoich najlepszych obywateli, człowieka, który swoim przykładem i niezachwianą wiarą wskazał życiową drogę niejednemu z nas. Chciałabym gorąco podziękować uczniom liceum i gimnazjum numer sześć, którzy w tak krótkim czasie przygotowali piękny spektakl.

Ksiądz Zygmunt najpierw wezwał wszystkich do wspólnej modlitwy w intencji zamordowanego proboszcza. Na koniec zaprosił zebranych na mszę świętą, jaka miała się odbyć po przedstawieniu. Widzowie zaczęli opuszczać salę. Wielu wsiadło do swoich

samochodów, część udała się pieszo do kościoła.

Ela z Januszem postanowili pójść pieszo. Trzymając się pod rękę, szli wolno między innymi widzami. Na samym przedzie tego dziwnego korowodu kroczył ksiądz Zygmunt, tuż za nim maszerowali wikariusze Sebastian i Seweryn. Irokez na głowie tego ostatniego urósł znacznie i budził powszechne zainteresowanie. Ludzie z parafii Najświętszej Maryi Panny zdążyli się już przyzwyczaić do niecodziennej fryzury, jednak dla pozostałych mieszkańców było to nadal niemałym szokiem.

- Mamo - powiedział cicho Janusz - jest coś, o czym musisz wiedzieć. Chciałem ci o tym powiedzieć już wcześniej, ale nie wiedziałem jak.

Ela zadrżała. Przeczucia, jakie trwożyły ją od paru dni, okazały się prawdziwe. Zaniepokojona spojrzała na Janusza.

- Synu - rzekła - co chcesz zrobić?

Janusz mocniej ścisnął jej ramię. Pochylił ku niej głowę.

- To dla mnie też jest trudne. Kiedy oglądałem to przedstawienie, przeżyłem to wszystko jeszcze raz. Najpierw nie sądziłem, że do tego dojdzie. A potem, jak byłem tak blisko, blisko jak nigdy dotąd, zrozumiałem, że tego chcę. To się stało samo, jakby poza mną.

- To jego sprawka, prawda? Zapatrzyłeś się, namawiał cię.

- Nie namawiał. Nigdy mi nie powiedział, żebym został księdzem. Nigdy mnie nie kształtował w tym kierunku. To moja decyzja. Patrzyłem tylko na niego, wiesz. Obserwowałem, a potem, sam nie wiem, coś poczułem w środku.

- Przecież śmiałeś się z tego, pamiętasz? Aż byłam zła. Brałeś od niego pieniądze i śmiałeś się. Chcesz mi powiedzieć, że nagle się nawróciłeś?

- Nie musiałem się nawracać, bo ja nigdy wiary nie straciłem. Zawsze byłem katolikiem wierzącym, ale przez tych kilka tygodni zrozumiałem, że błędzącym. Idę do seminarium, mamu. Nie wiem, czy je skończę, ale idę. Nie zmienisz tego.

- A te wszystkie dziewczyny, co z nimi? Nie będziesz...

- Nie wiem, może będę. Ale zrobię wszystko, żeby nie.

Już miała zaprotestować, kiedy tuż obok zjawił się komisarz Surowy.

- Dzień dobry. - Ukłonił się grzecznie. - Jak się państwu podobało przedstawienie?

Ela nie miała ochoty na rozmowę z policjantem. Syn właśnie zakomunikował jej coś, o czym nie chciała nawet słyszeć. Surowy zirytował ją.

- Podobało się - odparła. - Czy będzie mnie pan znowu wypytywał? Czego pan jeszcze chce?

- Już mówiłem, że jak pani sama będzie miała coś do powiedzenia, to niech pani

przyjdzie. Pytam po prostu.

- I tak bardzo to pana interesuje? Coś podobnego!

- Proszę pani - Surowy nie speszył się odpychającym tonem Eli - jestem tu, bo liczyłem na jakieś wskazówki. Liczyłem, że coś zobaczę, coś, co da mi do myślenia.

- I zobaczył pan?

- Zobaczyłem panią.

Ela zatrzymała się, Janusz groźnie popatrzył na Surowego.

- Czego pan chce od mojej matki? - spytał, robiąc krok do przodu i przepuszczając ludzi z tyłu.

- Proszę się nie denerwować - rzekł Surowy. - Czy mogę porozmawiać z mamą na osobności?

- To konieczne?

- Właściwie nie, ale mam zwyczaj bazować na bezpośrednich emocjach.

- Janusz, idź, za kilka minut będę w kościele. Zajmij mi miejsce.

Chłopak pokręcił głową i niechętnie ruszył dalej. Ela zwróciła się do Surowego. Komisarz wyjął papierosa i poczęstował ją.

- Tak jak mówiłem, nie zamierzam pani o nic wypytywać. Prawdę mówiąc, nasze śledztwo stoi w miejscu i zapewne niedługo zostanie zamknięte. Wszystko wskazuje na to, że nie wykryjemy sprawcy.

- I co to ma wspólnego ze mną?

- Chciałbym zwrócić pani uwagę na pewną sprawę. Nie wiem, na ile wnikliwie obserwowała pani obecnych na przedstawieniu ludzi.

- Oglądałam przedstawienie, po to tu przyszłam.

- Tak, to oczywiste. Ja natomiast, hm, patrzyłem. Patrzyłem między innymi na panią. - Komisarz mocno zaciągnął się dymem i wydmuchnął go ponad głowę Eli.

- I co takiego pan we mnie dostrzegł?

- Pani przeżywała to przedstawienie bardzo intensywnie. Zauważyłem, że pani płakała. Starła się to pani ukryć, ale mimo to widziałem. O ile mi wiadomo, nie jest pani specjalnie wierząca.

- Znałam proboszcza, przecież pan wie. Był moim dawnym kolegą.

- Pewne pogłoski zdają się sugerować, wybacz pani...

- Niech pan przestanie! Skończcie już, do cholery, z tymi głupimi pogłoskami! Cóż takiego dziwnego w tym, że się wzruszyłam?

- Nie tylko pani.

- Co pan chce powiedzieć?

- Najpierw siedziałem na widowni, ale w połowie przedstawienia stanąłem z boku i patrzyłem na ludzi. Nie jestem psychologiem, jestem policjantem, ale pewne rzeczy zauważam, rzekłbym, lepiej od przeciętnego człowieka. To kwestia treningu, wyuczenia. Emocje ludzi mówią bardzo wiele.

- Proszę przejść do rzeczy, nie chcę się spóźnić. Syn na mnie czeka.

- W drugim rzędzie siedział Andrzej Młynarski, widziała go pani?

- Widziałam. I co z tego?

- To oczywiście jedynie moje domysły, powiedziałbym, że policyjna intuicja, lata doświadczeń. On także bardzo intensywnie odebrał to przedstawienie. Wprost namacalnie. Zwłaszcza zakończenie. Nie chcę pani powiedzieć nic ponad to, że wyczytałem w jego twarzy satysfakcję, jakieś zauroczenie, może nawet fascynację tym, co się wydarzyło na końcu. Podczas gdy niemal wszyscy byli wstrząśnięci, trzeba przyznać, że młodzież zrobiła to niezwykle realistycznie, on jeden miał na twarzy uśmiech. Dodam, że dość złowrogi.

- To wszystko?

- Tak, to tylko chciałem pani powiedzieć.

- A więc możemy iść? To chodźmy. - Ela ruszyła w stronę kościoła.

- Proszę pamiętać, że jestem otwarty na wszystko, co miałyby pani do powiedzenia w tej sprawie. - Komisarz stał przez chwilę, a potem dogonił ją. - Widzi pani, że nie naciskam. Staram się być taktowny. Rozumiem, że to są rzeczy dla pani kłopotliwe.

- Kłopotliwa jest pana nachalność, panie komisarzu - odrzekła Ela.

- Proszę mnie zrozumieć. Wypełniam swoje obowiązki.

- Myślę, że już je pan wypełnił.

- Pani Elu, ja naprawdę nie mam w stosunku do pani złych zamiarów. Mam jeszcze jedną sprawę.

- Tylko proszę potem dać mi już spokój.

- Rozumiem pani zniecierpliwienie. Chciałbym panią zaprosić na kawę. Jutro, pojutrze...

- Wykluczone.

- Proszę mnie posłuchać. Nie będę nawiązywał do sprawy śmierci proboszcza Płaczka. Nic z tych rzeczy, niech mi pani zaufa.

Chce mnie urobić, pomyślała Ela. Spojrzała na niego spod ciemnego kapelusza. Kulturalny, tuż po czterdziestce. W ciemnych włosach widać nitki lekkiej siwizny. Twarz zadbana, paznokcie czyste. Ubrany w płaszcz do kolan, spod którego wyglądała sztruksowa

marynarka. Przystojny.

- Po co? Czym mnie pan zaskoczy?

Rozeszli się przed drzwiami kościoła. Ona poszła do pierwszego rzędu, gdzie Janusz trzymał jej miejsce, on stanął z boku, pod nieużywaną amboną. Oparł się o konfesjonał i obserwował ludzi.

Kościół był przepięknie udekorowany. Tuż przy gąblocie z relikwią płonął rząd świec. Pod nią w dużej ramce stała fotografia Augustyna. Uśmiechnięty machał do kogoś. Ludzie pod zdjęciem składali kwiaty i palili znicze.

Mszę celebrował proboszcz Zygmunt. Dawno nie widział takich tłumów. Stary kościół przeżywał prawdziwe oblężenie.

- To, co widzieliśmy dzisiaj, przypomniało nam wszystkim o tym, kim był nieodżałowany proboszcz Augustyn. Minęły już prawie dwa miesiące od jego śmierci, a ciągle nie możemy się z nią pogodzić. Być może niejeden z nas miał mu jeszcze coś do powiedzenia, coś, czego nie zdążył powiedzieć, a teraz jest za późno. A jednak ten ksiądz, choć odszedł już na zawsze, zostawił po sobie coś, co dla nas jest największym darem, jaki mógł nam dać. I jesteśmy mu za to wdzięczni. Księżu proboszczu, słyszysz nasz żal, naszą tęsknotę, nasze osamotnienie - mówił cicho Koral. Jego ton nie był ani patetyczny, ani sentymentalny. A mimo to dziesiątki osób wzruszyło się do łez.

Ela w pierwszym rzędzie wspierała się na ramieniu syna. Już w momencie, gdy weszła do kościoła, odczuła na sobie nieprzychylnie spojrzenia. Wydało się jej, że słyszy słowo „dziwka”, ale nie miała pewności. Postanowiła nie zwracać na to uwagi. Mogła nie przychodzić, wiedziała, co mówią na jej temat. Kilka koleżanek w szkole odradzało jej wizytę w kościele. Ale ona wiedziała, że Rysio ucieszyłby się z jej obecności. I chciała to zrobić tylko dla niego.

Msza trwała bardzo długo. Koral przeciągał kazanie, wynosząc zmarłego księdza pod niebiosa. Potem nadeszła komunia i niekończący się szereg wiernych. Wreszcie, po niemal dwóch godzinach nadzwyczajnej liturgii, niektórzy zaczęli opuszczać świątynię.

Ela wychodziła sama. Janusz postanowił zostać jeszcze, chciał pomówić z Koralem. Wiele wskazywało na to, że ten w końcu obejmie parafię, i młodzieniec chciał zapewne zakomunikować mu swoją decyzję o wyborze seminarium.

Uściskał ją i zniknął w bocznych drzwiach kościoła. Ela podeszła do gąbloty z kośćmi. Brunatne resztki nie wyglądały imponująco. Pierwszy raz przyglądała się im z bliska. Nie mogła dotknąć szkła, było zbyt daleko. W odległości dwóch metrów od relikwii dostępu do świętości broniła lekko ugięta lina. Ela zauważyła, że obok niej klękają ludzie. Zaczynają

szeptać słowa modlitwy. Inni wyciągają ręce i milczą z zamkniętymi oczami. Wycofała się taktownie.

Uniosła głowę i spojrzała na świętą Marię. Mocne spojrzenie postaci z fresku zaskoczyło ją. Nie potrafiła oderwać wzroku od ciemnych, wielkich oczu.

- Jesteś taka piękna - powiedziała szeptem.

Święta Maria patrzyła, mrużąc powieki. Ela przeniosła wzrok na gablotę, później na ludzi wokół, a potem znów wymieniła spojrzenie z oczami postaci na ścianie. Przeniknął ją dreszcz. Oczy świętej Marii wyglądały jak żywe. I wydało się Eli, że patrzą tylko na nią, jakby jej tylko w tym kościele szukały. Tajemnicze, hipnotyczne zespolenie zawładnęło umysłem Eli. Zapomniała o trapiących ją podejrzeniach, o nieszczęściach i radościach całego życia, o koszmarze ostatnich tygodni. Kojąca ulga rozlała się w niej jak chłodna fala. Nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. W nagłym jasnym przeblysku ujrzała bezwartościowość wszystkiego, czego w życiu doświadczyła, wszystkiego, co działo się dzisiejszego dnia, i miało się dziać następnego. Nie mogła się poruszyć. Pragnęła, żeby ta chwila trwała jeszcze, żeby wrażenie nagłego zrozumienia nie opuszczało jej nigdy. Taka piękna, cudowna ta...

Ktoś szturchnął ją, przechodząc, i straciła z oczu świętą Marię.

- O, przepraszam - usłyszała.

Nie odpowiedziała. Znowu spojrzała w te oczy, ale jakiś wysoki mężczyzna przesłonił jej widok. Z tyłu nadchodzili kolejni ludzie.

Odwróciła się i ruszyła na zewnątrz.

Nie rozglądała się, nie widziała, co ma przed sobą. Czowała tylko, że w jej duszy tli się coś nieokreślonego, a serce bije jak oszalałe.

Wiatr uderzył ją w twarz. Nie włożyła kapelusza. Nad miastem wisiały ciemne chmury.

Zeszła ze schodów. Skręciła w stronę domu i zaczęła grzebać w torebce. Powinna mieć jeszcze jednego papierosa. Gdzieś musi być paczka. Nie ma. Nie zatrzymując się, przeszukała kieszenie. Też nie ma.

- Ty dziwko! - Okrzyk dobiegł z lewej strony, z miejsca, gdzie kończył się plac kościelny.

Stało tam kilka osób. Tym razem Ela nie zamierzała pozwolić się obrażać na środku ulicy.

- Słucham? - spytała głośno i odwróciła się do grupki ludzi. Nikt nic nie powiedział. Znała kilkoro z nich, większość jednak była jej obca. Wiedziała, czego od niej chcą.

- No słucham? - powiedziała hardo. Jeśli im się wydaje, że ona się wystraszy, zacznie



coś wyjaśniać, to się grubo mylą.

Do grupki podeszło jeszcze kilka osób. Anna Kiedroń wysunęła się przed szereg. Poważna mina znamionowała, że ma do powiedzenia coś bardzo istotnego. Zaciskała mocno prawą pięść.

- Jesteś dziwka. Przez ciebie ksiądz proboszcz... tfu! - Splunęła, a kilka kobiet zrobiło to samo. Teraz była całkowicie pewna, że Ela to wcielony diabeł. Opowiedziała wielu osobom o swoich podejrzeniach, o tym, co widziała, jak ksiądz proboszcz trzymał rękę na jej głowie, jak się diabelsko potrafiła uśmiechać i błyski puszczać z oczu. O, diabła z kościoła trzeba wygnąć.

- Nie przechodziłyśmy na ty, pani Aniu. - Ela zauważyła, że parafianie mają zacięte usta.

- To ty! - Starsza kobieta o kulach wskazała na nią palcem.

- To przez ciebie straciłam syna! On sam siebie zatracił!

Ela rozpoznała matkę Augustyna. Pani Płaczek spoglądała na nią z nienawiścią nagromadzoną w duszy przez lata samotności i zwątpienia. Towarzyszył jej jakiś starszy mężczyzna. Ela zdała sobie sprawę, że wdawanie się w dyskusję byłoby błędem.

- Do widzenia państwu - powiedziała dość cicho, nie wiedząc, czy ktokolwiek ją słyszał. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swego domu - nieśpiesznie, aby nie dać im satysfakcji, że przed chwilą przegonili diabolicę. Wyprostowała rondo kapelusza i włożyła go na głowę. Teraz jeszcze bardziej żałowała, że nie ma nic do palenia. Byłaby pewniejsza, ten papieros pozwoliłby jej schronić się za zasłoną dymu.

Wtedy poczuła uderzenie w plecy. Krzyknęła i złapała się za krzyż. Spojrzała na nich.

- Co... co wy robicie? - Przesuwała pytającym spojrzeniem po twarzach.

Anna Kiedroń zamachnęła się mocno, ale jej kamień minął cel.

- Ty kurwo jedna! - krzyknęła rozzłoszczona.

Ela zaczęła się cofać. Następny kamień nadleciał tak szybko, że go nie zauważyła. Trafił ją w ramię. Torebka spadła na chodnik. Schyliła się, żeby ją podnieść, i poczuła ból przenikający aż po samo serce. Wtedy spadło na nią kilka uderzeń, jedno po drugim. Pierwszy kamień trafił w czubek głowy, drugi w udo, następny w biodro. Zachwiała się, ale utrzymała równowagę, zanurzając kolano w kałuży na nierównych płytach chodnika. Lewe ramię piekło najmocniej. Coś do niej wołali, ale nie słyszała wyraźnie. Jakieś wyzwiska. Głos Kiedroniowej wybijał się ponad inne.

Ktoś złapał ją pod ramię. We włosach czuła łaskotanie strumyka krwi.

- Przestać! Co to jest?! Pani Elu, pani Elu! - Stała obok niej Genowefa Florczak. -

Co to jest?! Bo zaraz po księdza proboszcza pójde!

Mały tłumek milczał. Ludzie patrzyli ponuro, jak pani Genowefa podaje Eli torebkę, która znowu spadła na ziemię.

- Proszę... - powiedziała Ela - proszę mnie zostawić. Odsunęła panią Genowefę. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i otarła krew z twarzy. Nie spojrzała już na nikogo. Nikt już nic nie wołał. Wolnym krokiem ruszyła w stronę domu.

## **Podziękowania**

Pragnę podziękować kilku osobom, które w ciągu roku, kiedy powieść powstawała, gotowe były czytać kolejne nadsyłane rozdziały, jak również krytycznie zachęcać do dalszej pracy. Cenne uwagi na temat całej książki wnieśli mój brat Dariusz Pilis, Przemek Malicki i Adam Chlebuś.

Winien jestem szczególne podziękowania Magdalenie Janas za celną i rzeczową krytykę pierwszych rozdziałów.

Wszystkim Wam bardzo serdecznie dziękuję.

MP